



Dariusz Rosiak

# ŻAŻAR

**Oddech Afryki**



otwarte na świat

**Dariusz Rosiak**

**ŻAR**

**Oddech Afryki**

---

Wydawnictwo Otwarte

„Są dwie Afryki, jedna na pokaz i ta druga, trudna i niebezpieczna, w której jak na dłoni czytać można prawdę. Widziałem obie. Ta druga kamieniem przygniotła pierś, a im dłużej z nią obcuje, tym więcej szczegółów chwytam. Lecz komu je opowiedzieć?”

K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*

Rano nagły deszcz, a potem zamiast świeżości i chłodu fala spiekoty, smród i wilgotna zawiesina w powietrzu. To się może zdarzyć w każdym afrykańskim mieście. Mnie spotkało w Luandzie. Stoję, siedzę, idę – nieważne, pot leje się ciurkiem, a brak tlenu zamula mi umysł. Nie ma gdzie uciec, chyba że do klimatyzowanego pomieszczenia, ale ile czasu można spędzić w lodówce? Smog, huk i korki na ulicy. Woń świeżych, słodkich owoców na rynku zmienia się w stęchliznę rozkładu. Taki jest zapach tego miasta: spaliny połączone z gnijącymi owocami, rybami i mięsem, dusząca słodycz, obezwładniający, wilgotny przesył.

A potem spada gwałtowny deszcz, w niebie odkręcają kurek z ciepłą wodą i na chwilę świat się rozrzedza, aż do momentu gdy przychodzi następna porcja żaru i uderza z jeszcze większą siłą.

Żar? Jaki żar? Na malijskiej pustyni spałem w dwóch swetrach i śpiworze, w Addis Abebie marzłem w nocy na kość, a w Akrze w czasie harmatanu czułem się jak w suchej saunie.

Słońce, deszcz, spiekota, chłód – wszystko w Afryce się miesza i burzy nasze stereotypy. Przyzwyczajeni do jednego dyżurnego obrazu Afryki, kontynentu nieszczęśliwych ludzi zmagających się w nierównej walce z naturą, gubimy jej różnorodność nie tylko geograficzną, ale także społeczną, polityczną, różnorodność kultur i tradycji, różnorodność typów ludzkich i historii ich życia. Lubimy myśleć o tym kontynencie jak o Czarnym Lądzie, sferze ciemności i śmierci, które dominują nad ludźmi. Ale to nieprawda. Afryka to życie w najpełniejszym wydaniu. Przesyt i głód, wilgoć i suchość, światło i ciemność, dźwięk i cisza, zmęczenie i komfort, choroba i zdrowie, radość, smutek, wiara, nadzieja, miłość – wszystko smakuje tu silniej niż gdzie indziej. Jeśli zatem żar, to intensywny żar życia, bezkompromisowej zgody na istnienie wbrew wszystkiemu.

Żar Afryki obezwładnia i przeraża. Zło, pazerne na naszą uwagę, staje się elementem porządkującym nasze myślenie: Afryka to dla Europejczyka nędza, korupcja, wojny i inne plagi. O nich również piszę w tej książce, ale mam nadzieję, że ludzka życzliwość, radość i pochwała życia, czyli cechy, których Afryka jest pełna, przebijają się z tych opowieści dużo wyraźniej. Bo przecież dobrych ludzi jest w Afryce więcej niż złych, akceptacji życia w całej jego pełni więcej niż depresji i smutku.

Gdyby to zło rządziło światem – życie, również podróżowanie, byłoby niemożliwe. W Afryce, którą opisuję, nie brakuje nadziei, nawet jeśli aby do niej dotrzeć, trzeba dążyć długo i cierpliwie. Afryka jest miejscem życia prawie miliarda ludzi, ludzi będących ciągle w ruchu, zmieniających się, realizujących swoje aspiracje i marzenia. O nich tutaj piszę.

Piszę również o fiasku naszych wyobrażeń o Afryce, o nieudanych próbach oswojenia mitów Afryki, które sami wytwarzamy. Wciąż, w świecie dostatku, uważamy ten kontynent za zadanie do wykonania, „brzemień”, które na nas ciąży ze względu na przeszłe winy i odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń. Ale wbrew temu, o czym piszą gazety w Europie, Afryka nie jest problemem do rozwiązania, a jej mieszkańcy nie są chodzącymi nieszczęściami czekającymi na ratunek ze strony białego człowieka. Współcześni Afrykanie nie chcą być naszym wyrzutem

sumienia. Wystarczy, by traktować ich poważnie, odejść od protekcyjnej nadopiekuńczości, którą rezerwujemy zwykle dla ludzi uważanych przez nas za mniej bystrych, mniej rozwiniętych, gorszych.

\*

Ta książka jest zbiorem opowieści z podróży do kilkunastu państw, które odbyłem w ciągu ostatnich 3 lat. Afryka nie interesuje mnie jako atrakcja turystyczna. Prawdziwą przygodą jest spotykanie ludzi. Nie mógłbym ich poznać, nie wyjeżdżając z domu. Nie jeżdżę medytować do samotni ani na pustynię. Nie fascynują mnie rozległe pustkowia albo gęste lasy. Owszem, mogą budzić grozę albo podziw. Piasek pustyni, zakole wielkiej rzeki, niebo upstrzone gwiazdami – to wszystko bywa piękne, można nawet popłakać się ze wzruszenia, ale to nie jest do końca moja przestrzeń. Moja przestrzeń jest zamieszkała przez ludzi, tworzona przez środowisko społeczne i polityczne, historię, z której ci ludzie wyrastają.

Takie spojrzenie to trochę wybór, a trochę konieczność – podróżuję, pracując, pracuję, podróżując, a moja praca polega na pisaniu albo mówieniu o innych ludziach. Nie jeżdżę spotykać postaci sławnych ani wybitnych, choć i takie pojawiają się w tej książce. Jednak moim podstawowym celem jest opisywanie zachowań osób przeciętnych, które wyróżniają się tylko trochę, jedynie na tyle, by zwrócić na siebie uwagę podróżującego w pośpiechu, kogoś takiego jak ja. Bo ja zawsze podróżuję w pośpiechu – tak muszę i tak lubię. Ciągłe ktoś coś ode mnie chce i zwykle mam za zadanie dostarczyć to coś na czas: reportaż radiowy albo prasowy, artykuł, notatkę lub jakiś inny dowód, że naprawdę tam byłem. W tydzień przeżywam wtedy miesiąc, w miesiąc pół roku, czas w moich wyjazdach kurczy się i gęstnieje jak materia u Hawkinga. Jedną z jego teorii z *Krótkiej historii czasu* głosi, że świat ostatecznie się skurczy i zapadnie w siebie. Kiedy mój świat ma się już ostatecznie zapaść, wsiadam w samolot i lecę gdzie indziej. Cykl zaczyna się od nowa.

\*

Żadnej z podróży opisanych w tej książce nie udałoby się odbyć bez pomocy, i to wydatnej, ludzi z Afryki. Zawsze taką pomoc znajdowałem. Nazwiska wielu osób, które mi pomogły, znajdują się na kartkach tej książki, niektórzy woleli pozostać anonimowi. John Kakande, Joachim Buwembo i Max pomogli mi w Ugandzie; Yasser Bagersh, Mafi Mengystu, Barbara Goshu, siostra Anna Trzepacz – w Etiopii; Malik Gakou, siostra Krystyna Młynarz, Omar Ben Khatab Sokhna – w Senegal; Mandian Diarra, Zoumana Diabaté, Bassekou Kouyaté, Sidi Mohamed, Abdala Ibrahim – w Mali; Idris Saleh, Habiba Marshed, Bachtin – na Zanzibarze; ksiądz Stanisław Góral, księży salwatorianie z Instytutu Filozoficzno-Teologicznego w Morogoro, Joseph Pascal Mugasa – w Tanzanii; rektor João Teta, ksiądz Andrzej Fecko – w Angoli; Michael Owusou, Marcin i Anna Lelontkowie, John Asare-Bediako, ksiądz Joachim Mika – w Ghanie; Anastase Nshaka, polscy i rwandyjscy pallotyni – w Rwandzie i Demokratycznej Republice Konga; John Githongo, Koigi Wamwere, Nancy Gakahu, Tomasz i Ines Sudrowie, Maciej Tański, ksiądz Teodor Grzyśka – w Kenii; biskup Edoardo Hiiboro Kussala, księży kombonianie, Christine Mbiti – w Sudanie Południowym; Krystyna i Wiesław Grabowscy, Foxy i Sue, dziennikarze z „The Financial Gazette” i „The Zimbabwe Independent” – w Zimbabwe, Jadwiga Dubla-Kalinowska i Stanisław Kalinowski, Heidi Holland, siostry franciszkanki ze Zgromadzenia Służebnic Krzyża ze szkoły dla ociemniałych Siloe School for

the Blind, Martin Viljoen, Mark Gleeson – w RPA. W wielu odwiedzanych krajach, zwłaszcza w Angoli, Senegalu, RPA, Etiopii i Kenii, bardzo pomogli mi polscy ambasadorowie i pracownicy polskich placówek dyplomatycznych, za co jestem im wdzięczny.

Nie byłoby również ani tej książki, ani moich podróży po Afryce, gdyby Krzysztof Skowroński, dyrektor Programu III Polskiego Radia, nie wymyślił w 2007 roku akcji „Trójka przekracza granice”. Dziękuję mu za rozmach wyobraźni i okazane zaufanie.

Podstawę tej książki stanowią materiały zebrane przeze mnie jako reportera radiowej Trójki, gdzie nadawałem relacje z Afryki, i dziennika „Rzeczpospolita”, w którym pierwotnie ukazywały się teksty z moich afrykańskich podróży. Zostały one rozszerzone i opracowane ponownie na potrzeby tej książki.

W dowód wdzięczności za ludzką życzliwość podróżnik ma do oddania niewiele: drobny upominek, czas na wspólne piwo, zaproszenie na posiłek, otwarty umysł, uwagę, z jaką traktuje człowieka spotkanego po drodze. Wszystkim spotkanym po drodze z serca dziękuję.

## Senegal: bez innych jestem nikim

Przy wejściu do hotelu na przedmieściach Dakaru jakiś człowiek chce sprzedać mały drewniany stolik. Demontuje go na moich oczach, potem składa, macha do mnie przyjaźnie, uśmiecha się. Daję do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany, ale on stoi tak i powtarza swoje gesty przez 15 minut, pół godziny. Mija godzina, ja czekam przy stole na zamówiony wcześniej posiłek, który wreszcie dostaję, a on tkwi niewzruszony kilkanaście metrów ode mnie i chwytą się mojego wzroku jak tonący brzytwy. Gdy tylko spojrzę na niego, a on to zauważy, wstępuje w niego nowa nadzieja. I znów rozkłada stolik, macha do mnie, a gdy odwracam wzrok, ze smutną miną daje za wygraną i odchodzi, ale zaraz wraca i rytuał rozpoczyna się na nowo. Będzie tak wracał codziennie przez tydzień, może dłużej. Czasem zobaczę go podczas śniadania, czasem pojawi się przed wieczorem. Rozstawi swoje afro-cepeliowskie figurki, brzydką biżuterię i będzie bez sukcesu zachęcał do kupna.

W tym handlu nie chodzi o to, by cokolwiek sprzedać. On nie sprzedaje swojego stolika, podobnie jak setki handlarzy z placu Niepodległości w Dakarze nie sprzedają podrabianych perfum, zegarków, walizek, pokrowców na garnitury, koszulek z nazwiskiem kapitana reprezentacji piłkarskiej El Hadji Dioufa i innej tandety. Podaż przekracza tu popyt po tysiackroć, a więc o co chodzi?

\*

Na plaży w wiosce rybackiej Yoffcodziennie przed godziną 17 rybacy wyładowują połów. Żony obrabiają ryby, skrobą mniejsze sztuki, ogromne tuńczyki, mieczniki. Rekiny tną w grube płaty i wystawiają na sprzedaż na plaży. Czasem przychodzi ktoś ze wsi, by kupić kilka ryb, ale większość kobiet nigdy nic nie sprzedaje. One po prostu siedzą i rozmawiają. Obok dzieci grają w piłkę, psy wygrzewają się w blasku zachodzącego słońca. W tym handlu chodzi więc nie o to, by sprzedać, ale o to, by być obok siebie, by dzielić się swoją obecnością.

\*

Codziennie rano biorę taksówkę sprzed hotelu i codziennie powtarza się to samo.

- Ile do centrum? – pytam.
- 5 tysięcy – pada odpowiedź.
- Ale wczoraj kosztowało 3 tysiące. I przecież jechałem z tobą.
- Ale benzyna zdrożała.
- Jak to „benzyna zdrożała”?
- Normalnie, 50%.

Odchodzę od samochodu obrażony, że ktoś ze mnie robi durnia, udaję, że już nie wrócę, i czekam na reakcję, która nieuchronnie nastąpi. W końcu kierowca akceptuje moją cenę. Pytam

go, po co mu był potrzebny cały ten cyrk, śmiejemy się, proszę, żeby nie powtarzał go nazajutrz, on mówi, że oczywiście, a nazajutrz zachowa się dokładnie tak samo jak dzisiaj.

Kiedyś mnie to oburzało. Byłem wściekły, że ktoś traktuje mnie jak chodzący bankomat. Czułem się wykorzystywany. Dziś myślę inaczej, przeszła mi złość. Złość na co? Na to, że biedak chce zarobić? Że traktuje mnie jak okazję? A ja, jak ja go traktuję?

Zastanawiam się, co czują ludzie, których fotografuję bez pytania, dlaczego obce osoby dzielą się ze mną historiami swojego życia, dlaczego niektórzy zapraszają mnie do domu. Czym, jeśli nie wykorzystywaniem, jest przerabianie ich życia na fotki, teksty, reportaże radiowe? Bez pomocy, otwartości i zainteresowania tych ludzi moja podróż byłaby jak wydmuszka – kolorowa na zewnątrz, pusta w środku. Bez darowanej mi przez nich uwagi sam niewiele bym zauważył. Zamiast więc narzekać na pazerność Afrykanów, co często zdarza się wśród Europejczyków, może lepiej przyjrzeć się własnej, tej „szlachetniejszej” odmianie pazerności: na egzotycznego new sa, na niezwykłą historię, na przygodę – i przestać zgrywać ofiarę.

Podróż jest wymianą darów, a na koniec i tak to podróżnik wychodzi na niej najlepiej. Jeśli potrafi, oczywiście. Grek Kawafis pisał:

*Itaka dała ci tę piękną podróż.  
Bez Itaki nie wyruszyłyś w drogę.  
Niczego więcej już ci dać nie może<sup>[1]</sup>.*

Nie narzekajmy więc na miejscowych, nawet jeśli to modne.

\*

Sąsiednie narody nazywają Senegalczyków „Żydami Afryki”. Ma to być komplement wskazujący, że są bogatsi, inteligentniejsi i lepiej rządzeni niż pozostałe narody kontynentu. Stereotyp rasowy, w którym jest trochę prawdy i więcej uprzedzeń przystrojonych w piórka podziwu. Senegal to rzeczywiście sprawnie funkcjonująca demokracja, państwo, w którym rząd rządzi, opozycja i media pełnią funkcje kontrolne, a konflikty rozwiązuje się zazwyczaj metodami politycznymi i pokojowymi. Islamscy przywódcy religijni – marabuci, mają ogromne wpływy wśród ludności, czasem decydują nawet o wyniku wyborów, ale nie deformuje to w zasadniczy sposób świeckiego charakteru państwa.

Wielka w tym zasługa ojca założyciela niepodległego Senegalu Léopolda Senghora, jednego z najwybitniejszych polityków afrykańskich XX wieku, człowieka, który uchronił Senegal przed budowaniem państwowej tożsamości metodami rewolucyjnymi, zjednoczył kraj i wprowadził w nim demokrację.

Senghor był idealnym produktem francuskiego kolonializmu: zakochany w przybranej ojczyźnie i jej kulturze, uczony dystansu, a nawet pogardy dla kultury afrykańskiej, był ideałem évolué, cywilizowanego czarnego Francuza, których produkcją zajmowali się wysłannicy Paryża w zachodniej Afryce. „Naszą ambicją było przyjęcie roli fotograficznych negatywów kolonizatorów: czarnoskórych Francuzów” – pisał, będąc już prezydentem, w 1961 roku, wspominając swoje zauroczenie Francją<sup>[2]</sup>.

Zauroczenie nigdy całkowicie nie przyszło, ale wkrótce po rozpoczęciu studiów w Paryżu Léopold Senghor zaczął się buntować. Nie poszedł jednak drogą nacjonalizmu. Wymyślił sposób na zachowanie afrykańskiej tożsamości bez zrywania więzów z metropolią. Ta metoda określona jako filozofia *négritude* oznaczała akceptację dominacji Francji na poziomie politycznym przy



pieczołowitym kultywowaniu rodzimej kultury afrykańskiej. Senghor rozsądzał ramy wąskich stereotypów. Z jednej strony głosił pochwałę czarnej Afryki, wzywał rodaków do okazywania dumy i wyzbycia się kompleksów, z drugiej nie kwestionował pozycji Francji jako siły imperialnej. Ideały nacjonalistyczne rozwijane w koloniach brytyjskich uważał za zbyt radykalne, dlatego zamiast niepodległości proponował unię Afryki i Francji w ramach jednej republiki. Senghor tworzył podwaliny kultury politycznej Senegalu opartej na kompromisie zamiast na rewolucji przechodzącej w dyktaturę. Owszem, w późniejszych latach władzy nie stronił od metod autorytarnych, lecz w przeciwieństwie do wielu afrykańskich ojców niepodległości nie zmienił się w dyktatora.

Szukał szerokiego porozumienia narodowego na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, jako czarny Senegalczyk budował koalicje z Francuzami. Z sukcesem – po uzyskaniu przez Senegal niepodległości liczba Francuzów mieszkających w tym kraju wzrosła, dominacja gospodarcza metropolii w Senegalu, w postaci kilkunastu tysięcy francuskich firm, widoczna jest do dziś, a jej wpływy kulturalne i cywilizacyjne można zauważyć na każdym kroku. Drugie pole kompromisu wiązało się z katolicyzmem Senghora. W kraju muzułmańskim musiał zawrzeć układ polityczny z marabutami, posiadającymi ogromne nieformalne wpływy w społeczeństwie. Bez ich wsparcia nie mógł liczyć na jakąkolwiek stabilizację w kraju.

Rozwijał równoległe dwie kariery: polityka i pisarza. Został członkiem Zgromadzenia Narodowego, znaczącym politykiem Partii Socjalistycznej, potem liderem własnej partii. Równocześnie pisał poezje, eseje filozoficzne i polityczne, które zapewniały mu uznanie wśród francuskich elit. Powtarzał często, że woli, by zapamiętano go jako poetę niż jako polityka. Nawet po objęciu urzędu prezydenta niepodległego Senegalu w 1960 roku nie przestawał tworzyć. Dziennik „Le Figaro” nazwał go w 1961 roku „jednym z największych [francuskich] żyjących poetów”. W 1984 roku spotkał go największy zaszczyt, jaki może stać się udziałem francuskojęzycznego twórcy kultury – został członkiem Akademii Francuskiej.

Wcześniej dokonał innej rzeczy, również w Afryce niezwykłej. Po 20 latach sprawowania rządów Léopold Senghor jako pierwszy polityk afrykański od czasów niepodległości dobrowolnie oddał władzę. Jego następca i protegowany Abdou Diouf również pokojowo przyjął porażkę wyborczą, po 20 latach rządów, w 2000 roku.

Dziś Senegalem rządzi ponad osiemdziesięcioletni Abdoulaye Wade, który oskarżany jest przez opozycję o ciągoty zamordystyczne, ale tak naprawdę nikomu krzywdy nie robi.

– Prezydent ma pewien uraz, bo prawie 30 lat był w opozycji, więc jak się dorwał do władzy, to czasem wychodzą na wierzch jego kompleksy – tłumaczy mi znajomy dyplomata mieszkający od lat w Senegalu.

\*

Senegal to nie tylko sprawna afrykańska demokracja. To również kraj analfabetów i krańcowej nędzy sąsiadującej z przepychem dla nielicznych. To kraj, w którym przeciętnej rodziny nie stać na wykształcenie dziecka, a głównym marzeniem tysięcy młodych mężczyzn jest przedostanie się pirogą na Wyspy Kanaryjskie i stamtąd dalej do Europy. Niektórym się udaje, chociaż większość wpada w ręce hiszpańskiej straży przybrzeżnej, której łodzie w poszukiwaniu uciekinierów patrolują wody Senegalu. Wielu nie dociera do brzegu i tonie w oceanie.

– Dlaczego decydujecie się na to, skoro szansa na dotarcie do Europy jest tak nikła? – pytam dwudziestoletniego rybaka z Yoff pod Dakarem.

– Bo tutaj jest jeszcze gorzej. Bo nie ma żadnych perspektyw. Bo chciałbym pomóc rodzicom na starość, a bez ucieczki do Europy nie dam rady.

Mój rozmówca już raz próbował uciec, bezskutecznie. Teraz czeka na następną okazję i – jak mówi – nie ma takiej siły, która go od tego odwiedzie. Pytam, czy wie, w jakich warunkach żyje większość afrykańskich imigrantów w Europie. Czy zdaje sobie sprawę, że nawet jeśli przedostanie się do Europy, to latami będzie wegetował jako nielegalny imigrant?

– Słyszałem, że nie jest im tam lekko, ale przynajmniej mają jakieś perspektywy. My nie mamy żadnych.

– Senegalczycy są jak święty Tomasz – tłumaczy mi lokalny polityk. – Nie uwierzemy, dopóki nie zobaczymy.

\*

Ja też nie uwierzę, dopóki nie zobaczę. Płynę wodolotem na małą wyspę Gorée, 3 kilometry od Dakaru, która stanowiła ponoć najważniejszy punkt przerzutowy w handlu niewolnikami w XIX wieku. Stąd wywożono ich do Nowego Świata. Centralnym punktem wyspy jest muzeum zwane Domem Niewolników, piętrowa konstrukcja nad zatoką zachowana w całkiem przyzwoitym stanie. Od 1962 roku w budynku funkcjonuje muzeum, owoc pracy głównie jednego człowieka – Boubacara Josepha N'Diaye, który ponad 40 lat pełnił funkcję kuratora obiektu. To dzięki niemu Dom Niewolników stał się znanym na całym świecie symbolem okrucieństwa białych kolonizatorów wobec czarnych mieszkańców Afryki, sanktuarium, gdzie czci się pamięć ofiar jednego z największych bestialstw w historii ludzkości. W latach 80. N'Diaye twierdził, że przez kazamaty tego niepozornego budynku przeszło nawet 20 milionów Afrykanów.

Oglądam ciasne, obskurne cele, w których kłębiły się setki osób, słucham nieludzkich historii o rozdzielaniu matek i dzieci, torturowaniu niemowląt, zrzucaniu niewolników z nadmorskiej rampy do ładowni statków, które odpływały z Afryki do Nowego Świata pełne ludzkiej nędzy, potu, krwi. Oglądam i trudno mi uwierzyć...

Trudno mi uwierzyć, bo to fizycznie niemożliwe, żeby tylu ludzi przeszło przez ten skromny budynek. Nijak się to składa do kupy, wzięwszy pod uwagę choćby fakt, że według danych z muzeum historycznego, również mieszczącego się na wyspie Gorée, ofiarami kontrolowanego przez białych handlu niewolnikami w całej Afryce od lat 70. XVII wieku do połowy wieku XIX padło około 10–12 milionów ludzi. Gorée była w istocie marginalnym punktem tego handlu. Według historyków przez wyspę w latach 1670–1810 przewijało się około 200–300 osób rocznie. Większość czarnych z Senegambii wywożono przez Saint-Louis w północnym Senegal lub z James Fort w Gambii. Z Gorée wysłano do Nowego Świata co najwyżej 30 tysięcy ludzi. Sam Dom Niewolników zbudowano dopiero pod koniec XVIII wieku i mieszkała w nim bogata kobieta, która – owszem – handlowała niewolnikami, jednak do lat 70. XX wieku nikt nie traktował tego budynku jako miejsca szczególnej kaźni.

No dobrze, ale jakie to ma znaczenie? Wyspę Gorée odwiedził Jan Paweł II, Bill Clinton, Nelson Mandela i tysiące innych ludzi. Dla nich wszystkich to miejsce stało się symbolem ludzkiej niegodziwości i barbarzyństwa. Czy ma znaczenie, że z Gorée wywieziono jednak mniej niewolników, niż głosi legenda stworzona dla turystów przez miejscowego kuratora?

To jest w istocie pytanie o to, czy dla Afrykanów i dla nas ma znaczenie historia tego kontynentu. I jak o niej mówić, by uniknąć protekcjonalizmu z jednej strony lub bajdurzenia i

tworzenia politycznie poprawnej mitologii – z drugiej.

\*

Czym jest historia Afryki? W lipcu 2007 roku prezydent Francji Nicolás Sarkozy powiedział podczas wizyty w Dakarze: „Człowiek Afryki nigdy nie stał się częścią historii”. Na Sarkozy’ego posypały się gromy, oskarżano go o rasizm i ignorancję, ale może prezydent Francji miał rację? Przecież historia Afryki ma – przynajmniej współcześnie, a o tym mówił Sarkozy – tylko dwa oblicza. Jest albo zapisem podboju przez białego człowieka, albo uprawianym przez Afrykanów mitologizowaniem przeszłości, tak by teraźniejszość była znośniejsza. W pierwszej wersji o Afryce mówią ludzie z zewnątrz, w drugiej słychać głos miejscowych zaprawiony gorzkim resentymentem i brakiem wiary w siebie. Historia ma usprawiedliwić nędzę i brak perspektyw.

A przecież Afryce niepotrzebne są mity o historii niewolnictwa przebrane w naukowe dowody – prawda o nim jest wystarczająco wstrząsająca. Bardziej przydałby się pomysł, jak z historii czerpać siły na przyszłość.

Coraz więcej Afrykanów nie ma ochoty, by patrzono na nich ciągle jak na ofiary zachodniego kolonializmu. Na konferencji poświęconej rasizmowi zorganizowanej w Durbanie w 2001 roku prezydent Senegalu Abdoulaye Wade, potomek afrykańskich królów, którzy utrzymywali niewolników i nimi handlowali, wyśmiał pomysł odszkodowań dla współczesnych Afrykanów za niewolnictwo w XIX wieku i wcześniej. „Jeśli ktoś chce odszkodowanie, to pewnie niewolnicy moich przodków też powinni je dostać ode mnie. Niewolnictwo było praktykowane przez wszystkie ludy na świecie”.

Jeszcze dalej idzie wybitny ghański ekonomista George Ayittey: „Prawie każdy problem czarnych wyjaśniany jest na podstawie paradygmatu rasizmu, z czego wynikałoby, że problemów czarnych nie da się rozwiązać, dopóki rasizm nie zostanie całkowicie wypleniony. To jest podejście boleśnie nierealistyczne. Niestety, rasizm zawsze będzie istniał – na Zachodzie i gdzie indziej. Czy my, czarni, mamy czekać na jego koniec, zanim weźmiemy w swoje ręce nasze losy i zaczniemy rozwiązywać własne problemy?”<sup>[3]</sup>.

\*

Zostałem zaproszony do domu lokalnego działacza politycznego z Dakaru. Gruba ryba, sycha w hierarchii rządzącej partii. Pięknie opowiada o afrykańskiej kulturze, potrzebie jej ochrony, o rozwijaniu miejscowych talentów i dumie z bycia Afrykaninem. Rozmytą po deszczu i pełną dziur drogą dojeżdżamy do jego domu, a raczej pałacu. Siadamy na włoskich sofach sprowadzonych z Mediolanu, pijemy francuskie wino z eleganckich kieliszków, siedzimy przy stołach ze szklanymi blatami i spoglądamy na plazmowy ekran, z którego sączy się program amerykańskiej telewizji. Z sufitu zwisają ciężkie kryształowe kandelabry, na ścianach europejskie obrazy – oryginały, jak się dowiaduję. Jediną obecność prawdziwej Afryki w tym domu zapewniają senegalscy służący. W otoczeniu swojego pracodawcy wyglądają jak niewolnicy.

\*

W dzielnicy Thiaroye Gare polskie siostry urszulanki prowadzą przychodnię dla mieszkańców. Codziennie dwie pielęgniarki przyjmują kilkuset chorych, głównie matki z

dziećmi. Jest tu też ośrodek diagnozowania AIDS i klinika dla chorych. Siostra Krystyna Młynarz opowiada mi, do jakich sztuczek muszą się uciekać, by zachować w tajemnicy chorobę swoich mułmańskich podopiecznych. Na przykład, gdy przychodzą dary dla chorych na AIDS, siostry rozdają je nie tylko zarażonym, ale również zdrowym, tak by zmylić otoczenie. Chorym matkom podaje się środki na zatrzymanie mleka, bo jego utrata to mimo wszystko mniejsza hańba niż zarażenie wirusem HIV.

– Najsmutniejsze jest to, że te kobiety najczęściej zarażone są przez swoich mężów. A ponieważ to jest kraj mułmański, mają oni po trzy, cztery żony. Łańcuch choroby rozszerza się w błyskawicznym tempie – mówi siostra Krystyna.

– A co, jeśli mąż dowie się o chorobie żony? – pytam.

– Wyrzuca ją z domu.

Pytam siostrę Krystynę, czy w przychodni rozdają zarażonym prezerwatywy. Pytam, bo słyszałem, że Kościół z bezwzględnym zakazem stosowania prezerwatyw współuczestniczy w rzezi dokonywanej przez wirusa HIV.

– Katolicy księża i siostry zakonne opiekują się jedną czwartą chorych na AIDS i zarażonych wirusem HIV w Afryce Subsaharyjskiej, czyli mniej więcej 6 milionami ludzi – mówi siostra Krystyna. – Wiele ofiar choroby żyje dzięki bezinteresownej ofiarności ludzi Kościoła, wiele innych dzięki niej może umrzeć w godności. Nie, my nie rozdajemy prezerwatyw – dodaje.

\*

Z rozdawaniem prezerwatyw jest podobnie jak z innymi rodzajami pomocy udzielanej Afryce: im gorzej pomoc działa, tym głośniejsze organizacje żyjące z jej rozdawania twierdzą, że bez nich Afryka nie przetrwa. Być może dlatego niewielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego po 20 latach zalewu Afryki kondomami z całego świata prawie 25 milionów ludzi na kontynencie ciągle zarażonych jest wirusem HIV.

Szantaż moralny stosowany w przypadku rozpowszechniania prezerwatyw jest szczególnie silny, w końcu chodzi tu bezpośrednio o życie albo o śmierć. Nie ma miejsca na niuanse: albo jesteś za życiem, i wtedy rozdajesz prezerwatywy, albo zaślepiony ideologią katolicką skazujesz tych nieszczęśników na śmierć.

Prawda jest nieco bardziej złożona. W krajach, w których najwięcej ludzi zakażonych jest wirusem HIV (Botswana, Zimbabwe, RPA, Kenia), od lat prezerwatywy rozdawane są za darmo i w dużych ilościach. Jednak stosowanie ich utrzymuje się ciągle na niskim poziomie, może dlatego że w Afryce nie istniała tradycja używania prezerwatyw. Jeśli już, to stosowano naturalne środki antykoncepcyjne. Najskuteczniejsze okazywało się karmienie piersią, niekiedy do trzeciego roku życia; w ten sposób kobieta rodziła zwykle najwyżej pięcioro, sześcioro dzieci.

Jeszcze ważniejszym powodem unikania prezerwatyw przez Afrykanów są stosunki panujące między kobietami i mężczyznami. Ofiarami AIDS w Afryce – o czym mówiła mi też siostra Krystyna w Dakarze – padają głównie kobiety zarażone przez mężów. Wiele kobiet chorych na AIDS to także ofiary gwałtu. Skrajnie naiwne jest założenie, że kobiety wychowywane przez pokolenia w przekonaniu, iż ich rolą jest służyć mężczyźnie, mogą prowadzić z mężami negocjacje w sprawach seksu, tak jak Amerykanki, Francuzki czy Polki. Sprzeciwianie się woli męża grozi agresją i odrzuceniem z jego strony. A kobieta odrzucona nie ma w życiu szans.

\*

W muzeum sztuki afrykańskiej w centrum Dakaru oglądam wystawę figur i masek symbolizujących płodność. Mężczyźni z fallusami do kolan, postaci kobiet zredukowane do waginy i wielkich napęczniałych od mleka piersi, w miejscu głowy po prostu nieobrobiony kawałek drewna – rzeźbiarz nawet nie zajmował się nadaniem postaci cech indywidualnych. Obok karmiące matki z płaskimi piersiami, wysсанymi z mleka. Te piersi im bardziej płaskie i zużyte przez dzieci, tym lepiej świadczą o kobiecie. Na przedmiotach użytkowych węże, ptaki, krokodyle i geometryczne wzory symbolizujące płodność oraz nierozzerwalny związek człowieka z naturą.

W myśleniu afrykańskim kobieta i mężczyzna indywidualnie nie stanowią żadnej istotnej wartości zarówno w sensie społecznym, jak i metafizycznym. Ich wartość polega na tym, że przekazują życie, że dzięki nim rodzina i plemię mogą przetrwać. Płodność kobiety jest jak płodność ziemi – nadaje sens istnieniu; kobieta bezpłodna jest jak bezpłodna ziemia – do niczego nieprzydatna. To dlatego w Afryce małżeństwo zawiera się czasami dopiero wtedy, gdy kobieta urodzi dziecko albo lepiej kilkoro dzieci. Wówczas wiadomo, że nadaje się na żonę. Dlatego również strach przed bezpłodnością jest jednym z najbardziej przejmujących uczuć ludzkich na tym kontynencie.

My wymyślamy coraz skuteczniejsze metody ograniczania urodzeń, wyjaławiania ziemi i sterylizacji życia, oni drżą na myśl, że ich rodzina czy plemię mogłoby wymrzeć i zniknąć z powierzchni ziemi. My robimy wszystko, by odrzucić myśl o śmierci, i żyjemy, jakbyśmy byli nieśmiertelni. Oni ocierają się o śmierć codziennie, zaakceptowali ją jako część życia, ale się jej nie poddają. Oni zazdroszczą nam „wyzwolonego” stylu życia, my chodzimy na kursy „życia naturalnego”, jemy wyłącznie organiczną żywność, zakazujemy palenia w miejscach publicznych albo jeździmy do Afryki, by oglądać z bliska, jak się żyje w zgodzie ze śmiercią. Dwa światy, które się mijają.

\*

Skąd się bierze nasza „wyższość”, a ich „niższość”? Skąd to przekonanie, że naszą rolą jest uczenie ich właściwych zachowań, cywilizowanie nawet za cenę „brzemienia”, które – jak pisał Kipling – biały człowiek musi dźwigać, by im, czarnym, lepiej się żyło?

Współcześnie to się chyba zaczęło u Hegla, który zmitologizował Afrykę, definiując ją jako „kraj dzieciństwa cywilizacji”. Jeśli Afrykanie byli „dziećmi”, obowiązkiem Europejczyków było ich „wychować”. Taki protekcyjny stosunek do Afrykanów widoczny był nawet w języku. Kolonizatorzy brytyjscy na określenie Afrykanów płci męskiej używali terminu „boy”. Byli więc: *houseboys* (pracownicy domowi), *shambaboy*s (pracownicy rolni), *officeboys* (pracownicy biurowi), *mineboys* (górnicy). We francuskiej Afryce absolwent szkoły stawał się *évolué*, czyli „rozwinięty”.

Dziś, 50 lat po odzyskaniu przez Afrykanów niezależności, ciągle ich wychowujemy, budując systemy gospodarcze i polityczne dla nich właściwe, zasypujemy ich pomocą pochodzącą z naszych nadwyżek żywnościowych i nadmiaru bogactwa. Albo rozdajemy prezerwatywy i bardzo się dziwimy, jak to się dzieje, że u nas hamują rozwój AIDS, a u nich nie. Pewnie przez ten ich niepojęty, „dziki” popęd seksualny.

A potem wymyślamy dla nich kary, gdy nie spełniają naszych oczekiwań, albo nagradzamy, na przykład redukcją długu lub kampaniami pomocy rozwojowej, gdy mamy dobry humor i akurat koniunktura sprzyja. I ciągle nie rozumiemy, o co chodzi, gdy ich świat nie pasuje do

naszego.

Większość mitów o Innych, o egzotycznych ludach z dalekich krajów, karmiona jest naszym lenistwem umysłowym, ideologicznym zaślepieniem albo zwykłą ignorancją, podszytą – dla polepszenia samopoczucia – dobrymi intencjami. Projektujemy własne poglądy, uprzedzenia, nadzieje związane z Afrykanami i czekamy, aż poruszona przez nas marionetka zatańczy zgodnie z planem.

Wybitny afrykanista z Poznania, profesor Ryszard Vorbrich, opowiadał mi o grupie młodych ludzi z Polski, którzy kilka lat temu postanowili pojechać do Afryki, by wspierać społeczność lokalną. Jak mówili: „by kobiety uczyć tkactwa, a mężczyzn garncarstwa”. Tylko że w 90% grup etnicznych w Afryce tkactwem zajmują się mężczyźni, a garncarstwem kobiety. Co za pech!

\*

Thiaroye Gare, slumsy Dakaru. Mieszkają tu emigranci z Gwinei Bissau i przesiedleńcy z innych części miasta, przeznaczonych pod nowoczesną zabudowę. Parcele były sprzedawane za bezcen, i nic dziwnego, bo dzielnica w zasadzie nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi. Co roku w porze deszczowej domy są zalewane. Kilka lat temu deszcze pochłonęły całe centrum dzielnicy, utonęło wiele dzieci, kilkadziesiąt rodzin straciło cały dobytek. Potem woda stała jeszcze miesiącami w rozpadających się domach. Ostatecznie, chcąc się pozbyć problemu, władze postanowiły same zalać teren i teraz w środku dzielnicy jest jezioro o głębokości 6 metrów i wielkości kilku boisk piłkarskich. Regularnie topią się w nim dzieci.

– Bóg dał, Bóg wziął, taki mają stosunek do życia – tłumaczy siostra Krystyna. Matka zagada się z sąsiadką, dziecko się utopi albo wpadnie pod samochód, a matka powtarza: „Allah dał, Allah wziął”. Nie przyjdzie jej do głowy, że to jej wina.

– Czy to znaczy, że oni nie cenią życia? – pytam. – To po co im tyle dzieci?

– O nie, dla nich życie jest największą wartością, zwłaszcza życie dziecka. Kobiety po prostu mieszają Boga do wszystkiego, nawet do spraw, do których mieszać Go nie należy. Ich religia każe im godzić się z wyrokami boskimi, nawet gdy odrobina odpowiedzialności i dbałości o dziecko mogłaby uchronić je przed śmiercią.

\*

Jedynym znaczącym konfliktem wewnętrznym w prawie pięćdziesięcioletniej historii niepodległego Senegalu jest spór w regionie Casamance, gdzie co jakiś czas odzywają się głosy zwolenników niepodległości podpuszczanych – jak twierdzą dakarczycy – przez Gwineę Bissau. Gdy sytuacja się zaognia, turyści nie jeżdżą na wspaniałe piaszczyste plaże Casamance, bo grasujące tam wówczas bandy lubią porywać, zwłaszcza białych. Od 2004 roku w Casamance panuje spokój, a politycy z tego regionu bez przeszkód mogą robić kariery w Dakarze.

– U nas panuje taki przykry zwyczaj, że jak ktoś z prowincji trafi do Dakaru, to kompletnie zapomina o swoim regionie – tłumaczy mi Malik Gakou, szef opozycyjnej partii AFP (Sojusz Sił Postępowych) w stolicy. – Ci z Casamance są w parlamencie Senegalu od czasu odzyskania niepodległości i żaden z nich nawet nie zainteresował się losem tej prowincji. Owszem, jest to region niedoinwestowany, nie ma w nim dobrych dróg, ale dlaczego żaden z tamtejszych polityków nic nie zrobił w tej sprawie? Dorwą się do władzy i zapominają o bożym świecie. A gdy oskarży się ich o korupcję albo po prostu tracą wpływy, to natychmiast przypominają sobie o rodzinnej prowincji. Jeżdżą do Casamance i podpuszczają ludzi, a potem media piszą, że to

konflikt religijny, bo na południu Senegalu żyją katolicy. Gdy my, młodzi, dojdziemy do władzy, ten kraj się zmieni – mówi. – Jeszcze kilka lat, jeszcze najwyżej kilka lat...

\*

Idę z Malikiem, który jest również wiceprezesem Senegalskiego Związku Piłki Nożnej, na mecz. Grają drużyny dzielnicowe z Dakaru. Trochę się dziwię, gdy dowiaduję się, że mecz odbywa się przy jupiterach na sześćdziesięciopięciotysięcznym nowoczesnym stadionie narodowym. Na trybunach kilkanaście tysięcy ludzi dopinguje miejscowych.

Takich drużyn jest w Dakarze około 500. Na mecze przychodzą całe dzielnice, grają orkiestry z bębnami, trąbkami i kilkudziesięcioosobowymi chórami. Pytam Malika, jakim cudem te amatorskie drużyny trafiają na stadion narodowy.

– Związek wynajmuje im go za bezcen. Jak ma stać pusty, to lepiej niech ktoś na nim gra i się bawi.

\*

Pikine to jeden z najsłynniejszych slumsów Dakaru. Jak w każdym slumsie, są tu miejsca biedne, zaniedbane, śmierdzące. Stoją odpychające wyglądem rudery zalewane co kilka miesięcy deszczem. Są też porządne domy, których fasady ozdobione są wymyślnymi graffiti, gdzie mieszkają miejscowi notable.

Wybieram się na zawody senegalskich zapasów. Obok piłki nożnej to najpopularniejszy sport w tym kraju. Na plaży przed moim hotelem, na placach w mieście i tutaj w Pikine mnóstwo młodych chłopców całymi dniami biega w kółko, robi pompki, siłuje się i szykuje formę na zawody, które mają uczynić z nich gwiazdy.

Kluczemy w labiryncie wąskich, ciasnych ulic wypełnionych tłumem – Pikine to najgęściej zaludniony obszar w całym Senegal. Wciskamy się na ogrodzony dwumetrowym murem teren boiska. Ludzie napierają zewsząd i następni wciąż chcą się wepchnąć przez wąską bramę. Boisko otoczone jest ze wszystkich stron, nie ma stąd wyjścia, aż nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdyby wybuchł pożar albo z jakiegoś innego powodu tłum ogarnęła panika.

W środku placu piaszczysta arena o średnicy najwyżej 10 metrów, wokół której rozgrzewają się grupki zawodników, truchtając w kółko. Marabuci, przewodnicy duchowi, dają ostatnie rady swoim podopiecznym. Tuż przed walką polewają ich głowy i tułowia magicznymi płynami. Po tych zabiegach ciała zapaśników lśnią w świetle księżyca i kilku latarń oświetlających plac. Dostają miejsce w pierwszym rzędzie trybun ustawionych z plastikowych krzeseł. Napięcie rośnie, kibice skandują imiona swoich ulubieńców, uderzają rytmicznie w bębny, dziewczyny śpiewają tradycyjne pieśni.

Pierwsza para wchodzi na ring. Walka jest krótka i nieprawdopodobnie intensywna, trwa nie więcej niż pół minuty. Gdy jeden z zawodników rzuca drugiego na ziemię, tłum wpada w ekstazę. Zwycięzca wznosi ręce do nieba, oddaje pokłon Allahowi, ale to nie jego zachowanie jest najciekawsze. Pokonany wygląda na kompletnie załamanego, chowa głowę w dłonie, nie chce przyjąć słów pocieszenia od kolegów z drużyny.

– On czuje się upokorzony, dla niego skończyło się marzenie o sukcesie, zwycięstwach i wielkiej sławie – tłumaczy mi Malik.

– Ale przecież to zwykłe zawody dzielnicowe.

– Wszystkie wielkie gwiazdy zaczynały w takich zawodach i każdy z tych chłopaków myśli,

że uda mu się zrobić karierę oraz zarobić tysiące dolarów.

Oglądam następne walki. Zwykle kończą się szybko, najwyżej po minucie, dwóch i przebiegają podobnie – naoliwione magicznymi olejami ciała kłębią się przez moment w kurzu, potem kilka uników, właściwy chwyt, przeciwnik pada powalony na ziemię. I na koniec ten sam rytuał: radość zwycięzcy i rozpacz pokonanego. Po jednej z walk kibice niezadowoleni z decyzji sędziego wskakują na krzesła i niszczą trybuny. Interwenują porządkowi. Po kolejnej pokonany ucieka z placu, a chwilę później na arenie lądują cegłówki rzucone zza muru przez nieszczęśnika lub jego kolegów.

– Kiedyś to był tradycyjny sport uprawiany głównie na wsi – tłumaczy mi Malik. – Chłopaki siłowali się, a dziewczyny stały obok i oglądały przyszych mężów. Modlitwa, rytuał przed walką, poczucie łączności z ulubieńcem były dla wszystkich równie ważne jak sama walka. Zwycięzca dostawał worek ryżu albo krowę. Dziś to jest biznes jak każdy inny. Największe gwiazdy zarabiają po 200 tysięcy dolarów za walkę, a najlepsze walki odbywają się na stadionie narodowym w Dakarze i ogląda je na żywo 50 tysięcy ludzi. Nie dziw się, że ci chłopcy nie marzą o niczym innym, jak tylko o tym, by zostać zapaśnikiem.

Nie dziwię się. Większość z tych chłopaków to bezrobotne nastolatki. Gdyby nie zapasy, wielu z nich wylądowałoby w miejscowych gangach albo po prostu na ulicy. Dzięki zapasom przynajmniej mają marzenia.

\*

Jestem w Senegalu podczas *korité*, czyli święta zakończenia ramadanu. 90% narodu to muzułmanie, więc cały kraj świętuje. Z tym że w 2007 roku, gdy odwiedzam Senegal, nie wiadomo dokładnie, kiedy przypada *korité* – w piątek 12 czy w sobotę 13 lutego. Chodzi o to, że nie uzgodniono, czy księżyc w pełni musi być całkowicie widoczny, czy może być widoczny częściowo. Spierają się tradycjoniści, reformatorzy i naukowcy. Podobno, by w przyszłości uniknąć tego typu nieporozumień, ma zostać zwołana międzynarodowa konferencja, która ustali raz na zawsze terminy świąt dla całego świata muzułmańskiego.

W dniu *korité* po uroczystym porannym posiłku i modlitwie Senegalczyki odwiedzają sąsiadów i przepraszają ich za krzywdy, które wyrządzili im świadomie lub nieświadomie.

– Islam to religia pokoju – tłumaczy mi Omar Ben Khatab Sokhna, marabut z Dakaru. – A w dniu *korité* islam uczy sztuki dobrych manier, sztuki wybaczenia i przyjmowania przeprosin, sztuki dobrego życia w sąsiedztwie. I nie ma znaczenia, czy moim sąsiadem jest muzułmanin czy katolik. Do wieczora odwiedzę wszystkich.

Pytam go o stosunek do terroryzmu islamskiego.

– Islam to religia pokoju. Ci, którzy zabijają w imię religii, gwałcą nauczanie koraniczne. Czuję odrazę do tych ludzi.

Omar Ben Khatab Sokhna jest członkiem bractwa muzułmańskiego Muridów. Jednocześnie byłym ambasadorem, doradcą ministrów, jedną z szarych eminencji Senegalu. Pytam go, czy w kraju jest rzeczywisty rozdział między państwem a islamem.

– Oczywiście, że tak – odpowiada. – Marabuci to najwyżej przywódcy duchowi, przewodnicy religijni. Pełnimy także bardzo ważną rolę społeczną. Naszym obowiązkiem jest organizowanie pomocy dla ubogich, zbieramy pieniądze, potem je rozdzielamy. Wśród nas nie ma ludzi majątnych, w istocie jesteśmy dysponentami majątku przekazywanego nam przez innych, ale nie przeczę, mamy poważne wpływy wśród ludności i politycy muszą się z tymi wpływami liczyć.



- Czy podpowiadacie wiernym, na kogo głosować?
- O tak, wierni korzystają z naszych porad w tym względzie. Wielu z nich nas słucha, a z tego oczywiście wynika wpływ marabutów na politykę. Nie wyobrażam sobie, by jakkolwiek znaczący polityk w tym kraju zignorował zdanie marabutów. Jeśli tak by postąpił, to po prostu nie ma szans na zwycięstwo wyborcze.



Tradycyjne zapasy to dziś najpopularniejszy sport w Senegalu.  
Na największe zawody przychodzi dziesiątki tysięcy ludzi.

© Owen Franken / CORBIS

\*

Bractwo Muridów założył pod koniec XIX wieku islamski mistyk i poeta szejk Amadou Bamba. Dziś jest to globalna organizacja religijno-biznesowa licząca około 3 milionów ludzi i posiadająca wpływy nie tylko w Senegalu, ale także w krajach takich, jak Francja, USA czy Arabia Saudyjska. W Senegalu marabuci kontrolują jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki i ważne źródło eksportu – uprawę orzeszków ziemnych i handel nimi. Na świecie pod ich pieczęcią znajduje się handel uliczny prowadzony przez senegalskich imigrantów. Gdy jeden z nich oferuje ci pasek, biżuterię albo torbę w Rzymie, Paryżu czy Berlinie, to niemal na pewno jest on Muridem.

Bractwo Muridów opiera się na trzech filarach: wierze w Boga, pracy i pokorze. Amadou Bamba wymagał od swoich współwyznawców modlitwy we wspólnym gronie, pracy, posłuszeństwa i płacenia jałmużny na biednych. W efekcie Muridowie stworzyli jedyny w swoim rodzaju system wymiany finansowo-handlowej oparty na ludzkiej przyzwoitości, zaufaniu i przekonaniu, że słowo raz dane obowiązuje zawsze. W centrum tego systemu stoi miasto Touba znajdujące się 160 kilometrów na wschód od Dakaru. To tutaj Amadou Bamba umieścił na początku XX wieku siedzibę swojego bractwa, to tu mieści się dziś państwo w państwie – senegalska odpowiedź na globalizację.

W Toubie nie ma policjantów, nie ma podatków, nie ma państwowych sądów, banki nie są potrzebne. Jeśli lokalny handlowiec chce coś kupić, dzwoni do przedstawiciela Muridów w Senegalu lub gdziekolwiek na świecie i zamawia u niego towar, a ten towar wysyła. Bez zbędnych faktur, odprowadzania podatków i pieniędzy dla pośredników. Zapłata za towar trafia

do rodziny sprzedawcy w Toubie. Zaufanie jest kluczem do każdej transakcji, religia – jej społecznym zwornikiem.

Pytam szejka Omara, czy dochodzi do korupcji, kradzieży, nadużycia zaufania.

– O tak, to się czasami zdarza. Złodzieje są wszędzie. Staramy się wtedy załatwić takie sprawy w naszym gronie, nie warto wplątywać do tego państwa.

– Czy to znaczy, że Toubie nie jest częścią państwa? – pytam. Szejek Omar śmieje się, wyczuwając podchwytliwość pytania.

– Toubie nie jest częścią Senegalu – odpowiada za niego znajomy Polak mieszkający w tym kraju od lat. – Przynajmniej nie w takim sensie, jak my to rozumiemy. Tam rządzą oddzielne prawa stanowione przez Muridów. I wszystkim to odpowiada. Na początku XXI wieku Muridowie z całego świata przesyłali przez Toubę 15–20 milionów dolarów rocznie, co stanowi jedną piątą sumy wszystkich zagranicznych inwestycji w kraju. Jedna trzecia Senegalczyków to Muridowie – największe gwiazdy show-biznesu, takie jak Youssou N’Dour czy Cheikh Lô, najwięksi przedsiębiorcy, uczeni, politycy, nawet prezydent. Dla nich lojalność wobec bractwa nie wyklucza lojalności wobec państwa, ale jeśli dochodzi do konfliktu, to interesy bractwa muszą wziąć górę.

\*

**Lojalność wobec grupy:** rodziny, plemienia, współwyznawców, a nie wobec państwa – to jest podobno z mora Afryki, kamień młyński, który ciągnie ten kontynent w przepaść. *Self made man* w Afryce nie istnieje. W Europie mówimy: „myślę, więc jestem”. Kenijski teolog John Mbiti tak ujął afrykańską wersję kartezjańskiej mądrości: „jestem dlatego, że my jesteśmy, a skoro my jesteśmy, to i ja jestem”. Człowiek bez rodziny, bez otaczającego go kręgu ludzi jest nikim.

Ekonomiści dowodzą, jak bardzo ten kolektywizm niszczy gospodarkę w krajach afrykańskich. W Afryce – mówią i piszą – nie opłaca ci się być bogatym, bo będziesz musiał dzielić się swoim bogactwem z każdym pociotkiem. Będziesz utrzymywał jego dzieci i najdalszych krewnych, a gdy dostaniesz pracę w mieście, twoim obowiązkiem będzie dzielenie się zyskami ze wszystkimi krewnymi. Będziesz płacił za ich lekarstwa, śluby i pogrzeby. Wszystko, co należy do ciebie, będzie należało do nich.

To nieracjonalne, prawda? Z punktu widzenia Europejczyka – żyjącego w państwie opiekuńczym, które lepiej lub gorzej, ale jednak, spełnia swoje zadania – postawy wyrosłe z takiego kolektywizmu nie są racjonalne. Są wręcz nie do zaakceptowania jako roszczenie graniczące z wymuszeniem. Tymczasem dla Senegalczyków, czy wielu innych narodów afrykańskich, solidarność klanowa stanowi rodzaj ubezpieczenia społecznego, którego w formie znanej u nas w Afryce Subsaharyjskiej po prostu nie ma, bo nie ma tam instytucji ubezpieczeniowych, a państwo nie jest w stanie zastąpić rodziny. Może zatem nie warto oburzać się na istnienie – tak jak w Senegalu – równoległych struktur państwa i bractw muzulmańskich. Gdyby nie Muridowie, miliony Senegalczyków nie miałyby komu wierzyć.

\*

Kiedyś zaprzyjaźniłem się z Malijczykiem albo tak mi się wydawało. Dużo czasu spędziliśmy razem w Bamako. Wziął mnie do siebie do domu, przedstawił rodzinie, jedliśmy razem posiłki, chodziliśmy na koncerty, traktował mnie niemal jak brata. Dostałem nawet

malijskie imię, którym zwracał się do mnie on i jego rodzina. Krótco po powrocie do Polski otrzymałem od niego list z prośbą o wsparcie finansowe, potem kolejny, potem następne. „Przecież jesteś moim bratem”, pisał. A ja nie wiedziałem, o co mu chodzi. Byłem zawiedziony, nie rozumiałem, dlaczego chce ode mnie pieniędzy. Nie wysłałem mu gotówki, bo przecież gdybym wysłał, byłbym ostatnim frajerem, prawda?

Czasem jednak nachodzą mnie wątpliwości. A jeśli naprawdę był moim bratem?

---

[1] Konstandinos Kawafis, *Itaka*, [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, tłum. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1992, s. 40

[2] Cyt. za: Martin Meredith, *The State of Africa. A History of Fifty Years of Independence*, Londyn 2006, s. 59.

[3] Cyt. za: Robert Guest, *The Shackled Continent. Africa's Past, Present and Future*, Basingstoke 2005, s. 250.

## Zimbabwe: zraniony tyran

– Jaki ten człowiek jest w rozmowie? – pytam.

– Zimny, czujny, nadzwyczajny manipulator. On jest przekonany, że człowiekowi nie wolno zdradzać swoich uczuć, okazywać emocji. Ożywia się tylko wtedy, gdy ktoś mu się sprzeciwi i wtedy w jego oczach pojawia się iskra wściekłości.

Heidi Holland wychowała się w Zimbabwe, mieszka w RPA, jest dziennikarką i pisarką. Jej bestseller z 2008 roku *Dinner with Mugabe (Kolacja z Mugabe)* to opleciona relacjami z jej dwóch osobistych spotkań z prezydentem Zimbabwe historia życia jednej z najbardziej tajemniczych postaci współczesnej Afryki. Rozmawiamy na tarasie hotelu w Johannesburgu.

– To nawet zabawne – mówi mi pisarka. – Przez ostatnie 30 lat spędziłam jakieś 2,5 godziny na osobistej rozmowie z Mugabe. I od kilku miesięcy non stop odbieram telefony od dyplomatów i dziennikarzy z całego świata, którzy chcą, bym im wyjaśniała tajniki jego duszy. To pokazuje dwie rzeczy: jak żalosny jest stan wiedzy Zachodu na temat Zimbabwe i jak nieznaną postacią jest ten człowiek.

Robert Mugabe – jeden z największych tyranów Afryki, szaleniec nie liczący się z nikim, bandzior mordujący bez mrugnięcia okiem przeciwników politycznych. Robert Mugabe – legenda walki z rasizmem i kolonializmem w Afryce, twórca sukcesu cywilizacyjnego Zimbabwe, wspaniałomyślny dla swoich wrogów, genialny strateg polityczny. Robert Mugabe – zimny, niedorozwinięty emocjonalnie, nieprzewidywalny despota. Robert Mugabe – wybitny intelektualista, gentleman zakochany w krykiecie i kulturze brytyjskiej, wyróżniony przez Elżbietę II honorowym tytułem szlacheckim.

Niektórzy, zwłaszcza na Zachodzie, traktują go jak afrykański odpowiednik Stalina czy Hitlera, stawiając w jednym szeregu z dyktatorami Ugandy – Idim Aminem, i Konga – Mobutu Sese Seko, jak ciągle żywą skamielinę po pierwszej generacji postkolonialnych władców Afryki, którzy zamiast odrodzić swoje ojczyzny, pogrążali je w biedzie i destrukcji. Miliony Afrykanów ciągle widzą w Mugabe bohatera walki z kolonializmem i odnowiciela kraju, który przed 1980 rokiem był rajem dla garstki białych i piekłem nędzy dla milionów czarnych.

– Jest jakaś cecha, która najlepiej opisuje jego osobowość?

– Narcyzm. U Mugabe wszystko kręci się wokół jego osoby. Ten jego narcyzm z wiekiem, zamiast słabnąć, tylko się pogłębia. I druga rzecz: on zawsze chce mieć rację. A ponieważ otoczył się ludźmi, którzy mu przytakują, podobnie zresztą jak wszyscy dyktatorzy, to on właściwie zawsze ma rację, bo z definicji musi ją mieć. On po prostu stracił kontakt z rzeczywistością. Niektórzy mówią, że jest szaleńcem. Moim zdaniem nie jest nim w sensie klinicznym, ale jeśli szaleniec to ktoś, kto nie potrafi rozpoznawać rzeczywistości, żyje w mydlanej bańce, to Mugabe jest rzeczywiście szalony.

Książka Heidi Holland to dogłębny portret, odwołujący się do przeżyć Mugabe w

dzieciństwie, jego niedostatków emocjonalnych, epizodów, które odcisnęły na nim psychiczne piętno. Pytam autorkę, czy takie ustawienie sprawy nie redukuje tej postaci do swego rodzaju dewianta psychicznego, który nie do końca panuje nad sobą.

Przecież każda decyzja Mugabe była wyborem politycznym służącym jego interesom. I wtedy gdy mordował tysiące swoich przeciwników z plemienia Ndebele w prowincji Matabeleland na początku lat 80., i wtedy gdy odstępował od zemsty na dyktatorze Rodezji Ianie Smisie, i wtedy gdy zostawiał ziemię w rządzonym przez czarnych Zimbabwe w posiadaniu białych, i 20 lat później, gdy siłą im ją odbierał – we wszystkich tych sytuacjach Mugabe kalkulował własną korzyść.

– Moja książka zawiera rys psychologiczny bohatera, bo Robert Mugabe jest przede wszystkim panem samego siebie. To jest krańcowy przykład egocentryzmu, nieumiejętności wyjścia poza siebie w ocenie świata i ludzi. To oczywiście nie umniejsza w żadnym stopniu jego odpowiedzialności za popełnione czyny ani ich nie usprawiedliwia. Jeśli jednak chcemy go zrozumieć, to musimy pamiętać, że jest to niezwykle inteligentny, a jednocześnie całkowicie niedojrzały emocjonalnie człowiek, który dysponuje ogromną władzą. O tym, jak przenikliwym jest politykiem i jednocześnie jak złym człowiekiem, świadczy właśnie historia jego rządów. On naprawdę uważa się za zbawcę Zimbabwe. Żyje w pewnej utopii, głęboko wierzy, że skoro walczył za ojczyznę, poświęcał się za nią, to wynikiem tego poświęcenia musi być coś dobrego. On naprawdę wierzy, że jego decyzje polityczne były słuszne. Odbieranie ziemi białym jest słuszne, przemoc wobec przeciwników politycznych jest słuszna, obwinianie Brytyjczyków za wszystkie kłopoty Zimbabwe i izolowanie kraju również. To jest bardzo religijna wizja polityki, a takie „drobiazgi” jak kompletne zniszczenie gospodarki w ogóle do niego nie trafiają.

\*

Wiosną 2010 roku jadę do Zimbabwe zobaczyć kraj wyzwolony i zrujnowany przez Roberta Mugabe.

– Nie wjeżdżaj do Zimbabwe jako dziennikarz – radzili mi znajomi z RPA i Polski. – Po pierwsze, nie dostaniesz akredytacji, a po drugie, jeśli jakimś cudem ją zdobędziesz, będziesz miał przy sobie bez przerwy agenta policji politycznej. Są wszędzie, całe lotnisko jest ich pełne, wyszukują dziennikarzy, pracowników organizacji humanitarnych i innych „wrogów Zimbabwe”. Skończysz jako deportowany albo w areszcie. Chciałbyś spędzić ze dwie nocki w więzieniu w Harare? Taka przygoda może zmienić całe twoje życie...

Nie chciałbym. Wjeżdżam jako turysta i czekam, aż jakiś agent CIO (Centralna Organizacja Wywiadowcza – to obok armii i policji główna siła podtrzymująca reżim Mugabe) odkryje moje prawdziwe zamiary. Jednak nic się nie dzieje. Przyjaźnie nastawiony urzędnik imigracyjny wbija mi wizę za 30 dolarów, nie zadaje żadnych pytań, życzy miłego pobytu. Wjeżdżam do kraju, który od kilku lat jest symbolem wszystkiego najgorszego, co afrykańskie państwo może zaoferować obywatelom: korupcji, zamordyzmu i przemocy wobec opozycji politycznej, kompletnej ruiny gospodarczej, nędzy, chorób, śmierci.

Wjeżdżam i nic nie widzę. Pewnie dlatego że jest noc, a w prawie całym Harare kilka godzin wcześniej wyłączono prąd. Co chwila wyłączają, rano też nie będzie światła, prąd wróci na kilka godzin pod wieczór następnego dnia. Bez generatora w tym mieście nie da się żyć. Jest jeszcze wiele innych niedogodności. Rozmowa przez komórkę przypomina zabawę w głuchy telefon – nie słyhać, co kto mówi. Drogi nieremontowane od 30 lat są dziurawe i pełne pułapek, w

których łatwo zostawić podwozie. Nieczynne i zdewastowane sygnalizatory świetlne mają na kablach nad skrzyżowaniami. Taksówkarze nigdy nie mają reszty, sklepikarze czasami mają, ale wydają wyłącznie banknoty, które wyglądają jak psu z gardła wyjęte – rozmęczone, brudne, jakby ktoś je nosił przez rok w butach. Może i nosił – w miejscowych bankach pieniądze deponują wyłącznie szaleńcy albo desperaci, którzy ze względów prawnych muszą mieć konto w Zimbabwie; reszta, w tym elity władzy – zwłaszcza elity władzy – wywozi je za granicę.

Są też inne niedogodności, znacznie dotkliwsze, zwłaszcza dla miejscowych – o nich za chwilę, ale najpierw niech będzie o zaskoczeniu.

Idę ulicami Harare i widzę żywe, energiczne miasto pełne ludzi mówiących doskonale po angielsku. Widzę sklepy pełne towarów, hotele pełne gości, zadbane skwerki i parki, czyste ulice i uśmiechniętych ludzi. Najlepsze szkoły w Harare (opłata za podstawówkę: 1000 dolarów za semestr) przypominają szkoły w Anglii czy Szkocji. Schludne internaty, kilka boisk sportowych, których nie powstydziliby się żaden polski klub, korty tenisowe, baseny, sale gimnastyczne.

Nie ma tu żebraków, poziom pospolitej przestępczości jest nieporównywalnie niższy niż w RPA. Nie ma również tak silnych konfliktów etnicznych jak u sąsiadów z południa, pewnie dlatego że w Zimbabwie żyją głównie dwie grupy etniczne. Większość mieszkańców kraju stanowią Szona, a około 10% to Ndebele.

W Harare nie ma również slumsów ani znanych z RPA *townships*, czyli gett budowanych w czasach apartheidu wyłącznie dla czarnych. W Zimbabwie nie było apartheidu, a w czarnych biednych dzielnicach nie ma może tak okazałych domów jak w bogatych częściach miasta, ale również wiele jest w nich murowanych domów otoczonych ogrodami i płotami.

– My nie mamy specjalnie powodu, by nienawidzić białych, bo u nas był taki „przyjazny rasizm” (*friendly racism*) – mówi mi Leonard, dziennikarz „The Zimbabwe Independent”, jednej z trzech prywatnych, krytycznych wobec rządu gazet w kraju.

– Co to znaczy „przyjazny rasizm”? – pytam.

– Czarny czasem dostał w mordę od białego, czasem musiał drałować kilka kilometrów, żeby przypadkiem nie przejść po terenie należącym do białego, co było zakazane, ale to były jednak wyjątki. Nie odczuwaliśmy takiej pogardy ze strony białych jak w RPA. Po 1980 roku było jeszcze lepiej. Tysiące czarnych pracowały i mieszkaly na farmach. Stać ich było na jedzenie, wielu białych zapewniało im porządną opiekę lekarską. Zimbabwe to nie RPA.

Ten luz i radość życia są obecne do dziś. Nawet koszmar ostatnich kilku lat nie zmienił natury Zimbabweńczyków, co najwyżej wyostrzył w nich instynkt samozachowawczy i pewną ostrożność w kontaktach z obcymi. Większość moich rozmówców (czarnych i białych) nie chciała ujawniać publicznie tożsamości (nawet imiona na ich prośbę zostały zmienione).

– W ambasadach Zimbabwe na całym świecie są ludzie, którzy zajmują się analizą doniesień prasowych na temat kraju – wyjaśnił mi jeden z dziennikarzy. – Nie ma sensu ściągać sobie na głowę jeszcze więcej kłopotów, niż mamy obecnie.

Kilka dni po moim przyjeździe przypadał Dzień Wyzwolenia, trzydziesta rocznica uzyskania przez Zimbabwe niepodległości i przekazania władzy czarnej większości. W całym kraju organizowane są uroczystości i wystawne przyjęcia dla funkcjonariuszy partyjnych i zaproszonych gości. Trafiam do Harare Sports Club, wielkiego kompleksu sportowo-rekreacyjnego niedaleko pałacu prezydenckiego. Na boisku do krykieta rozstawiono namiot, pod którym przez kilka godzin występują wielkie gwiazdy z Zimbabwe i RPA. Jest światowej sławy chór zuluski Ladysmith Black Mambazo, trębacz Hugh Masakela, gitarzysta Oliver Mtukudzi, genialna wokalistka jazzowa Sibongile Khumalo. Pod ogromnym namiotem przez kilka godzin

świętuje kilkaset osób, z nielicznymi wyjątkami prawie sami czarni. Piją piwo i wino, jedzą mięso, tańczą...

Gdzie ja jestem? Gdzie jest to Zimbabwe, w którym ludzie umierają na cholere, z którego uciekła zdesperowana połowa narodu, w którym nie da się żyć?

– Ludzie, których widziałeś na koncercie, to tutejsza czarna klasa średnia, czyli jak na te warunki bogacze. To dzieci partyjnych prominentów, ludzie związani z systemem. Dostali zaproszenia za darmo albo stać ich na bilet za ponad 100 dolarów – tłumaczy mi Konstantidinos, z pochodzenia Grek, urodzony i wychowany w Zimbabwe. Kieruje potężną firmą tekstylną, zatrudnia kilkaset osób, wytwarza ubrania dla takich marek jak Diesel czy Gap.

Pytam, jak sobie radzi w kraju, w którym według niedawnego rozporządzenia prezydenta 51% udziałów w każdej firmie musi należeć do czarnych.

– Ja jestem Grekiem, czyli nie do końca białym – tłumaczy Konstantidinos. – Przed 1980 rokiem Grecy byli traktowani przez rząd rodezyjski tylko trochę lepiej niż czarni. Mogliśmy mieć jakieś sklepiki, drobne warsztaty, skupy złomu, byliśmy co najwyżej miejską biedotą. Kiedyś spotkałem się z Mugabe i opowiadał mi, jak w dzieciństwie chodził do takich greckich sklepików. Sentyment mu pozostał. Teoretycznie nas to nowe prawo nie obowiązuje, ale ja mu oczywiście nie wierzę. W każdej chwili mogą mi wszystko zabrać. Nie znasz dnia ani godziny, nie wiesz, kiedy to, co posiadasz, przestanie do ciebie należeć. Jesteśmy bezradni, ale zostaniemy tutaj tak długo, jak się da.

– A co, jeśli zabiorą ci twój majątek? Wyjedziesz do Grecji? – pytam.

– Do jakiej Grecji? Moją ojczyzną jest Zimbabwe, tu się urodziłem, tu wychowałem. W Grecji to ja mogę sobie kupić jakąś wysepkę i wyemigrować na emeryturę, ale ja jestem Zimbabweńczykiem. Tu jest mój dom, rodzina, tutaj pracuję. Ciągłe żyjemy nadzieją, że coś się tu zmieni. Przecież Mugabe nie będzie żył wiecznie.

– Cała stabilizacja osiągnięta w ciągu ostatniego roku to zasługa opozycji – mówi mi Douglas Gwatidze, szef organizacji Lekarze w Obronie Praw Człowieka. Od kilku lat rejestruje ona przypadki pobic, napadów, zabójstw i innych aktów łamania podstawowych praw Zimbabweńczyków.

Pytam, czy obecnie dochodzi do przemocy.

– Zdecydowanie rzadziej niż jeszcze rok temu. Po raz pierwszy w życiu Mugabe musi działać w otoczeniu politycznym ludzi, którzy się z nim nie zgadzają, i nic na to nie może poradzić. On zawsze robił to, co chciał. Nikt nie wchodził mu w drogę, a jeśli wchodził, to Mugabe przeciwników niszczył w sposób okrutny i bezlitosny. I oto ten dyktator musi dziś rządzić wraz z opozycją. To jest zmiana na skalę niespotykaną i to dzięki niej w ciągu roku kraj zdołał powstać z martwych. Przynajmniej gospodarka przestała się walić. Przeciętni ludzie mogą planować: jeśli dziś zarobię 5 dolarów i jutro 5, to może kupię spodnie, a pojutrze może zarobię 15 i kupię pralkę, a jak będę miał 300 dolarów, to może kupię samochód. Jeszcze rok temu nikt w tym kraju nie mógł snuć nawet tak skromnych planów.

\*

Przez 20 lat od wywalczenia w dawnej Rodezji rządów czarnej większości w 1980 roku Mugabe cieszył się niemal całkowitym poparciem czarnych. I to poparcie wcale nie było na wyrost. Stworzył z nowego Zimbabwe *de facto* państwo jednopartyjne, wymordował co najmniej kilkanaście tysięcy czarnych przeciwników politycznych, zwolenników partii ZAPU Joshuy

Nkomo (Afrykański Ludowy Związek Zimbabwe), ale równocześnie otwierał dla Zimbabweńczyków możliwości, o których za czasów rządów białej mniejszości mogli tylko śnić. W 1990 roku 70% czarnych mieszkańców kraju uczęszczało do szkoły średniej (przed odzyskaniem niepodległości w 1980 roku tylko 2%). Poziom umiejętności pisanie i czytanie wzrósł z 45% do 80%. Wieśniacy, którzy nigdy wcześniej nie korzystali z pomocy służby zdrowia, mieli zapewniony dostęp do dobrze wyposażonych szpitali. Gospodarka kraju rozwijała się prężnie, przede wszystkim dzięki pozostawieniu w rękach białych 4700 gospodarstw rolnych. 280 tysięcy białych nie wyjechało z kraju mimo nieustannych prowokacji i prób destabilizacji rządu Mugabe ze strony RPA, w której wówczas panował apartheid i która czuła się zagrożona powstaniem Zimbabwe. W pierwszych tworzonych przez Mugabe rządach kluczowe ministerstwa (obrony, policji, rolnictwa, handlu i gospodarki) i wysokie stanowiska państwowe obejmowali biali – nierzadko ludzie bezpośrednio winni zbrodni za czasów premiera Rodezji Iana Smitha. Sam Smith, despota i rasista, który przez lata przyczyniał się do pogłębiania nędzy i dyskryminacji czarnych, przez nikogo nie niepokojony mieszkał w Zimbabwe i obficie korzystał z przyznanego mu prawa do krytykowania Mugabe i wspierania ruchów opozycyjnych. Mugabe robił wszystko, by rozwiać obawy białych przed nowymi rządami i wzmocnić poczucie własnej wartości czarnych. I przez kilkanaście lat, niemal do końca lat 90., udawało mu się to. Dla Zachodu był modelowym przykładem przewidywalnego, mądrego i skutecznego lidera afrykańskiego.

Pytam Heidi Holland, skąd się wzięła agresja i przemoc u Mugabe.

– Moim zdaniem, wbrew sukcesom Zimbabwe w latach 80., dla niego wojna nigdy się nie skończyła. Zimbabwe to kraj o bardzo krwawej historii. Mugabe uczestniczył w niej osobiście, 11 lat spędził w więzieniu, potem walczył. Jego przeciwnicy śmieją się, że nigdy nie nosił munduru. To prawda, ale w istocie był szefem politycznym tej wojny, zwłaszcza w jej końcowym okresie. W czasie rozmów ze Smithem i Brytyjczykami w Lancaster House w 1979 roku, których owocem były wybory i zwycięstwo Mugabe, bez przerwy mówił: „albo będzie tak, jak my chcemy, albo wracamy do wojny”. A potem w każdym kluczowym momencie wracał do tego typu argumentacji. Jeśli dodamy do tego, że jest to człowiek nieprawdopodobnie mściwy, to mamy pełny obraz. On nie wybacza, zwłaszcza tym, którzy kiedyś go popierali.

– Dlaczego w takim razie zostawił w spokoju białych po 1980 roku? Dlaczego odstąpił od zemsty na Smisie, który zachowywał się wobec Mugabe w sposób nieludzki, na przykład nie zwolnił go z więzienia na pogrzeb jego trzyletniego syna w 1966 roku?

– Oto jeszcze jeden przykład wewnętrznej sprzeczności Mugabe. Myślę, że zrozumienie akurat tej decyzji wymaga cofnięcia się do jego dzieciństwa. Przybranym ojcem Roberta Mugabe był irlandzki ksiądz katolicki (prawdziwy ojciec opuścił rodzinę, gdy Mugabe miał 10 lat). Dzięki temu irlandzkiemu opiekunowi przesiąkł brytyjską kulturą i wyrobił w sobie przekonanie, że najwyższą formą rozwoju rodzaju ludzkiego jest postać angielskiego gentlemana. Tego może nie widać, gdy Mugabe, ubrany w kolorową koszulę, w czapce baseballowej, występuje na wiecach gdzieś na zimbabweńskiej wsi i wykrzykuje jakieś obraźliwe teksty pod adresem Wielkiej Brytanii, ale w głębi duszy to jest człowiek zafascynowany Wielką Brytanią. Gdy rozmawiałam z nim i mówiliśmy o rodzinie królewskiej, miał autentycznie łzy w oczach. Przez całe życie nosi wspaniałe garnitury; kiedyś szył je sobie w Londynie przy Jermyn Street, teraz zdaje się kupuje je w Malezji, bo w Londynie nie może ze względu na sankcje. Uwielbia też krykieta, tę najbardziej angielską z angielskich gier. Mugabe dorastał w sprzeczności, z której nigdy się nie wyzwolił. Z jednej strony chciał być angielskim gentlemanem i podziwiał Wielką



Brytanię, podcinając swe afrykańskie korzenie, z drugiej walczył z tym ukochanym Imperium Brytyjskim o wyzwolenie własnego narodu.

Ważne jest również to, że w 1979 roku zdawał sobie sprawę, że bez białych po prostu nie podoła rządzeniu państwem. Nie miał wystarczającej liczby ludzi wykształconych, zdolnych do objęcia stanowisk. Nawet zwierzał się ostatniemu gubernatorowi brytyjskiemu w Rodezji lordowi Soamesowi: „Ja nie mam umiejętności kierowania państwem”. On po prostu chciał w tamtym czasie, by biali mu uwierzyli. Zresztą Mugabe do dziś jest dumny, że pozwolił Smithowi pozostać w kraju.

– Czy zatem Mugabe, temu z lat 80., łatwiej było zabijać swoich czarnych przeciwników politycznych, niż wyrównywać rachunki z białymi?

– Po konferencji w Lancaster House Mugabe wiedział, że biali nie tworzyli dla niego prawdziwej opozycji, byli co najwyżej jakimś symbolicznym znakiem sprzeciwu. Prawdziwe niebezpieczeństwo stanowili czarni zgromadzeni wokół partii ZAPU Joshua Nkomo. Tych zabijał. Natomiast fakt, że mimo wszystkich gestów dobrej woli, które wykonywał wobec białych, oni ciągle mu nie ufali i wspierali opozycję, wywoływał w nim narastanie nieprawdopodobnego urazu. Myślę zresztą, że z perspektywy historycznej widać dziś, iż decyzja o zostawieniu Smitha w spokoju była błędem. Dla Zimbabwe lepiej by było, gdyby Mugabe wyrzucił go z kraju.

\*

Nie wyrzucił, a pod koniec lat 90. zaczął zmieniać taktykę. Po przegraniu referendum konstytucyjnego w 2000 roku, w obliczu rosnącej siły opozycji, znalazł się pod presją dawnych towarzyszy broni, tak zwanych weteranów wojennych, którzy zaczęli domagać się od niego pieniędzy, stanowisk, a następnie ziemi, ciągle znajdującej się w posiadaniu białych. Uzbrojone bandy kierowane przez weteranów napadały na farmy, przemocą odbierały je właścicielom, dokonywały aktów gwałtu, łamały prawo. Mugabe po chwili wahania poparł ich, uznając swoje dążenie do pojednania z białymi za błąd.

Jednym z ważnych powodów tej rewolty było przekonanie, że został oszukany przez rząd brytyjski, który w 1979 roku podczas konferencji w Lancaster House obiecał sfinansowanie redystrybucji ziemi w Zimbabwe. Postanowiono wówczas, że skupowanie ziemi od białych farmerów jest nieuniknione – czarna większość w kraju w zasadzie nie posiadała jakiegokolwiek własności – jednak zacznie się ono dopiero po 1990 r., będzie się odbywało na zasadzie dobrowolności, a państwa zachodnie, zwłaszcza Wielka Brytania, sfinansują ten proces.

Przez całe lata 80. i większą część 90. problem praktycznie nie istniał. W latach 90. rozpoczęto powolne uwłaszczanie czarnych, jednak po objęciu władzy przez Tony’ego Blaira rząd w Londynie postawił bardzo ostre warunki kontynuacji finansowania skupu ziemi od białych. Brytyjczycy zorientowali się, że kupowane za ich pieniądze farmy trafiają do rąk członków klikki skupionej wokół Mugabe. Labourzyści – nominalnie przedstawiciele lewicy – odczuwali również mniejsze niż torysi wyrzuty sumienia za zbrodnie kolonializmu, a czare goryczy przelała minister ds. rozwoju Clare Short, która bez ogródek napisała w liście do Mugabe, że jako Irlandka z pochodzenia nie była żadnym kolonizatorem, tylko ofiarą brytyjskiej kolonizacji i nie widzi powodu, by rząd z jej udziałem miał brać na siebie winy za grzechy Imperium Brytyjskiego.

Mugabe poczuł się zdradzony przez Brytyjczyków, podobnie jak wcześniej czuł się zdradzony

przez białych Zimbabweńczyków i byłych czarnych towarzyszy broni, takich jak Nkomo. Pozwolił na przejęcie farm przez żądnych ziemi i pieniędzy weteranów, którzy w krótkim czasie doprowadzili do ruiny najbardziej dochodową gałąź gospodarki Zimbabwe.

– To wszystko mogło odbyć się inaczej – mówi mi w Harare osoba blisko związana z Constantinem Chiwengą, dowódcą armii Zimbabwe. – W ogóle nie musiało dojść do przejmowania farm, gdyby biali podzielili się z czarnymi już na samym początku. Przecież mogli oddać część tej ziemi na poletka rodzinne i nie byłoby całej reformy rolnej.

Pytam swojego rozmówcę, dlaczego w takim razie Mugabe zdecydował się na ukaranie białych.

– Jego doprowadziło do szału poparcie, jakiego biali udzielili opozycji w 2000 roku. On uważa, że skoro przez 20 lat chronił białych, nie wyrzucił ich z kraju, nie odbierał im ziemi ani fabryk, traktował ich jak równoprawnych mieszkańców kraju, to oni nie mieli prawa poprzeć opozycji. Ja dla was taki dobry byłem, a wy tak mi się odwdzięczacie! Biali powinni przyjść do niego i się dogadać. Nawet teraz jeszcze nie jest za późno.

Być może. Jeszcze kilka lat temu nikt nie mógł snuć żadnych planów politycznych, nawet planów przeżycia. W 2005 roku w ramach operacji „Murambatsvina” siepacze Mugabe pozbawili domów ponad pół miliona najuboższych ludzi w kraju oskarżanych o nielegalny handel na czarnym rynku. Działacze opozycji z Ruchu na rzecz Demokratycznej Zmiany (MDC) kierowanej przez byłego związkowca Morgana Tsvangirai byli regularnie bici, więzieni, zabijani przez policję i watażków wiernych Mugabe.

W marcu 2008 roku Morgan Tsvangirai, lider opozycyjnej partii Ruch na rzecz Demokratycznej Zmiany (MDC), wygrał wybory prezydenckie, dając Zimbabweńczykom nadzieję na koniec dyktatury. Mugabe nie uznał porażki i zmusił Tsvangirai do rozegrania drugiej tury wyborów. Przed nią dyktator spuścił z łańcucha swoich watażków: komanda weteranów wojny o niepodległość, oddziały Green Bombers – wyszkolone przez partię milicje młodzieżowe, których zadaniem było zastraszanie opozycji i „przekonywanie” ludzi, na kogo powinni głosować. Wzmogła się kampania przemocy, w wyniku której co najmniej 70 działaczy MDC zostało zabitych, kilkuset zniknęło bez śladu, 25 tysięcy ludzi musiało opuścić domy. Regionalni przywódcy, w tym ówczesny prezydent RPA Thabo Mbeki, nawet nie kiwnęli palcem, by powstrzymać dyktatora. Tsvangirai w proteście przeciwko kampanii przemocy wycofał się z drugiej tury, Mugabe wygrał ją jako jedyny kandydat.

Jednak to nie był koniec, wręcz przeciwnie. Gospodarka Zimbabwe, do niedawna jeszcze spichlerza Afryki i kraju prężniejszego niż RPA, waliła się jak domek z kart. Bezrobocie osiągnęło poziom ponad 80%. Jedna trzecia dzieci przestała chodzić do szkół, bo rodziców nie było stać na chesne. Zimbabwe stało się światowym epicentrum AIDS, średnia życia kobiet spadła z 61 lat w 1991 roku do 34 lat w 2008 roku – była najniższa na świecie według Światowej Organizacji Zdrowia. Wolne media przestały istnieć, zakazano wstępu do kraju dziennikarzom zachodnim.

Inflacja osiągała groteskowe rozmiary. W szczytowym okresie kryzysu, w listopadzie 2008 roku, wyniosła ona 89,7 tryliarda procent (10 do 21 potęgi), co oznacza, że w ciągu tygodnia ceny wzrosły sześćdziesięcioczekrotnie. W ciągu doby ludzie, którzy wcześniej nie zdążyli wyciągnąć pieniędzy z banku, tracili dorobek życia, bo rząd ograniczył sumę wypłaty z konta do równowartości 3 dolarów amerykańskich. Do dziś pieniędzy tych nie zwrócono i na jakiegokolwiek odszkodowania Zimbabweńczycy nie mogą liczyć.

Wskutek grabieży farm należących do białych praktycznie ustała produkcja żywności. Około

45% mieszkańców kraju cierpiało głód. Do tego doszła epidemia cholery, która pochłonęła tysiące ofiar. Jak się ocenia, połowa dorosłych Zimbabweńczyków usiłowała w tym czasie uciec z kraju – wielu (głównie Ndebele spokrewnieni z Zulusami) skutecznie. Ponad milion osób osiedliło się w RPA, gdzie byli prześladowani, bici, niekiedy zabijani przez miejscowych.

Wobec tak ogromnej tragedii kraju Wspólnota Rozwoju Afryki Południowej (SADC), regionalne ugrupowanie kierowane wówczas przez prezydenta Mbekiego z RPA, zmusiła Mugabe do podjęcia rozmów z opozycją. Po dramatycznych negocjacjach, w połowie września 2009 roku, Mugabe i Tsvangirai podpisali Globalne Porozumienie Polityczne, w wyniku którego powstał rząd jedności. W lutym 2009 roku lider MDC został premierem, Mugabe utrzymał stanowisko prezydenta. MDC objęło kilka kluczowych ministerstw, między innymi finansów, a jedną z najważniejszych decyzji nowego ministra Tendaia Bitiego było zaprzestanie drukowania waluty zimbabweńskiej i przejście na amerykańskiego dolara i południowoafrykańskiego randa. Od tego momentu życie w Zimbabwe zaczęło wracać do normy, przynajmniej w sferze gospodarczej. Szpitale i szkoły wznowiły działalność, nauczyciele, lekarze, pracownicy urzędów państwowych znów zaczęli dostawać pensje.

– W istocie niewiele się zmieniło – mówi mi Heidi Holland. – Najważniejsze w tej chwili jest to, że Mugabe utrzymuje pod kontrolą wszystkie narzędzia represji, ciągle ma pod sobą policję, armię i CIO. Owszem, w kraju jest pewien postęp, nastąpiła stabilizacja finansowa i handlowa, dostępne są towary (oczywiście, jeśli ktoś ma dolary albo randy). Ale można się zastanawiać, czy Morgan Tsvangirai nie popełnił politycznego błędu, zawierając porozumienie z Mugabe. Tsvangirai to porządny człowiek o dobrym sercu, który chce pomóc swojemu krajowi, w przeciwieństwie do Mugabe, którego interesuje wyłącznie władza. Tsvangirai nie może się wycofać z tego rządu, Mugabe trzyma go w politycznym klinczu. Stan takiej letniej stabilizacji może trwać jeszcze wiele lat. Jedyną gwarancją zmiany i odsunięcia od władzy partii Mugabe ZANU–PF (Afrykański Narodowy Związek Zimbabwe– Front Patriotyczny) mogłyby dać wolne wybory, a wiemy, jak wyglądają wybory w Zimbabwe: to jest kampania przemocy i zastraszania opozycji.

\*

– Nie należy organizować wyborów w przyszłym roku, trzeba poczekać, aż Mugabe umrze. To jeden z najbardziej okrutnych dyktatorów afrykańskich, terror jest jedyną legitymacją jego rządów. Dopóki nie odejdzie, nic się tu naprawdę nie zmieni, a dopóki żyje, nie odda władzy. – Sandra jest reporterką dziennika „The Financial Gazette”. Gdy wcześniej do niej dzwoniłem, zapytała wprost, czy nie jestem przypadkiem agentem. Potem przeproszała, tłumacząc, że od miesięcy jej telefon jest na podsłuchu, wielokrotnie była nagabywana przez funkcjonariuszy CIO i musi być ostrożna.

Inni zachowują się tak, jakby nie mieli nic do stracenia.

– Możesz podać moje nazwisko, i tak wszystko o mnie wiedzą – mówi Mary Jane Samkele Ncube, dyrektorka zimbabweńskiego oddziału organizacji Transparency International. Zajmuje się rejestrowaniem przypadków korupcji wśród funkcjonariuszy publicznych. Twierdzi, że ma dokładne dane na temat tego, kto, kiedy i co w tym kraju ukradł.

– Skąd macie te dane? – pytam.

– Ciągłe są tu ludzie, którzy się nie boją. Niestety, grozi im ogromne niebezpieczeństwo, dlatego wielu nie chce zeznawać przed sądem albo rozmawiać z dziennikarzami. My mamy tutaj

bez przerwy wizyty agentów. Pytają, kto nas finansuje, śledzą nas, domagają się ujawniania źródeł informacji. Ale ciągle funkcjonujemy. Niedawno na wszelki wypadek przenieśliśmy dokumenty z biura w bezpieczne miejsce.

– A niech nas podsłuchują – mówi mi Patrice z „The Zimbabwe Independent”. – Prześladowanie dziennikarzy świadczy wyłącznie o słabości reżimu. Oni nas oskarżają o jakieś brednie, że jesteśmy sługusami białych imperialistów albo agentami brytyjskimi, i w głowie im się nie mieści, że można po prostu pisać prawdę bez żadnego niecnego interesu politycznego.

Spotykam się z grupą dziennikarzy w hotelu Ambassador w centrum Harare. Mają tu swój Quil Club, w którym co wieczór piją, grają w bilard, rozmawiają o polityce. Spotykam Briana, byłego redaktora telewizji państwowej ZBC, wyrzuconego z pracy po kampanii wyborczej za to, że w relacjach zbyt wiele czasu poświęcał opozycji. Ma dwoje dzieci i niepracującą żonę, żyje z przypadkowych zleceń. Pytam, czy żałuje, że stracił pracę.

– Gdy mnie zwolnili, to poczułem, jakby mi zdjęli kamień z szyi. Już nie mogłem dłużej. Teraz przychodzę tu, żeby porozmawiać z byłymi kolegami, złapać jakieś zlecenie.

– Pracuję jako dziennikarz w tym kraju ponad 20 lat – mówi mi Vusumuzi z „The Financial Gazette”. – Byłem ciągnany po komisariatach, moje zdjęcie wydrukował rządowy „Herald” z podpisem „Sługus Brytyjczyków”. I co z tego? Co mam do ukrycia? Wiadomości, które potem i tak publikujemy? Ja już się nie boję, znieczuliłem się, głowy mi nie utną, w tej chwili rzeczywiście prześladowania dziennikarzy zelżały.

Co nie znaczy, że terror i zastraszanie zupełnie ustały. Ciągłe dochodzi do napadów na działaczy MDC, nawet najwyższego szczebla. W lutym 2010 roku groźnemu wypadkowi drogowemu uległ minister finansów Tendai Biti, w ubiegłym roku w podobnych okolicznościach zginęła żona premiera Morgana Tsvangirai, on sam wypadek przeżył. Dochodzenia rozmywiają się, wina spada na „piratów drogowych”, ale wielu Zimbabweńczyków nie wierzy w zbiegi okoliczności.

– Mugabe jest okrutnym człowiekiem, to jest straszna dyktatura, której podstawą jest terror – mówi mi Sandra. – On doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli przestanie zastraszac ludzi, to straci władzę.

Mary Jane z Transparency International opowiada o informatorce, która na początku 2009 roku doniosła organizacji o wywożeniu z Zimbabwe diamentów. W 2006 roku w okolicach Chiadzwa, niedaleko Mutare na wschodzie kraju, odkryto ogromne złoża tego surowca. Natychmiast z całego kraju na pola zjechały tysiące ludzi liczących na szybkie zyski. Po wyborach w 2008 roku Mugabe postanowił wyczyścić teren z nielegalnych łowców diamentów. Operacja „Hakudzokwi” („Bez powrotu”) trwała 2 miesiące. Według lokalnych organizacji praw człowieka żołnierze Mugabe zabili kilkaset osób, ciała gniły miesiącami, rodzinom nie pozwolono ich pochować. Teren został obsadzony posterunkami armii i policji. Płądrowanie kopalń diamentów trwało w najlepsze, z tym że pełną kontrolę nad tym procederem przejęli wojskowi i funkcjonariusze ZANU–PF. Oni również organizują nielegalny przerzut diamentów przez granicę, mimo że Zimbabwe teoretycznie podlega regulacjom Procesu Kimberly określającym zasady handlu diamentami na świecie.

Informatorka Transparency International dostrzegła konwoje ciężarówek pod ochroną wojska wywożących diamenty przez granicę z Mozambikiem.

– Przez jakiś czas porozumiewałyśmy się drogą mailową – mówi Mary Jane. – Jednak gdy zaproponowałam jej złożenie doniesienia w prokuraturze, odmówiła. Tu nikt nie wierzy prokuraturze ani policji. Żaden świadek zeznający przeciwko władzom nie może liczyć na

ochronę. Potem ta kobieta nagle zniknęła. Niepokoiśmy się o nią.

\*

Jadę do doliny Mazowe, około 40 kilometrów od Harare. Wzdłuż drogi ogromne plantacje, które pewnie widziałbym, gdyby nie wysoka na 2 metry ściana trawy.

– Nikt tego nie ścina, nie ma pieniędzy – mówi mój kierowca.

Wjeżdżamy w boczną drogę, na polach grube łodygi kukurydzy uginają się pod ciężkimi kolbami.

– To wszystko zgnije – mówi kierowca. – Już jest za późno na zbiory, a deszcze w tym roku będą obfite.

Mijamy sady pomarańczowe, z których słynie ten rejon. Na drzewkach niezebrane owoce. Metalowe ogrodzenia w wielu miejscach rozdarte, płoty wyrwane z ziemi.

– Miejscowi je ukradli – tłumaczy mój przewodnik.

W środku leżącego odłogiem pola stoi wybudowana naprędce chałupa. Przy niej pasie się krowa, biegają kurczaki. W ośrodku mechanicznym w Mazowe, skąd kiedyś rolnicy wypożyczali sprzęt do uprawy roli, kilka porzeczonych traktorów, reszta wyposażenia rozkradziona.

– Tak wyglądają dzisiaj wsie w Zimbabwie – mówi mi Tomasz, gdy opowiadam mu o wycieczce do Mazowe. Mieszka w Zimbabwie od 1986 roku. Wkrótce po przyjeździe z Polski kupił gospodarstwo o powierzchni 2 tysięcy hektarów. Po 2000 roku dzięki koneksjom w ZANU–PF udało mu się zachować 40 hektarów i jest jednym z kilkudziesięciu białych farmerów, którzy pracują na roli w Zimbabwie.

– Ten kraj zebrze dziś o żywność – mówi – a jeszcze kilka lat temu eksportował jedzenie na cały świat.

– Kto jest dziś właścicielem farm?

– W większości aparatczycy partyjni, ich rodziny, ludzie Mugabe. Minister spraw wewnętrznych ma pięć farm, minister informacji trzy, żona Mugabe dwie. I oczywiście żaden z nich na tych farmach nie pracuje. Zniszczeniu uległa cała infrastruktura wsi, system irygacyjny nie funkcjonuje, silosy stoją puste.

Pytam, czy ten proces da się odwrócić.

– Jeśli biali wróciliby na farmy, to pewnie tak. Mówienie, że ta grabież ma służyć wyrównywaniu rachunków przez czarnych wobec białych, to stek propagandowych bzdur. Dwie trzecie białych farmerów, którym zabrano ziemię, otrzymało prawo własności nie od rządu Rodezji, ale od Mugabe po 1980 roku. Większość białych nic nikomu nie zabierała, tylko wydzieriała każdą piędź ziemi uprawnej, karczując busz, w którym nikt nie mieszkał. Latami kolejne pokolenia ludzi pracowały na bogactwo tego kraju. Czarni pracownicy, którzy kiedyś żyli w dostatku, dziś zostali bez środków do życia, bo wszystkich powyrzucano na bruk. Nowych właścicieli nie interesuje uprawa roli. Nie mają wiedzy, nie mają środków ani pomysłu, jak inwestować, nie znają rynków zbytu.

Przez ostatni rok coraz więcej nowych właścicieli dogaduje się ze starymi i wydzierzawia im farmy albo zatrudnia ich w roli menedżerów, z którymi dzielą się potem zyskami. Pytam, czy to jest metoda na uratowanie rolnictwa i ziemi w Zimbabwie.

– To się nie może udać na dłuższą metę. Takie umowy są oczywiście nielegalne. Jediną rzeczą, która może ocalić ten kraj, są wolne i uczciwe wybory.

Mój rozmówca ma szczęście. Dzięki swoim koneksjom uniknął przemocy. Przejęcie jego farmy przebiegło w pokojowy sposób, po prostu grupa czarnych prowadzona przez „weterana wojennego” rozgościła się na jego terenie. I tak zostało.

Na jednym z bogatych osiedli przy Churchill Road w Harare spotykam w restauracji białego farmera, którego historia była bardziej dramatyczna. John pochodzi z Anglii, sprowadził się do Harare w 1971 roku, kupił farmę na kredyt w roku 1981, rok po uzyskaniu przez Zimbabwe niepodległości. Spłata pożyczki zajęła mu 20 lat, przez ten czas stworzył znakomicie funkcjonujące gospodarstwo produkujące kukurydzę, mango i tytoń. Dochód Johna wynosił prawie milion dolarów rocznie brutto. Większość tych pieniędzy reinwestował w gospodarstwo, dla swoich pracowników wybudował wieś na 90 domów z przychodnią, salą spotkań, boiskiem piłkarskim. W styczniu 2002 roku na jego farmę zajeżdżały cztery ciężarówki wypełnione aktywistami Green Bombers i weteranami wojennymi. Pobili go, przez cały dzień trzymali dwóch jego synów jako zakładników, na koniec wynieśli z domu wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Następnego dnia John wyniósł się z farmy. Do dziś koczują na niej grabieżcy.

Historia Johna jest typowa. W Harare spotykam ludzi, którzy przeżyli podobne okropieństwa. Niektórzy podejmowali przez jakiś czas walkę o utrzymanie farm. Zabijano im zwierzęta, bito ich, niektórych mordowano. Ogółem biali stracili około 700 farm stanowiących podstawę gospodarki Zimbabwe. Pytam Leonarda, dziennikarza „The Zimbabwe Independent”, czy możliwe jest przywrócenie farm prawowitym właścicielom.

– Nie ma takiej możliwości. Nawet jeśli Mugabe umrze, Tsvangirai wygra wybory i nastąpi w tym kraju demokracja, to nowi właściciele nie oddadzą farm. A jeśli ktoś ich będzie chciał do tego zmusić, wybuchnie wojna. Tego, co zostało zagrabione, nie da się odzyskać.

\*

Osobę związaną z szefem armii Constantinem Chiwengą pytam, czy wojskowi kiedykolwiek zaakceptują innego wodza poza Robertem Mugabe.

– Nie ma takiej możliwości. Mugabe to jest ich lider, on pokonał Brytyjczyków, dzięki niemu wzbogacili się, jemu wierzą. Na pewno nigdy nie zaakceptują Tsvangiraia, bo on stanowi dla nich śmiertelne zagrożenie. Przecież jeśli MDC zdobędzie władzę, to wojskowi za swoje zbrodnie, za korupcję, za łamanie praw człowieka będą musieli stanąć przed sądem. Zachód musi zrozumieć, że sytuacji w Zimbabwe nie da się rozwiązać poza plecami Mugabe. On musi być częścią tego rozwiązania.

\*

Dzięki znajomościom trafiam do loży dla VIP-ów podczas obchodów Dnia Niepodległości na stadionie w Harare. Na trybunach zwiezieni z całego kraju zwolennicy Mugabe w otoczeniu niezliczonej rzeszy agentów. Łatwo ich poznać, bo wszędzie na świecie agenci są tacy sami – bez względu na kolor skóry. Maski zamiast twarzy, rozbiegane oczy, smutna mina, źle dopasowany garnitur. Śledzą każdy mój ruch, obok znajomej Polki jestem jedynym białym w loży.

Wreszcie na stadionie poruszenie. Przez bramę wjeżdża kilka czarnych samochodów na sygnale. Ochroniarze tworzą kolumnę, ale w środku niej widać go wyraźnie – Robert Mugabe w pełnej krasie. Idzie wyprostowany z szarfą przewieszoną przez pierś, z boku jego żona Grace, z

tyłu syn. Tydzień wcześniej Mugabe skończył 86 lat, ale znakomicie wygląda. Jego matka dożyła setki, on sam przeżył już trzech swoich zastępców. Nie pije, nie pali, ściśle kontroluje dietę. Czyżby miał żyć jeszcze kilkanaście lat? A dlaczego nie?

Zbliża się do namiotu VIP-owskiego, robię zdjęcia, ale chcę też popatrzeć na niego bez obiektywu. Jego twarz lśni w słońcu, oczy giną za czarnymi okularami, ale nie ma w nim niczego nadzwyczajnego. A czego się spodziewałem? Potwora? Nawet jeśli nim jest, to wygląda jak zwykły polityk, sztywny, jakby połknął kij od szczotki, wpatrzony w dal, świadomy, że skupia na sobie spojrzenia wszystkich obecnych na stadionie.

Wódz przechadza się po bieżni, publiczność wpada w ekstazę. Spiker podrywa tłumy, kompania honorowa salutuje, rozstawieni wokół żołnierze z karabinami gotowymi do strzału lustrują tłum. Wódz przemawia pół godziny, sypie dowcipami, z łatwością przechodzi z angielskiego na język szona, wtrąca zwroty w ndebele, mówi, że nadszedł czas zgody narodowej i nie wolno stosować przemocy. Tuż za nim, w łoży honorowej, jego premier i śmiertelny wróg Morgan Tsvangirai siedzi bez słowa. Pierwszy raz w historii Zimbabwe przeciwnik polityczny Mugabe towarzyszy mu w świętowaniu Dnia Niepodległości. Co on tam robi? O czym myśli?

Na stadion wbiegają gimnastycy – prężą się przed prezydentem, akrobaci tworzą skomplikowane figury. Potem pojawia się oddział kilkuletnich chłopców ubranych w mundury i wyposażonych w atrapy karabinów maszynowych. Widać, jak rozpiera ich duma, że mogą być tak blisko lidera.

W rozstawionym przy bieżni namiocie dla VIP-ów przyglądam się ubogiej starej kobiecie drzemiącej na krześle. Jest upał, pewnie jechała tu ze swojej wsi kilkanaście godzin zaproszona jako delegatka na najważniejsze święto państwowe, teraz opadła z sił i zasnęła w najważniejszym momencie. Agent policji podchodzi i delikatnie ją budzi. Kobieta się uśmiecha i zaczyna miarowo bić brawo gimnastykom, dzieciom-żołnierzom, prezydentowi...

Obchody Dnia Wyzwolenia na Stadionie Narodowym w Harare, 18 kwietnia 2010 roku



Prezydent Zimbabwe Robert Mugabe z żoną Grace i najbliższą rodziną



Żołnierz pilnujący porządku

\*

Pytam Heidi Holland, w jakim stopniu to zło, które tkwi w Robercie Mugabe, jest spuścizną kolonializmu.

– Zachód chciałby, żeby Afrykanie przestali wreszcie mówić o kolonializmie, ale to nie jest takie proste – mówi Heidi. – Niby minęło 60 lat, ale zniszczenia, zwłaszcza w psychice Afrykanów, ciągle są ogromne. Mugabe, paradoksalnie, jest przykładem spadku po brytyjskim kolonializmie w czystej formie. Z całym jego rasizmem, przemocą, nieliczeniem się z drugim człowiekiem, jego godnością. To jest przykład, jak ofiara staje się tyranem, jak ktoś, kto cierpiał, potrafi zadawać niewyobrażalne cierpienie innym.

– Ale dlaczego wielu czołowych polityków afrykańskich i wielu zwykłych Afrykanów wciąż popiera Mugabe, wiedząc o nieszczęściach, które sprowadził na swój naród?

– Ludzie w Afryce, również w Zimbabwe, nie lubią Mugabe, uważają, że powinien odejść. Ale jest jedna rzecz, która im się podoba. Mugabe jest inteligentny. A Afryka to taki kontynent, gdzie ludzie mają bardzo niskie mniemanie o sobie. I oto pojawia się ktoś, kto potrafi wszystkich wyprowadzić w pole. Mugabe to znakomity strateg, pokonał Brytyjczyków, w tej chwili prowadzi bardzo skuteczną grę z rządem RPA. Nie ma siły, która nim steruje; on robi, co chce. Jemu się to ogromnie podoba, pławi się w tej inteligencji, pokazuje wszystkim swą wyższość. I właśnie dlatego tak wielu ludzi w Zimbabwe jest z niego dumnych. Ta duma jest tym większa, że Mugabe potrafił wyrazić krzywdę Afryki. W głębi duszy wielu afrykańskich przywódców i wielu zwykłych ludzi chciałoby wykrzyczeć światu w twarz to samo co Mugabe, ale mają zbyt wiele do stracenia w stosunkach z Zachodem. Tymczasem Mugabe czuje, że nie ma do stracenia absolutnie nic. I im bardziej to „nic” pęcznieje, tym bardziej rośnie jego autorytet wśród Afrykanów gotowych przymknąć oczy na jego zbrodnie i nieudolność polityczną. Proszę zrozumieć, Mugabe jest człowiekiem tak bardzo zdeprawowanym przez kolonializm, wychowanie, praktyki, których się dopuszczał, że nie widzi niczego złego w tym, żeby dowieść swoich racji politycznych, nawet kosztem wyniszczenia swojego narodu. W wielu przywódcach afrykańskich tkwi taki mały Mugabe. Jednak tacy ludzie jak chociażby były prezydent RPA Thabo Mbeki, postać bardzo podobna do Mugabe, żyją w innym świecie, świecie różnego rodzaju powiązań z Zachodem, więc nie mogą dać upustu swojej wściekłości.



– Czy zatem jest jakiś sposób na Mugabe?

Heidi Holland się uśmiecha.

– O tak, moim zdaniem ma on jedną słabość, którą ciągle jest Wielka Brytania. Jeśli Brytyjczycy okazaliby mu autentyczny szacunek, jeśli zdobyliby się na samokrytykę wobec niego, to być może udałoby się zaspokoić jego pychę i zmieniliby swoje postępowanie.

– Ale jaki szacunek? – pytam. – Za co mieliby mu ten szacunek okazać? Za wyniszczenie narodu Zimbabwe?

– Może i nie ma powodu, aby okazywać Mugabe szacunek, ale przecież gdy mordował swoich rodaków w Matabeleland, Zachód odwracał wzrok, a kilka lat później Elżbieta II nadała mu honorowy tytuł szlachecki. Zabijanie czarnych nikomu nie przeszkadzało, dopiero gdy paru tysiącom białych zabrał farmy, to okazało się, że jest tyranem. Życie i kariera polityczna Roberta Mugabe pokazują jak na dłoni, oprócz zła w nim tkwiącego, całą hipokryzję Zachodu, zwłaszcza Brytyjczyków. Może teraz powinni użyć w dobrym celu tej swojej „psychologicznej dyplomacji”, którą kiedyś karmili jego ego.

## Mali: muzyka dla hipopotama

Le Grand Marché w centrum Bamako, stolicy Mali. Miejskie targowisko w labiryncie wąskich, błotnistych uliczek wypełnione tysiącami ludzi próbujących poruszać się we wszystkich kierunkach, choć to niemożliwe, bo ruch zastyga w miejscu. Korek złożony z wózków, ogromnych samochodów dostawczych, rowerów i ludzi. Z nieba leje się czterdziestostopniowy żar, nogi grzęzną w błocie, w powietrzu unosi się nieprawdopodobny smród, zwłaszcza w miejscach, gdzie handluje się mięsem i rybami. Jakieś owcze głowy, krowie ozory i ogony, najpodlejsze gatunki mięsa, a wokół nich czarne obłoki much, psy wyjadające resztki spod stołów, matki karmiące niemowlęta, półnagie dzieciaki bawiące się między stoiskami. W wielu boksach mężczyźni rozkładają dywaniki i modlą się, bo jestem w Bamako w czasie ramadanu.

\*

Zastanawiam się, dlaczego akurat tutaj czuję się tak bardzo nieswojo. Nie chodzi przecież o zgiełk i mrowie ludzi. Byłem już w podobnych miejscach. Nie, najbardziej przejmujące jest to, że nikt tutaj na mnie nie zwraca uwagi. Nikt nie próbuje mi nic sprzedać, nikt mnie nie zaczepia, nikt nie woła „*mzungu*” jak w Tanzanii ani „*obroni*” jak w Ghanie. Oni mnie nie zauważają, jestem jak powietrze.

Gdy gubię drogę w tym chaosie, nie potrafię znaleźć nikogo, kto mówi po francusku. Wreszcie trafiam na jakiegoś mężczyznę, który zna angielski i wyprowadza mnie z Grand Marché korytarzem jeszcze węższych uliczek, mających jednak tę przewagę, że nie mieszczą się w nich samochody. Po takim spacerze zwykła wyboista droga z dziurami wielkości lejów po bombie wydaje się arterią.

\*

Prawie każde miasto w Mali ma swój targ fetyszów. W Bamako mieści się on na obrzeżach Grand Marché. Na rozłożonych brezentowych płachtach jakieś mieszanki z roślin i części zwierzęcych ciał: lamparcie łapy, skóry węży, zasuszone głowy kameleonów. Wchodzę do pomieszczenia, w którym siedzi stary człowiek. Wyciąga ze skrzyni woreczek i wyjmuje z niego owiniętą w szmaty figurkę siedzącej kobiety z lekko rozwartymi ustami.

– Ta figurka mówi – tłumaczy mi Mandian, mój malijski kolega i przewodnik. Wiele lat spędził na studiach w Polsce, niedawno doktoryzował się z informatyki. Jest inteligentnym, wykształconym człowiekiem, pracownikiem malijskiego ministerstwa rolnictwa.

– Jak to mówi?

– Normalnie. Ona potrafi przepowiedzieć przyszłość albo ostrzec cię przed kimś, kto chce ci wyrządzić krzywdę.

– W jakim języku to robi?

Mandian nie jest do końca pewny, więc tłumaczy moje pytanie starcowi.

– We wszystkich językach – odpowiada po konsultacji. – W języku właściciela.

– Co trzeba zrobić, żeby zaczęła mówić? – pytam.

– Trzeba jej złożyć ofiarę. Dać *cadeau*.

Tutaj wszyscy chcą *cadeau* – umorusane kilkuletnie dzieci na skrzyżowaniach i ślepcy prowadzeni przez te dzieci, i kaleka wystawiający na pokaz swoje pokurczone kończyny. Przemykam między nimi, nie wiem, czy mam im dawać pieniądze, czy nie. Zwykle żebrakom nie daję, ale tutaj tłumaczenie, że te dzieci powinny chodzić do szkoły albo do przedszkola, a nie wyłudzać *cadeau*, mija się z celem. No to czasem daję, a czasem nie. Nic dziwnego, że ich fetysze też chcą *cadeau*.

– Może to być orzech kola. Musisz podzielić go na dwie części, swoją część rozgryźć i popluć nim fetysza. Najlepiej wsadzić ten rozgryziony orzech do ust figurki. Wtedy zacznie mówić.

Warsztaty stolarskie, sklepy z odzieżą i pamiątkami w Bamako. Stolica Mali tętni życiem





\*

Ludzie w Mali wierzą, że rytualne wykorzystywanie niektórych części ciała zwierząt, na przykład futra, skóry czy kości, albo magicznych figurek może uzdrawiać i pomagać w życiu. Przedmiot będący fetyszem zanoszą do czarownika, który przygotowuje dla klienta zaklęcie. Najczęściej spotykanym fetyszem są *saphies*, czyli magiczne amulety mające ustrzec przed złem i zapewnić powodzenie w życiu. Niektóre *saphies* zawierają również wersety Koranu spisane na kawałkach skóry. Malijscy muzułmanie, podobnie zresztą jak garstka tutejszych chrześcijan, nie widzą sprzeczności między wiarą w moce fetyszów i swoim oficjalnym wyznaniem.

Starzec zmęczony tłumaczeniem oczywistych rzeczy pyta, czy chcę kupić figurkę. Mówię, że nie chcę, co go najwyraźniej irytuje.

– To jaki ja mam interes w opowiadaniu ci tego wszystkiego? – pyta.

Wręczam mu równowartość kilku dolarów i wychodzę ze sklepiku.

\*

Mandian jest szlachcicem. Świadczy o tym jego nazwisko – Diarra. Podobnie jak

nazwiska Diabaté, Kouyaté albo Tounkara nieomylnie wskazują na przynależność do kasty griotów. Zadaniem griotów było od wieków doradzanie szlachcie, pośredniczenie w rozwiązywaniu konfliktów, aranżowanie małżeństw i chrzczenie dzieci. Ale grioci najbardziej znani są jako pieśniarze sławiący śpiewem swoich panów. Cała ludowa muzyka malijska oparta jest na tradycji griotów (albo *jelis* w języku plemienia Bambara, największego w Mali) i do dziś rodziny należące do tej kasty strzegą swej tradycji jak największego skarbu.

– Ale grioci to podrzędna kasta – tłumaczy Mandian. – Stoją niżej niż szlachta, niżej niż kowale, czyli dzisiejsi rzemieślnicy. Żaden szlachcic nie ożeni się z córką kowala albo griota, żaden szlachcic nie będzie griotem, nawet jeśli śpiewa tak wspaniale jak Salif Keita.

Historia Salifa Keity urosła dziś do rangi mitu ilustrującego kastowy system Mali. Keita to legendarne nazwisko w tym kraju. Władca imperium Mali w XIII wieku nazywał się Sundzata Keita i do dziś to nazwisko traktowane jest z nabożną czcią. Jednak Salif urodził się albinosem, co uważane jest w Mali za przekleństwo. Albinosi są dyskryminowani, ponizani. Niektórzy, w tym sam Keita, twierdzą, że albinosi padają ofiarą rytualnych mordów, że niektóre plemiona piją ich krew, składając ofiary bóstwom. Zwłaszcza w Tanzanii i Burundi rozwinął się handel częściami ciała albinosów wykorzystywanymi przez szamanów do rzucania czarów. Władze próbują temu przeciwdziałać, ale powszechnego przekonania o przekleństwie, jakie ciąży na albinosach, nie da się tak łatwo zmienić.

Poniewierany w rodzinie Salif uciekł z domu i przez lata mieszkał na ulicy w Bamako. Przypadkiem zaczął grać w jednym z barów na Grand Marché i tak zaczęła się jego niebywała kariera muzyczna. W latach 70. Salif Keita i jego kolega Mory Kanté znaleźli się wśród członków założycieli legendarnego zespołu Super Rail Band de Bamako, a w latach 80. i 90. obaj stali się największymi gwiazdami muzyki afrykańskiej na świecie.

– Ale Salif Keita nigdy nie będzie griotem – tłumaczy Mandian. – Nawet jeśli uznano by go za największego muzyka w Mali, a rodzina się go wyparła, to i tak pozostanie szlachcicem.

– A niewolnicy? – pytam.

Mandian stanowczo zaprzecza.

– Obecnie nie ma w Mali niewolników.

\*

Słynny szkocki podróżnik Mungo Park, który przemierzał zachodnią Afrykę na przełomie XVIII i XIX wieku, pisał, że na trzech Afrykanów dwóch było zwykle niewolnikami. Niewolnikiem można było stać się w wyniku popełnienia przestępstwa, niewypłacalności, zostania wziętym do niewoli podczas wojny. Wolny człowiek mógł oddać się na własność obcym, gdy stracił środki do życia i nie miał co jeść. Najliczniejszą kategorię w czasach Parka stanowili niewolnicy urodzeni z rodziców niewolników. Wszyscy oni byli trzymani w domach swoich panów jako służba, wywożeni przez Arabów na północ Afryki albo przez białych – z pośrednictwem czarnych i arabskich handlarzy – za wielką wodę. Jak pisze Park, wielu czarnych niewolników było przekonanych, że biali są kanibalami i kupują tysiące ludzi po to, by ich pożyć. To głównie dlatego takim przerażeniem napawała ich myśl o podróży za ocean, bo przecież nie wzięli pod uwagę własne położenie w rodzinach, do których należeli i które ich wykorzystywały i większość niewolników doprowadzały do śmierci. Niewolnicy nie mieli żadnych praw i pan mógł z każdym bezkarnie uczynić wszystko, co zechciał.

Ocenia się, że od VII do XIX wieku ofiarami handlu niewolnikami prowadzonego przez

czarnych i Arabów padło 9–13 milionów ludzi. To mniej więcej tyle, ile wynosi liczba niewolników wywiezionych przez Atlantyk do Europy i Nowego Świata przez białych. Saharyjska część historii niewolnictwa budzi mniejsze emocje, zwłaszcza dzisiaj. Nikt nie wzywa Tuaregów albo Arabów do wypłacenia rekompensaty finansowej czy choćby do przeprosin za nędzę i poniżenie, które przez wieki gotowali czarnym.

Teoretycznie, zgodnie z tym, co mówił Mandian, a potem powtarzali mi ludzie na północy Mali, nie ma tu niewolnictwa od czasu odzyskania niepodległości w 1960 roku. Jednak do dziś obrońcy praw człowieka twierdzą, że na północy kraju ciągle utrzymuje się system kastowy z niewolnikami jako tanią siłą roboczą. Niewolników mają Tuaregowie, Songhajowie, Fulanie. Ofiarą zwykle padają ludzie z plemienia Bella, najbardziej pogardzanego w Mali, którzy do dziś są całkowicie zależni od swoich panów, służą im jak psy tak samo jak 5 czy 10 wieków temu. Kobiety są często gwałcone, mężczyźni bici, ograbiani z zarobionych pieniędzy, pozbawiani szans na wolność i perspektyw na godne życie.

– Czy Malijczycy czują się odpowiedzialni za utrzymywanie systemu niewolnictwa? – pytam Mandiana – Przecież wy przez stulecia praktykowaliście niewolnictwo w najbardziej okrutnej formie.

– Malijczycy są dumnym narodem – odpowiada. – Nie musimy się nikomu z niczego tłumaczyć, bo to my ustalaliśmy reguły życia na tej ziemi, na długo zanim przyszedł tu biały człowiek. Nie uważamy się też za ofiary niewolnictwa, bo jesteśmy potomkami królów wielkich imperiów malijskich, które obejmowały całą zachodnią Afrykę, od Nigerii do Senegalu: cesarstwo Ghany od III wieku, następnie cesarstwo Mali w XIII wieku, potem cesarstwo Songhaju w wiekach XV i XVI. Do dziś jeśli Francuzi mają problemy z jakimkolwiek krajem w Afryce Zachodniej, to przede wszystkim z nami.

Historia Mali to przykład chyba największej degradacji kultury w dziejach. Z państwa, które rządziło połową kontynentu, upadek do roli trzeciego na liście najbiedniejszych na świecie. Z narodu królów do roli ostatnich nędzarzy świata.

\*

Salif Keita jest w Bamako. Dzwonię, by umówić się z nim na wywiad. Jego francuska agentka mówi, że pogada z Salifem, ale wywiad będzie kosztował 150 euro. Pieniądze będą przekazane fundacji charytatywnej Salifa Keity wspomagającej albinosów. Wywiad – 150 euro, sylwester w klubie Salifa – 100 euro od osoby, najnowsza płyta – 20 euro w przeciętnym europejskim sklepie. Jeśli chodzi o ceny najlepszych towarów eksportowych, Mali zrównało się z resztą świata. Dlaczego zatem tak wielu jego mieszkańców klepie biedę?

\*

Jedziemy z Mandianem motocyklem, który jest tutaj najpopularniejszym środkiem lokomocji. Sprawnie mijamy samochody, rowerzystów, tragarzy i przechodniów, gdy nagle z prawej wpada na nas młoda kobieta na skuterze. Przewraca się, na szczęście nie ma żadnych obrażeń. Po chwili pojawia się policja i następuje seria przedziwnych scen. Najpierw policjant idzie po cegłówkę, zatrzymuje ruch na zatłoczonym skrzyżowaniu i obrysowuje cegłą ślady obu motorów. Potem wyciąga zeszyt w kratkę i równie pieczołowicie, co niezdarnie szkicuje ołówkiem przebieg wydarzenia. W tym czasie Mandian i sprawczyni kolizji kłócą się zawzięcie, przekrzykując się nawzajem. Po godzinie policjant kończy rysowanie i zabiera nas wszystkich na

komisariat.

Mandian jest bardzo zdenerwowany, bo policjanci namawiają go, by zapłacił kobiecie za naprawę motoru i zapomniał o sprawie. On się nie daje, ale – jak sam twierdzi – stoi na straconej pozycji, bo policjanci wierzą uczestnicze kolizji, która, nawiasem mówiąc, kłamie jak z nut, twierdząc, że to my zajechaliśmy jej drogę.

– Oni wszyscy tutaj są zepsuci na tle seksu – zwierza mi się. Namawiam, by rozwinął temat, ale jest zbyt zdenerwowany. – Zawsze uwierzą młodej dziewczynie, a nie facetowi – rzuca tylko.

Jedynym dla niego ratunkiem jest interwencja u znajomego szefa policji, ale ten akurat nie odbiera telefonu. Ostatecznie policjanci zatrzymują motor Mandiana i zamierzają przesłuchać mojego przewodnika po weekendzie. Mam nadzieję, że do tego czasu uda mu się skontaktować ze znajomym.

\*

Na komisariacie spotykam młodego chłopaka o imieniu Zoumana, któremu policja również zarekwirowała motocykl, bo popełnił jakieś wykroczenie. Jak się okazuje, jest muzykiem z rodziny Diabaté. Toumani Diabaté, mistrz kory, narodowego instrumentu Mali, to jego wujek i nauczyciel w konserwatorium. Kassé Mady Diabaté, jeden z najpopularniejszych wokalistów malijskich, to jego brat. Zaprasza mnie do swojego domu, przedstawia rodzinie.

W domostwie Zoumany mieszka kilkanaście osób: jego wujkowie, ciotki, bracia i oczywiście rodzice. Goszczą mnie herbatą, opowiadają rodzinne historie, przedstawiają bratu Zoumany, który cierpi na AIDS.

Potem idziemy na nocny koncert, podczas którego Zoumana i Kassé Mady śpiewają z zespołem. Na kilka godzin dzięki muzyce przenoszę się z miasta brudu, stęchlizny i biedy w cudowny świat baśni o griotach i wielkości Mali.

– O czym wy konkretnie śpiewacie? – pytam Zoumanę.

– O wszystkim, czego dokonali nasi ojcowie i dziadkowie, a przedtem ich dziadkowie. Śpiewamy o Bogu i pokoju, o tym, jak żyć w świecie nierówności, i o miłości, bo miłość przyciąga ludzi. Śpiewamy o naszej przeszłości, bo człowiek, który nie zna przeszłości, nie zna samego siebie.

Mówi mi to dwudziestotrzyletni chłopak, który mieszka w ruderze z kilkunastoosobową rodziną, bratem chorym na AIDS i dwojgiem kalekich dzieci.

Pytam, jakie ma marzenia.

– Chcę śpiewać. Dla mnie nie ma nic ważniejszego w życiu.

\*

Gdy 2 lata po pierwszej wizycie wracam do Mali, trafiam na północ. To nieprawda, że Timbaktu jest zapyziałą dziurą na końcu świata. Zachodnie przewodniki piszą tak tylko po to, by podkreślić, jak okazałe było to miasto w przeszłości i jak nisko upadło. Owszem, nie ma tu już 100 tysięcy mieszkańców, jak jeszcze 5 wieków temu, a jedynie niecałe 20 tysięcy. W barach nie tłoczą się gromady kupców z Trypolis i Maroka, którzy od XIII wieku przybywali do Timbaktu kupować złoto i niewolników w zamian za produkowane w Europie i przewożone przez pustynię tkaniny, konie i sól. Nie ma wspaniałych bibliotek wypełnionych arcydziełami islamskiej literatury, których renoma rozchodziła się na cały islamski świat, nie ma 20 tysięcy naukowców, którzy uczyli studentów przybywających z miejsc tak odległych jak Mekka czy Bagdad. To

wszystko rozpadło się w pył po inwazji wojsk najemnych prowadzonych przez hiszpańskiego Maura o imieniu Judar w 1591 roku. Od tego czasu Timbaktu nie wróciło do dawnego blasku, choć przez następnych 250 lat nikt o tym nie wiedział, bo miasto było dla świata niedostępne. Przez lata rósł mit „złotego miasta” ukrytego wśród piasków pustyni, miejsca magicznego, niedostępnego i budzącego grozę, zwłaszcza wśród niewiernych.

To tutaj prowadziły drogi Mungo Parka, który próbował dostać się do Timbaktu od strony zachodniego wybrzeża Afryki. Anglik Gordon Laing wybrał drogę z Trypolisu przez Saharę i jako pierwszy Europejczyk dotarł do Timbaktu w 1826 roku. Niestety, podobnie jak Parkowi nie dane mu było wrócić do kraju. Obaj zginęli zabici przez miejscowych. Pierwszym białym, któremu udało się dotrzeć tam i wrócić, był – ku zgrozie Brytyjczyków – Francuz René Caillié, i to on ostatecznie pogrzebał mit afrykańskiego eldorado. Przy okazji francuski podróżnik utworzył drogę francuskiej armii, która zdobyła miasto po długoletnich walkach z Tuaregami dopiero w 1902 roku.

Timbaktu w czasach Cailliégo wyglądało już mniej więcej tak jak dziś – przysypana piaskiem pustyni placówka na końcu świata.

\*

**Arabowie**, którzy w VII wieku podbili północ Afryki i od tego czasu wypuszczali się na południe przez Saharę, traktowali Timbaktu jako most między światem cywilizacji rozciągającym się na północ od pustyni i dzikimi, nieznanymi terenami, w które nie należało się zapuszczać, bo było to zbyt ryzykowne. Ale ta ciemność kusiła – na południe od Sahary były kość słoniowa i niewyczerpane źródło siły roboczej: czarni niewolnicy.

W Timbaktu było też złoto. To ono rozpałało umysły ludzi i czyniło z tego miejsca saharijskie eldorado. W XIII wieku opowieści o szlachetnym kruszcu z Timbaktu docierały do północnych wybrzeży Afryki, a stamtąd nawet do Europy. Do Wenecji dotarła sława pierwszego znanego świata władcy Timbaktu, króla Mansy Musy.

W 1324 roku Musa przybył do Kairu w karawanie złożonej z 60 tysięcy ludzi, w tym z 12 tysięcy czarnych niewolników ubranych w stroje z perskiego jedwabiu. Samego władcę eskortowało 500 niewolników, z których każdy niósł skrzynię ze złotem. Każdy z 80 wielbłądów z jego karawany dźwigał 300 funtów złota. Podobno jeszcze kilkadziesiąt lat po wizycie króla Musy na ulicach Kairu śpiewano hymny na jego cześć. Nie bez powodu. Monarsza ekipa była hojna, rozdawała złoto, komu popadło, a napływ taniego kruszcu spowodował drastyczne obniżenie jego ceny na kolejne 10 lat. Nawet wzięwszy poprawkę na skłonności do przesady ówczesnych historyków, bogactwo króla Musy musiało być wielkie.

Złoto, niewolnicy i książki – takie było legendarne Timbaktu. Leon Afrykański, hiszpański Maur, który odwiedził miasto na początku XVI wieku, czyli jeszcze przed splądrowaniem go przez wojska Judara, twierdził, że sprzedaż książek przynosiła większy zysk niż handel innymi towarami. Książki warte więcej niż złoto? Więcej niż niewolnicy? To musiały być jakieś inne książki niż dziś.





Meczet Sankore. W czasach świetności miasta w działającej przy nim szkole koranicznej uczyło się ponad 20 tysięcy studentów



Budowa domu w centrum Timbaktu

\*

I właśnie tego wszystkiego w Timbaktu już nie ma. Nie ma złotych chodników ani iglic, ale ciągle jest kilka podupadłych, remontowanych latami meczetów. Są ulice, owszem, brudne, ale niektóre nawet wybrukowane, są domy z gliny, są klimatyzowane drogie hotele dla turystów, którzy przyjeżdżają tu w nadziei odnalezienia części prawdy o mieście znanym z legendy.

Na szczęście zachodni turysta, który znajdzie się dziś w Timbaktu, nie musi z nikim walczyć i nie ma do wyboru – jak jego poprzednicy sprzed lat – przejść na islam albo stracić głowę. W czterdziestostopniowym styczniowym ukropie biali snują się grupkami prowadzeni przez tuareckich przewodników mieszkających w mieście w przerwach między kolejnymi wyjazdami na pustynię do kopalni soli w Taoudenni.

\*

Jest początek 2010 roku. Biali przyjechali na święto muzyki afrykańskiej, zwłaszcza

malijskiej – Festival au Désert, festiwal na pustyni. Co roku na początku stycznia artyści i publiczność gotowi są pocić się w dzień i marznąć w nocy w tuareskich namiotach rozbitych na pustynnym piasku oraz jeść na zmianę ryż i kuskus z kawałkami żyłastej wołowiny (na lepszy „catering” organizatorów nie stać), rozbijają obóz na wydmach, by wziąć udział w wielkiej muzycznej fecie. Zjeżdżają tu największe gwiazdy z Mali, a także artyści z zagranicy. Przyjeżdżają także na wielbłądach Tuaregowie, przywożą biżuterię, obwożą zachodnich turystów po piaskach, opowiadają o swoich zwyczajach i próbują zarobić, ile się da.

Zwykle festiwal odbywa się w oazie Essakane położonej około 60 kilometrów na północ od Timbaktu, ale w tym roku obóz festiwalowy rozbito zaledwie kilka kilometrów od miasta. Powodem jest zagrożenie zamachami Al-Kaidy. Wymyślone przez zachodnie media – jak twierdzą mieszkańcy Timbaktu, realne – według zachodnich ambasad w Mali. W listopadzie 2009 roku zamachowcy porwali Francuza, wcześniej, w czerwcu, życie stracił Brytyjczyk. W ostatnich latach Al-Kaida porwała ludzi w krajach ościennych, takich jak Niger czy Mauretania, i sprowadzała ich do północnego Mali. W efekcie Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi uznali północ Mali za strefę niebezpieczną dla turystów. „Departament Stanu zdecydowanie odradza podróżowanie do północnego Mali i przypomina, że wszyscy zatrudnieni przez rząd USA na terenie Mali powinni posiadać pisemne zezwolenie od ambasadora USA przed udaniem się do regionu Kidal, na północ i wschód od miasta Gao, miasta Timbaktu i dalej na północ. Stany Zjednoczone nie płacą okupu, nie wypuszczają więźniów, nie zmieniają swojej polityki i nie czynią ustępstw na rzecz organizacji terrorystycznych”, czytamy przed wylotem z Bamako i zastanawiam się, czy dobrze robię, wchodząc na pokład samolotu. Setki turystów już zdecydowały, że to nie jest najlepszy pomysł, i w 2010 roku na festiwalu pojawiło się znacznie mniej Amerykanów, Brytyjczyków i Francuzów niż zwykle.

– Moim zdaniem te ostrzeżenia zmniejszyły budżet festiwalu o jakieś 60–70%. Wycofali się wszyscy zagraniczni sponsorzy – mówi mi dyrektor festiwalu Manny Ansar.

Manny jest Tuaregiem, niegdyś był menedżerem Tinariwen, najpopularniejszej grupy muzycznej z północnego Mali, a od 10 lat mobilizuje ludzi, sprowadza artystów, zdobywa pieniądze na imprezę.

– Co roku pojawiają się takie ostrzeżenia. Zwykle jednak turyści przyjeżdżają wbrew radom polityków, więc w tym roku wycofali się również nasi sponsorzy. Nie mam pewności, czy stało się tak pod wpływem politycznym, ale tak przypuszczam. Chodziło pewnie o to, by festiwal w ogóle się nie odbył.

Przyjechało nie tylko mniej turystów, ale i gwiazd. Niektórzy muzycy nie chcieli grać za zbyt małe pieniądze. Nie ma zapowiadanych wcześniej Salifa Keity, nie ma Oumou Sangaré ani Toumaniego Diabaté. Jest za to chaos organizacyjny, a ciągłe opóźnienia i odwoływanie koncertów irytują ludzi. Niektórzy przebyli tysiące kilometrów, żeby pobycć kilka dni wśród Tuaregów. Pytam Manny’ego, dlaczego impreza jest taką wielką improwizacją.

– Mogliśmy albo ją odwołać, albo przygotować tymi środkami, które mamy. Władze zasugerowały, żeby jednak spróbować, bo inaczej świat naprawdę uwierzy, że Mali to rzeczywiście strefa zakazana, do której nie warto podróżować. A to przecież byłoby bardzo niesprawiedliwe.

\*

Tak, mówienie o Timbuktu i północy Mali jako o światowej wylęgarni terrorystów byłoby

niesprawiedliwe. Atak terrorystyczny na festiwal, choć teoretycznie możliwy, jest mało prawdopodobny. Jednak podobnie jak 5 wieków temu Timbuktu było mostem między światem podrównikowego buszu i arabską północą, tak dziś północ Mali staje się mostem handlowym nieco innej konstrukcji. Al-Kaida rzeczywiście działa na pustyni, a od 2007 roku jej członkowie przyznają się oficjalnie do związków z Osamą bin Ladenem. Islamiści kontrolują przerzut narkotyków z zachodniej Afryki przez Saharę do Europy. Zdobyte w ten sposób pieniądze przeznaczają na zakup broni i organizację zamachów, głównie w Algierii i Tunezji, ale również na północy Mali, wzdłuż granicy z Nigrem.

Al-Kaida na Ziemiach Islamskiego Maghrebu, jak brzmi oficjalna nazwa ugrupowania, sięga korzeniami algierskiej wojny domowej w latach 90. Skrajny odłam islamistów złożony z rebeliantów pochodzących głównie z Algierii nie przyjął propozycji amnestii i rozejmu z 1999 roku, przeniósł swoje bazy na pustynię i stamtąd prowadzi regularne działania przeciwko rządowi Algierii, Maroka, Tunezji, Mauretanii i Libii.

Odpryski tej działalności docierają do północnego Mali i Timbuktu. Kilka miesięcy temu Al-Kaida zabiła tu pułkownika Lamanę, funkcjonariusza służb specjalnych. Abdala Ibrahim, Tuareg, z którym podróżuję motocyklem między miasteczkiem festiwalowym a Timbuktu, pokazuje mi dom, w którym dokonano zabójstwa.

– Przyjechali białym land-roverem. Trzech wysiadło, jeden został w samochodzie. Weszli do domu i zabili pułkownika na oczach żony i przyjaciela.

– Dlaczego to zrobili? – pytam.

– Nie wiem, może nie chciał z nimi współpracować, może zaszedł im za skórę.

Pytam, czy to prawda, że zamachowcy z Al-Kaidy zaopatrują się w mieście w ropę i lekarstwa.

– Nic o tym nie wiem – mówi Abdala.

\*

Pytam Manny'ego Ansara, co czuje w sytuacji, gdy impreza wymyślona jako święto muzyki i kultury zostaje opanowana przez politykę, na którą nikt z organizatorów nie ma wpływu.

– My mamy takie powiedzenie: „gdy biją się słonie, najbardziej cierpi trawa”. I to jest historia Festival au Désert roku 2010.

– Kim są słonie? – pytam.

– Wszyscy to wiedzą: islamiści i zachodnie rządy, które z nimi walczą.

Pytam Manny'ego, czy nie traci wiary w sens organizowania tego festiwalu.

– Słowo „mali” w języku narodu Bambara znaczy „hipopotam”, a hipopotam to takie zwierzę, które nikogo się nie boi, nawet słoni. Wiesz, że najwięcej ludzi w Afryce zabitych przez zwierzęta pada właśnie ofiarą hipopotamów? Nie lwów, nie słoni, ale hipopotamów. To są bardzo groźne bestie, a tutaj, w dorzeczu Nigru, są ich tysiące. Więc nie ma się czego bać, trzeba robić swoje.

– Czy 2010 to najgorszy rok dla Festival au Désert?

– Każdego roku festiwal przechodzi jakiś kryzys. W 2007 roku pierwszą noc wszyscy uczestnicy przespali na piachu, bo samochód wiozący materace utknął gdzieś w wydmiu 10 kilometrów od celu. Gorzej, że ten samochód wiozł również wodę. Zdezorientowani ludzie chodzili wokół namiotów i wypytywali: „Gdzie jest woda? Gdzie są materace?”. Co roku mamy

tak mało pieniędzy, że nigdy do końca nie wiemy, jak będzie wyglądał festiwal. Czy starczy na artystów, na jedzenie, ile będzie toalet i pryszniców. Tak jest do samego końca, do pierwszego dnia imprezy. Ludzie z czterech stron świata są w drodze, wykonawcy zaczynają zjeżdżać do miasta, a ja tylko liczę, czy nam wystarczy.

– A jeśli nie wystarczy?

– W tym roku nie wystarczyło, więc poszedłem do rządu. Gdyby nie malijskie władze, gdyby nie ministerstwo kultury i władze lokalne, nie byłoby tego festiwalu.

\*

Gwiazdą pierwszego dnia jest Tinariwen. Dziś ta kilkunastoosobowa orkiestra złożona z potomków rebeliantów z lat 60. to już klasyka tuareckiej muzyki. Gitarzysta i lider zespołu Ibrahim Ag Alhabib dorastał w obozie uchodźców w Algierii, a w latach 80. przeszedł szkolenie wojskowe w Libii. Jednocześnie pisał pieśni o rebelii, które – nagrywane na kasety – stawały się dla Tuaregów propagandowym wezwaniem do boju. Na początku lat 90. podpisali oni porozumienie pokojowe z rządem malijskim i Ibrahim całkowicie porzucił udział w walce zbrojnej. Zresztą nigdy nie walczył z bronią w rękę, bardziej pasowała mu gitara.

Gdy Tinariwen wchodzi na scenę, publiczność otrzymuje zastrzyk energii, pustynia zaczyna pulsować w rytm muzyki gitar i bębnow. Bujam się w rytm tuareckiego bluesa, gdy podchodzi do mnie umundurowany policjant i prosi, żebym usiadł.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo pan minister z tyłu nie widzi.

Nie wierzę własnym uszom.

Na każdy koncert zjeżdżają tu wszyscy notable z okolicy. Samochody mkną przez pustynię w kolumnie na sygnale. Gdy pierwszy raz to zobaczyłem, myślałem, że ktoś zasłabł i jedzie po niego karetka, ale nie, to tylko władza przyjechała. Potem wysypują się z tych wypasionych terenówek najważniejsi notable w prowincji i ich wieloosobowe świty. Mężczyźni ubrani w tradycyjne stroje, kobiety ociekające złotem. Siadają na dywanach naprzeciwko sceny, a konferansjer co chwila składa im hołdy.

– Bez was nie byłoby tego festiwalu! – mówi, a potem radzi: – Nie pytaj rządu, co Mali może zrobić dla ciebie, pytaj siebie, co ty możesz zrobić dla rządu!

– To może niech pan minister wstanie – proponuję. – Jesteśmy na festiwalu muzycznym, a nie w kinie.

Policjant patrzy na mnie wyraźnie skrepowany.

– Przecież ja nie mogę mu tego powiedzieć, wiesz o tym.

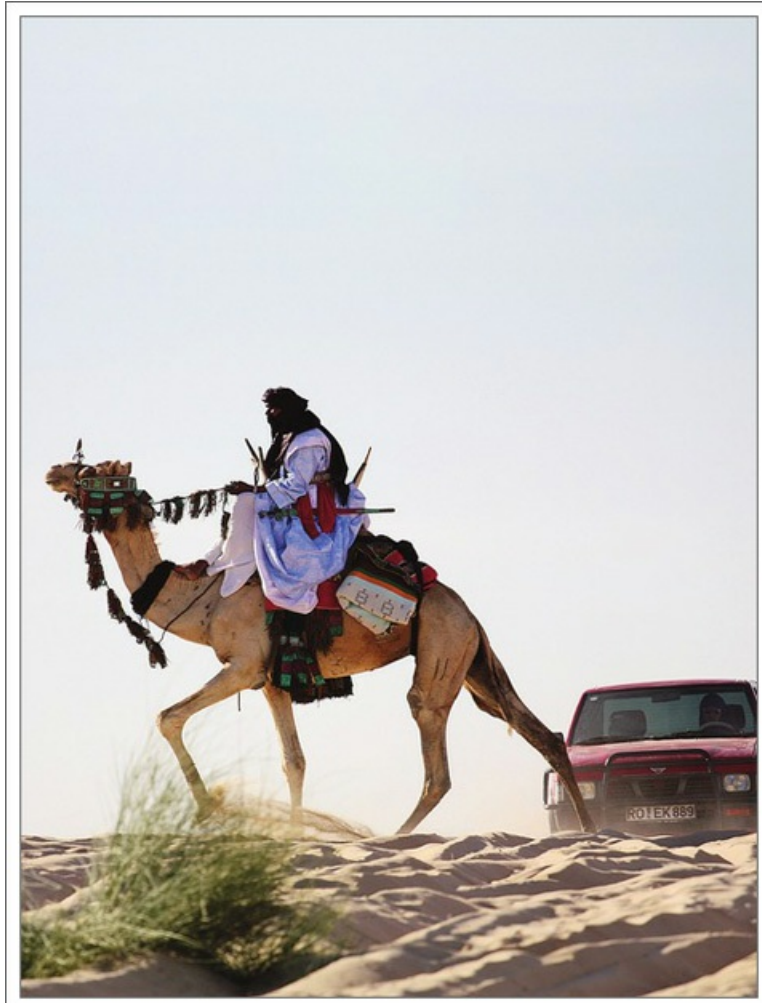
Wiem, więc przenoszę się daleko od ministra i słucham zespołu Tinariwen. Minister myśli, że skoro zapłacił za zorganizowanie koncertu, to ma do niego pełne prawo. Koncert jako własność władzy sprezentowana ludowi za jego własne pieniądze. Własność publiczna sprywatyzowana przez posła, ministra, gubernatora. Dlaczego tak często w Afryce powtarza się ten schemat?

\*

Gdy już wyrobiłem sobie jednoznacznie negatywną opinię o politykach z Timbaktu, dzwonię do Sidiego Mohameda, szefa rządowej Agencji Rozwoju Północy – instytucji, której zadaniem jest rozbudowa tego zaniedbanego przez lata regionu Mali. W latach 90. Mohamed walczył przeciwko władzy dyktatora wojskowego Moussy Traoré, po podpisaniu kolejnego

porozumienia pokojowego dostał od rządu posadę. Przedstawiam się, a on z chęcią zaprasza mnie do domu.

### Festival au Désert



Miłośnicy muzyki przybywają na festiwal w sposób tradycyjny albo nowoczesny



Sprzęt dla muzyków



Materace dla publiczności



## Tuarescy artyści



I ich ochroniarz ☺



Ostatnie próby przed koncertem



Zabawa trwa do późnej nocy

– Oczywiście, że łatwo można z nas zrobić diabła, ale to niepoważne – mówi Sidi, malijski Arab. – Był pan na festiwalu i niepotrzebna była eskorta, nie widział pan nawet uzbrojonego żołnierza. Nie było helikopterów w powietrzu, wszystko obyło się w spokoju.

To prawda, żołnierzy nie widziałem, przynajmniej takich, którzy w wypadku zagrożenia mogliby obronić ludzi.

– Czy to prawda, że w odległości kilku kilometrów od Timbaktu wokół festiwalu stworzono kordon wojskowy? – pytam. – Uczestnicy festiwalu, którzy jeździli na wycieczki wielbłądami, byli regularnie legitymowani przez żołnierzy.

– Proszę pana, Sahara jest ogromna – mówi Sidi Mohamed. – Ryzyko napadu bandyckiego zawsze istnieje. Al-Kaida działa w całym Sahelu. Jest w Algierii, jest w Mauretanii, jest w Nigrze. Ale dlaczego akurat Mali przedstawiane jest jako wylęgarnia terroryzmu, tego nie rozumiem. To znaczna przesada.

Pytam dlaczego, jego zdaniem, na przykład Francja traktuje Mali jako kraj podwyższonego ryzyka i na kilka dni przed festiwalem ostrzegła swoich obywateli, by tu nie przyjeżdżali?

– Stanowisko Francji dyktowane jest nie tyle rzeczywistym zagrożeniem, co odmową podpisania przez rząd w Bamako umowy o współpracy przy deportacji malijskich nielegalnych imigrantów. Każdy próbuje tu ugrać coś dla siebie.

Paryż chce, by ambasada i konsulaty Mali we Francji współpracowały z władzami francuskimi przy deportacjach. Rząd nie chce podpisać umowy, bo się boi, że w kraju zostanie to uznane za kolaborację przy wyrzucaniu Malijszyków z Europy i szerzenie ubóstwa wśród własnego narodu. Imigranci przesyłają rodzinom pieniądze, dzięki którym wielu Malijszyków może przeżyć. Nic dziwnego, że rząd w Bamako nie kwapi się z podpisaniem umowy, a to rodzi frustrację Francuzów.

– To dlatego Francja chce z Mali zrobić drugi Afganistan albo Pakistan – mówi Sidi Mohamed.

Pytam, czy w Timbaktu Al-Kaida rekrutuje członków. Czy ludzie sprzedają terrorystom ropę i lekarstwa? Czy uczestniczą w przemyśle narkotyków drogą przez Saharę do Europy?

– Nic mi o tym nie wiadomo – mówi.

Jest to najczęściej powtarzane przez miejscowych zdanie. Nikt nic nie wie i nikt nie rozumie,



skąd podejrzenia o obecność terrorystów w Timbuktu. I jeszcze, że gdyby nie telewizja, to nikt z mieszkańców północy Mali nie dowiedziałby się, że bywa tu niebezpiecznie.

– Ale wie pan – kontynuuje Sidi – u nas mówi się, że nawet najlepsza matka na świecie może dać tylko to, co ma. My nie jesteśmy w stanie rozwiązać wszystkich problemów, bo Mali to ciągle biedny kraj.

\*

Kończymy wywiad i Sidi zapoznaje mnie ze swoim przyjacielem Bassekou Kouyaté. Tak się składa, że wiem, kim jest Bassekou Kouyaté. Poprzedniej nocy widziałem go na scenie, dał porywający koncert, na pewno najlepszy na festiwalu. Mówią o nim „książę strun”, „wirtuoz ngoni” (czterostrunowego tradycyjnego instrumentu malijskiego).

Bassekou gra profesjonalnie od 20 lat, a od kilku jest gwiazdą formatu światowego. W 2009 roku jego płyta *Segou Blue* została uznana przez BBC za album roku w kategorii „world music”.

Gospodarz prosi, bym został w domu na obiad. Czy chciałbym zjeść barana w towarzystwie jednego z największych muzyków Mali? O tak, bardzo bym chciał.

Siadamy na dywanie w towarzystwie gospodarza domu, jego rodziny, innych domowników oraz malijskiego gwiazdora i jego żony, wspaniałej pieśniarki Amy Sacko. Być może to mojemu gospodarzowi zasłaniałem występ Tinariwen i to pewnie on jeździł na sygnale w towarzystwie ministra, a teraz otwiera dla mnie swój dom i zaprasza na obiad. Wątpię, żeby chodziło o pokazówkę dla dziennikarza z Europy.

– To oczywiście, że Malińczyk zaprasza cię do stołu, gdy jesteś gościem w jego domu – tłumaczy mi Abdala, mój kierowca. On też siada z nami do obiadu. Wszyscy są wobec siebie serdeczni i ciepły, znika dystans, nikt nie traktuje mnie jak intruza, chociaż nim jestem. Taką otwartość spotykam w Mali na każdym kroku i można by ją wyjaśnić merkantylnym oczekiwaniem jakiegoś rewanżu z mojej strony. Można, ale nie byłoby to prawdą.



Bassekou Kouyaté – gwiazda malijskiej muzyki, wirtuoz ngoni

Wielokrotnie w Mali handlarz oferował mi herbatę albo posiłek już po sfinalizowaniu transakcji. Owszem, większość Malijczyków będzie wymyślać kosmiczne ceny i targować się z białym do upadłego, ale bez względu na wynik targów zachowa dla ciebie uśmiech i uścisk dłoni.

Dodatkowo Sidi nie jest handlarzem, tylko politykiem. Ja nigdy w życiu nie będę na niego głosował, nie wpłynę na poziom inwestycji w północnym Mali, nie dam nikomu z tutejszych łapówki. Naprawdę Sidi nie ma żadnego handlowego powodu, by mnie lubić i zapraszać do stołu. Wygląda na to, że robi to z czystej, bezinteresownej życzliwości. Nie wyobrażam sobie, by w Polsce, w Anglii, we Francji polityk udzielił mi wywiadu, zapoznał z przyjaciółmi domu, a następnie zaprosił bezinteresownie na rodzinny obiad. Może w Europie trafiałem na nieodpowiednich polityków? A może powinienem jednak zmienić zdanie o politykach z Timbaktu? Pytam Bassekou Kouyaté, dlaczego zaczął wczorajszy występ od złożenia hołdu władzy. Skąd się bierze w Mali taki ścisły związek władzy i artystów?

– To normalne, że na początku koncertu dziękuję ludziom, którzy regularnie nam pomagają. Zresztą my, grioci, od wieków jesteśmy blisko polityków.

W dawnych czasach malijscy muzycy wspierani byli przez możnych szlachciców, współcześnie ich mecenasami są politycy i władze. Najbardziej znany w historii zespół z Mali, Super Rail Band de Bamako, traktowany był przez lata jako towar eksportowy tego kraju, oczko w głowie władz, którym zależało na ukazaniu światu dziedzictwa kulturowego Mali. Rail Band był nie tylko znakomitym zespołem muzycznym, ale również ideałem politycznej poprawności – grali w nim muzycy z różnych kast, co miało pokazać światu, że Mali staje się krajem nowoczesnym i otwartym.

Przez długi czas liderem grupy był Salif Keita. Po odejściu z Rail Band w 1978 roku założył nową grupę Les Ambassadeurs du Motel na zlecenie jednego z ministrów w rządzie Moussy Traoré. Minister ten wspierał zespół również finansowo, a gdy został aresztowany przez dyktatora, Salif miał do wyboru: zmienić mecenasa na związanego z władzą albo uciekać z kraju. Wybrał to drugie, zbiegł z innymi muzykami do Wybrzeża Kości Słoniowej, co zresztą, paradoksalnie, przyczyniło się do rozwoju jego kariery. W Abidżanie Keita wyśpiewywał pieśni chwały na cześć prezydenta Gwinei Sékou Touré, laureata Leninowskiej Nagrody Pokojowej i twórcy gwinejskiej wersji obozów koncentracyjnych, w których zginęło około 50 tysięcy przeciwników rządu. Salif nigdy nie wyparł się poparcia dla Sékou Touré, uważając, że jego miłość do socjalizmu i idei zjednoczonej Afryki usprawiedliwiała terror. W 1995 roku, czyli 10 lat po śmierci Sékou Touré, nagrał nawet nową wersję hymnu poparcia dla dyktatora.

Nie znaczy to, że malijscy grioci nie krytykują władzy. W latach 80. Banzoumana Sissoko, najbardziej znany w Mali wirtuoz ngoni, prywatnie dziadek Bassekou Kouyaté, pisał pieśni protestu przeciwko dyktaturze wojskowej prezydenta Moussy Traoré. „Nikt nie uniknie śmierci. Nawet jeśli jesteś bogaty i potężny, pamiętaj, że kiedyś twój czas się skończy. Zastanów się, zanim nadużyjesz władzy”, śpiewał Banzoumana Sissoko, ryzykując utratę wolności, a nawet życia.

Na płycie *Segu Blue* z 2006 roku Bassekou Kouyaté składa hołd dziadkowi, uznając go za „wielkiego człowieka”.

Pytam Bassekou, jak zmieniła się rola griotów w porównaniu z dawnymi czasy.

– Grioci działają w Mali od wieków. Zawsze byliśmy doradcami królów i wielkich szlacheckich rodzin. Zawsze to do nas zwracano się o radę, my śpiewaliśmy pieśni na cześć królów i polityków. Dziś to się oczywiście zmienia, bo ludzie mają radio i telewizję, polityka staje się domeną profesjonalistów. Ale ciągle upominamy polityków, gdy czynią zło. To my godzimy również zwaśnione strony, gdy dojdzie do sporu. Malińczycy, gdy mają do siebie o coś pretensje, wolą zatrudnić pośrednika, niż prowadzić bezpośrednią kłótnię. Śpiewamy na chrzcinach i weselach, gdy zwraca się do nas zaprzyjaźniona rodzina, aranżujemy małżeństwa. Wszystko w Mali dzieje się za pośrednictwem griotów.

Dosiadają się do nas kolejni domownicy, mięso podane na cześć Bassekou to prawdziwe delicje. Pani domu odrywa je od kości i podaje mi co smakowitsze kęski, zwłaszcza te tłuste. Gdy kończymy jeść mięso i sałaty, na dywan trafia kuskus z sosem faguy z warzyw, polany masłem. Jemy palcami, kobiety śmieją się z mojej nieporadności, ale nie dają za wygraną i odmawiam przyjęcia łyżki.

Pytam Bassekou o jego międzynarodowy sukces. Skąd się bierze atrakcyjność muzyki malijskiej dla odbiorców w świecie zachodnim?

– Po pierwsze, to jest znakomita muzyka – mówi Bassekou. – Muzykę pentatoniczną, opartą

na skali pięciodźwiękowej, grano w Mali jeszcze w czasach przed Chrystusem, ale ciągle możemy czerpać z jej bogactwa. Ja stworzyłem orkiestrę, w skład której wchodzi wyłącznie tradycyjne instrumenty, nie mam nawet perkusji, nie mam elektrycznych gitar. I chyba ta inność wydała się ludziom na świecie tak atrakcyjna.

Pytam, czy ekscytuje go współpraca z muzykami zachodnimi.

– Pracowałem już z największymi: Dee Dee Bridgewater, Taj Mahalem, Bono, Bélé Fleckiem, Damonem Albarnem i innymi. Ale ja nie zmieniam swojej muzyki podczas takiej współpracy, to oni szukają inspiracji w mojej sztuce.

A potem Bassekou opowiada mi historię spotkania z Taj Mahalem.

– Poznałem go w 1990 roku na festiwalu bandzo w USA. Amerykanie nie wiedzą dokładnie, skąd się wziął ten instrument, więc jeżdżą po świecie i próbują odnaleźć jego źródła. Niektórzy myślą, że bandzo pochodzi z Mali, więc mnie zaprosili na tamten festiwal. A ja przyjechałem i zobaczyłem bandzo pierwszy raz w życiu, nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Przyjrzałem się bliżej i ujrzałem ten sam czterostrunowy instrument, który wytwarzali moi dziadowie i pradziadowie. Amerykanie twierdzą, że bandzo było pierwszym instrumentem wyprodukowanym przez czarnych niewolników w Ameryce. Graliśmy, zaprzyjaźniliśmy się. Taj Mahal chyba uwierzył, że sam pochodzi z rodziny griotów, uznał, że już nie będzie się nazywał Taj Mahal, tylko Mohamed Dadi Kouyaté. Zauważył, że jesteśmy bardzo do siebie podobni z wyglądu, zaczął do mnie mówić „bracie”. Potem zegraliśmy razem koncert i na koniec tego koncertu spytał, czy wiem, co to jest blues. A ja mówię, że nie mam pojęcia, nigdy nie słyszałem tego słowa. Grałem muzykę z Ségou, miejsca, skąd pochodzę, on grał swoją muzykę i wszystko doskonale do siebie pasowało.

– Są takie teorie, że blues powstał w Mali, ale jak to możliwe, żebyście i ty, i on grali tego samego bluesa? – pytam.

– To jest możliwe – mówi Bassekou – bo przecież to czarni niewolnicy przywieźli bluesa i jazz do Stanów Zjednoczonych. I to z Mali ich wywożono. Więc może rzeczywiście przodkowie Taj Mahala pochodzą z narodu Bambara, bandzo pochodzi stąd, blues pochodzi stąd. Ludzie na całym świecie słuchają mnie i mówią, że gram bluesa. A ja nie odpowiadam, niech tak myślą.

\*

– **Uwielbiam feminizm**, jestem feministką – mówi mi Fadimata Wallett Oumar, założycielka tuareskiego zespołu Tartit. Fadimata mieszkała przez lata we Włoszech, ale nie została tam na stałe. Wróciła do Mali i założyła zespół złożony z samych kobiet, dziś wspierany podczas niektórych koncertów także przez mężczyzn.

Pytam, co podoba się jej w feminizmie najbardziej.

– Obrona praw kobiet, możliwość przejęcia przez kobietę kontroli nad własnym życiem. Tuareski też są feministkami, bo nie pozwalają mężczyznom traktować się jak podrzędne istoty. U nas na przykład nie jest ważne, czy kobieta jest dziewicą. U Songhajów, Bambara czy Arabów owszem, ale nie u nas. Nikt o to nie pyta. Sprawdzanie tak intymnych rzeczy byłoby gwałtem na kobiecie.

Pytam Fadimatę, czy Tuaregowie poddają swoje kobiety obrzezaniu.

– My tego nie robimy. To okrutny zwyczaj, którego Tuaregowie nie praktykują.

Słowo „obrzezanie” brzmi jak określenie jakiegoś rytuału religijnego. W rzeczywistości jest to barbarzyńska metoda kontrolowania seksualności kobiet.

Za pomocą brzytwy dziewczynce, zanim jeszcze osiągnie wiek dojrzewania płciowego, usuwa się łechtaczkę i wargi sromowe oraz zaszywa otwór pochwy nićmi z kocich jelit, zostawiając małą dziurkę na oddawanie moczu. Zabiegi takie wykonuje się bez żadnego znieczulenia, a po zaszyciu pochwy dziewczynka musi leżeć na boku przez kilka tygodni, czekając, aż rana się zagoi. Rodzice nie tylko w pełni akceptują przemoc wobec swoich córek – w wielu plemionach panuje przekonanie, że kobieta z łechtaczką i wargami sromowymi jest czymś w rodzaju obojnaka, który dopiero po przejściu obrzezania staje się w pełni gotowy do roli żony i matki. Wielu mężczyzn w Mali uważa, że obrzezanie jest w istocie przysługą dla kobiety, bo dzięki niemu do ślubu nie straci ona dziewictwa.

W dniu ślubu mężczyzna rozcina pochwę. Niektórzy zazdrośni mężowie zaszywają pochwy swoich żon również po ślubie, gdy sami udają się w podróż.

Teoretycznie obrzezanie kobiet jest w Mali zakazane. Praktycznie zabieg przechodzi 90% kobiet. To największy wskaźnik na świecie.

– Dla mnie to barbarzyństwo, dla którego nie znajduję usprawiedliwienia – mówi Fadimata. – Wiem, że niektóre plemiona dalej praktykują obrzezanie kobiet, ale nie Tuaregowie.

Pytam, czy nie kusilo ją zostanie za Zachodzie i założenie tam rodziny.

– Nie pozwalałam poderwać się mężczyznom we Włoszech. Zresztą oni nie rozumieją, na czym polega różnica między miłością a pożądaniem. Rozmawiać mogę z każdym, bo każdego chcę poznać i zachować jego cząstkę w sobie. Ale miłość to co innego.

Pytam o jej stosunek do aranżowanych małżeństw, które są wśród Tuaregów regułą.

– Nie podoba mi się to – mówi. – Wolałabym, żeby było u nas tak jak na Zachodzie, gdzie kobieta łączy się z mężczyzną, którego kocha.

Nieśmiało zauważam, że nie zawsze tak bywa, a nasze małżeństwa z miłości trwają coraz krócej.

– Rozwodzicie się, bo nie akceptujecie prawa do wolności drugiej osoby. Nie potraficie bez siebie oddychać, dusicie się w związkach – mówi Fadimata. – Twierdzicie, że jesteście wolni, ale wczepiacie się w drugą osobę i nie umiecie bez niej żyć. A potem rozchodzicie się i narzekacie na samotność. Dla mnie nie ma miłości bez wolności. Każdy Tuareg ci to powie. To dlatego zresztą młodzi Tuaregowie tak często zostawiają Francuzki. One nie rozumieją, że Tuaregowie potrzebują wolności. Tuareg musi mieć czym oddychać, a jeśli kobieta tego nie rozumie, to mężczyzna ją opuszcza.

Pytam Fadimatę, co sądzi na temat seksualności na Zachodzie.

– U nas to temat tabu. Nie rozumiem, dlaczego kobiety u was sprzedają swoją intymność. Cierpię, gdy widzę, jak kobieta obnosi się ze swoją seksualnością. Nie znoszę tych zachodnich reklam pełnych nagości. Nie w ten sposób kobieta powinna okazywać swoje piękno. Każda kobieta potrzebuje uznania. U nas czasem kobieta jest obstepowana przez pięćdziesięciu adoratorów. Siadają wokół niej, patrzą jej w oczy i opowiadają, jaka jest piękna, a ona w to wierzy i czuje się jak księżniczka. Ale intymność powinna być zarezerwowana dla męża czy mężczyzny, którego kocham. To obnoszenie się z seksualnością czyni wasze kobiety słabymi. Ukazuje ich wrażliwość, kruchość, a to sprawia, że łatwo je zranić. Intymność nie powinna być na pokaz.

Fadimata opowiada mi o niedawnym małżeństwie w jej rodzinie.

– Zabiliśmy 2 wielkie krowy, 20 baranów, kupiliśmy 500 kilogramów ryżu, 30 litrów oliwy, 2 kartony mleka, o kawie czy herbacie nie ma co wspominać. Żeniliśmy kuzynów, a za wszystko zapłacili bracia pana młodego. Zabawa trwała trzy dni i trzy noce. To był minifestiwal na

pustyni, podobny do tego, w którym bierzemy udział.

Pytam, dlaczego za wszystko u Tuaregów płaci mężczyzna.

– Mężczyzna płaci za to, że kobieta daje mu możliwość założenia rodziny. Dlatego to on musi zebrać na posag, wesele, ubranie i biżuterię kobiety. Kobieta jest u nas królową.

\*

– **Kobieta kosztuje** dokładnie 265 000 franków – mówi mój przewodnik Abdala Ibrahim.

Pytam, jak to wyliczył.

– Normalnie. Tyle muszę dać jej rodzicom. Wliczam w to wesele, ubranie dla żony, biżuterię, barany, które trzeba będzie zabić. Dopóki nie zdobędę tych pieniędzy, nie ożenię się i nie będę w pełni mężczyzną. Mam już 24 lata, powinienem był się ożenić, gdy miałem 22 lata. Powoli robię się stary jak na kawalera.

Abdala ma dom w Timbuktu, ale co kilka tygodni jeździ na pustynię do Arawanu (10 dni wielbłądem) albo do kopalni soli w Taoudenni (3 tygodnie). Wozi ludziom herbatę i wodę, a sprowadza sól, którą sprzedaje w mieście. Potem zwożona jest ona w górę Nigru do Mopti, skąd trafia na rynek w całej zachodniej Afryce i dalej. Kiedyś sprzedawano ją w cenie 1:1 do ceny złota, dziś sól jest oczywiście tańsza, lecz Abdala nie narzeka.

– To jest ciężka praca, ale jak dobrze pójdzie, to za rok, dwa będzie mnie stać na żonę. Wtedy będę naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

\*

**Koledze dziennikarzowi z Francji psuje się telefon satelitarny. Abdala oferuje pomoc.**

– Za godzinę mogę przywieźć z Timbuktu taki sam.

– Ale to jest nowy model, nie znajdziesz tutaj takiego.

Po kilku godzinach Abdala przywozi telefon.

– W Timbuktu znajdziesz wszystko, co chcesz. Teraz ustalmy cenę.

\*

**Amadou Bah** jest nauczycielem w Mopti, organizuje szkoły dla nomadów mieszkających na pustyni. Rodziny nomadów przemieszczają się regularnie kilka razy w roku, w związku z czym ich dzieci nie mają możliwości pobierania nauki w stałych szkołach.

– Chcemy stworzyć szkoły, które idą przez pustynię razem z obozem – mówi Amadou. – Szkoła przenosi się 3–4 razy w roku zgodnie z cyklem przemieszczeń nomadów. Tak jak rybacy Bozo szukają wody, tak Fulanie i Tuaregowie szukają pastwisk dla swoich zwierząt, a po wypasie przenoszą się, by zrobić miejsce rolnikom, którzy obsadzają ziemię ryżem czy zbożem. Taki rytm ustalił się tutaj przez wieki i ciągle jest przestrzegany. Dzieci w naszych szkołach uczą się w cyklu sześcioletnim pisania, czytania i liczenia. Nauka odbywa się po francusku.

Pytam, dlaczego uczą się w języku kolonizatorów.

– Kiedyś była tendencja do traktowania francuskiego jako języka oprawcy, ale dziś zdajemy sobie sprawę, że jest on dla tych dzieci szansą rozwoju.

Chcę wiedzieć, jak zapatrują się na ich inicjatywę liderzy religijni.

– Nasze szkoły są laickie i nie wchodzimy sobie w drogę ze szkołami koranicznymi. Od 6 do 8 rano dziecko uczy się w szkole koranicznej, potem ma lekcje u nas, pod wieczór znów może się uczyć w szkole koranicznej. To nie szkoły religijne są dla nas największym problemem, tylko

rodzice – tłumaczy Amadou. – Czasem trudno przekonać rodziców, żeby posłali dziecko do naszej szkoły. Dzieci wykorzystywane są do pracy, bez pracy najmłodszych wiele rodzin nie przetrwałoby.

Żeby szkoła powstała, organizacja Delta Survie musi zebrać 25 dzieci w jednym obozie. W tej chwili istnieją 23 takie szkoły porzucane po pustyni północnego Mali, w których 35 nauczycieli uczy 1100 dzieci. I jest 200 próśb o powołanie kolejnych szkół.

Pytam, czy władze wspierają szkoły materialnie.

– Nasze szkoły uznawane są przez ministerstwo i państwo płaci nauczycielom.

– I to wszystko?

– Na razie tak.

Pytam, dlaczego do tej pory politycy malijscy nie robili nic konkretnego dla tych dzieci.

– U nas musisz najpierw zainteresować polityka jakąś inicjatywą, dopiero potem on może się zastanowić, czy warto w to wchodzić.

\*

W domu Sidiego Mahomeda mieszka kilkanaście osób różnych ras i pochodzenia. Pytam, co sądzi na temat niewolnictwa na północy kraju i czy ciągle istnieje ono w Mali.

– U nas nie ma niewolnictwa. Mali jest w pełni demokratycznym krajem, w którym każdy ma równe prawa.

– A ludzie z plemienia Bella?

– Wielu z nich mieszka wśród Tuaregów, ale nie są niewolnikami. Za swoją pracę otrzymują wynagrodzenie i w każdej chwili mogą odejść.

– A czy prawa Tuaregów też są zagwarantowane?

– W Mali żyje 70 grup etnicznych. Tuaregowie są tylko jedną z nich. Są tu Bambara, Songhajowie, Fulanie, Dogonowie, Malinke i dziesiątki innych. Tuaregowie mają zapewnione prawa rozwoju w ramach decentralizacji państwa, w wielu dziedzinach sami się rządzą.

Na początku 2009 roku ostatni Tuaregowie podpisali porozumienie z rządem, dlatego dziś nie toczą już walk o powołanie niezależnego państwa na Saharze. W ich interesie na pewno nie leży też kojarzenie ich walki z Al-Kaidą, a jeśli będą wywoływać niepokoje, to takie skojarzenia nieuchronnie się pojawią.

Pytam Sidiego, co sądzi o niezależności Tuaregów.

– Jeśli niektórzy z nich chcą tworzyć odrębne państwo, to mogą prowadzić działalność polityczną, pod warunkiem jednak że odbywać się to będzie bez użycia siły i w ramach ustalonego porządku. Ja jako Arab nie jestem zainteresowany takimi działaniami, a północ Mali to nie tylko Tuaregowie, ale również Arabowie i Songhajowie. Jedna nacja, choćby nie wiem jak popularna w świecie, nie może decydować o odłączeniu się od Mali. Pamiętaj, że ten kraj jest modelowym przykładem tego, jak w Afryce wprowadzać pokój i demokrację. U nas zmieniliśmy system bez pomocy choćby jednego żołnierza ONZ, sami dogadaliśmy się między sobą i z dyktatury Mali zmieniło się w stabilną demokrację. Jeśli dziś jakiś lider tuareski chce walczyć z bronią w ręku, to jest po prostu rebeliantem i nie reprezentuje nikogo poza sobą. Nie należy wrzucać wszystkich do jednego worka.

\*

Przypominają mi się te słowa, gdy kilka godzin później, przed wejściem na teren

festiwalu, widzę żywo gestykulującą grupę białych. To Afrykanerzy z RPA. Kłócą się z organizatorem o cenę biletu. Nie chcą płacić 160 euro, tylko 6 tysięcy tutejszych franków (czyli 12 dolarów), bo mieszkańcom krajów afrykańskich przysługuje zniżka. Problem w tym, że ludzie z RPA są zbyt mało czarni na zniżkę.

– Ja mogę wam te bilety sprzedać, ale na bramce i tak wam nie uwierzą, że jesteście z Afryki – mówi biała wolontariuszka.

– Ale myśmy tu przyjechali przez pół kontynentu właśnie dlatego, że miało być dla nas tanio.

– Przykro mi.

Afrykanerzy stoją otępiali, wreszcie ktoś z organizatorów wpada na pomysł, by pokazać ochronie paszporty i w ten sposób przekonać podejrzliwych.

– Nie będziecie mieli problemów – przekonuje. – Tutaj w Timbuktu wszyscy jesteśmy równi.

Następnego dnia dostrzegam mieszkańców RPA w festiwalowym tłumie, z pewnością udało im się przekonać bileterów, że pochodzą z Afryki, nawet jeśli ich skóra jest biała jak pustynny piasek. Wloką się mozolnie po wydmach, zakopują po kostki w gorącym piachu, w nocy słuchają malijskiej muzyki, a potem marzną w namiotach – jak wszyscy inni, którzy przyjechali w poszukiwaniu własnych historii o pustyni i Timbuktu.

\*

Po powrocie do Bamako spotykam Mandiana, którego poznałem przed 2 laty. Dzięki kontaktom na policji udało mu się wówczas odzyskać motor. Wciąż pracuje w ministerstwie, tryska humorem, opowiada o projektach zawodowych i rodzinie. Mandian mógłby wyjechać z Mali, ma paszport i odpowiednie wizy, ale zostaje w kraju. Pytam dlaczego.

– Mieszkalem przez lata w Europie – mówi. – Ale to nie dla mnie. Mali nie daje bogactwa, lecz to mój dom. Tutaj dorastałem, tutaj czas biegnie według mojego tempa, rozumiem tutejszych ludzi, tu są moi najbliżsi. Pieniądze nie są najważniejsze.



## Ghana: marzenie o potędze

Najpiękniejsze Ghanki są duże i kształtne. Im grubsze, tym bardziej atrakcyjne. Z mężczyznami podobnie – jak gruby, znaczy że bogaty. Jeszcze lepiej, gdy ma jaśniejszy odcień skóry, bo to znaczy, że nie musi pracować na słońcu. Czyli najlepiej mają grubasy o jasnej karnacji. Tylko że takich tu jak na lekarstwo. Nie wiem, jak można utyc w Afryce. Ludzie jedzą raz, maksimum dwa razy dziennie potrawy, które są zdrowe i nie tuczą. Najpopularniejsze jest fufu, czyli klucha z manioku i zielonych bananów zalana zupą z mięsa i ryb. Kosztuje to grosze, a dobrze przyrządzone jest smaczne i można najeść się na cały dzień.

Według statystyk Ghańcyzy żyją średnio za 450 dolarów rocznie, czyli za niecałe półtora dolara na dzień. To brzmi jak przepis na skrajne ubóstwo, ale tutejsza rzeczywistość nie ma wiele wspólnego z obrazami afrykańskiej nędzy zalewającymi ekrany telewizorów na całym świecie. Za dolara można przyrządzić fufu dla całej rodziny, a gdy ktoś jeszcze jest głodny, to po prostu zrywa kokosa albo banana, dodaje manioku i przyrządza więcej fufu. Prawdziwy głód, nędza i śmierć pojawiają się dopiero wtedy, gdy przychodzi wojna, której w ostatnich latach Ghańcyzy sobie oszczędzili.

Pytam Michaela Owusou, przedsiębiorcę studiującego i pracującego przed laty w Polsce, dlaczego Ghana jest biedna.

– Bo nie umiemy być zapobiegliwi – tłumaczy. – U nas gdy kończy się sezon na pomidory, to po prostu nie ma pomidorów. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby je przechować w chłodni, mimo że na budowie takiej chłodni można zarobić miliony. Jak się skończą pomidory, to znajdzie się kukurydza. A jak nie ma kukurydzy, to zawsze będzie maniok albo banany. Wy macie zimę, więc nauczyliście się przez pokolenia myśleć zapobiegliwie. Jak nie zrobicie zapasów, to umrzecie z głodu. U nas zawsze jest jedzenie, zawsze jest ciepło, więc zawsze da się przeżyć. To nie skłania do oszczędzania, inwestowania, myślenia o przyszłości, czyli tego wszystkiego, bez czego nie ma sprawnej, rozwiniętej gospodarki. Na przykład teraz rząd buduje wielką fabrykę pasty pomidorowej. Gdy powstanie, ceny pasty spadną kilkakrotnie, bo do tej pory musieliśmy ją sprowadzać z zagranicy. My się dopiero uczymy traktować czas jak coś, co upływa, ucieka, aż wreszcie go nie ma. My zawsze mamy czas.

– Gdybyś nie był Ghańczykiem i mówił w taki sposób o przyczynach afrykańskiej biedy, uznano by cię za rasistę, wiesz o tym?

– Ale jestem Ghańczykiem i od wielu lat zmagam się z głupotą naszego systemu, więc mogę sobie pozwolić na mówienie prawdy – stwierdza Michael.

Michael jest importerem żywności, zwłaszcza mięsa. Sprowadza je między innymi z Polski i rozwози po sklepach w Akrze.

– Przecież to jest pozbawione sensu. Czy wy nie macie własnych krów i kurczaków? – pytam.

– Mamy, ale wychodzi taniej, gdy sprowadzę je gotowe do sprzedaży z Europy i przewiozę z

chłodni w porcie do sklepów.

To nie brak jedzenia, surowców, ludzi i ich inteligencji jest powodem biedy w Afryce. Brakuje chęci złożenia bogactwa w sensowną całość.

\*

Centralnym miejscem w Ghanie jest gabinet fryzjerski. Teoretycznie nikt tu nie ma pieniędzy, ale na fryzjera mają wszyscy. Kobiety siedzą czasem po 10–12 godzin, a fryzjer układa im wyszukane fryzury. Najczęściej zresztą ze sztucznych włosów, bo ich naturalne rosną krótkie i są mocno skręcone, a takich nikt tu nie chce nosić. Dlatego najlepszy interes można zrobić na płynach do prostowania włosów albo wyplataniu sztucznych warkoczyków. Przykleja się je potem do głowy, wyglądają jak prawdziwe.

Można też kupić prawdziwe włosy, ale ceny są zabójcze. Peruka z prawdziwych włosów przyklejana w ten sposób, że staje się prawie nie do odróżnienia od naturalnej fryzury, może kosztować nawet 800 dolarów. Za to jej trwałość jest 3–4 razy większa niż włosów sztucznych.

Rozmawiam z Naną, właścicielką salonu fryzjerskiego w Akrze o nazwie Presence of God Haircut (Salon Fryzjerski Obecności Bożej).

– Skąd ta nazwa? – pytam.

– Jestem chrześcijanką, dlatego mój salon tak się nazywa.

– Dlaczego fryzury są dla was tak ważne?

– Bo włosy podkreślają piękno kobiety.

– Czy robisz to dla siebie, czy dla swojego chłopaka?

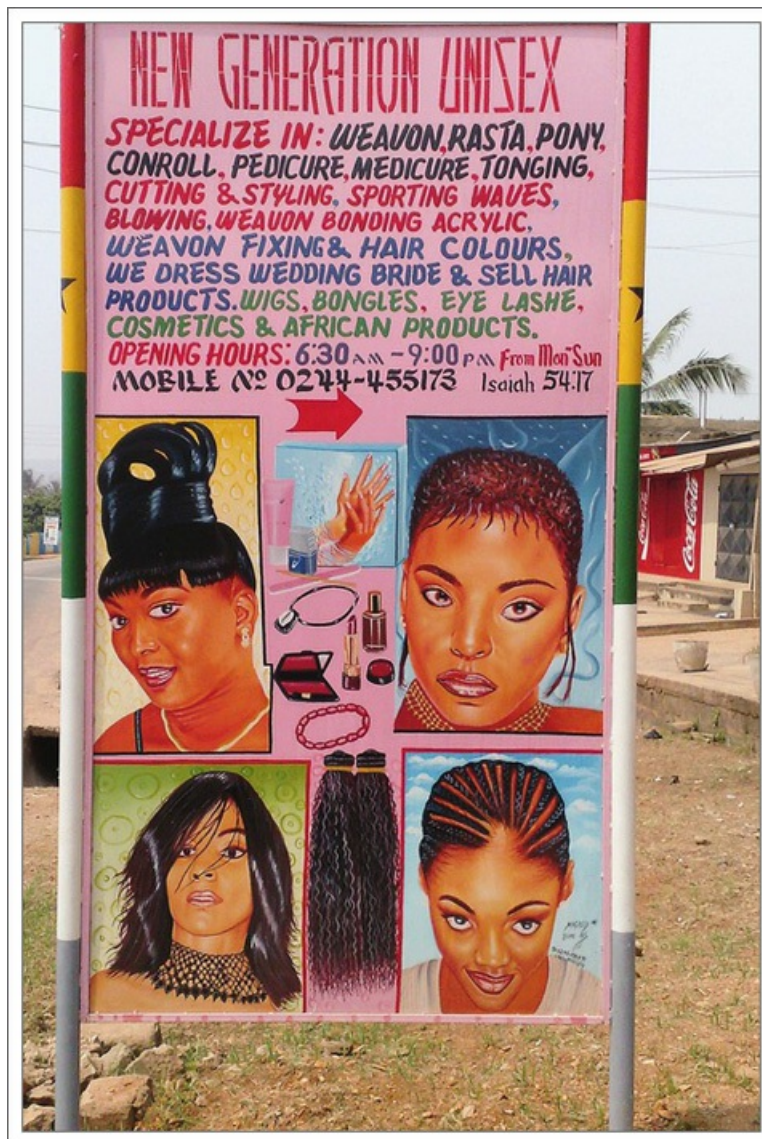
– Robię to dla własnej przyjemności. Ale jeśli jestem piękna, to rodzina i mój chłopak też na tym korzystają.

Furorę robią też maści na kształtność pupy. Podobno już samo noszenie koszy na głowie odkształca kręgosłup tak, że pupa robi się wypięta, ale niektórym to nie wystarcza. Smarują się, by była jeszcze bardziej krągła. A potem tak przygotowaną piękną pupą kręcą bez żadnych zahamowań, zmysłowo, wyzywająco. Gdy patrzę na Afrykanki, widzę, jak bardzo ograniczone są nasze ruchy. My chodzimy w jednym wymiarze, jak prowadzeni na smyczy. Dla nich poruszanie się jest wyzwoleniem. Zwłaszcza w tańcu, który jest tu jak akt erotyczny. Afrykańska pupa – bezwstydna radość życia.

\*

Po raz pierwszy odwiedzam Akrę jesienią 2007 roku. W styczniu i lutym 2008 Ghana organizuje finały Pucharu Narodów Afryki, najważniejszą imprezę piłkarską na kontynencie. Cztery nowoczesne stadiony są gotowe – całkiem przyzwoite obiekty. Za wszystko płaci państwo, bo tutaj inaczej się nie da. Wystarczający kapitał ma tylko ono, pracujący dla niego ludzie albo biznesmeni, którzy dorobili się na zleceniach publicznych, płacąc ogromne łapówki. Teraz największe interesy robią tu Hindusi i Chińczycy. Hindusi rządzą firmami internetowymi i sieciami handlowymi. Chińczycy budują drogi w całym kraju. A do budowy stadionu w Akrze sprowadzono ponoć cały kontenerowiec więźniów z Chin. Paradoks historii: chińscy niewolnicy sprowadzani są do miasta, które kiedyś było jednym z centrów handlu afrykańskimi niewolnikami, by budować areny rozrywki dla ich potomków. Przychodzę na umówione wcześniej spotkanie z sekretarzem Ghańskiej Federacji Piłkarskiej Emmanuelem Gyimahem. Sekretarka anonsuje mnie szefowi i wysyła na pierwsze piętro. Tam wszystkie drzwi

pozamykane na klucz. Po kilku minutach jedne się otwierają i wygląda zza nich mężczyzna w garniturze. Wchodzimy do środka. Sekretarz jest bardzo poirytowany, że przeszkadzam mu w nicnierobieniu. Siadamy naprzeciwko siebie i po minucie wiem, że ten wywiad nie ma sensu. Gyimah rzuca kilka banałów na temat rozwoju sportu i turystyki oraz zaangażowania rządu w kulturę fizyczną narodu. I jeszcze, że Ghana ma za mało pieniędzy, by konkurować z Europą. Aparatczyk pierwszej klasy – oto świat, w którym każdy, kto osiągnie jakieś stanowisko, obnosi się ze swoją potęgą i ostantacyjnie gardzi niżej postawionymi.



Miejscem spotkań kobiet jest salon fryzjerski. Ułożenie efektownej i modnej fryzury trwa nawet 10–12 godzin. Na zdjęciu reklama jednego z salonów w Akrze

Pytam sekretarza Ghańskiej Federacji Piłkarskiej, czy jego związek zwalcza nielegalny handel młodymi piłkarzami afrykańskimi.

– To jest poważny problem, ale panujemy nad sytuacją – odpowiada Emmanuel Gyimah.

To nieprawda. Nikt w zachodniej Afryce nie panuje nad sytuacją. W samej Akrze działa około

500 akademii futbolowych. Niektóre noszą bogobojne nazwy, podobnie jak gabinety fryzjerskie, minibusy i sklepy: „Synowie Mojżesza”, „Ulubieńcy Chrystusa”. Ale ich związek z chrześcijańską miłością i troską o bliźniego jest jeszcze luźniejszy niż u fryzjerek. Większość tych szkółek kierowana jest przez nielicencjonowanych agentów i samozwańczych trenerów piłkarskich. Ich jedynym celem jest znalezienie wśród setek tysięcy chłopców grających w piłkę na tutejszych piaszczystych boiskach kury, która zniesie dla nich złote jajko.

\*

W dzielnicy Legon, w której mieszkam, po jednej stronie drogi jest pole golfowe, po drugiej boisko piłkarskie. To pierwsze przeznaczone jest dla bogaczy i nie zna barier rasowych. Na drugim non stop trwa mecz z udziałem czarnych chłopców w wieku od kilku do kilkunastu lat. Większość tych dzieciaków marzy o karierze w Europie i na tych marzeniach żerują nieuczciwi agenci, trenerzy, pośrednicy. W Ghanie i Wybrzeżu Kości Słoniowej ten segment rynku opanowali Libańczycy. Podpisują wstępne kontrakty nawet z siedmioletnimi chłopcami, obiecując im przyszłą karierę w klubach europejskich. Rodzice godzą się na to. Liczą, że sprzedając dziecko agentowi – bo w praktyce chodzi o sprzedaż dziecka – uda im się poprawić byt chłopca i rodziny. Niektórzy rodzice zastawiają domy i cały majątek, by mieć na łąpówkę za wizę dla dziecka, kupić mu bilet do Europy i opłacić pobyt podczas testów, które młody piłkarz ma rzekomo przejść w jednym z klubów we Francji, Belgii czy Anglii.

Nielicznym rzeczywiście się udaje i trafiają do klubów w Europie, jednak zdecydowana większość kończy na ulicy bez dokumentów, bez perspektyw – zwykle jako kolejni nielegalni imigranci chowający się w bramach na widok policji, zasilający szeregi sprzedawców podróbek firmowych toreb i pasków.

We Francji powstała nawet prowadzona przez byłego piłkarza kameruńskiego organizacja charytatywna o nazwie Culture Foot Solidaire, która pomaga ofiarom nieuczciwych agentów piłkarskich pozostawionym bez środków do życia we Francji. Jak mówił w wywiadzie dla brytyjskiego dziennika „The Guardian” założyciel tej organizacji Jean-Claude Mbvoumin, pod jego pieczęcią znajduje się około 800 chłopców w wieku od 10 do 18 lat. Każdy z nich marzy o karierze Stephena Appiaha, Didiera Drogby, Samuela Eto’o czy Michaela Essiena. Udaje się wyjątkowym talentom – jeśli mają szczęście nie trafić na złodzieja – a mimo to marzenia o karierze zawodowego piłkarza nie umierają. Gdy w 2007 roku akademia sportowa Aspire ogłosiła nabór do swojej szkoły w Katarze, o 23 miejsca walczyło 750 tysięcy dzieci z całej Afryki – od Ghany po Kenię, od Nigerii po RPA.

Akademia Aspire, dysponująca wsparciem szejków i ogromnym budżetem, gwarantuje opiekę nad dzieckiem, podobnie jak europejskie kluby, takie jak Feyenoord, Ajax, Arsenal, Paris Saint-Germain, które utrzymują w Afryce własne ekipy wyszukiwaczy talentów. Jednak do sprawdzonych firm trafiają jednostki. Tysiące młodych Afrykanów pada ofiarą zwykłych oszustów.

– Co robi ghańska federacja, by poskromić ludzi, którzy żerują na marzeniach dzieci i ich rodzin? – pytam sekretarza związku w Akrze.

– To jest źle postawione pytanie. Winę ponoszą zachodnie kluby, które traktują Afrykę jak niewyczerpane źródło taniej siły roboczej i kradną nasze talenty – odpowiada Emmanuel Gyimah.

Zawsze za nędzę Afryki odpowiada Zachód. Tak samo zresztą jak za marzenia Afrykanów o

lepszemu życiu.

\*

W dzielnicy Legon działa kilkanaście kościołów. Jest kilka meczetów, kościół katolicki i mnóstwo małych świątyń protestanckich o biblijnych nazwach: Kościół Wąskiej Bramy, Kościół Jeźdźców Apokalipsy albo Kościół Badaczy Cytatów z Biblii. Co wieczór odbywają się w nich nabożeństwa, które wyglądają jak połączenie seansu spirytystycznego i koncertu muzyki afrykańskiej. Wszyscy śpiewają i tańczą. Idę na nabożeństwo badaczy cytatów.

Na miejskiej łące stoi drewniany ołtarz, wokół niego około 50 osób. Mężczyzna mówi, a właściwie skanduje kazanie, które przeradza się w jakąś inkantację, porywany krzykiem religijny zaśpiew. Wierni wpadają w trans, padają na kolana, niektórzy tarzają się po ziemi, jak gdyby zmagali się ze złymi duchami. Muzycy walą w bębny, potrzęsają grzechotkami i tamburynami. Tak przez kilkanaście minut, potem wyciszenie tłumu, chwila przerwy – i od nowa to samo.

\*

Ghańcy wierzą w voodoo. Tutaj mówi się *dzudzu*. W gazetach dziennikarze i inni mędrcy próbują oświecić ciemny lud, ale ten się nie daje. Poza tym nawet dla oświeconych są granice: w jednej z gazet felietonista pisze, żeby nie bać się *dzudzu*. Ale dodaje: „Nigdy nie śmiałybym twierdzić, że nie ma czegoś takiego jak ciemne moce. Zaprzeczanie ich istnieniu byłoby skrajną naiwnością”.

*Dzudzu* jest demonem, który gdy przychodzi, zabiera ci część duszy. Na wsiach ciągle działają szamani, a dzieci chronione są przed *dzudzu* za pomocą specjalnych rytuałów. Kąpie się malucha w ziołach, czasem nawet codziennie przez tydzień, potem szaman robi nacięcia na ramieniu dziecka i wciera w nie jakieś mikstury. Z *dzudzu* lepiej nie zadzierać – wszyscy się z nim układają, nawet chrześcijanie. Opętuje człowieka. Robisz wtedy złe rzeczy: kradniesz, oszukujesz, zabijasz i nie ma ratunku przed twoim demonem, no chyba że da się go przekupić kozą albo kurczakiem. Szaman ci pomoże, ale ludzie we wsi nie zapomną. Czasem sprawiedliwość wymierzana jest na miejscu – zwłaszcza wobec złodziei. Policja nie zdąży dojechać, a człowiek zostaje zlinchowany.

\*

Osei Tutu II, król plemienia Aszantów, jest w Ghanie ważniejszy niż prezydent. To znaczy, jest ważniejszy dla członków plemienia, a oni stanowią najliczniejszą, najbogatszą i najbardziej wpływową kastę ludzi w Ghanie. W dawnych czasach rządili tymi ziemiami, podbijali sąsiednie ziemie. Najdłużej opierali się Brytyjczykom, walcząc zaciekle o niepodległość, którą Ghana wywalczyła jako pierwszy kraj w Afryce Zachodniej w 1957 roku.

Eduise Puku, najstarszy syn króla, opowiada mi o złotym tronie – świętej relikwii Aszantów, wokół której jednoczy się naród. Tron posiada właściwości magiczne.

– Złoty tron ma swoją historię – mówi książę. – Został zesłany z nieba Wielkiemu Czarnoksiężnikowi i od tej pory nad nami czuwa.

Nikt nie wie, gdzie jest ten tron. Kiedyś Brytyjczykom wydawało się, że go wykradli, ale Aszantowie podrzucili im kopię. Dziś tron podobno przechowywany jest gdzieś poza pałacem – na wszelki wypadek. Król nigdy na nim nie siada, z wyjątkiem nocy przed objęciem władzy. Tylko wtedy może dostąpić tego zaszczytu.

\*

Do Aszantów należą ziemie, na których znajdują się największe kopalnie złota i diamentów w Ghanie. Za eksploatację złóż przez międzynarodowe firmy członkowie plemienia dostają od władz rekompensaty finansowe, a niektórzy robią kariery w administracji państwowej. Członkowie klanu mają obowiązek wspierać się nawzajem, pomagać sobie w trudnych sytuacjach. Kwestie sporne między nimi rozsądza król.

– Wasz system prawny oparty jest na konfrontacji – mówi książę Eduise Puku. – Macie prokuratora, obrońcę, oskarżonego i oskarżającego. Klóćcie się między sobą i niczego to nie rozwiązuje. My mamy system arbitrażowy. Na koniec sprawy każda ze stron musi coś dostać, tak by nie czuła się pokrzywdzona. Konflikt nie może być przyczyną rozpadu rodziny, rozwiązanie sporu powinno ją wzmocnić. I to jest nasza rola. Po wyjściu z sądu strony nie powinny mieć do siebie pretensji, tylko lepiej się rozumieć.

\*

Jedna z gazet ghańskich alarmuje, że pogrzeby i towarzyszące im imprezy stają się doskonałą okazją dla amatorów łatwego seksu. Celują w tym studenci, którzy ponoć przemieszczają się grupami po całym kraju w poszukiwaniu pogrzebów. „Nie do wiary! – pisze oburzona autorka artykułu. – Studenci polują na pogrzeby, żeby się dobrze zabawić! Co więcej, pogrzeby stały się w naszym kraju machiną napędzającą zdrady małżeńskie. Słowa nie są w stanie opisać tych ohydnych rzeczy, do których dochodzi w trakcie pogrzebów i uroczystości z nimi związanych. Pojawiło się nawet coś takiego jak funkcja naganiacza pogrzebowego. Ci ludzie organizują wycieczki na pogrzeby dla wszystkich, którzy pragną nurzać się w seksualnej rozwiązłości”.

Tak zachęcony idę na pogrzeb w Akrze. Na lawecie stoi trumna, obok na platformie mężczyźni skaczą, śpiewają, wnoszą okrzyki. Pochód prowadzony jest przez orkiestrę, która gra na bębnach i trąbkach. Harmider, hałas nie do opisania osiąga apogeum, gdy karawana zbliża się do grobu. Kilku mężczyzn zabiera trumnę z lawety, niemal wyrywając ją sobie z rąk. Każdy chce dotknąć, poklepać, pogłaskać. Niektórzy płaczą, jeden leje sznapsa na wieko...

– To, co widzisz, to jest pogrzeb chrześcijański – wyjaśnia mi jeden z uczestników, ubrany w garnitur i nieuczestniczący w składaniu trumny do grobu. – Najpierw członkowie plemienia zmarłego odprawią tradycyjne rytuały, a potem my się będziemy modlili.

I rzeczywiście, po skończonych lamentach część mężczyzn odchodzi, pojawia się pastor i pogrzeb zmienia się w obrzęd chrześcijański.

Wszyscy w Ghanie idą na kompromis i wszystko się miesza. Nie ma tu czystego chrześcijaństwa, katolicy modlą się o łaski do swoich przodków i przeklinają wrogów swoich plemion, metodyści uczestniczą w tradycyjnych plemiennych rytuałach, w których zmarłym ofiaruje się nie tylko sznapsa, ale również zwierzęcą krew.

Każde nabożeństwo, również nabożeństwo katolickie, to taneczno-muzyczna rewia. Perkusista zagłusza wszystko, wali w instrument z ogromną siłą, a wtórujący mu chór próbuje go przekrzyczeć. Wszyscy doskonale się bawią.

– Jeśli nie będzie muzyki, to nikt nie przyjdzie do kościoła – tłumaczy mi znajomy Ghańczyk.

\*

**Pogrzeb** to centralny punkt życia Ghańczyka. Można nawet powiedzieć, że dla wielu rodzin

martwy krewny jest ważniejszy niż żywy.

– Rodzina czasem nie ma pieniędzy, żeby zapłacić rachunki za leczenie chorego – mówi mi Michael. – Ale jeśli chory umrze, natychmiast znajdują się pieniądze na jego pogrzeb. Człowiek może przeżyć całe życie w rozpadającej się lepiance, lecz gdy umiera, jego rodzina natychmiast remontuje dom, przynajmniej od zewnątrz. Jeśli w Ghanie widzisz świeżo pomalowany dom, to w 9 przypadkach na 10 oznacza to, że w tej rodzinie właśnie ktoś umarł. Oczywiście w czasie remontu ciało trzymane jest w kostnicy, za co trzeba płacić niemałe pieniądze. Na pogrzeb zjeżdża cała rodzina z kraju i zagranicy. To jest największa, najdroższa, najbardziej okazała impreza rodzinna, jaką można zorganizować.

– Dlaczego tak się dzieje? – pytam.

– To kwestia statusu – mówi Michael. – Możesz być absolwentem wyższej uczelni, możesz posyłać dziecko do prywatnej szkoły, możesz jeździć najnowszym mercedesem, ale nic nie zapewni ci takiego poważania wśród sąsiadów jak wyprawienie megapogrzebu.

\*

**Kolorowe zdjęcie** uśmiechniętego mężczyzny albo kobiety w kwiecie wieku, pod spodem spisane osiągnięcia życiowe zmarłego i lista wszystkich członków rodziny wspominających go. Tak w Ghanie wyglądają klepsydry. Niektóre z tych obwieszczeń zajmują nawet metr kwadratowy. Również trumny są niezwykle – kolorowe, bogato zdobione, o fikuśnych kształtach. Jeśli ktoś był strażakiem, może być pochowany w trumnie w kształcie wozu strażackiego, jeśli pilotem – w trumnie w kształcie samolotu, a jeśli rolnikiem – w trumnie z kogutem u wezglowia.

– Ghańczyków interesują dwie rzeczy – mówi mi Anna, Polka mieszkająca w Akrze od roku. – Dobrze zjeść i dobrze wyglądać. Nawet po śmierci. Zwłaszcza po śmierci.

Karen Blixen w *Pożegnaniu z Afryką*, tym najbardziej popularnym dziele kolonialnej literatury pięknej, pisze: „Jeżeli życie ma jakąś wartość, to polega ona na tym, iż jej nie ma. *Frei lebt wer sterben kann*. Wolny żyje ten, kto umie umrzeć”<sup>[4]</sup>. To nie deklaracja nihilizmu, tylko głębokiej wiary w człowieka. Ghana, jak cała Afryka, przypomina o wolności.

Trumny w Ghanie pokazują, czym zmarły zajmował się za życia





\*

Początek lutego 2008 roku, mistrzostwa Afryki w toku. Wracam do Ghany.

Jadę do Kumasi, 250 km na północ od Akry, na kolejny mecz fazy grupowej. Przede mną chyboce się trzydziestotonowa ciężarówka obładowana 50 tonami towaru. Podąża gdzieś w stronę granicy z Burkina Faso. Jakieś skrzynie, paki, kartony. Nie ma takiej możliwości, by ta ciężarówka dojechała do celu. Jej tył wywija esy-floresy na dziurawej, jedynie miejscami asfaltowej drodze, towar podskakuje, a kierowca pruje ponad setką na godzinę, bo przecież musi zdążyć na czas.

Takie same ciężarowe potwory jeżdżą potem po Akrze i innych miastach. Wciskają się w wąskie piaszczyste uliczki, blokują ruch, doprowadzają pozostałych kierowców do szału. Niektóre nie wyrabiają na zakrętach i lądują w rynsztokach, a rynsztoki w Akrze mają nawet 2 metry głębokości, więc żeby potem taką ciężarówkę wyciągnąć, trzeba sprowadzać dźwig i droga jest nieprzejezdna przez następnych kilka godzin, czasem kilka dni.

W Kumasi działa największe targowisko w Afryce Zachodniej. Z góry wygląda jak ogromna dzielnica slumsów. Wchodzisz do środka i wkraczasz w labirynt rozpadających się drewnianych bud, w których ludzie handlują wszystkim, czym tylko się da. Łatwo się zgubić, wszędzie gwar, rwetes, krzyki, muzyka. Tutaj non stop panuje hałas. Handlarze zachwalają towar przez megafony, śpiewem, tańcem. Jakieś trzy kobiety wchodzą na ladę, tłuką klapkiem o klapkę i śpiewają do rytmu – w ten sposób zachwalają staniki i majtki. Obok zaschnięte kameleony i skrzydła papugi do odprawiania czarów.

Właściwie cała Ghana to jeden wielki plac targowy, handlarze siedzą wzdłuż dróg albo ciągną na targowiska z tym, co mają do sprzedania. Noszą kosze na głowie i nagabują na skrzyżowaniach kierowców albo przechodniów. Oprócz handlujących są jeszcze gapie – stoją przy drodze całymi dniami i czekają. Na co czekają?

Na autobus. Który być może się tu zatrzyma i wtedy będzie szansa, że jakiś podróżny wynajmie gapia jako tragarza albo przewodnika. Gdy jednak autobus rzeczywiście stanie właśnie w tym miejscu, i tak nie zarobią – wyprzedzają ich taksówkarze, którzy natychmiast obskakują pasażerów, oferując swoje usługi.

Pobocze drogi ze strefy leniwego oczekiwania zmienia się w teatr wojny błyskawicznej o klienta. Czas zaczyna pędzić, każdy szuka swoich 5 minut, dzięki którym zarobi na jedzenie dla



rodziny albo na impulsy do telefonu komórkowego.

\*

Komórkę ma tu prawie każdy. W ostatnich kilku latach liczba telefonów w Ghanie wzrosła o ponad 300% i ciągle rośnie. Bo komórka jest wyznacznikiem statusu społecznego. Zwłaszcza we wsiach, gdzie wśród mieszkańców jest czasem 80% analfabetów, wypada mieć komórkę.

Jeszcze w latach 90. pomyśl, by firmy telekomunikacyjne inwestowały w biednej Afryce, wydawał się surrealistyczny. Kto miał kupować te telefony, a potem płacić za rozmowy? W Afryce nie było telefonów i wszyscy o tym wiedzieli. Gdy pod koniec lat 90. południowoafrykańska MTN Group badała rynek nigeryjski, eksperci oceniali jego potencjał na 15 milionów użytkowników. MTN zaczęło działalność w Nigerii w 2001 roku. W 2007 było w tym kraju już 30 milionów użytkowników telefonów komórkowych, a w 2011 będą ich 52 miliony. W Ghanie, kraju liczącym 24 miliony ludzi, 9 milionów ma komórki. Z kontynentu pozbawionego telefonów Afryka w ciągu kilku lat zmieniła się w raj dla rozmownych.

Czyli dla wszystkich Afrykanów. Rozmowa jest tu bowiem podstawową formą kontaktu międzyludzkiego. Nie da się, jak w Europie, siedzieć w restauracji, na przystanku, w autobusie – nie rozmawiając. W krajach takich jak Mali czy Senegal opowiadanie historii jest sztuką i jedną z podstawowych form budowania więzi społecznych. W RPA, Kenii, Ghanie rozmowy o polityce, rodzinie, narodzie rozpalają namiętności, wypełniają czas, budują sojusze i rodzą antagonizmy. Komórkami posługują się Tuaregowie na malijskiej pustyni, Masajowie na kenijskiej sawannie i taksówkarze w Akrze – nie wyjdiesz z taksówki, zanim nie wymienisz się z kierowcą numerem telefonu. Nie szkodzi, że nigdy do niego nie zadzwonisz ani on do ciebie. Bo nie chodzi tylko o to, aby właściciel komórki gdzieś dzwonił. Wystarczy, że ją ma – to oznacza, że jest „nowoczesny”.

Komórka jest też oznaką wpływów – bo zawsze mogę wykręcić numer i załatwić coś na odległość. W tradycyjnych społeczeństwach agrarnych, a takie dominują w Ghanie i całej Afryce Subsaharyjskiej, o pozycji społecznej jednostki decyduje między innymi umiejętność prowadzenia dyskursu, zdolność przekonywania, perswazji. Komórka jest instrumentem, który doskonale wpisuje się w tę tradycję, a równocześnie nobilituje właściciela, dając mu poczucie przynależności do sfery nowoczesnej. Komórka w Afryce to idealny przykład harmonijnego rozwoju bez burzenia tradycji.

\*

Zamawiam taksówkę z plaży Labadi w Akrze do centrum. Większość dróg dojazdowych jest zakorkowana, więc mój kierowca John sprawnie prowadzi mnie bocznymi drogami. Pytam, ile godzin dziennie pracuje.

– 12, czasem 16 – mówi. – Cały czas pracuję.

John ma czwórkę dzieci. Dwoje najstarszych chodzi do szkoły, za którą musi płacić. Zarabia 700 dolarów miesięcznie. Jego żona dorabia jako kelnerka – zarabia 300, może 400 dolarów z napiwkami. John jest uśmiechnięty, zadowolony z życia, sypie dowcipami i anegdotami. Na nic nie narzeka. Tylko duszno strasznie i smog nad miastem wisi, bo to czas harmatanu, wiatru znad Sahary.

– W tej chwili w Ghanie da się żyć – mówi. – Trzeba ciężko pracować, ale jeśli ktoś jest na to

gotowy, może się dorobić. Oby tylko politycy się nie mieszała, to wszystko będzie dobrze.

\*

W gazetach futbol konkuruje z relacjami z Kenii, gdzie po wyborach w grudniu 2007 roku trwa krwawa jatka międzyplemienna. Jeden z komentatorów piłkarskich rzuca retoryczne pytanie: „Czy jedną z przyczyn powyborczych zamieszek w Kenii w 2008 roku nie jest przypadkiem fakt, że kraj ten nie posiada reprezentacji piłkarskiej odnoszącej sukcesy i łączącej w sobie różne grupy narodowe?”.

Futbol jest tu traktowany niezmiernie poważnie. Nie ma w tym kibicowaniu cienia dystansu czy ironii. Reprezentacja Ghany wygrywa pierwsze dwa mecze w grupie, ale kibice i media mieszają z błotem trenera i piłkarzy – za to, że nie umieją grać i że w ogóle im nie zależy. Po tym, jak kibice grożą spaleniem jego domu, napastnik Asamoah Gyan zapowiada, że wycofa się z reprezentacji. Wszystko dlatego, że nie strzelił do pustej bramki w wygranym przez Ghanę meczu z Namibią. Policja zapewnia rodzinie piłkarza ochronę, Gyan zostaje z drużyną.

Trenerowi dostaje się za to, że na niczym się nie zna, źle ustawia zespół i na dodatek jest Francuzem, „wyrobnikiem trenerskim”, który od lat tuczy się na biedzie Afryki, bo Ghana to nie pierwszy zespół z tego kontynentu, który prowadzi. „Kolonizatorzy nieźle się spisali – mówi w telewizji ekspert piłkarski. – Co prawda nie rządzą Afryką, ale tak zniewolili nasze umysły, że nie potrafimy sami dobrać sobie afrykańskich trenerów”.

W końcu Ghana wygrywa trzeci mecz w swojej grupie z Marokiem 2:0, i to w doskonałym stylu. Awansuje do ćwierćfinału mistrzostw. Media i kibice pieją z zachwytem. W jednej z gazet ukazuje się artykuł, w którym autor składa podziękowania za sukces (w następującej kolejności):

1. Panu Bogu.
2. Prezydentowi Kufuorowi, za złożenie niezapowiedzianej wizyty w obozie reprezentacji przed meczem, czym zainspirował graczy i trenera do lepszej postawy.
3. Trenerowi Claude'owi Le Roy.
4. Naszym Black Stars, „Czarnym Gwiazdom”, które wreszcie zaślnęły pełnym blaskiem.

Następnego dnia inna gazeta dodaje jeszcze jeden powód: „konstruktywną krytykę ze strony mediów, która zmobilizowała piłkarzy”.

Berti Vogts, były reprezentacyjny piłkarz niemiecki, potem wybitny trener, obecnie szkoleniowiec reprezentacji Nigerii, nie zgodził się, by prezydent tego kraju zainspirował piłkarzy pogawędką przedmeczową. Uznał, że może to zdekoncentrować zawodników. Działacze Nigeryjskiego Związku Piłki Nożnej musieli wytłumaczyć Niemcowi, że nie ma racji. „Prezydent Umaru Yar'Adua jest pierwszym obywatelem naszego kraju i ma prawo zwracać się do piłkarzy reprezentacji narodowej, kiedy chce”, wyjaśnił prezes związku. Vogts musiał się zgodzić z takim postawieniem sprawy.

Nigeria gra źle. Z trudnością wyszła z grupy eliminacyjnej, ale interwencja prezydenta nie miała z tym nic wspólnego. Kierownictwo związku oficjalnie potwierdziło również, że trener Berti Vogts cieszy się poparciem władz i kibiców nigeryjskich.

Zawodnicy reprezentacji Egiptu przed swoim meczem ćwierćfinałowym dokonali rytualnego uboju krowy, a następnie przed wyjściem na trening wysmarowali swoje ciała jej krwią. Ghańczyków tego typu praktyki niepokoją, ponieważ łączą je oni z kultem *dżudzu*. A z *dżudzu*, jak wiemy, nie ma żartów. Przedstawiciel delegacji Egiptu wyjaśnił, że ofiarowanie krowy przez

piłkarzy nie ma nic wspólnego z zabobonami i jest tradycyjną praktyką religijną, w której chodzi o podziękowanie Allahowi za otrzymane łaski.

\*

Ghańczycy bacznie zwracają uwagę na każdy zagraniczny komentarz dotyczący organizacji mistrzostw. Nie mają się czego wstydzić. Stadiony są nowoczesne, doskonale przystosowane do imprezy tej rangi. Na meczach jest bezpiecznie, centrum obsługi mediów wyposażone jest lepiej niż na niejednym turnieju tego typu w Europie: pod dostatkiem komputerów z dostępem do szerokopasmowego internetu, wolne miejsca na trybunie prasowej, autobusy wożące dziennikarzy do miast, w których rozgrywane są mecze.

Ale te stadiony są jak enklawy dobrobytu w ciągle niedorozwiniętym kraju. W Tamale na północy Ghany władze alarmują, że kibice nie potrafią korzystać z toalet; muzułmanie, którzy dominują w tym regionie, dokonują rytualnych ablucji w umywalkach. Nikt nie pomyślał o tym, by na stadionie albo w jego okolicach umieścić mały meczet, co tak bardzo ułatwiłoby życie ludziom.

W Sekondi podczas drugiego meczu turnieju na pół godziny wyłączono światło. Przez następny tydzień trwała debata publiczna, w której – oczywiście bezskutecznie – szukano winnego takiej hańby. W setkach miast w Ghanie codziennie zdarzają się wielogodzinne przerwy w dostawie prądu, lecz Ghańczycy traktują je jak dopust boży – nikt się tym nie interesuje, podobnie zresztą jak przerwami w dostawie wody. Ale na mistrzostwach miało być inaczej, bo „świat patrzy”. Miały nawet powstać drogi między miastami – nie powstały, bo budowniczowie nie zdążyli. Nie szkodzi, zagranicznych dziennikarzy przewiezie się po wertepach klimatyzowanymi minibusami, kibice jakoś przecierpią podróż autobusem, bo oni wszystko zniosą, a reszta narodu nawet nie zauważy, że odbyły się mistrzostwa Afryki. Chyba że wygra je Ghana i wtedy okaże się to kolejnym wielkim sukcesem kraju pod światłym przywództwem prezydenta.

\*

Są miejsca w Afryce, gdzie należy się bać i gdzie strach jest odruchem ratującym plecak, telefon komórkowy, czasem życie. Są też takie, gdzie strach jest nie na miejscu. Najbardziej trzeba się bać w krajach bogatych. „Bogatych” oczywiście umownie. O ich bogactwie nie świadczy bowiem poziom życia obywateli – jest zwykle podobny lub jeszcze niższy niż w krajach „biednych” – tylko procent wzrostu gospodarczego albo ilość wydobywanej ropy. Im więcej ropy, gazu, złota i boksytów, tym większe rozwarstwienie na bogatych i biednych. Jedni, usadowieni wygodnie u władzy, kradną zyski z eksportu surowców, koncesji na wydobycie i umów z inwestorami, a cała reszta może się tylko przyglądać i tłamsić w duszy pretensje. Albo napadać na bogatych. Tak jest w Nigerii, Angoli, Demokratycznej Republice Kongo, w niektórych częściach Sudanu czy RPA. Dlatego tam strach jest bardzo dobrym doradcą podróżnika.

Ale w takich miejscach jak Ghana przyjeźdnemu nic nie grozi. Ghana jest strefą bezpieczną, co nie znaczy, że wolną od złodziei, ci są przecież wszędzie. W Akrze ukradli mi dyktafon i telefon komórkowy; na stadionie narodowym, tuż przed meczem Ghana – Maroko. To była dobra, profesjonalna robota. Tym bardziej godna uznania, że złodziejom groziło większe niebezpieczeństwo niż mnie. Przed stadionem było mnóstwo policji, tłumy ludzi, feta, muzyka,

tańce, zabawa na całego. Fotografowałem jak w transie, a dwóch złodziei w tym czasie opróżniło mi kieszenie. Nawet wiem, kiedy to się stało, choć zorientowałem się jakieś 20 sekund za późno. Robota pierwsza klasa. Trzeba mieć tupet, żeby wykonać taki numer, i to na oczach policji, która wobec złodziei bywa skrajnie brutalna. Na szczęście dla siebie – nie wpadli, a ja chwaliłem ich w duszy za zawodowstwo i pewną delikatność wobec mojej osoby.

\*

– **Boję się** tej ropy w Zatoce Gwinejskiej – mówi mi publicysta dziennika „Daily Graphic” John Asare-Bediako. Niedawno u wybrzeży Ghany w Zatoce Gwinejskiej odkryto pokłady, których ilość ocenia się na 10 miliardów baryłek. To stawia Ghanę obok Angoli, Nigerii, Sudanu w roli głównych wydobywców ropy w Afryce. – W Afryce mówimy o „przekleństwie bogactwa”. Wszędzie, gdzie odkrywano ropę, złoto, diamenty, pojawiała się też ludzka nędza, wojny, nieszczęścia.

„Za 10 lat Ghana będzie bogatym społeczeństwem – pisze w tej samej gazecie minister finansów. – Już dziś jesteśmy jednym z najważniejszych graczy na rynku złota, a będziemy eksporterem ropy i stworzymy silny sektor bankowy”.

– Mam nadzieję, że minister ma rację – mówi John Asare-Bediako. – Od lat mamy w kraju ustabilizowaną demokrację, ale nie mam pojęcia, czy ona wytrzyma, gdy na wyciągnięcie ręki będą tak ogromne pieniądze.

\*

**W Ghanie mówi się 50 językami**, ale gazety ukazują się prawie wyłącznie po angielsku. W lokalnych językach wydaje się niewiele książek, których zresztą i tak nikt nie czyta. W rezultacie Ghańczycy mówią słabo po angielsku, bo jest to w końcu ich drugi albo trzeci język, i nie potrafią pisać ani czytać we własnych językach narodowych. 50 lat po wywalczeniu przez kraj niepodległości rośnie kolejne pokolenie ludzi, którzy naśladową obcy język i nie tworzą żadnej wartej wzmianki literatury we własnych językach.

Pytam Johna Asare-Bediako, kto jest temu winny.

– Jak to kto? My oczywiście – mówi. – U nas notorycznie myli się przyczyny ze skutkami. Godzinami potrafimy debatować na temat tragicznych konsekwencji kolonializmu. Uwielbiamy grę w szukanie winnych naszego niedorozwoju w każdej dziedzinie. I nie rozumiemy, że w ten sposób oddajemy własny los w cudze ręce. A przecież tylko my sami, biorąc odpowiedzialność za siebie, możemy zmienić życie w tym kraju. Jeśli chcemy, by nasze języki nie zniknęły, to musimy uczyć małe dzieci, jak się nimi posługiwać. Ghańskie dzieci powinny pisać i czytać w języku, którym posługują się w domu. Inaczej będziemy kulturą odtwórczą, bo przecież my w żaden sposób nie rozwijamy języka angielskiego, co najwyżej naśladowujemy Anglików i Amerykanów. I to jeszcze słabo naśladowujemy.

Pytam go, co myśli o podgrzewaniu narodowych emocji wokół Pucharu Narodów Afryki.

– Wolałbym, żeby coś więcej po nim zostało niż tylko te nowoczesne stadiony. My je zbudowaliśmy na pokaz, a nie dla siebie. Dla siebie mogliśmy zbudować drogi czy lepsze tanie hotele, ale z tym nie zdążyliśmy.

\*

**Pierwszy prezydent Ghany Kwame Nkrumah** jest tutaj do dziś uważany za świętego

męczennika za sprawę wolności Afryki. Po części słusznie. Nkrumah, obok takich afrykańskich polityków jak Julius Nyerere z Tanzanii, Joshua Nkomo, a potem Robert Mugabe z Rodezji Południowej (dziś Zimbabwe), Léopold Senghor z Senegalu, Sékou Touré z Gwinei, Kenneth Kaunda z Rodezji Północnej (Zambia), Patrice Lumumba z Konga czy Hastings Banda z Malawi, dawał wyzwolanej z kolonializmu Afryce nadzieję na pomyślną przyszłość.

Nkrumah wierzył dodatkowo, że możliwe jest zjednoczenie Afryki pod jednym przywództwem (wkrótce miało się okazać, że jedynym kandydatem na takiego panaafrykańskiego władcę był on sam), co rozpałało wyobraźnię milionów Afrykanów, dla których zerwanie z kolonializmem oznaczało automatycznie początek nowej, wspaniałej ery w rozwoju kontynentu. „Nasza niepodległość jest pozbawiona znaczenia, jeśli nie będzie jej towarzyszyć całkowite wyzwolenie kontynentu afrykańskiego”, ogłaszał Nkrumah w dniu uzyskania przez Ghanę niepodległości.

Ghana była w tym projekcie państwem wzorcowym. Gdy w 1957 roku pod przywództwem Nkrumaha uzyskiwała niepodległość, była najbogatszym krajem w Afryce podzwrotnikowej. Działał w niej porządny, odziedziczony po Brytyjczykach system służby cywilnej, niezależna władza sądownicza, parlament z gronem doświadczonych polityków zarówno rządowych, jak i opozycyjnych. Niemal połowa ludności kraju należała do grupy etnicznej Akan, co ograniczało potencjał sporów na tle narodowościowym. Kwame Nkrumah miał zaledwie 47 lat i sześćoletnie doświadczenie jako premier samodzielnego rządu, gdyż Brytyjczycy oddali władzę lokalnemu rządowi pod jego przywództwem już w 1952 roku.

Perspektywy gospodarcze Ghany wyglądały imponująco. Kraj był największym na świecie producentem i eksporterem kakao, posiadał duże złoża złota i boksytów, lasy stanowiły niewyczerpane źródło drewna. Dodatkowo wskutek wysokich cen tych surowców w latach 50. Ghana dysponowała ogromnymi rezerwami walutowymi.

W ciągu 8 lat Kwame Nkrumah roztrwonił całe to bogactwo materialne i potencjał społeczny. Ten sam człowiek, który powołał do życia niepodległą Ghanę, doprowadził ją do gospodarczego i politycznego rozpadu. Z jednego z najbogatszych i najbardziej rozwiniętych politycznie państw Afryki kraj stał się bankrutem obciążonym potężnymi długami. Stopa życiowa mieszkańców spadła do poziomu z 1939 roku. Demokracja została zawieszona, a w jej miejsce powstał system jednopartyjny z wszechwładzą popleczników Nkrumaha. Kwitła korupcja. Kolektywizacja doprowadziła do upadku rolnictwa, nacjonalizacji przemysłu i tworzenia państwowych molochów korporacyjnych, co rodziło klasę biurokratów, którzy w gronie rodzinnym i plemiennym wymieniali się stanowiskami.

Pomysł stworzenia Stanów Zjednoczonych Afryki okazał się mrzonką (nie znaczy to, że przestał budzić emocje – do dziś wielu Afrykanów w niego wierzy), bo szybko się okazało, że interesy wielu państw kontynentu są rozbieżne. Co więcej, Nkrumah bardzo chętnie wspierał działania międzynarodowych rebeliantów. Przy pomocy ekspertów z NRD i Chin organizował obozy szkoleniowe dla przeciwników rządów z 9 krajów afrykańskich. Jego agenci brali udział w zamachu na prezydenta Togo Sylvanusa Olympio, a wyszkolony w Ghanie zamachowiec próbował zabić prezydenta Nigru Hamaniego Dioriego.

– To CIA wykończyła Nkrumaha – mówi mi John Asare-Bediako.

Zasadniczo publicysta „Daily Graphic” ma rację. Amerykanie przerażeni rozwojem sytuacji w Ghanie wsparli wojskowych, którzy dokonali zamachu stanu w lutym 1966 roku. Jednak do puczu nigdy by nie doszło, gdyby Kwame Nkrumah nie doprowadził swojego kraju do skrajnej nędzy i politycznej dyktatury.

Pytam Johna, dlaczego nie chce przyznać, że to ich bohater narodowy był winny upadku kraju, że to przez niego Ghana – choć dziś, po wielu latach rządów wojskowych dyktatur, stanowi modelowy przykład demokracji w Afryce – straciła kilkadziesiąt lat w rozwoju.

– Kwame Nkrumah jest częścią historii tego kraju i Afryki. Owszem, popełniał błędy, ale to dzięki niemu jesteśmy dziś niezależni. Każdy popełnia błędy, nawet bohater.

\*

W ćwierćfinale Pucharu Narodów Afryki Ghana gra z Nigerią.

Michael tłumaczy mi, że to będzie niesamowity mecz, coś jak w Europie mecze między Niemcami a Holandią.

– Dlaczego? – pytam.

– My nie znosimy Nigeryjczyków. Nikt ich nie znosi w Afryce. Wszyscy uważają ich za bandziorów i złodziei. To oni przywożą tutaj przemoc, to oni okradają banki z bronią w rękę i wymyślają jakieś przekręty finansowe, żeby oskubać nawet największych biedaków.

– No to chyba lepiej dla całej Ghany, jak z nimi wygrać.

– Nawet nie chcę myśleć, co będzie, gdybyśmy przegrali... – mówi Michael. – Ale wygramy.



Kibic reprezentacji Ghany przed ćwierćfinałowym meczem Ghany z Nigerią w Pucharze Narodów Afryki 2008



Radość ze zwycięstwa nad Nigerią – przed Stadionem Narodowym w Akrze

\*

Stoję pośród dziennikarzy czekających na wejściówki na mecz Ghana – Nigeria, gdy nagle wśród nas (czyli około setki spoconych, zmęczonych ponadgodzinnym czekaniem i poważnie wnerwionych biletową nieudolnością organizatorów mężczyzn) pojawia się młoda wydekoltowana Amerykanka w bluzce z napisem głoszącym pochwałę kondomów; chodząca reklama firmy Durex.

Amerykanka trzyma w ręku harmonijkę prezerwatyw i zachęca nas do wzięcia od niej kilku sztuk. Na moment gniew mężczyzn pryska i zaczynają działać zmysły. Dziewczynę otacza wianuszek, głównie afrykańskich, dziennikarzy wpatrzonych w jej dekolt i spijających słowa z jej ust. A ona wygłasza wykład na temat technik prawidłowego zakładania prezerwatywy na członka. Ma zresztą przy sobie członek treningowy, na którym pokazuje, jak to zrobić, żeby było dobrze. W sposób niesłychanie precyzyjny opisuje od strony technicznej wszystkie możliwe aspekty użycia prezerwatywy, włącznie z właściwym „zarządzaniem odpadami”, czyli użytym kondomem (tak, właśnie tego zwrotu użyła: „*waste management*”). Podkreśla również, że zbyt ambicjonalne podejście mężczyzn do tematu, zwłaszcza nieprawidłowy dobór rozmiaru kondomu, bywa przyczyną wielu nieporozumień, a nawet tragedii.

Amerykanka mówi długo i głośno, demonstruje obrazowo, co zresztą spotyka się z uznaniem adorującego ją stada samców. Niektórzy biorą od niej darmowe kondomy. Czas stania w kolejce mija – jeśli nie szybciej, to na pewno ciekawiej.

\*

**Znowu kondomy.** Czyja to obsesja? Nasza czy ich? Już w Dakarze zrozumiałem, że zarażenie się wirusem HIV albo chorowanie na AIDS bywa w wielu wspólnotach w Afryce równoznaczne z wyrokiem wykluczenia, a stosowanie prezerwatyw – przyznaniem się do „winy”.

– Zarażeni są wyrzucani z domu, nie mogą znaleźć pracy. Muszą się ukrywać ze swoją chorobą – mówi mi polski ksiądz werbista Joachim Mika od lat pracujący w Akrze z chorymi na AIDS.

– Dlaczego ludzie są tutaj tak okrutni wobec siebie?

– Dla nich to nie jest przejaw okrucieństwa. Takie choroby jak AIDS czy trąd nie zdarzają się przypadkiem, oni uznają je za karę bożą. Diabeł potrafi opętać człowieka, a choroba jest widocznym znakiem takiego opętania. Kogoś, kto dostał się pod wpływ diabła, trzeba odrzucić dla własnego bezpieczeństwa.

Ghana wygrała z Nigerią po pasjonującym meczu, ale przegrała w półfinale z Kamerunem i nie zdobyła Pucharu Narodów Afryki w 2008 roku. Życie wróciło do normy.

\*

14 lutego w walentynki rząd wezwał do przemienienia tego zachodniego święta w wielkie święto czekolady. „Nie chcemy, by Ghana małpowała Amerykę. Ale nie rezygnujemy z miłości – pisał dziennik »The Ghanaian Times«. – Obdarujmy kochane osoby czekoladą. To będzie piękny narodowy gest, w końcu jesteśmy ojczyzną kakao”.

---

[4] Karen Blixen, *Pożegnanie z Afryką*, tłum. Józef Giebułtowicz, Poznań 1987, s. 202.



## Etiopia: my nie jesteśmy Afrykanami

Gdy piszę te słowa, w Polsce jest 16 stycznia 2008 roku. W Etiopii mamy 6 stycznia. Zaraz wyjaśnię dlaczego, ale najpierw jeszcze godzina. Teraz dochodzi 2 w nocy, czyli 18 czasu polskiego i 20 czasu „normalnego” – tak go nazwijmy. Bo w Etiopii według tego normalnego czasu jestem 2 godziny do przodu względem Polski. Tylko że w Etiopii czas liczy się od wschodu do zachodu słońca, co jest tak samo logiczne i zgodne z naturą ludzką jak ruch lewo-, a nie prawostronny – jest to wytłumaczone w każdej książce do nauki angielskiego.

6 rano to w Etiopii godzina zero, o 7 jest 1 rano, o 8 – 2 rano itd. W południe, czyli o 6 czasu etiopskiego, zaczyna się popołudnie, które trwa do 12, czyli do zachodu słońca, a więc do 18 czasu normalnego. A od 12, to jest od 18 tego normalnego czasu, zaczyna się noc trwająca 12 godzin – czyli 19 to jest 1 w nocy, 20 to 2 w nocy itd. Wszystko to trzyma się kupy. Naprawdę.

W Etiopii rok zaczyna się 11 września, bo ich kalendarz ma 13 miesięcy – „13 miesięcy słońca”, jak mówią pracownicy biur podróży. To jest prawda, tylko zapominają dodać, że w dzień świeci słońce, a w nocy jest piekielnie zimno. Addis Abeba leży na wysokości 2400 metrów. Marzną. Nie wziąłem ciepłych swetrów, bo przecież nikt rozsądny nie bierze ciepłych swetrów do Etiopii, prawda?

Ten ostatni, 13 miesiąc w kalendarzu etiopskim ma tylko 5 dni, ale nie dokłada się go po grudniu, tylko pod koniec sierpnia albo na początku września – nie ustaliłem dokładnie kiedy. W każdym razie w roku ubiegłym Nowy Rok wypadł nie 11, tylko 12 września, bo był to rok przestępny. Czyli gdy piszę te słowa, mamy 6 dzień 5 miesiąca, ale to nie jest oczywiście maj – bo niby dlaczego w styczniu miałyby wypaść maj? To jest 6 stycznia, który w Etiopii oznacza wiosnę.

I teraz będzie najlepsze: to jednak nie jest 6 stycznia 2008 roku, tylko 2000 roku. Etiopczycy posługują się kalendarzem juliańskim, a nie gregoriańskim, czyli są 7 lat za nami, i właśnie teraz przypada u nich początek nowego milenium. Zakładając oczywiście, że nowe milenium zaczyna się w roku 2000, a nie 2001, jak głoszą niektórzy. Ale Etiopczycy nie mają czasu na dzielenie włosów na czworo. 2000 to 2000 i koniec. Dla nich zaczyna się właśnie nowe tysiąclecie.

\*

Jadę samochodem z Addis Abeby do miejscowości Bahir Dar, 550 kilometrów na północny zachód od stolicy. Wzdłuż całej trasy poboczem idą ludzie. Dzieci do szkoły, robotnicy wynajmujący się na dzień do pracy w polu, handlarze gnający swoje objuczone towarami osiołki do miasta na targ. Nie ma przerw w tej procesji, w miastach tłum tylko się zagęszcza, bo tutaj cały naród wylega na ulicę. Na jezdni mieści się centrum życia. Nasz kierowca trąbi, a rozdyskutowane grupki ospale rozstępują się na boki. Wjeżdżamy w stada wołów i owiec, leniwe psy przechodzą przez jezdnię, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo. Niektóre giną

pod kołami rozpędzonych wozów, a potem ich szczątki leżą godzinami w słońcu. Pytam kierowcę, kto sprzątnie to ścierwo.

– Sępy – odpowiada. – Jutro będzie tu czysto.

Mijamy przełomy Nilu Błękitnego oddzielającego południe Etiopii od północy. Ziemia urywa się tu nagle, a potem spada kilkaset metrów do mostu, który stanowi jedyną przeprawę przez Nil. Droga wiję się wąskimi serpentynami, jest tylko częściowo wyasfaltowana, reszta to kamienie, żwir, piasek. Mijamy jakieś wywrócone samochody, widzę ciężarówkę zwisającą ze skał kilkadziesiąt metrów pod nami.

– Jest tu od bardzo dawna – mówi mój etiopski przewodnik Mafi. – Nie ma jej jak zdjąć... Ale zwłoki kierowcy wyciągnęli – dodaje.

Etiopczycy idą albo biegną. W Addis Abebie na placu Meskel w centrum miasta od 4 rano zbierają się setki ludzi i biegają w kółko. Niektórzy wbiegają na wzgórze Entoto serpentyną wijącą się przez las. Różnica poziomów – 300 metrów. Podjazd jest tak stromy, że nasz terenowy wóz ledwo ciągnie. A oni biegną bez wysiłku, jak najlepsi na świecie – Haile Gebrselassie albo Meseret Defar.

Etiopczycy i Kenijczycy żyjący na obszarach Wielkich Rowów Afrykańskich mają więcej czerwonych krwinek i większe serca niż przeciętni ludzie. To, że najlepsi z nich trenują po kilka godzin dziennie, oczywiście też pomaga, ale oni po prostu mają naturalny talent. Najlepszy dziś biegacz na świecie, Haile Gebrselassie, pochodzi z rejonu Arsi, jakieś 300 kilometrów na południe od stolicy. Podobno codziennie musiał biec do szkoły kilka kilometrów, i tak mu zostało. Bo na etiopskiej wsi nie ma autobusów ani telefonów, ani elektryczności.

Haile i tak miał szczęście, że chodził do szkoły. W Etiopii tylko połowa dzieci pobiera naukę, bo gdyby do szkoły poszły wszystkie, to zawałiłoby się etiopskie rolnictwo.

Przejeżdżamy przez wsie i oglądam kilkulatnie dzieci pracujące na roli, ścinające sierpem teff, najpopularniejsze tutejsze zboże, poganiające woły, które ciągle są w Etiopii głównymi zwierzętami roboczymi. Dziewczynki i chłopcy noszą na głowach jakieś kilkumetrowe gałęzie, ogromne worki z sianem albo długie łodygi trzciny cukrowej.

Mijamy porzucone na polu wraki radzieckich czołgów, pozostałości po rewolucji antykomunistycznej z lat 80., kiedy Erytrejczycy i Tigrajczycy walczyli w tym rejonie przeciwko wojskom Mengystu Hajle Marjama. Dziś czołgi służą do zabawy wiejskim dzieciom.



## Zbiory teffu, najpopularniejszego zboża w Etiopii



Wraki radzieckich czołgów porzuconych w latach 80. służą do zabawy wiejskim dzieciom

\*

**Wojna, głód, susza.** Umierające dzieci z chmarami much wokół twarzy i koncerty muzyki pop organizowane na wielkich stadionach w ich imieniu. Tyle w Europie wiemy o Etiopii – monarchii, której korzenie sięgają X wieku przed Chrystusem, a początki państwowości I wieku naszej ery. Etiopia to raj dla archeologów, kolebka prehistorycznego człowieka, ale też skarbnica kultury i cywilizacji ludzkiej: jedyny kraj afrykański z odrębnym alfabetem, jeden z najstarszych na świecie krajów chrześcijańskich z Biblią przetłumaczoną na miejscowy język gyyz w pierwszych wiekach naszej ery, ze świętymi księgami i niezależnym Kościołem, który istnieje do dziś i skupia większość Etiopczyków. Kościołem, który najpierw podlegał formalnie Aleksandrii, a od 1959 roku jest całkiem samodzielny – dziś w hierarchii Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego nie ma ani jednego Egipcjanina.

Misjonarze katolicki nie zajmują się tu nawracaniem na katolicyzm – jest to zakazane, a ostatnie takie próby podjęli portugalscy jezuiti w XVII wieku. Próby nieudane. Etiopczycy przepędzili ich, podobnie jak 300 lat później, w latach 30. XX wieku, nie ugięli się pod okupacją Włochów. Nigdy nie byli krajem skolonizowanym i zawsze odsyłali niedoszłych pogromców z kwitkiem. Portugalczycy zostawili po sobie parę mostów, Włosi drogi i instytucje, ale rzymski katolicyzm wyznaje nie więcej niż kilka procent ludzi.

W połowie XX wieku Etiopia była jednym z najbardziej podziwianych państw na świecie – w 1935 roku amerykański magazyn „Time” nadał cesarzowi Hajle Syllasje tytuł Człowieka Roku, Polska przyznała mu Order Orła Białego już 5 lat wcześniej. I jeśli w budzącej się do niepodległości Afryce przełomu lat 50. i 60. istniał niepodważalny symbol niezależności, godności i wielkości cywilizacyjnej kontynentu, to była nim właśnie Etiopia. Jeśli jeden przywódca miałby uosabiać aspiracje młodych afrykańskich liderów stających wówczas na czele swoich państw, to byłby nim cesarz Hajle Syllasje I, dziedzic monarchii, którą – według tradycji – założyli król Salomon i królowa Saby. W kraju był czczony jako „Namaszczony przez Boga”, na Jamajce uznawany za „Boga żywego” przez rastafarian, wyznawców religii, której nazwa pochodzi od prawdziwego imienia cesarza – Ras Tafari. Na całym świecie uważany jest za

jednego z najwybitniejszych mężów stanu, wytrawnego dyplomate, największego w historii modernizatora Etiopii.

\*

Próbuję namówić znajomych Etiopczyków na rozmowę o tragicznych wydarzeniach w Kenii. Każdego dnia stycznia 2008 roku coraz obficie rozlewa się fala przemocy po grudniowych wyborach w tym kraju. Zachęcam do rozmowy, ale bez skutku. Najwyraźniej zupełnie ich to nie interesuje.

– My nie mamy z nimi nic wspólnego – mówi mi Yasser Bagersh, właściciel Cactus Advertising, największej w Etiopii agencji reklamowej. – U nas nigdy nic takiego nie mogłoby się wydarzyć.

– Dlaczego?

– Dlatego że my cenimy życie. W tym kraju właściwie nie ma przemocy. Możesz wyjść na ulicę w środku nocy i nic ci nie grozi. Gdy w Addis Abebie ktoś popełni morderstwo, to jest to tak wyjątkowe wydarzenie, że wszystkie gazety o tym piszą.

– Dlaczego tak jest?

– Bo my się boimy Boga – odpowiada bez zająknięcia. – Oni tam w Kenii, w Rwandzie czy w Kongu Boga się nie boją. Oni wierzą w jakieś voodoo, uważają, że Boga można przekupić, a gdy diabeł wstępuje w człowieka, to trzeba go zabić. My w to nie wierzymy. My nie mamy z nimi nic wspólnego, właściwie nie jesteśmy Afrykanami.

– A kim jesteście w takim razie? – pytam.

– Etiopczykami.

\*

Hajle Syllasje rządził Etiopią od 1916 roku – najpierw jako regent, a od 1930 roku jako cesarz. Zniósł niewolnictwo, rozpoczął zakrojony na ogromną skalę proces unowocześniania kraju. Powstawały nowe szpitale, uniwersytety, zbudowano drogi i linię kolejową nad Morze Czerwone. Po wojnie stworzono sprawnie działający system służby cywilnej i nowoczesną, największą w Afryce armię wyposażoną między innymi w myśliwce odrzutowe.

Jednocześnie Hajle Syllasje był monarchą absolutnym, takim samym feudalnym autokratą jak jego poprzednicy na tronie. System rządów w kraju oparty był na powiązaniach osobistych i tytularnych kontrolowanych całkowicie przez cesarza; cała władza należała do monarchy, Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego i poddanych monarsze rodzin arystokratycznych dysponujących największym bogactwem Etiopii – ziemią. Hajle Syllasje do końca swoich dni utrzymywał system feudalny na wsi, i to właśnie ten system w ogromnym stopniu przyczyniał się do okresowych klęsk głodu w kraju. Trzy czwarte chłopów pracowało na ziemi dzierżawionej od arystokracji. Płacili oni 75-procentowy podatek od zbiorów, zobowiązani byli pracować za darmo na polach właściciela ziemi, którą dzierżawili, i świadczyć mu najprzeróżniejsze usługi. Chłopi żyli w nieustannym strachu przed wyrzuceniem z dzierżawionych działek.

System, który utrzymywał Hajle Syllasje, twórczo rozwinął pogromca i następcę cesarza, komunistyczny rebeliant Mengystu Hajle Marjam, z tym że w Etiopii komunistycznej rolę feudała przejęło państwo, doprowadzając do jeszcze większego niż przedtem rozdrobnienia gospodarstw na wsi, narzucając chłopom głodowe ceny skupu i, przede wszystkim, wprowadzając przymusową nacjonalizację ziemi.

Do dziś Etiopia nie uporała się z feudalnym bagażem monarchii i komunistycznego wyzysku chłopstwa. Mimo reform agrarnych większość gospodarstw to ciągle drobne farmy należące nominalnie do państwa. Zdecydowaną większość mieszkańców kraju stanowią chłopi, których migracja do miast jest zakazana – w Etiopii obowiązuje system pozwoleń na przemieszczanie się po kraju skutecznie blokujący możliwości przeprowadzki do większych aglomeracji. Wszystko po to, by kontrolować ludność i w zarodku gasić jakiekolwiek zarzewie oporu. Tak było za czasów cesarza, tak było za czasów komunizmu i tak jest teraz, gdy w Etiopii rządzi jeden z afrykańskich ulubieńców Stanów Zjednoczonych Meles Zenawi.

\*

Yasser Bagersh jest Amharem, należy do grupy etnicznej, z której wywodzą się władcy Etiopii i jej elity. Obecny premier po dojściu do władzy na początku lat 90. zapowiedział uczynienie z Etiopii „federacji etnicznej”, co w praktyce miało polegać na ograniczeniu wpływów semickich plemion Amharów i Guragie. Opozycja parlamentarna porównywała jego metody „uwłaszczenia” wcześniej dyskryminowanych plemion i rozdawania stanowisk według klucza narodowościowego do apartheidu w RPA. Inni (separatyści z ludu Oromo i z regionu Ogaden) zarzucali Zenawiemu, że rządzi jak nacjonalistyczny dyktator, a jedynym rozwiązaniem dla Etiopii jest jej rozpad.

Pytam Yassera, czy czuje się wyżej postawiony niż reszta Etiopczyków.

– Oficjalnie wszyscy jesteśmy równi. Nieoficjalnie grupy semickie: Amharowie, Tigraj, Harari, uważają się za lepszych od innych. Tak jak Etiopczycy generalnie uważają się za lepszych od innych Afrykanów.

Yasser jest spokrewniony z rodziną cesarza Hajle Syllasje I. Pytam go, jaki jest stosunek Etiopczyków do cesarza.

– Za czasów komunizmu nie wolno było nawet wymawiać jego imienia. Mengystu podobno osobiście go zamordował, potem uciął mu dłoń i trzymał ją zasuszoną pod szybą w biurku. Kazał pochować cesarza pod pałacową toaletą. Więc gdy komunizm upadł i wolno było znów mówić o cesarzu, prawie wszyscy Etiopczycy sławili go i uznawali za wielkiego władcę. Dziś emocje trochę opadły, ale ciągle dla wielu ludzi to jest ogromny autorytet i symbol narodu.

Pytam Yassera, co wobec tego sądzi o *Cesarzu* Ryszarda Kapuścińskiego.

– Wybitna literatura, celnie potrafił ująć atmosferę dworu. Ale z prawdziwym cesarzem ta książka ma niewiele wspólnego. Hajle Syllasje był największym reformatorem w historii tego kraju. Bez niego nie byłoby szkół, szpitali, uniwersytetów ani niczego, co dawałoby ludziom nadzieję na wyjście z nędzy. To dzięki niemu nasz Kościół uwolnił się spod władzy patriarchatu Aleksandrii i stał się niezależny. To on po wojnie, umiejętnie manewrując między Francją, Włochami i Wielką Brytanią, zachował niepodległość Etiopii. My mamy dwa punkty odniesienia: ortodoksyjny Kościół i cesarza. One zresztą stanowią jedno.

– Ale przecież Kapuściński pisał prawdę o cesarzu – mówię. – To był władca absolutny, cały świat zależał od jego decyzji. Codziennie wysłuchiwał donosów, wydawał wyroki, od których nie było odwołania. Czy ta książka i takie przedstawienie cesarza to obelga dla Etiopczyków?

– Tutaj nikt, poza wąskim gronem ludzi wykształconych i historyków, jej nie zna – mówi Yasser. – I może tak jest lepiej.

– A czy pan jako wykształcony Etiopczyk ma do Kapuścińskiego pretensje?

– Mam pretensje, że w książce, która nosi znamiona dziennikarskiego reportażu, pisze rzeczy

nieścisle, czasem kompletnie nieprawdziwe, a niekiedy wręcz groteskowe. Twierdzi na przykład, że Hajle Syllasje nie lubił czytać i był nieinteligentny, co jest brednią. Cesarz miał wspaniałą bibliotekę, w której przesiadywał godzinami, znał literaturę amharską i francuską. Od lat niektórzy historycy, również na Zachodzie, podważają wiarygodność rozmówców Kapuścińskiego. Ja też mam z nimi problem. Jeśli istnieli, to dlaczego Kapuściński nigdy nie ujawnił ich tożsamości? Nawet po odsunięciu od władzy zabójcy cesarza Mengystu Hajle Marjama, po odrodzeniu pamięci o cesarzu w dzisiejszej Etiopii?

– Ale czy to ma znaczenie? – pytam. – Czy książka Kapuścińskiego staje się dziełem mniejszej wagi z powodu pewnych nieścistości? Cesarz przecież pozostaje znakomitym studium władzy.

– Zapewne. Tylko czytałem, że sam Kapuściński narzekał na ignorancję reporterów, przeinaczanie faktów, naginanie ich do z góry postawionej tezy. I nalegał, by jego książek nie traktować jako alegorii rzeczywistości, tylko jak autentyczne relacje świadka. Spytam pana tak: czy gdyby Etiopczyk napisał książkę o jakimś polskim bohaterze narodowym, robiąc z niego małostkowego, zawistnego, tępego dyktatora, posiłkując się przy tym wątpliwymi źródłami, to uznałby to pan za ciekawy eksperyment o uniwersalnym znaczeniu?

Odwiedzam galerię Barbary Goshu, polskiej artystki i kolekcjonerki sztuki, która od kilkudziesięciu lat mieszka w Etiopii. Pytam o Kapuścińskiego.

– Pan Kapuściński był częstym gościem w naszym domu i wiele rozmawialiśmy na temat cesarza, jednak to nieprawda, że Hajle Syllasje był małostkowym despotą, a taki obraz dostajemy w *Cesarzu*. Cesarz, jakiego ja znałam, a znałam go przez 4 lata, był wielkim, pełnym serca człowiekiem i wspaniałym władcą. Jego jedynym błędem było to, że nie oddał w porę władzy swojemu następcy. Gdyby tak się stało, być może Etiopia uniknęłaby tragedii komunizmu.

– Ale przecież za jego czasów ludzie masowo umierali z głodu.

– Susze i klęski głodu wszędzie się zdarzają.

\*

W Bahir Dar wstaję o 4 rano i idę na nabożeństwo do kościoła św. Jerzego. 4 godziny rytuałów, modlitwy i hołdu składanego Bogu. Przed wejściem do świątyni wierni zdejmują buty, całują ziemię, kilkakrotnie wykonują znak krzyża. Niektórzy stoją pod murem kościoła jak Żydzi pod Ścianą Płaczu i modlą się przytuleni do kamieni. Czarni semici, samozwańczy potomkowie króla Salomona i królowej Saby, wynędziali arystokraci chrześcijaństwa – w IV wieku, gdy my biegaliśmy po lasach z dzidą za żubrami, oni czcili Jezusa Chrystusa w swoich katedrach.

W centrum każdej ich świątyni znajduje się kopia Arki Przymierza, którą – jak wierzą – w I wieku przywiózł do Etiopii król Menelik, syn Salomona i królowej Saby. Oryginał Arki przechowywany jest w katedrze w Aksum, niedostępny dla nikogo poza jednym kapłanem, specjalnie wyznaczonym do pilnowania skarbu. Nikt nie wie, co tak naprawdę znajduje się w Aksum. Wiadomo tylko, że kapłani-strażnicy Arki, którzy pełnią swoją funkcję dożywotnio, żyją krótko, bo przebywanie w obecności Arki jest niebezpieczne. Nie wolno na nią patrzeć, nie wolno jej dotykać. Ale to wie każdy, kto oglądał filmy o Indianie Jonesie.

\*

W restauracji w Bahir Dar wraz ze znajomym Etiopczykiem oglądamy *menu*.

– Czy mogę coś zasugerować? – nieproszona przysiada się do nas młoda Amerykanka. – Kotlety rybne są naprawdę rewelacyjne. Weźcie je.

Etiopczyk patrzy na nią lekko skonsternowany, ja mam niezły ubaw, a ona, niezbita z tropu, pograża się dalej.

– Mieszkam w Etiopii już rok i naprawdę polecam kotlety. Bardzo dobre. W ogóle etiopskie jedzenie jest bardzo dobre, tylko trzeba wiedzieć, co wybrać.

Nie do wiary, ale Amerykanka doradza Etiopczykowi, co powinien zjeść w etiopskiej restauracji w środku Etiopii – bez żenady, z czystej dobroci serca. Czuwa do końca, byśmy wybrali to, co nam poleca. Nie widzi śmieszności ani niestosowności swojego zachowania. Wie, co dla Etiopczyka dobre, bo już rok mieszka w Etiopii. Właśnie uczestniczę w lekcji poglądowej neokonserwatywnej polityki zagranicznej.

\*

Richard Pankhurst, wybitny historyk brytyjski, specjalista od Etiopii, wylicza, że od XV wieku do dzisiaj średnio co 10 lat Etiopię nawiedzała klęska suszy. Było dużo czasu, żeby się do tego dostosować, ale kolejnym cesarzom nie przychodziły do głowy żadne racjonalne sposoby zabezpieczenia ludzi przed głodem. Susze w Etiopii nie dotyczą zwykle całego kraju – wręcz przeciwnie, cierpią zazwyczaj tylko niektóre prowincje na północy i wschodzie, a ponieważ Etiopia jest krajem zasobnym w zboża i rośliny uprawne, zapobieżenie głodowi nie powinno stanowić problemu. Zwykle jednak władze, zamiast zdusić klęskę w zarodku, pozwalały jej się rozwinąć i objąć coraz większą liczbę ludności. Co więcej, głód w Etiopii stwarzał dla władzy okazję do dwojakiego rodzaju zysku – politycznego i finansowego. Politycznego, bo w czasie suszy można było się rozprawić z wrogami; finansowego, bo miejscowi notable zarabiali krocie: wystarczyło przetrzymać ziarno w spichlerzach, głodny zapłaci każdą cenę.

Początkiem końca cesarza Hajle Syllasje I była klęska suszy w 1973 roku w prowincji Wollo. Zmarło wtedy z głodu kilkadziesiąt tysięcy ludzi, cesarz złożył nawet wizytę na miejscu tragedii. Uznał, że była to „klęska naturalna poza ludzką kontrolą”. Jednak kilka miesięcy później przez kraj przelała się fala buntów w oddziałach wojskowych, w Addis Abebie demonstrowali studenci i związkowcy, domagając się poszanowania praw obywatelskich, ograniczenia przemocy ze strony policji politycznej, podwyżek płac, wreszcie rozdzielenia Kościoła od państwa. Cesarz zdymisjonował premiera i poczynił pewne ustępstwa polityczne, jednak machina rewolucji poszła w ruch.

W Addis Abebie powstał komitet rewolucyjny Derg złożony z młodych dowódców wojskowych z całego kraju. Jeszcze w lipcu 1974 roku Derg deklarował lojalność wobec cesarza, ale wkrótce potem oficerowie zdjęli rękawiczki i zaczęła się prawdziwa jatka. Najbliżsi współpracownicy cesarza stracili majątki zarekwirowane przez nowe władze i trafili do aresztu. Zlikwidowane zostały imperialne ministerstwa i instytucje, na których opierała się władza monarchy. Wreszcie 11 września wysłannicy Dergu aresztowali 9 księżniczek, w tym jedyną córkę cesarza, i jego 7 wnucząt. Dzień później 3 oficerów wyprowadziło cesarza z pałacu. Przewieźli go zielonym volkswagenem do koszar, w których pozostał do 27 sierpnia 1975 roku. To właśnie tego dnia – według wersji zwolenników cesarza – Mengystu Hajle Marjam, lider Dergu, własnoręcznie udusił monarchę poduszką, a następnie zakopał jego ciało pod pałacową toaletą.

\*

Pod Bahir Dar oglądam wodospady Nilu Błękitnego. To ogromne przełomy wodne rozciągnięte na 400 metrów, spadające z potężną siłą z wysokości 45 metrów. Mój przewodnik Mafi wynajmuje miejscowego chłopaka, który prowadzi mnie na najlepszy punkt widokowy. Na koniec wycieczki Mafi próbuje wręczyć chłopcu wynagrodzenie. Chłopak odmawia przyjęcia pieniędzy, bo twierdzi, że powinien dostać więcej. Jest poruszony, zawiedziony, ale dumnie odchodzi bez grosza.

– Powinniśmy mu zapłacić – mówię do Mafiego.

– Nie wtrącaj się. Ty już swoje zapłaciłeś, reszta należy do mnie.

Rzeczywiście, według umowy ja płaciłem Mafiemu, on organizował transport, hotel i zajmował się resztą. Po chwili chłopak wraca i dogadują się.

– On ma dopiero 17 lat. Był dobrym przewodnikiem, dobrze mówił po angielsku, ale musi zrozumieć, że nie wolno mu być pazernym – tłumaczy Mafi. – Chciał wymusić u mnie napiwek. A przecież napiwek to jest moja sprawa, daję albo nie, jak chcę. Jeżeli chce zmienić swoje życie, musi nauczyć się szanować ludzi, nie wolno mu oszukiwać, nawet jeśli spotyka tutaj takich turystów, którzy łatwo dają się oszukać. Musi się nauczyć szanować pieniądze, nawet jeśli znajdą się Amerykanie, którzy dadzą mu je za darmo.

Rzadko spotykam ludzi, którzy stawiają sobie tak wysokie wymagania. Niewielu ich w Afryce, niewielu gdzie indziej.

\*

Gdy w grudniu 1974 roku Mengystu ogłosił nadejście etiopskiej wersji komunizmu, opozycja wobec nowych rządów ogarnęła cały kraj. Na północy władzom przeciwstawiali się arystokraci walczący o ziemię. Na północnym wschodzie Afarowie utworzyli ruch partyzancki, Tigrajczycy i Erytrejczycy walczyli w prowincji Tigray. Z pomocą Somalii uaktywnili się rebelianci z ludu Oromo i z prowincji Ogaden. W samej Addis Abebie Mengystu zmagali się z cywilnymi frakcjami, które chciały przejąć rewolucję z rąk wojskowych. Po stronie Dergu padały ofiary, nowe władze odpowiadały szwadronami śmierci wysyłanymi przeciw opozycji. Czerwony terror ogarniał coraz większe regiony kraju, ale dopiero pomoc Związku Radzieckiego i Kuby przechyliła szalę zwycięstwa na korzyść rewolucji w konfliktach z Somalijczykami w Ogadenie i z Erytreą. Nowy władca Etiopii Mengystu Hajle Marjam mógł odetchnąć z ulgą. Nie na długo jednak.

\*

Na ulicy Addis Abeby, tuż obok katedry, widzę, jak policjant bije żebraka. Biję go bez mrugnięcia okiem, bez zawahania ani najmniejszej wątpliwości. Biję, jak tylko biedak, któremu dano do ręki władzę, potrafi bić swojego brata. Biję, bo wie, że w tym biciu tkwi jego racja bytu. Bez pałki stanie się takim samym żebrakiem jak jego ofiara. Biję, bo wie, że świat składa się z bitych i bijących, a on już wybrał, po której stronie chce być.

\*

Mengystu utrwalił władzę feudalną w Etiopii, w miejsce feudała wstawiając komunistyczne państwo. Chłopi musieli sprzedawać plony po ustalanych centralnie cenach, buntownicy tracili ziemię albo ładowali w więzieniach. Zakazana została uprawa ziemi poza kontrolą państwa i migracja do miast. Mengystu nacjonalizował i kolektywizował dawne majątki



arystokratów, ale mimo ogromnych nakładów inwestycyjnych nie były one sprawnie zarządzane i produkowały za mało żywności dla kraju. Etiopia, jeden z potencjalnie najbogatszych krajów Afryki, stała się importerem żywności zależnym od pomocy międzynarodowej.

Ulubioną bronią nowych władz w walce z rebeliantami stało się głodzenie ludzi. Podczas działań zbrojnych przeciwko Tigracyjkom żołnierze palili spichlerze z ziarnem, zabijali bydło i wysiedlali całe wsie.

W takich okolicznościach Mengystu świętował w 1984 roku 10 rocznicę rewolucji. W Addis Abebie dyktator wydawał 150 milionów dolarów na uroczystości, a tymczasem na północy, w regionach Tigray i Wollo, rozpoczęła się kolejna klęska suszy i głodu. Miała ona pokazać, jak złudna bywa wiara w dobre intencje dyktatorów i jak bezgranicznie naiwni bywają zachodni dostarczyciele pomocy dla Afryki.

Lepiej jest coś zrobić, zamiast poddać się zwątpieniu albo – co gorzej – cynizmowi i nie robić nic, prawda? Zwłaszcza gdy chodzi o pomoc dla ludzi ubogich, doświadczonych przez los, nędzarzy urodzonych w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Edmund Burke, jeden z twórców nowoczesnego konserwatyzmu, mówił, że po to, by zatriumfowało zło, wystarczy, aby dobrzy ludzie nic nie robili. Ewangelia zapowiada, że podczas Sądu Ostatecznego będziemy odpytywani z naszych zaniechań: „Byłem głodny, a nie daliście mi jeść...”. Dajmy im jeść, dajmy im nadzieję, przecież nas nie kosztuje to prawie nic. Zbudźmy się z egoizmu, odrzućmy nihilizm, przyłączmy się do działań dobrych ludzi, którzy chcą zmieniać świat!

Powyższa argumentacja działa od ponad 50 lat, czyli od czasu, gdy pomoc humanitarna stała się ulubionym sposobem rozwiązywania przez Zachód problemów krajów ubogich. Głównym beneficjentem tej pomocy były kraje Afryki Subsaharyjskiej. W ogólnoświatowej euforii spowodowanej wyzwaniem się kolejnych państw z więzów kolonializmu i w niemałym (i słusznym) poczuciu winy za wyzyskiwanie obcych kontynentów ludzie Zachodu uwierzyli, że swoją dobrocią ulepszą świat.

No więc pomagamy. Inicjatywy polityków przerodziły się w ogólnoświatowy ruch pomocy humanitarnej skupiony wokół organizacji pomocowych, globalnych programów realizowanych przez agendy ONZ i fundacji sponsorowanych przez milionerów-darczyńców w rodzaju Billa Gatesa czy Warrena Buffetta. Dziś ruch pomocy krajom ubogim to potężny system, w którym funkcjonują miliony ludzi konkurujących ze sobą, nierzadko bez skrupułów, na rynku pomocy humanitarnej, przede wszystkim w USA i Europie Zachodniej (niebiałych reprezentują głównie Japończycy). Pomoc rozwojowa obejmuje właściwie wszystkie dziedziny życia: od dostarczania żywności i leków przez programy edukacyjne i uświadamiające do irygacji gruntów i wspierania miejscowych przedsiębiorców.

Jakie są skutki tej pomocy? Od strony statystycznej nieubłagane dla jej zwolenników. W ciągu ostatnich 50 lat Zachód wydał na pomoc dla krajów ubogich 2,3 biliona dolarów. Sama Afryka, która jest głównym odbiorcą pomocy rozwojowej, otrzymała ponad bilion dolarów (według danych Banku Światowego). I efekt tego jest mizerny. Wraz z rozwojem programów pomocy rosła bieda wśród Afrykanów. Na przykład w latach 1990–2001 liczba osób żyjących poniżej poziomu określanego przez ONZ jako skrajne ubóstwo, czyli za mniej niż dolara dziennie, wzrosła z 227 do 313 milionów. Między rokiem 1970 a 1998 liczba osób żyjących w stanie, który ONZ określa jako zwykłe ubóstwo, wzrosła z 11% do 66%. Jednym z największych paradoksów historii XX wieku jest więc fakt, że w większości krajów afrykańskich stopa życiowa mieszkańców jest dziś relatywnie niższa niż przed osiągnięciem przez nie niepodległości. 941 milionów ludzi wytwarza dziś dochód wysokości 580 miliardów dolarów,

czyli nieco więcej niż Korea Południowa.

„Jest coraz gorzej”, pisał w dzienniku „The Times” Graham Hancock, autor klasycznej pozycji z 1989 roku *The Lords of Poverty: The Power, Prestige, and Corruption of International Aid Business (Lordowie nędzy: władza, prestiż i korupcja w międzynarodowym biznesie pomocy)*. Hancock, były pracownik brytyjskiej organizacji humanitarnej, wykazuje, że głównym, a czasem jedynym beneficjentem pomocy są lokalne skorumpowane elity rządowe, producenci żywności i innych towarów przeznaczanych na pomoc oraz „pomocowa biurokracja”.

Brytyjski ekonomista Paul Collier w książce *Wars, Guns, and Votes (Wojny, broń i głosy wyborcze)* publikuje wyniki badań<sup>[5]</sup>, z których wynika, że 40% budżetów militarnych najbiedniejszych państw finansowanych jest z pieniędzy otrzymanych przez nie w ramach pomocy humanitarnej i rozwojowej. Zambijska ekonomistka Dambisa Moyo podaje dane Banku Światowego, według których aż 85% pieniędzy zbieranych na pomoc jest wykorzystywanych w sposób niezgodny z przeznaczeniem.

Do tego dochodzą przypadki absurdalnych inwestycji, których ślady dostrzec można w wielu miejscach w Afryce: opustoszałe kliniki zbudowane w szczerym polu z pieniędzy pomocowych (klinikę zbudować łatwo, trudniej zgromadzić i utrzymać zespół lekarski), mosty, którymi nie da się przejechać (bo ich budowa doprowadziła do erozji i obsunięcia gruntu na obu brzegach). W Mali zbudowano fermę rybną produkującą ryby w cenie 3 tysięcy dolarów za kilogram, w Sudanie powstała cukrownia, która sprzedaje cukier po cenach wyższych niż importowany, nad jeziorem Turkana w Kenii Norwegia zbudowała wielką chłodnię na ryby, ale nie dochodzi tam prąd i nie ma dróg, którymi można by przetransportować towar do miast.

Czy to wszystko może być prawdą? Czy to możliwe, by grupa aparatczyków humanitaryzmu osłaniających się wzniosłą retoryką przetwarzała nasze gesty dobrej woli, szczodrość i poczucie winy za dostatek, w jakim żyjemy, w mieszanekę absurdu i gangsteryzmu? Coraz więcej ekonomistów, w tym ekonomistów z Afryki, twierdzi, że pomoc międzynarodowa nie tylko nie pomaga, ale jest największą przeszkodą w zmianie położenia ludzi ubogich na świecie i sensownym wyjściem jest jej całkowite zaprzestanie.

Przykład Etiopii jest najbardziej wymowny. To podczas klęski głodu w 1985 roku do grona profesjonalnych pracowników organizacji humanitarnych dołączyły gwiazdy popkultury. „Dawajcie wasze pier..... pieniądze!”, krzyczał irlandzki muzyk Bob Geldof w 1985 roku na pierwszym koncercie Live Aid na Wembley. No to ludzie w Ameryce, Europie i Australii dawali, bo przecież lepiej coś zrobić, niż nie robić nic, prawda?

Bob Geldof, organizator koncertów, do dziś uważa Live Aid za ogromny sukces i nie przyjmuje do wiadomości dowodów na to, że duża część pomocy była wykradana i przeznaczana przez wszystkie strony konfliktu na zakup broni. Komunistycznym władzom Etiopii pieniądze zebrane podczas koncertów Live Aid posłużyły między innymi do dokonania masowych przesiedleń około 600 tysięcy ludzi, w wyniku których co najmniej 50 tysięcy osób zmarło. Mengystu deklarował, że jego celem jest przeniesienie ludności z regionów Wollo i Tigray na bardziej żyzne ziemie na południu. W rzeczywistości chodziło o zaludnienie etiopskich PGR-ów na południu i wyludnienie obszarów zamieszkałych przez wrogów reżimu, tak by komuniści mogli wygrać prowadzoną na kilku frontach wojnę z narodem. Związek Radziecki dostarczył samoloty transportowe, helikoptery i ciężarówki do wywozek ludności. Zachód, zamroczony postkolonialnym poczuciem winy, które zwykle mu towarzyszy, gdy ludzie w Afryce zaczynają głodować, zbierał pieniądze i wydawał na nieskoordynowane akcje humanitarne, zamykając

oczy na komplikacje natury politycznej.

Claude Malhuret, ówczesny szef organizacji pomocy Médecins Sans Frontières (jedynej, która nie zgadzała się na kontynuowanie działalności w Etiopii podczas przesiedleń), uznał działania władz za „największy program deportacji od czasów Czerwonych Khmerów”. W programie tym uczestniczyły, chcąc nie chcąc, organizacje humanitarne przymykające oczy na represje stosowane przez komunistyczne władze wobec miejscowej ludności. Mechanizm, z powodzeniem zastosowany przez komunistów w Etiopii w połowie lat 80., powtarzany był potem często w większości krajów afrykańskich, w których miejscowi dyktatorzy dochodzili do władzy. Najpierw głodzimy naród, potem wzywamy na pomoc Zachód i rozmieszczamy obozy dla uchodźców w strefach, do których chcemy przesiedlić ludność. Potem żywność z pomocy dzielimy między żołnierzy i funkcjonariuszy systemu, a resztę sprzedajemy na wolnym rynku. Ludzie wpłacający swoje dolary na akcje humanitarne, siedzący przed telewizorami w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, i tak tego nie rozumieją, bo to zbyt skomplikowane i wymaga myślenia, a nie sentymentalnego porywu serca.

\*

Gdy już na dobre rozprawilem się w myślach z „rekinami pomocy rozwojowej”, spotykam siostrę Annę Trzepacz, polską misjonarkę ze Zgromadzenia Służebnic Ducha Świętego. Właśnie przyjechała do Addis Abeby spod Arsi, by kupić lekarstwa do przychodni, którą prowadzą tam misjonarki. Właściwie to nie są misjonarki, tylko pracowniczki organizacji pomocy, bo taki status prawny mają tutaj misjonarze katolicy. Przychodnia znajduje się o dzień drogi od najbliższego ośrodka zdrowia. Dzień drogi na piechotę oczywiście, ponieważ inaczej nie liczy się tutaj dystansu.

– A jeśli ktoś ma zawał albo przy porodzie pojawiają się problemy? – pytam.

– Taki człowiek po prostu umiera.

Siostra Anna opowiada o przypadku sprzed trzech miesięcy, gdy pewna kobieta urodziła dziecko i pojawiły się poporodowe komplikacje.

– Prawie nam się udało, ale umarła tuż przed bramą szpitala.

Pytam misjonarkę, jak należy pomagać ludziom w Afryce, choćby takim jak jej podopieczni.

– Proszę pana, wszyscy wiemy, że należy edukować i dawać raczej wędkę niż rybę, ale są takie sytuacje, kiedy nie pozostaje nic innego, jak po prostu nakarmić drugiego człowieka. Bezwarunkowo i bez żadnych dodatkowych kazań. Nikt nie będzie słuchał opowieści o wyższych wartościach, Bogu i zasadach sensownej pomocy rozwojowej, kiedy nie ma co włożyć do ust. Mamy XXI wiek, a ci ludzie są ciągle pozostawieni na pastwę losu. Jeśli my im nie pomożemy, to nikt tego nie zrobi.

\*

Ofiarami „czerwonego terroru” z końca lat 70., klęski głodu i wojny domowej w latach 80. padło w Etiopii około 1,5 miliona ludzi. O szczegółowe dane trudno, bo władze nie wpuszczały niezależnych obserwatorów na tereny objęte walkami i głodem. Mengystu uciekł z kraju do Zimbabwe w 1991 roku i do dziś mieszka w Harare, z obstawą.

Od 18 lat Etiopią rządzi Meles Zenawi. W latach 90. uznawany przez Zachód za jednego z najbardziej obiecujących liderów afrykańskich, dziś znajduje się na liście 15 najbardziej brutalnych dyktatorów na świecie. Co prawda gospodarka kraju dynamicznie się rozwija,

nastąpiły pewne drobne pozytywne zmiany w systemie własności ziemi, ale chłopcy w dalszym ciągu nie mogą dysponować nią zgodnie ze swoją wolą. Opozycja narzeka na brak wolności, dziennikarze trafiają do więzień, niezależne media nie istnieją. Po wyborach w 2005 roku policja zabiła prawie 200 osób – rząd i opozycja do dziś obwiniają się o wywołanie przemocy. Tli się ciągle konflikt z Erytreą, bezsensowny, pozbawiony racji strategicznych czy ekonomicznych – „wojna łysych o grzebień”, jak nazwał ten spór o kawałek nikomu niepotrzebnej ziemi brytyjski afrykanista Richard Dowden. W Wigilię 2006 roku wojska etiopskie w porozumieniu z Amerykanami wjechały do Somalii, by obalić tamtejsze władze islamskie. W styczniu 2009 roku armia etiopska wycofała się z Somalii, ale napięcie na granicy ciągle trwa.

Na początku 2010 roku BBC podała, że w latach 80. Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia, którego jednym z liderów był wówczas Zenawi, wykradł 95 ze 100 milionów dolarów dostarczonych na pomoc głodującym przez organizacje dobroczynne (w tym Live Aid) na północy Etiopii i kupił za nie broń. Zenawi walczył wówczas przeciwko komunistom Mengystu Hajle Marjama. CIA oraz byli współpracownicy Zenawiego z tamtego okresu twierdzą, że to on osobiście wydał rozkaz przeznaczenia pieniędzy z pomocy na zakup broni.

Meles Zenawi, organizacje humanitarne, Bob Geldof – wszyscy jak jeden mąż odrzucili oskarżenia BBC, twierdząc, że są wysysane z palca.



Dziewczynki, które spotkałem w drodze do Bahir Dar



Etiopscy pasterze

\*

Nigdy w czarnej Afryce nie widziałem dziecka, które kaprysi albo płacze bez powodu, choć właściwie z wyjątkiem kilku krajów nie istnieje tu proces wychowywania dzieci taki, jaki znamy w Europie. Do czasu gdy niemowlę nie nauczy się chodzić, matka nosi je na plecach. A potem dziecko schodzi z pleców, zaczyna się samodzielnie poruszać i po prostu idzie w świat. Wychowuje je starsze rodzeństwo, a matka zabiera z sobą na targ albo w pole. Mijając pola porośnięte teffem, widziałem całe rodziny pracujące na roli, od ledwo chodzących brzdąców do dziadków.

W Addis Abebie odkryłem też pierwszy raz w Afryce plac zabaw dla dzieci. Całkiem przyzwoity – kolorowe zjeżdżalnie, karuzele, piaskownice. Był pusty.

---

[5] Paul Collier, *Wars, Guns, and Votes. Democracy in Dangerous Places*, Londyn 2009, s. 112.

## Rwanda: życie po śmierci

– Pewnie myślisz, że to, co stało się w tym kraju przed 15 laty, to była afrykańska wersja Holokaustu. W Europie i w USA ludzie tak myślą. Tylko że to nieprawda.

Rozmawiamy wiosną 2009 roku w nowoczesnym centrum handlowym w Kigali, w porządnej kawiarni, przy znakomitej kawie. Moim rozmówcą jest rwandyjski ksiądz, nazwijmy go Gerard, który nie chce podawać prawdziwego imienia. Za to, co mi mówi, mógł by pójść do więzienia pod zarzutem szerzenia „negacjonizmu” i „dywizjonizmu”. Przy odrobinie szczęścia mógłby się wywinąć kilkumiesięcznym pobylem w obozie reedukacji, ale gdyby trafił na szczególnie gorliwego sędziego, wylądowałby za kratami na wiele lat. Pozostanie więc Gerardem, po co kusić los?

– Do ludobójstwa oczywiście doszło, sam cudem uciekłem z kraju do Tanzanii. Gdybym został, pewnie nie uszedłbym z życiem. Jednak te 3 miesiące w 1994 roku, gdy Hutu mordowali Tutsi, nie wzięły się z powietrza. Rząd próbuje przekonać świat, że ani przedtem, ani potem nikt w Rwandzie nie cierpiał. Że nie było wojny domowej, w której ofiarami padali niewinni ludzie, ani masakr Hutu po 1994 roku. Że wszyscy albo prawie wszyscy Hutu byli mordercami, a Tutsi wyłącznie ofiarami. Że teraz wszyscy żyjemy w pokoju, kraj kwitnie i zmierza ku świetlanej przyszłości, a o różnicach, które nas dzielą, dyskryminacji Hutu i państwie policyjnym, które wprowadził Kagame, mówią tylko ci, którym marzy się kolejne ludobójstwo. Nie, to nie był afrykański Holokaust, nawet jeśli na zewnątrz tak to wygląda.

\*

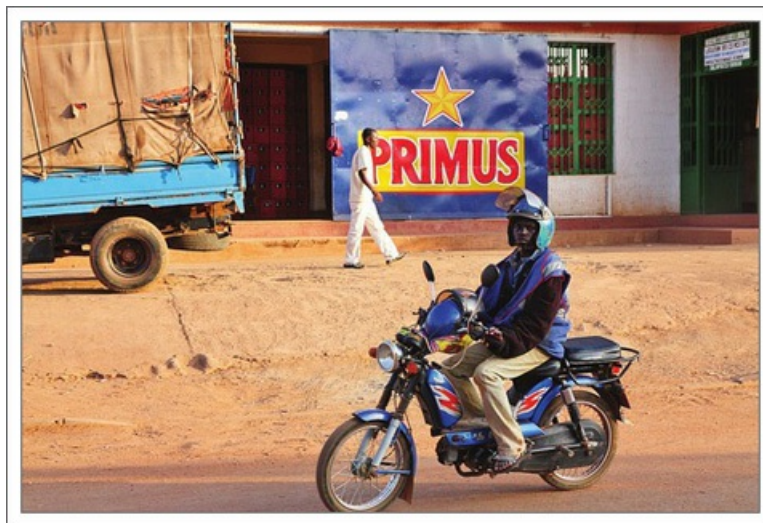
15 lat po jednej z najokrutniejszych rzezi XX wieku, w której zginęło około 800 tysięcy ludzi (zdecydowaną większość ofiar stanowili członkowie plemienia Tutsi, resztę Hutu, którzy odmawiali zabijania albo ukrywali swoich sąsiadów), Rwanda jest dziś jednym z najbezpieczniejszych i najszybciej rozwijających się państw Afryki. Od 1994 roku wartość jej gospodarki wzrosła trzykrotnie, a liczba ludności o jedną czwartą, do ponad 10 milionów. W centrum Kigali rosną obrzydliwe metalowo-szklane wieżowce (ich liczba jest zwykle miernikiem rozwoju kraju), ulice są czyste, żebraków nie uświadczysz, poziom nagabywania białych o pieniądze ma Rwanda najniższy z krajów Afryki Subsaharyjskiej, które odwiedziłem. Autobusy na liniach międzymiastowych odjeżdżają zgodnie z rozkładem. W całym kraju działają telefony komórkowe, a w dużych miastach szerokopasmowy internet. Rozwija się turystyka, zwłaszcza trekkingowa, do Parku Wulkanów, gdzie można obejrzeć żyjące na wolności goryle górskie. W sklepach towar pakowany jest do papierowych torebek (plastikowych stosować nie wolno), w kawiarniach obowiązuje zakaz palenia, kierowcy zapinają pasy i zasadniczo przestrzegają ograniczenia prędkości, bo co kilka kilometrów na drogach stoi policja.

Prezydent Paul Kagame jest ulubionym afrykańskim politykiem Zachodu, zwłaszcza Stanów

Zjednoczonych, którym chwilowo nie przeszkadza, że w wyborach w 2003 roku dostał ponad 95% głosów (był oczywiście jedynym kandydatem). Nie ma tu co prawda opozycji, ale Amerykanie wolą podkreślać, że Rwanda jest jedynym krajem na świecie, w którym większość posłów w parlamencie stanowią kobiety. W takiej sytuacji oskarżenia o jawne łamanie praw człowieka, przetrzymywanie ludzi latami w więzieniach bez wyroku, oczyszczanie całych dzielnic Kigali z biedoty po to, by zrobić miejsce na nowoczesne osiedla, brzmią jak biadolenie ciągle niezadowolonych idealistów.



Ulica w centrum Kigali



Primus to najpopularniejsze piwo w Rwandzie

Rwanda, oaza stabilności i postępu w środku jednego z najbardziej zapalnych regionów na świecie, jawi się jako niezwykle przypadek odrodzenia po tragedii, która byłaby w stanie zniszczyć wiele bardziej dojrzałych społeczeństw. Spokojna, przewidywalna Rwanda potrzebna jest też Amerykanom jako okno na Demokratyczną Republikę Kongo, baza przerzutowa diamentów, złota, koltanu, kobaltu i innych bogactw, które są dla pogrążonej od lat w wojnie DRK największym przekleństwem, a bez których bogata Północ nie potrafi żyć. I tak się akurat

składa, że prezydent Kagame mówi o stworzeniu w Rwandzie najważniejszego w środkowowschodniej Afryce centrum transportowego – zarówno lotniczego, jak i naziemnego – będącego konkurencją dla znacznie bogatszego Nairobi. W najbliższej przyszłości ten malutki kraj naznaczony tragiczną historią ma być wizytówką nowoczesnej Afryki.

Paul Kagame zalicza do swoich przyjaciół Billa Clintona i Billa Gatesa, często odwiedza Erica Schmidta, szefa Google, i Michaela Portera, dyrektora Instytutu Strategii i Konkurencji na Harvardzie. Jest zdeklarowanym zwolennikiem wolnego rynku i stopniowego ograniczania pomocy zagranicznej dla Rwandy (ciągle jeszcze budżet kraju jest w połowie finansowany z zewnątrz), wprowadził sprawny system podatkowy, w kraju działa również system ubezpieczeń społecznych (najubożsi płacą zaledwie 2 dolary rocznie) gwarantujący opiekę zdrowotną na podstawowym poziomie. To są wszystko poważne osiągnięcia, które w skali Afryki Subsaharyjskiej urastają niemal do rangi cudu gospodarczego, choć oczywiście bieda ciągle jest tu widoczna niemal na każdym kroku. Nikt jednak nie dziwi się zapowiedziom Kagame uczynienia z malutkiej Rwandy afrykańskiego Singapuru, centrum gospodarczego, finansowego i informatycznego regionu Wielkich Jezior Afrykańskich. Z pewnością prezydent może liczyć na przychylność Amerykanów, z nieukrywaną radością przyjmujących ograniczanie w regionie wpływów Francji – głównego sojusznika rządu rwandyjskiego w latach 80., aż do czasu ludobójstwa. Kagame nie znosi Francuzów, z wzajemnością zresztą – to oni oskarżali go o strącenie 6 kwietnia 1994 roku samolotu, którym leciał ówczesny prezydent kraju Juvénal Habyarimana. Wydarzenie to dało początek rzeziom.

Nad Rwandą ciągle unoszą się duchy pomordowanych w 1994 roku, jednak i w dziedzinie rozliczeń zbrodni ludobójstwa rząd Kagame odnosi – jak sam twierdzi – sukcesy. Działające od 1998 roku tradycyjne sądy wiejskie *gacaca* osądziły około 700 tysięcy domniemych sprawców rzezi. Większość skazanych wyszła już na wolność (*gacaca* nie miały uprawnień wydawania wyroków śmierci, ostatecznie kara śmierci została zniesiona) i obecnie tysiące morderców żyją wśród rodzin swoich ofiar.

Pytam Fatumę Ndagizę, szefową Narodowej Komisji Jedności i Pojednania, jak ten niezwykle eksperyment znoszą obie strony.

– Nie mieliśmy innego wyjścia – tłumaczy. – W pewnym momencie w więzieniach znalazło się ponad 120 tysięcy ludzi, według zagranicznych ekspertów osądzenie ich w normalnych warunkach zabrałoby ponad 100 lat. *Gacaca* okazały się znakomitym rozwiązaniem. Dzięki nim mogliśmy osądzić winnych, dać ludziom poczucie sprawiedliwości i przystąpić do budowania wspólnej, zjednoczonej Rwandy, w której nie ma Hutu ani Tutsi, jest tylko jeden naród pragnący żyć w pokoju. Do 2020 roku mamy nadzieję stworzyć stan pełnej jedności.

Data 2020 nie pada bez powodu. Jest ona skoordynowana z zestawem Milenijnych Celów Rozwoju ONZ, w ramach których co najmniej 100 milionów Afrykanów ma wyjść z biedy.

– A skąd będziecie wiedzieć, że już osiągnęliście stan pełnej jedności? – pytam.

– To będzie widać na ulicach, na spotkaniach, które organizujemy z udziałem ofiar ludobójstwa i jego sprawców. Wszyscy musimy nauczyć się żyć w nowym społeczeństwie.

\*

– A czego innego się spodziewałeś po szefowej komisji, której zadaniem jest zakłamywanie historii i manipulowanie ludobójstwem dla celów politycznych rządu? – komentuje te słowa Gerard. – *Gacaca* to najlepszy przykład terroryzowania ludzi, dyskryminacji



większości, obarczania wszystkich Hutu winą za ludobójstwo – mówi. – To są sądy kapturowe, można zostać zadenuncjowanym przez sąsiada zazdrosnego o to, że masz krowę, i skazanym na kilkadziesiąt lat za sianie wrogiej propagandy. Ofiary gacaca siedzą po kilka lat w więzieniach, po czym okazuje się, że są niewinne. Nie mają prawa do żadnej rekompensaty, zresztą żaden uwolniony nawet o tym nie pomyśli, każdy, kto wychodzi, jest szczęśliwy, że ma to już za sobą. Ludzie w tym kraju są sparaliżowani strachem, wyrasta całe nowe pokolenie Hutu nauczonych siedzieć cicho i tłumić w sobie uczucia.

Uczniowie szkoły podstawowej w okolicach Kinoni





Górnicy z kopalni kobaltu w okolicach Kinoni



W takich szybach chłopcy wydobywający kobalt spędzają kilka godzin dziennie

Historia Gerarda jest podobna do historii tysięcy innych Rwandyjczyków. Pochodzi z mieszanej rodziny Tutsi i Hutu. Jak sięga pamięcią, wszyscy tutaj się mieszały, co nie znaczy, że tracili swoją plemienną tożsamość. Wręcz przeciwnie – w Rwandzie, jak również w sąsiednim Burundi (za czasów kolonialnych oba kraje stanowiły jedno) do dziś każdy identyfikuje się jednoznacznie jako Hutu lub Tutsi (trzecia grupa etniczna w Rwandzie to Pigmeje ze szczepu Twa, którzy stanowią około 1% społeczeństwa i są dziś ludem wymierającym). Hybryda „Hutsi” po prostu nie istnieje, a przynależność plemienna przechodzi po linii ojca. Dziś, podobnie jak w latach 90., Hutu stanowią 85% ludności, a Tutsi niecałe 15%. W praktyce zatem wieki mieszania się obu plemion, okresowe fale wypędzeń z kraju czy ludobójstwo 1994 roku nic nie zmieniły ani w składzie etnicznym społeczeństwa, ani w rozumieniu przez Rwandyjczyków własnej tożsamości: dziecko ojca Hutu będzie Hutu, a mężczyzny Tutsi pozostanie Tutsi, bez względu na to, jak powikłane plemiennie są jego korzenie. Zresztą tysiące morderców z 1994 roku z bojówek Interahamwe, które kierowały rzezią – w tym również ich szef Robert Kajuga – pochodziło z mieszanych rodzin, a jedną z często spotykanych zbrodni było zabijanie przez

mężczyzn Hutu swoich żon Tutsi.

Dziś rząd prezydenta Paula Kagame uczy, że w Rwandzie nie ma Hutu i Tutsi (używanie tych pojęć w debacie publicznej jest zakazane; wszyscy moi rozmówcy, włącznie z mieszkającymi w Rwandzie obcokrajowcami, wypowiadając nazwy plemion, zniżali głos i sprawdzali, czy nikt nas nie podsłuchuje), a w kraju mieszka jeden naród Banyarwanda. „Żyjemy w jednym państwie, mówimy wspólnym językiem, gdyby nie kolonializm, zwłaszcza Belgowie, do tej pory nie byłoby między nami żadnych różnic i na pewno nie doszłoby do ludobójstwa” – tak brzmi oficjalna wykładnia historii Rwandy i o tym, jak bardzo jest ona nieprawdziwa, świadczy fakt, że głoszą ją wyłącznie Tutsi. Hutu mają swoją wersję, która mówi: „Różnice między nami istniały zawsze. Za czasów kolonialnych Tutsi byli narzędziami w rękach białych, a w czasach gdy Hutu rządili krajem po uzyskaniu niepodległości, Tutsi zawsze chcieli odebrać nam władzę i zaprowadzić własne porządki”.

\*

W obarczaniu białego człowieka winą za wzmacnianie podziałów rasowych w Rwandzie jest trochę racji, choć to nie biali je wymyślili. Przed przyjściem Niemców, a zwłaszcza Belgów, którzy przejęli Rwanę po I wojnie światowej, różnice między Hutu i Tutsi miały charakter społeczny i klasowy. Tutsi byli hodowcami bydła, Hutu – rolnikami; Tutsi stanowili elitę, byli bogatsi, ale jednocześnie otwarci na Hutu – mogli oni „wkupić się” do elity przez małżeństwo czy zakup kilku krów. W Rwandzie, podobnie jak w wielu innych częściach Afryki, posiadanie bydła wyznaczało status społeczny i dlatego to Tutsi rządili krajem. Wśród Hutu wcześniej pojawiły się urazy wobec „panów” traktujących Hutu jak ludzi sobie podległych. Rodziło to poczucie poniżenia i dyskryminacji, jednak – podobnie jak w innych mieszanych etnicznie miejscach Afryki – wpływy poszczególnych grup podlegały negocjacom.

Belgowie, tak jak Brytyjczycy w Kenii, zmienili ten stan rzeczy, zaostrzając konflikty międzyplemienne i dodając przy tym nowy element. Zasadniczo rządili krajem przy pomocy elit Tutsi, jednak – i to była właśnie ta oliwa dolana do ognia – dodatkowo wprowadzili do relacji międzyplemiennych element rasowy. Belgowie uznali, że Tutsi, którzy wyglądali inaczej niż Hutu (Tutsi są wysocy i szczupli, Hutu niscy i krępi), mają prawo być elitami nie tylko ze względu na swoje talenty ekonomiczne, ale ponieważ stanowią lud czystszej rasy. Léon Classe, pierwszy chrześcijański misjonarz, późniejszy biskup Rwandy, uznał już w 1902 roku Tutsi za „wspaniałe istoty” (*superb humans*) łączące cechy aryjskie i semickie, a inny misjonarz, ojciec François Menard, pisał w 1917 roku, że Tutsi „to Europejczyk z czarną skórą”.

W latach 30. kolonizatorzy belgijscy prowadzili nawet badania antropologiczne na wzór badań prowadzonych przez Niemców na Żydach. Zaintrygowani różnicami w wyglądzie między członkami obu plemion Belgowie za pomocą taśmy mierniczej, linijki i cyrkla wyliczali różnice rasowe między ludami mieszkającymi w Rwandzie i Burundi. To wówczas pojawiła się teoria, że Tutsi są ludem napływowym przybyłym na teren dzisiejszej Rwandy najprawdopodobniej z Etiopii w XVI wieku. Takie nawiązanie do rzekomo etiopskich korzeni Tutsi (w istocie nikt nie wie, skąd Tutsi się wzięli w Rwandzie) wróciło w 1994 roku, gdy liderzy Interahamwe wzywali Hutu, by wysyłali Tutsi „rzekami z powrotem do Etiopii”. I wysyłano – tysiące ciał wpływało do Jeziora Wiktorii.

W latach 30. to jednak Tutsi byli panami Rwandy, a szczytowym efektem polityki rasowej Belgów okazało się wprowadzenie w 1933 roku dowodów osobistych, w których określona była

kategoria rasowa człowieka. Obowiązywała ona na stałe, przekreślając możliwość awansu społecznego Hutu do klasy Tutsi poprzez zakup bydła. W ten sposób na kilkanaście lat przed wprowadzeniem podobnego eksperymentu w RPA w Rwandzie funkcjonował system apartheidu. Na podstawie kryteriów rasowych dokonano ostatecznego podziału na mniejszość Tutsi sprawującą władzę i większość Hutu tej władzy podległą i dyskryminowaną na każdym niemal polu. Edukacja, kariera polityczna i finansowa zarezerwowane były dla Tutsi. Dowody osobiste z wyznacznikiem rasowym obowiązywały w Rwandzie jeszcze w 1994 roku i w wielu miejscach to one stanowiły dodatkowy wskaźnik dla zabójców.

Hutu, zwłaszcza z północy, regularnie buntowali się przeciwko tak ustalonemu porządkowi społecznemu, jednak wszelkie rebelie były krwawo tłumione. Tuż przed uzyskaniem przez Rwandę niepodległości Belgowie zmienili jednak front. Widząc nieuniknione nadejście nowej epoki i rozumiejąc, że w wolnym kraju utrzymanie władzy przez 15-procentową mniejszość nie będzie możliwe, Belgowie i Kościół katolicki, dotąd wyraźnie wspierający dominację Tutsi, zachowali neutralność wobec wielkiego buntu Hutu w 1959 roku. To podczas tej rebelii doszło do pierwszych masakr dokonywanych przez Hutu na Tutsi. Ich skala jest trudna do określenia, większość źródeł podaje jednak liczbę kilku tysięcy ofiar. Znacznie ważniejsze dla późniejszej historii Rwandy miało okazać się wypędzenie całej rzeszy Tutsi i przejęcie władzy w kraju przez większość Hutu.

Następne 3 dekady to rządy Hutu w różnych latach w różnym stopniu dyskryminujące Tutsi, okresowe masakry Tutsi podejrzewanych o spiskowanie w celu odzyskania władzy oraz budowa frontu ideologicznego o nazwie Hutu Power, który okazał się kluczowym elementem politycznym na początku lat 90.

Hutu Power wzywali do zakazu mieszanych małżeństw i robienia interesów z Tutsi. Na początku lat 90. Hutu Power opublikowała w Kigali „10 przykazań”, które w praktyce wzywały do niszczenia Tutsi na każdym możliwym polu. Rwanda tego czasu była dyktaturą, w której większość nie dość, że prześladowała mniejszość, to jeszcze panicznie bała się jej powrotu do władzy i porażona strachem już wtedy gotowa była zabijać.

Uchodźcy rwandyjscy z 1959 roku osiedli w Ugandzie (w pewnym momencie ich liczba wynosiła 200 tysięcy), gdzie cierpieli prześladowania za czasów Miliona Obote i Idiama Amina. To rwandyjscy Tutsi wsparli również zamach stanu Yoweriego Museveniego, który zakończył dyktaturę Amina w Ugandzie, a potem stanowili trzon nowej armii ugandyjskiej. W 1987 roku powstał Rwandyjski Front Patriotyczny (FPR), którego przywódcą w 1990 roku został Paul Kagame, i to właśnie ta armia rozpoczęła ataki na Rwandę z Ugandy w październiku 1990 roku. Jej celem był powrót Tutsi do kraju, zakończenie dyskryminacji Tutsi i przejęcie władzy.

Na początku lat 90. Habyarimana stanął zatem w obliczu natarcia Tutsi z Ugandy, walki z wewnętrzną opozycją w łonie Hutu oraz presji międzynarodowej, zwłaszcza Francji, popierającej co prawda prezydenta jako gwaranta wpływów frankofońskich, ale domagającej się od niego demokratyzacji kraju. Wzięty w polityczne kleszcze Habyarimana zgodził się na rozpoczęcie negocjacji z Rwandyjskim Frontem Patriotycznym. W sierpniu 1993 roku doprowadziły one do podpisania w mieście Arusha w Tanzanii porozumienia, na mocy którego uchodźcy Tutsi mieli wrócić do kraju i uczestniczyć we władzy, a żołnierze z FPR zostać wcieleni do armii rwandyjskiej. Niestety porozumienie nie weszło w życie. 6 kwietnia 1994 roku samolot z Habyarimaną na pokładzie został strącony przy podchodzeniu do lądowania w Kigali. Francuzi do dziś twierdzą, że za tą akcją stał Paul Kagame. Prezydent i jego zwolennicy uważają te oskarżenia za groteskowe. Według nich odpowiedzialność za śmierć Habyarimany ponoszą

ekstremiści Hutu, a samolot został strącony po to, by mieli oni pretekst do rozpoczęcia rzezi Tutsi. Być może tak właśnie było – twarogłowi Hutu poważnie zaniepokojeni kompromisami zawieranymi przez prezydenta z pewnością mieli interes w jego śmierci. Jednak w kraju ściśle kontrolowanym, w którym stosunek do historii stanowi podstawę polityki, ustalenie ponad wszelką wątpliwość, kto naprawdę dokonał zamachu, jest dziś niemożliwe.

– Wy na Zachodzie lubicie przedstawiać Rwandę i wydarzenia z 1994 roku w kategoriach metafizycznych – mówi mi ksiądz Gerard. – Opętał nas diabeł, ulegliśmy szatańskim instynktom. To jest zbyt łatwe wytłumaczenie, które w ogóle nie bierze pod uwagę polityki i sytuacji społecznej tamtych czasów. To nie nienawiść ani chciwość kazała Hutu zabijać w kwietniu 1994 roku. To był strach. Ci ludzie się bali, że Tutsi nie tylko chcą wrócić do władzy, ale chcą ich wszystkich zabić. Bojówkarze z Interahamwe mówili: „Zabijaj, bo ciebie zabiją. Nie masz wyboru”. Albo byłeś Hutu i zabijałeś, albo byłeś Tutsi i umierałeś. Ludzie widzieli, co się dzieje na północy kraju, gdzie trwała ofensywa wojsk FPR, widzieli, jak w sąsiednim Burundi armia kierowana przez Tutsi zamordowała prezydenta z plemienia Hutu i rozpoczęła masakry Hutu – tysiące uchodźców z Burundi uciekło wówczas do Rwandy, i to między innymi oni dopuszczali się najbardziej okrutnych zbrodni w 1994 roku. Owszem, to było szaleństwo, opętanie przez zło, ale powody tego opętania można przynajmniej próbować zrozumieć. A dziś władze tego nie chcą, bo taka próba musiałaby podważyć to, że jedynymi ofiarami historii Rwandy byli Tutsi.

A ofiar było wiele. Pierwsze ataki Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego w 1990 roku nie były skuteczne, ale w 1993 roku wojska rebeliantów zajęły pokaźną część północy kraju. Według oficjalnej wersji wojska Kagame zachowywały się poprawnie i prowadziły kampanię przeciwko wojskom rządowym. Jednak niemal każda z rodzin Hutu z północy ma straszne wspomnienia z tamtych czasów. Jeden z najgęściej zaludnionych rejonów na ziemi w ciągu kilku miesięcy opustoszał. Z 800 tysięcy ludzi w tym rejonie zostały niecałe 3 tysiące zgrupowane przez FPR w dwie wsie. Reszta uciekła na południe lub do Ugandy. Według organizacji Human Rights Watch do ataków na ludność cywilną Hutu dochodziło zwłaszcza w 1993 roku podczas exodusu. Represje wobec Hutu na północy nasiliły się wraz z postępem ofensywy Kagame. Z danych raportu ONZ z końca 1994 roku wynika, że w masakrach odwetowych dokonywanych już po ludobójstwie zginęło co najmniej 30 tysięcy Hutu.

– To jest dla nas bardzo bolesne – zwierza mi się Catherine, księgowa pracująca w Ruhengeri, największym mieście na północy Rwandy. W wojnie straciła czterech braci i dwie siostry. – Nikt z nas, Hutu, nie może mówić publicznie o cierpieniu, którego doznaliśmy z rąk Tutsi w tamtym czasie. A przecież i przed 1994 rokiem, i potem, zwłaszcza w 1995 roku, zginęły tysiące Hutu. Nawet nie wiemy, gdzie ci ludzie są pochowani.

Jadąc drogą z Ruhengeri do granicy z Ugandą, co chwila natykam się na „pomniki ludobójstwa”, czyli tablice wspominające ofiary.

– To jest jakiś absurd – mówi mi Jacques, Belg pracujący w jednej z organizacji pomocowych. – Tutaj w 1994 roku nie było żadnego ludobójstwa, bo w tej części kraju mieszkali niemal wyłącznie Hutu. Owszem, dochodziło do gwałtów, zabójstw i masakr, ale ich autorami byli ludzie Kagame. Czy zdajesz sobie sprawę – pyta – jak muszą czuć się tutejsi Hutu, którzy nie dość, że nikogo nie zabili, bo sami byli zabijani, to jeszcze teraz są obwiniani o dokonanie ludobójstwa?

Pytam Jacques'a, dlaczego na Zachodzie wszyscy bezkrytycznie kupują oficjalną wersję historii, wersję Kagame, i nie zadają pytań.

– Bo wszyscy czują się winni – mówi Jacques. – Belgowie za to, co robili w latach 30., Francuzi za to, że przez 30 lat po uzyskaniu przez Rwandę niepodległości popierali rząd Hutu dyskryminujący Tutsi, Amerykanie za to, że nie zdecydowali się na interwencję w 1994 roku, gdy można było jeszcze ograniczyć rozmiar katastrofy. W efekcie wszyscy z wyjątkiem Francji wspierają dziś Kagame, nie przejmując się tym, że uczynił z Rwandy państwo policyjne. Po wojnie w Norymberdze staliści sędził hitlerowców. To jest podobna sytuacja – ciągnie Jacques. – Jedni i drudzy są siebie warci, tylko że Kagame wiedział, jak politycznie wykorzystać ludobójstwo, i zrobił to doskonale. Amerykanie, Niemcy, Anglicy jedzą mu z ręki i dopóki nie popełni jakiegoś poważnego błędu, będzie miał ich wsparcie. To jest kolejny „dobry dyktator”. Takim samym był kiedyś Mobutu w Zairze, Mugabe w Zimbabwie i dziesiątki innych w Afryce od lat 60. Tylko że zamordyzm nawet w Afryce nie trwa wiecznie. Zmieniają się sojusznicy, układy polityczne. Za kilka czy kilkanaście lat to wspieranie Kagame może wyjść Amerykanom bokiem. Hutu, zwłaszcza z północy, mają ogromną cierpliwość, potrafią czekać, nie zapominają przeszłości. Teraz są zastraszeni, ale jeśli zmieni się klimat polityczny, to kamień na kamieniu tu nie zostanie. I Tutsi doskonale o tym wiedzą. Tworzą więc system, w którym ich władza musi być zagwarantowana na zawsze, a w centrum tego systemu stoi pamięć o ludobójstwie z 1994 roku. Oni nigdy nie przestaną wyłapywać sprawców ludobójstwa, „negacjonistów”, „dywizjonistów”. To jest racja bytu tego państwa i rzecz, która przekreśla normalne życie dla milionów Hutu. W razie czego każdy przeciwnik polityczny może być uznany za *genocidaire*, ludobójcę.

– Ale przecież w tym kraju naprawdę są ludzie, którzy pomniejszają rangę zbrodni z 1994 roku – mówię. – Łamanie praw człowieka przez FPR to jednak nie jest to samo co wymordowanie prawie całej grupy etnicznej.

– Oczywiście, że nie – mówi Jacques. – Tylko że największy sprawcy ludobójstwa nie mieszkają dziś w Rwandzie. Ci, którzy zaplanowali rzezie i kierowali nimi, jeszcze w 1994 roku uciekli do DRK albo na Zachód. I nadal tam siedzą. Mieszkają w Niemczech, Francji, Kanadzie. A w roli *genocidaires* występują zwykli Hutu, którzy są pod ręką. Założenie jest takie, że każdy Hutu, który w 1994 roku nie zabijał, sam został zabity, bo ukrywał Tutsi. A zatem jeśli ktoś przeżył, to musiał zabijać. Z takiego „moralnego” punktu widzenia każdy Hutu w dzisiejszej Rwandzie jest winny.

\*

Wracam do Kigali, gdzie w kolejnej eleganckiej kawiarni w kolejnym centrum handlowym spotykam Freda (to imię również zmieniam na prośbę rozmówcy). Okres ludobójstwa przeżył w Nairobi, dziś jest biznes menem pracującym w branży samolotowej. Pytam, z jakiego jest plemienia.

– Tutsi, tylko mnie nie cytuj. Jest jeden naród rwandyjski i tego się trzymam.

Fred stracił w 1994 roku prawie całą rodzinę, został tylko on z bratem.

– Jak możesz mówić, że nie ma podziałów? – pytam. – Przecież was wymordowano tylko dlatego, że jesteście Tutsi. Jaki sens ma zaprzeczanie oczywistości?

– Nikt normalnie myślący nie zwraca uwagi na przynależność plemienną – mówi Fred. – Ludzie chcą pracować, bogacić się. I obecny rząd daje im takie możliwości. Hutu ciągle narzekają, że są dyskryminowani, ale większość sklepów w tym centrum należy do nich. Jeśli ktokolwiek ma dziś problem z Kagame i władzą, to ludzie biedni, a biedni są zarówno wśród

Hutu, jak i wśród Tutsi. Bogaci, tak jak wszędzie na świecie, na nic nie narzekają.

Pytam, czy wyobraża sobie powtórkę z ludobójstwa. Przecież Hutu nie mają własnej reprezentacji politycznej i, słusznie czy nie, czują się dyskryminowani.

– Nie ma takiej możliwości – mówi Fred. – W 1994 roku ekstremiści Hutu mieli za sobą aparat państwa, mieli poparcie Francji, która szkoliła armię i wspierała rząd. Dziś niczego takiego nie ma.

\*

Fatuma Ndingiza z Narodowej Komisji Jedności i Pojednania tłumaczy mi cierpliwie, że wszystko, co usłyszałem na temat Rwandy w ciągu ostatnich dwóch tygodni od przeciwników rządu, jest nieprawdą i wymysłem zatwardziałych „negacjonistów” ludobójstwa.

– Nie, nie było żadnych masakr Hutu na północy w 1993 roku. Nie, nie było rzezi odwetowych w 1995 roku, raporty ONZ w tych sprawach są zmyślone. Organizowanie gacaca na północy było niezbędne, nawet jeśli nie miało tam miejsca ludobójstwo, bo wielu Hutu pochodzących z tamtego rejonu zabijało w innych miejscach, a potem wracało do siebie, próbując uniknąć sprawiedliwości. Nie, w Rwandzie nie ma dyskryminacji Hutu, a jeśli mi nie wierzysz, to wystarczy popatrzeć na skład rządu: premier, minister obrony, wielu innych ministrów to Hutu. Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy armii rwandyjskiej to byli żołnierze Habyarimany, są wśród nich również sprawcy masakr z 1994 roku. Nie możesz nam zarzucać jednocześnie dwóch rzeczy: że pozwalamy byłym mordercom zintegrować się w społeczeństwie i że blokujemy dostęp Hutu do władzy. Jedno wykluczałoby drugie, a prawda jest taka, że nie blokujemy niczego i nikogo, co być może jest ryzykowne, ale taką strategiczną decyzję podjął ten rząd. Jeszcze nigdy w swojej historii Rwandyjczycy, niezależnie od pochodzenia etnicznego, nie mieli tak szerokiego dostępu do władzy. Trzeba naprawdę dużo złej woli, żeby nie dostrzec, jak ogromne postępy poczynił ten kraj przez ostatnie 15 lat. W prawie każdej wsi jest szkoła i przychodnia zdrowia, mamy 12 uniwersytetów, w których uczą się ludzie z obu grup etnicznych, a przed 1994 rokiem był jeden, zarezerwowany dla Hutu. My naprawdę chcemy zbudować nowe, wspólne społeczeństwo i takie powstaje.

– Hutu, którzy uczestniczą we władzy, stanowią zwykłą fasadę – mówi ksiądz Gerard. – Przecież nawet w armii Kagame w Ugandzie byli Hutu, tylko to nie ma nic do rzeczy. Jeśli chcesz być częścią władzy, musisz zaakceptować porządek, który tu został wprowadzony. Owszem, możesz być Hutu, ale nie wolno ci podważać oficjalnej wersji historii ani porządku politycznego, w którym Tutsi i koncesjonowani Hutu stanowią elitę, a zwykły Hutu może być co najwyżej byłym sprawcą ludobójstwa lub jego milczącym współuczestnikiem.

Pytam panią Ndingizę, ilu Hutu brało udział w masakrach.

– Około 2 milionów – odpowiada.

Jestem zdziwiony, bo kilka dni wcześniej inny doradca rządu (nie chciał ujawnić publicznie nazwiska) mówił mi, że w ludobójstwie wzięło udział najwyżej 150–200 tysięcy Hutu. To ogromna liczba, lecz jednak między 200 tysiącami a 2 milionami jest znaczna różnica.

– Nie ma w tym nic dziwnego, że różne źródła podają różne liczby – mówi Fatuma Ndingiza.

– Ale chyba warto wiedzieć, ilu ludzi zabijało? – pytam.

– My to wiemy doskonale – mówi pani Ndingiza. – A jeśli pan chce się dowiedzieć, to proszę zajrzeć do muzeum ludobójstwa w Kigali, tam są świadectwa gwałconych kobiet, matek, na oczach których siekano na kawałki ich dzieci, dzieci, którym zabijano rodziców. Całe to

podważanie winy sprawców jest ostatecznym zwycięstwem tych, którzy negują fakt, że do ludobójstwa doszło, i my nie chcemy im dawać argumentów do ręki.

\*

Muzeum Ludobójstwa w Kigali mieści się w ładnym piętrowym budynku otoczonym ogrodami pamięci i zbiorową mogiłą, w której pochowano szczątki 250 tysięcy ofiar. Mogiła ciągle się rozrasta, bo do dziś odnajdowane są nowe miejsca zbrodni. Ekspozycja jest tak poruszająca i przerażająca, jak przerażająca może być opowieść o zaplanowanej i przeprowadzonej w skuteczny sposób zbrodni, której celem jest eksterminacja narodu.

Co roku od kwietnia do lipca w muzeum odbywają się spotkania, konferencje, wykłady. Trafiam na spotkanie młodzieży z ministrem sportu. Młody, energiczny człowiek ubrany w dres z napisem „Rwanda” na plecach mówi w języku kinyarwanda, ale co chwila wtrąca angielskie zwroty: „*never again*”, „*positive change*”, „*grab opportunities*”, „*sky is the limit*”. Kilkuset młodych ludzi zebranych na trawniku przed muzeum słucha z uwagą. Chyba słucha z uwagą...

W rwandyjskich szkołach od 1994 roku nie uczy się historii. Pytam panią Ndangizę dlaczego.

– Bo historia uczona przed ludobójstwem była zafałszowana, a przez ostatnie lata pracowaliśmy nad jej odkłamaniem. – Pani Ndangiza pokazuje mi kilkusetstronicowy podręcznik, który pod koniec 2009 roku zostanie zatwierdzony.

– Przecież to oznacza, że przez 15 lat wyrosło pokolenie ludzi, którzy w ogóle nie dyskutowali na temat największej zbrodni w historii tego kraju.

– Prowadziliśmy szkolenie pod nazwą „edukacja pokojowa”, uczyliśmy dzieci, co się stało w 1994 roku. Rwandyjczycy wiedzą doskonale, czym było ludobójstwo.

Optymizm pani Ndangizy można wytłumaczyć jej funkcją polityczną, jednak wielu Rwandyjczyków ma poważny problem z tym, że stali się przedmiotem jednego z najbardziej radykalnych eksperymentów społecznych, w którym przejawy autorytaryzmu władzy mieszają się z absurdem. Na przykład na początku roku w szkołach wprowadzono obowiązkowe nauczanie po angielsku. Problem w tym, że w większości szkół w Rwandzie brak jest nauczycieli angielskiego, wykładowcami zostają więc ludzie po miesięcznym kursie, którzy nie władają żadnym językiem obcym.

– Jak pan słyszy, ja mówię po angielsku i wielu Rwandyjczyków posługuje się doskonale tym językiem – tłumaczy pani Ndangiza. – Musimy patrzeć w przyszłość i edukować ludzi tak, by potrafili znaleźć sobie miejsce we współczesnym świecie. Bez angielskiego to nie będzie możliwe.

– A czy to prawda – pytam – że decyzja o wprowadzeniu angielskiego była podyktowana względami politycznymi? Czy chodzi wam o ograniczenie wpływów języka francuskiego, bo uznajecie Francuzów za co najmniej współwinnych ludobójstwa w 1994 roku?

– Nie było takiej motywacji, chodzi nam o wykształcenie młodych Rwandyjczyków – mówi pani Ndangiza.

\*

Znów jestem na północy. Baza Rwandyjskiego Biura Turystyki i Parków Narodowych w Kinigi znajduje się kilkanaście kilometrów od Ruhengeri. Wokół poletka należące do drobnych gospodarstw. Z góry wyglądają jak znaczki pocztowe. Na każdym uprawia się co innego: kapustę, sorgo, banany, ziemniaki, kukurydzę. Każde stanowi źródło utrzymania dla



wieloosobowej rodziny.

Chłopi przez kilkadziesiąt lat przyzwyczaili się do turystów – nie dlatego że tak im się podobają, nie mieli wyboru. Rwanda postawiła na turystykę, i to turystykę dla najbogatszych. Każdy z nas, pijących właśnie przed wyjściem w góry dobrą miejscową kawę, zapłacił 500 dolarów za wejście do Parku Narodowego Wulkanów i podglądanie goryli górskich. Czas podglądania ograniczony do godziny.

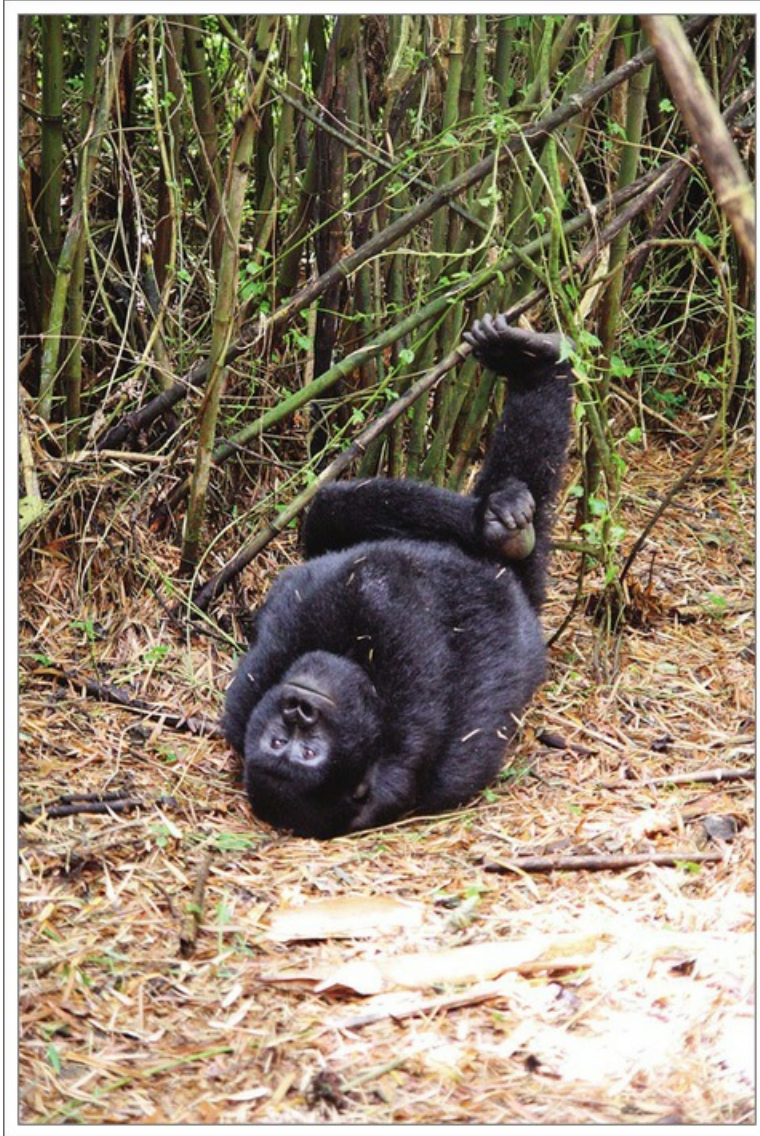
Mimo tak wysokiej ceny turyści zjeżdżają tu masowo i płacą bez gadania – niektórzy nawet za 3–4 dni trekkingu. W Rwandzie mamy największą szansę zobaczenia goryli w pełnej krasie. W Parku Wulkanów żyje 320 osobników, kilkadziesiąt mieszka w parku Nieprzenikniony Las Bwindi w Ugandzie, a najwięcej – 380 – w Demokratycznej Republice Konga na zboczach wulkanów Parku Narodowego Wirunga. Tylko że we wschodniej części DRK od lat trwa wojna i turystyka tam zamarła. Rwanda jest zatem najlepszym miejscem do oglądania goryli – za swoje 500 dolarów każdy turysta ma zagwarantowane dotarcie do jednej z siedmiu gorylich rodzin żyjących po tej stronie granicy.

Trafiam do grupy prowadzonej przez strażnika o imieniu Felix i zaczynamy podejście – szukamy rodziny o nazwie Sabinyo, w której żyje 9 osobników. Zanim przekroczymy granicę parku, wchodzimy na duże pole ogrodzone kamiennym płotem. Pole zostało wykupione przez sieć hoteli Serena i wkrótce ruszy tu budowa ogromnego obiektu, który ściągnie jeszcze więcej turystów. Pytam, co się stało z gospodarstwami chłopów z tego rejonu.

– Musieli się przenieść gdzie indziej – tłumaczy Felix.

Tak jest na północy od lat. Jeśli – jak teraz – panuje spokój, chłopów wyrzucają z ziemi władze i przejmują teren pod zabudowę. Jeśli trwa wojna, jak w latach 1990–1994, chłopci sami rzucają wszystko w diabły i uciekają.

– Tutaj od lat trwa napięcie między zwolennikami rozwoju turystyki a chłopami – tłumaczy Felix. – Jeśli nas by tu nie było, to w ciągu kilku lat chłopci wykarczowaliby połowę lasu na zboczach wulkanów i zajęli ziemię pod uprawę. Tylko gdzie wtedy przeniosłyby się goryle?



Goryl z rodziny Sabinyo

Rwanda od wieków jest krajem, w którym dominacja człowieka nad przyrodą nie podlegała wątpliwości i nikt nie podważał sensu karczowania lasów, bo przetrwanie ludzi zależało od pól, jakie udawało się zebrać z małych poletek przyczepionych do stromych wzgórz wypełniających cały kraj, a zwłaszcza północ. Już Niemcy, którzy przyjechali do Rwandy pod koniec XIX wieku, byli zdziwieni tym, że w kraju właściwie nie było lasów – dziś wiemy, że w ciągu 2 tysięcy lat osadnictwa na tych terenach ludzie wykarczowali 75% lasów górskich i tropikalnych, przejmując ziemię pod uprawę lub przeznaczając ją pod wypas bydła.

Niemcy, w przeciwieństwie do innych kolonizatorów, na przykład Brytyjczyków w Kenii, nie przejmowali ziemi w Rwandzie pod bezpośrednią kontrolę – pozostawała ona w rękach tubylców. Wyjątek stanowiły lasy, które miały nominalnie należeć do cesarza Niemiec. W ramach tej polityki cały las Wirunga na zboczach siedmiu wulkanów znajdujących się dziś na granicy Rwandy i Demokratycznej Republiki Konga znalazł się w strefie chronionej. To również tutaj w 1902 roku młody niemiecki oficer, kapitan Robert von Beringe, „odkrył” żyjące na

wysokości ponad 3000 metrów „wielkie czarne małpy”. Nowy gatunek został sklasyfikowany jako *Gorilla gorilla beringei*.

Po przejściu kolonii od Niemców po I wojnie światowej Belgowie kontynuowali politykę ochrony lasów, których przez stulecia nie udało się wykarczować miejscowym. W 1925 roku tereny dzisiejszego Parku Wulkanów w Rwandzie i Wirunga w Demokratycznej Republice Konga stały się Parkiem Narodowym Alberta. Był to pierwszy przypadek powołania instytucji parku narodowego w Afryce.

W latach 30. teren parku obejmował już ponad 800 tysięcy hektarów. Jednak pod koniec lat 50. Rwandyjczycy, w związku z ogromnym przyrostem naturalnym, domagali się powiększenia terenów pod uprawę. W 1958 roku pierwsze 20 tysięcy akrów lasu poszło pod piły. Później naciski na władze, by zezwoliły na dalsze karczowania stoków wulkanów, rosły, zamiast maleć – chłopci doprowadzali swoje gospodarstwa pod granice parku, a następnie władze odcinały dla nich kolejne płyty ziemi – i w ten sposób zaczęły się kłopoty goryli.

Wtedy do akcji wkroczyła amerykańska zoolog Dian Fossey. W połowie lat 60. założyła na zboczach Parku Wulkanów stację badawczą i postanowiła zaprowadzić w górach porządku. W owym czasie liczba goryli zaczęła gwałtownie spadać ze względu na kłusownictwo – cała światowa populacja gatunku nie przekraczała 260 sztuk. Ludzie zabijali goryle, bo nie dawało się przegonić ich z miejsc, które chcieli przejąć pod uprawę.

Fossey rozbiła swój obóz na zboczu góry niedaleko Kinigi i nie bacząc na miejscowych, przystąpiła do ratowania goryli. Legenda – zwłaszcza po filmie *Goryle we mgle*, który przedstawił osłodzoną przez Hollywood wersję jej pracy i życia – jest dla Fossey bardzo łaskawa. Jednak metody, które stosowała, spotykały się od początku ze sprzeciwem nie tylko lokalnej ludności, ale również jej amerykańskich współpracowników. Fossey wynajmowała miejscowych do patroli, kazała im strzelać do każdego, kto się zbliżył do goryli, a także – i to było przyczyną wielu konfliktów z władzami rwandyjskimi – przez długie lata nie godziła się na rozwój turystyki.

W latach 80. wielu Rwandyjczyków zrozumiało, że ochrona goryli może im przynieść konkretne korzyści finansowe, jednak z Fossey trudno było współpracować, bo praktycznie nie uznawała zwierzchności Rwandy nad swoją stacją badawczą. Wielu miejscowych szczerze jej nienawidziło i niewykluczone, że to właśnie któryś z nich zabił ją w 1985 roku. Okoliczności tego zabójstwa do dziś nie są wyjaśnione.

Zapoczątkowana przez Fossey praca dała efekty: populacja rosła, stosunki między badaczami a rwandyjskimi organizacjami turystycznymi i władzą lokalną się ustabilizowały. Pod koniec lat 80. podglądanie goryli było główną atrakcją turystyczną Rwandy. W trakcie wojny domowej na początku lat 90. turystyka zamarła, ale teraz stanowi ponownie jeden z największych zastrzyków finansowych dla regionu. Codziennie zagraniczni turyści zostawiają tu prawie 30 tysięcy dolarów za samo oglądanie goryli. Oprócz tego każdy musi zapłacić za hotel oraz wynajęcie samochodu, którym trzeba dojechać do ośrodka. Za kilkunastokilometrowy przejazd z Ruhengeri miejscowi kierowcy żądają nawet 100 dolarów w jedną stronę – ja zadowolilem się przejazdem taksy-motocyklem za 15 dolarów.

\*

W Ruhengeri zatrzymuję się na dobry obiad w porządnej restauracji przy hotelu. Powstaje ich tu teraz mnóstwo. Jedzenie i obsługa pierwszorzędne. W drodze powrotnej do Kigali mijam

urzekające pięknem doliny, rozległe plantacje herbaty, pulsujące życiem wsie i miasteczka. Kraj budzi się do życia po śmierci...

– Dla Afrykanina pojęcie niewiary w rzeczywistość pozamaterialną jest obce – mówi mi polski pallotyn Krzysztof Miner, proboszcz parafii w Kinoni na północy. – Nie spotkałem tutaj żadnego niewierzącego, może poza powracającymi z Europy czy Stanów.

– Ale w co wierzą? – pytam.

– W tradycyjnej religii rwandyjskiej obecna była wiara w jednego boga Imanę, który stworzył świat, ale nie zajmuje się nim szczegółowo. Na co dzień światem rządzą duchy, których życzliwość trzeba sobie zaskarbić. Imana nie ingeruje w życie ludzi, ale duchy mogą je zniszczyć, dlatego Rwandyjczycy bardzo się ich boją.

– Czego konkretnie się boją?

– Wszystkiego, co ich przerasta. Boją się nocy i przyszłości. Boją się śmierci i cierpienia. Boją się sąsiada, który może ich otruć albo okraść. I wierzą, że duchy mogą ich przed tym wszystkim ochronić albo przyczynić się do ich upadku.

– A w czasie wojny? Jak wtedy bronili się przed złymi duchami?

– Na wszystkie sposoby. Najpierw przychodzili do kościoła, a potem oddawali cześć swoim duchom i prosili je o wstawiennictwo.

– Czy wierzą w Jezusa?

– Wiara w Chrystusa daje szansę wyjścia z tego kręgu wpływów bytów, których nie znają, których się boją. Oni doskonale rozumieją i odczuwają potrzebę obcowania z przodkami. To jest to, co my znamy jako kult świętych, ale w Europie czy w innych bogatych częściach świata odczuwamy coraz mniejszą potrzebę praktykowania kultu przodków. Dla nich światem rządzą zmarli, a kontakt z nimi jest niezbędny.

– A diabeł? Czy ich światem rządzi również diabeł?

– Oni przeżyli ogromne zło. Taki bezmiar tragedii, jaki spotkał ten kraj, jest nie do pojęcia dla normalnego człowieka. Oni są pewni, że diabeł istnieje. Bo przecież jeśli nie ma diabła, to kto im zgotował tę śmierć przed 15 laty?

\*

W kościele Świętej Rodziny w centrum Kigali słucham historii Flory – w kwietniu 1994 roku sąsiad zabił troje jej dzieci. Gdy stolicę zajęły wojska FPR, zaczęła na własną rękę tworzyć listy Hutu, którzy uczestniczyli w ludobójstwie. Kilkunastu – winnych i niewinnych – posadziła za kraty, składając zeznania przed trybunałem *gacaca*. Przez przypadek zabójca jej dzieci trafił do więzienia za zbrodnie, o które oskarżono go niesłusznie. Po kilku miesiącach wyszedł z więzienia jako niewinny człowiek, ale – jak sam mówi – nie był w stanie żyć ze świadomością, że za morderstwo, które popełnił, nie zapłacił. Zgłosił się do Flory, a potem do sądu. Odsiedział wyrok, a Flora mu przebaczyła. Skrucha mordercy spowodowała też, że zaczęła szukać możliwości wyciągnięcia z więzienia ludzi, którzy poszli siedzieć na podstawie jej fałszywych zeznań, składanych z zemsty.

– To jest przykład, jak w tym kraju może dojść do prawdziwego pojednania – mówi mi polska zakonnica pracująca od lat w Rwandzie. – Pojednanie musi być oparte na prawdzie i wypływać z potrzeby serca. Bez spełnienia tych dwóch warunków wszystko jest zwykłym propagandowym ćwiczeniem, które nie ma najmniejszego sensu.

– Czy możemy jednak oczekiwać od normalnych ludzi takiego heroizmu, jaki wykazała

Flora? – pytam.

– Pewnie nie, ale tylko taka postawa może dać szansę na pokój w tym kraju.

\*

Na północy Kigali znajdują kaplicę, w której w kwietniu 1994 roku Hutu spalili żywcem ośmiu Tutsi. Ofiary schroniły się tu w nadziei, że w kościele ocaleją. Mordercy wybili jednak szyby, włali benzynę i podpalili budynek. Nikt nie ocalał. Po wojnie kaplicę odbudowano, obok znajduje się skromna mogiła, gdzie złożono szczątki ofiar.

Niemal w każdej części kraju stoi kościół czy kaplica, gdzie dochodziło do mordów. Dziś w większości z nich znajdują się muzea i sale pamięci. Do dziś również niektórzy Tutsi oskarżają księży o współdziałanie w zbrodniach, a przynajmniej o bezczynność wobec horroru. Pytam Gerarda, dlaczego akurat w kościołach zginęło tak wielu ludzi.

– To prawda, że Kościół katolicki w czasach Habyarimany współdziałał z rządem. Popierał otwarcie rząd Hutu, podobnie jak przed 1959 r. popierał dyskryminujące Hutu władze Tutsi. Cała edukacja należała do Kościoła i cała była zdominowana przez Tutsi. A po 1959 roku na kolejne 30 lat wahadło odbiło w drugą stronę. Znam nawet biskupa, który należał do komitetu centralnego jedynej partii, jaka wówczas istniała. Być może byli księża, którzy dawali schronienie zabójcom, ale to nie jest cała prawda o postawie Kościoła. Dwie trzecie rwandyjskiego duchowieństwa musiało uciekać z kraju, wielu księży zginęło, odmawiając udziału w zabijaniu. Prawdą jest też, że ludzie kryli się w kościołach, licząc, że tam ocalą życie, ale nie ocalili. To jest dla mnie, katolickiego księdza, bardzo trudne do zaakceptowania. Być może to prawda, że zawiedliśmy ludzi – kończy.

Na ścianie kaplicy napis: „Bóg jest miłością”. Pytam księdza Gerarda, jak może się modlić w miejscu, w którym żywcem spalono ludzi.

– To jest twój wybór – mówi. – Bóg jest miłością, ale tylko jeśli w to uwierzysz. Jeśli nie, pozostaje ci diabeł.



Wulkan Muhabura w Parku Wulkanów

\*

Diabeł, zło, duchy, horror i *bapfuye buhagazi*, czyli żywe trupy – ocalali z ludobójstwa, którzy nigdy go nie zapomną – oto obraz Rwandy, który staje przed oczami odwiedzającego ten

kraj 15 lat po rzezi. Być może, jak chce Fred i kilku innych moich rozmówców, aby pozbyć się diabła, złych duchów i koszmaru, wystarczy wyedukować społeczeństwo i dać mu szansę na wzbogacenie się. Być może w szkole i eleganckim sklepie ludzie zapomną o przeszłości, która do dziś dzieli ten mały, ale kluczowy dla zrozumienia środkowej Afryki kraj. Być może obecne sukcesy rządu prezydenta Paula Kagame zapowiadają trwały spokój w tej części kontynentu i pomyślność dla Rwandyjczyków. Jednak należy pamiętać, że w latach 70. i 80. Rwanda również była ulubieńcem Zachodu. Organizacje pomocowe stawiały ten kraj za przykład afrykańskiego sukcesu i rozwoju, Francja uznawała za niezawodny przyczółek w walce z ofensywą „anglofońską” w środkowej Afryce. Jednak wówczas działały te same mechanizmy co teraz, naród budowano wokół przywilejów dla jednej grupy oraz wykluczenia, biedy, pogardy dla drugiej. W efekcie taka polityka doprowadziła do eksplozji w 1994 roku. Dziś role Hutu i Tutsi się odwróciły, ale co to zmienia? Czy tym razem Rwandyjczykom uda się obłaskawić własną historię? Czy może, jak to zwykle bywało, historia dopadnie ich gdzieś po drodze, a my, po drugiej stronie świata, znowu będziemy się zastanawiać nad mrocznymi zakamarkami ludzkiej natury?

>

## Demokratyczna Republika Konga: skąd ta groza?

W Gomie wszystkiego jest za dużo. Za dużo wielkich, czarnych kawałków zastygłej lawy, za dużo kurzu, gdy świeci słońce, i błota, gdy pada deszcz. Za dużo sklepów, a w nich za dużo diamentów i wina z Francji (skąd tu francuskie wino?), kobaltu i proszku do prania, cynku, mięsa i uranu. Za dużo samochodów terenowych oznaczonych skrótami: MONUC, UNHCR, FAO i SLAO, WFP, CCLC, i dziesiątkami innych, których rozwinięcia nigdy nie poznam. Za dużo drewnianych rowerów miejscowej produkcji. Za dużo biednych i milionerów, patroli policyjnych i wojskowych. Za dużo kalek wystawiających kikuty w nadziei, że ludzka litość przełoży się na kilka franków. I za dużo dzieci wczepionych w odsłonięte piersi matek. A wszystko w ruchu. Goma jest jak piekło z tryptyku Boscha, w którym jeden potępiony ściąga w dół następnego, tamten kolejnego i tak bez końca.

To miasto albo czeka na wybuch Nyiragongo, albo właśnie stygnie po jego wybuchu. A wulkan pluje dymem, nawet gdy nie ma zamiaru wybuchnąć. Nie daje o sobie zapomnieć, bo widać go z każdego miejsca.

Gdy wjeżdżam do Gomy, duża chmura dymu unosi się nad Nyiragongo. „Temperatura wokół góry (3470 metrów wysokości) podnosi się – czytamy w serwisie BBC. – Krater wypływa więcej pyłu wulkanicznego niż zwykle. Przedstawiciele ONZ, którzy z bliska śledzą ruchy miejscowej ludności, twierdzą jednak, że w regionie nie ma paniki”.

\*

Aby przeprowić się z Rwandy na drugą stronę „Styksu”, muszę poprosić o wizę. W roli Charona występuje szef służby granicznej w Gomie, do którego zostałem skierowany, ponieważ nie wszystko w moich papierach się zgadza. Miły człowiek koło czterdziestki, na jego biurku zdjęcie uśmiechniętej żony i dzieci. Opowiada mi o trudnościach, jakie mają obywatele DRK z otrzymaniem wizy do Polski. „A ty chciałbyś tak od razu wjechać? I to jeszcze jako dziennikarz? – Pokazuje mi kilka formularzy, które powinienem był wypełnić w Polsce, a nie wypełniłem. – Ale musimy sobie wszyscy pomagać, bo przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, prawda?” Prawda, mówię, rozpoznając w jego zachowaniu cechy wspólne wszystkim urzędnikom, którym dano władzę na moment i którym w każdej chwili ta władza może zostać zabrana. Są tacy sami bez względu na kolor skóry i miejsce zamieszkania. Wiedzą, że teraz jest ich czas i że jeśli teraz nie zdążą, to drugiej szansy mieć nie będą. Więc muszą zdążyć.

Mój urzędnik nie chce, żebym się go bał, bo dlaczego miałbym się bać? Lepiej, żebym go polubił. Lepiej, żebym zrozumiał, że on w swojej szczodroblewości może wydać mi tę wizę, ale przecież wcale nie musi, choć pewnie mi wyda, bo przecież wszyscy jesteśmy ludźmi. Demokratyczna Republika Konga to specjalny kraj, w którym musimy sobie nawzajem pomagać.

Za czasów legendarnego przywódcy Mobutu Sese Seko Kuku Ngbendu Wa Za Banga („Wszechpotężnego wojownika, który kroczy od podboju do podboju, zostawiając za sobą ogień”) w kraju popularność zyskał tak zwany Artykuł 15. Jego filozofia – nigdy formalnie niespisana, ale obowiązująca w całym kraju, bo wygłoszona przecież ustami samego Mobutu na konferencji partyjnej w 1990 roku – głosiła, że w zasadzie nie ma nic złego w tym, żeby „trochę ukraść”. Nie wiadomo dokładnie, co znaczyło „trochę” dla Mobutu i jego najbliższych współpracowników, choć można założyć, że „trochę” oznaczało absolutnie wszystko, co znajdowało się w zasięgu rąk. W latach 90. Artykuł 15 stanowił podstawę bytu biednych i bogatych, ludzi na stanowiskach i tych, którzy o stanowiskach tylko marzyli. Stanowił alibi dla ministra, który brał łapówkę za udzielenie kontraktu na wydobycie złota albo sprzedawał nielegalnie broń, dla taksówkarza, który oszukiwał pasażera, a nawet dla niepełnosprawnych, którzy w Gomie czy Kinszasie tworzyli mafie wymuszające okup od kierowców na skrzyżowaniach. W państwie, w którym jedynym pewnym źródłem utrzymania była i jest praca w jakiejś zagranicznej organizacji pozarządowej, a zwykły człowiek – zwłaszcza na przeludnionym wschodzie kraju – nie ma najmniejszych szans na stałe zatrudnienie, „trochę” oznacza wszystko, co możliwe. Jeśli ktoś ma okazję, kradnie, bo od tego, czy ukradnie, zależy życie jego i jego rodziny. Jak wyznał mistrz gatunku Mobutu Sese Seko w innym momencie szczeroci: „Wszystko jest na sprzedaż i wszystko w tym kraju można kupić”.

Ten darwinowski ekosystem powszechnego rabunku istnieje w DRK do dziś i właśnie w jego strefę wszedłem. Łupienie białych cieszy się szczególną popularnością, bo jest ono moralnie obojętne, a nawet – wzięwszy pod uwagę zasady relatywności ludzkich dochodów – wskazane jako uprawniona forma redystrybucji bogactwa. W końcu jeśli jakiegoś białego stać na podróż do Demokratycznej Republiki Konga, to musi zarabiać co najmniej 100 razy więcej niż przeciętny obywatel DRK. Co tam 100 – 1000 razy więcej. Czym zatem jest dla niego te kilka, kilkadziesiąt czy kilkaset dolarów, które zabierze turyście urzędnik albo taksówkarz?

Mój Charon oddaje paszport podwładnemu, który wbija pieczęć. Zostajemy na moment w pokoju i w cztery oczy dyskutujemy na temat wysokości „opłaty afrykańskiej”, jak szef straży ją nazywa – niesłusznie zresztą: działanie Artykułu 15 w tak drastycznej formie nie wykracza poza granicę DRK. Kilkadziesiąt metrów dalej, po stronie rwandyjskiej, urzędnicy imigracyjni nie biorą łapówek, a propozycje ich wręczenia mogłyby się skończyć niemiłym pobytem w areszcie. Ostatecznie wywijam się skromną sumą 100 dolarów i przekraczam granicę Demokratycznej Republiki Konga. „Witamy w Gomie”, mówi mi Charon na pożegnanie i proponuje podwiezienie do centrum miasta. Nie, dziękuję, nie skorzystam.

\*

Kilkanaście lat temu Goma była ulubionym miejscem podróży zachodnich turystów, bazą wypadową na trekking po Parku Narodowym Wirunga. Dziś znaleźć tu można emocje innego rodzaju. Dziś biały Europejczyk, przyjeżdżając do Gomy, ma okazję przeżyć iluminację – moment, w którym nagle rozumie to, co dla dwóch trzecich ludzkości jasne jest od zawsze: że są na świecie miejsca, gdzie wszystkie mechanizmy obrony, które my, biali, żyjący w dostatku ludzie przyjmujemy za oczywiste, okazują się zawodne. Paszport z gwiazdami Unii Europejskiej, świadomość własnych praw, pełne konto i karta kredytowa, numer ubezpieczenia, PESEL, REGON, zestaw PIN-ów i co tam jeszcze – to wszystko, czego w domu nie zauważasz, ale co daje ci poczucie przynależności do jakiejś strefy bezpieczeństwa i przekonanie, że nawet



jeśli coś złego się wydarzy, to przecież wiesz, jak reagować – to wszystko tutaj nie działa, a całe twoje życie zależy od zbiegów okoliczności i kaprysu kompletnie obcych ludzi. Goma jest jak woda chrzcielna, w której zanurzysz się, przechodzisz na drugą stronę życia. Od tej pory, dopóki stąd nie wyjedziesz, nie pozbędziesz się delikatnego piętna strachu i przekonania o nieskończonej liczbie możliwych rozwiązań.

\*

Ostatni raz Nyiragongo wybuchł w 2002 roku. Lawa rozlała się w góry, ale największe spustoszenie wywołała erupcja kilkanaście kilometrów bliżej miasta – magma podeszła pod ziemię i wystrzeliła niedaleko lotniska. Zginęło 45 osób, 300 tysięcy ludzi ewakuowano, prawie 20% Gomy zostało zniszczone.

Przejeżdżam przez teren przypominający zaschnięte jezioro lawy – który jest zaschniętym jeziorem lawy. Dwumetrowa fala pochłonęła budynki, wybuchły stacje benzynowe i elektrownie, lawa wpływała do jeziora Kiwu, powodując eksplozje pary wodnej.

Pytam mojego przewodnika, dlaczego ludzie nie wyniosą się z tego miejsca, przecież Nyiragongo jest najbardziej aktywnym wulkanem Afryki i jednym z najbardziej aktywnych na świecie. Jest niemal pewne, że wcześniej czy później znów zniszczy miasto.

Goma – miasto żyjące w cieniu wulkanu Nyiragongo. Wszędzie widać zaschniętą lawę





– A gdzie mają się wynieść? – odpowiada pytaniem Emmanuel, który pracuje jako dozorca na lokalnej budowie. – Tylko tutaj mają szansę na przeżycie, znalezienie jakiejś pracy albo pomocy ze strony organizacji międzynarodowych. Tylko tutaj, w Gomie, mogą liczyć na względne bezpieczeństwo.

Emmanuel należy do zdecydowanej mniejszości miejscowych urodzonych i wychowanych w Gomie. W ostatnich latach to miasto stało się bowiem magnesem dla wszystkich – znajdują się tu siedziby setek międzynarodowych organizacji pomocowych i baza wojsk misji ONZ MONUC, w której stacjonuje 1000 żołnierzy.

Wokół miasta w czterech oficjalnych obozach dla uchodźców przebywa ponad 80 tysięcy ludzi. Kolejne 100 tysięcy mieszka na ulicach Gomy albo w chatkach zbudowanych naprędce z kawałków lawy i piasku wulkanicznego. Goma jest w istocie wielkim placem budowy, jak gdyby ludzie nie przyjmowali do wiadomości, że pewnego dnia, podobnie jak wielokrotnie w historii, wulkan może ich pogrzebać razem z całym dorobkiem ich życia. Biedni stawiają chatki, bogaci budują pałace, zwykle na kredyt. Niektórym starcza pieniędzy tylko na jedno piętro, więc zostawiają rozgrzebaną budowę na kilka lat, do czasu gdy się dorobią albo dostaną kredyt, żeby ją skończyć. W tym czasie pozwalają jakiejś napływowej rodzinie uchodźców zamieszkać na budowie swojego domu w zamian za ochronę przed złodziejami.

Uchodźcy pochodzą z okolicznych wsi, zwłaszcza z rejonu Rutshuru i Masisi. Uciekają przed przemocą ze strony armii DRK i grup rebeliantów walczących ze sobą w tym rejonie od kilkunastu lat. Goma daje im szansę przeżycia, choć niektórzy nie wytrzymują presji.

Następnego dnia po przyjeździe w towarzystwie Emmanuela spotykam jego znajomego. Ze skromną walizką w ręku idzie w stronę przystanku autobusowego. Pytam, gdzie jedzie. Emmanuel chwilę z nim rozmawia, starszy wiekiem człowiek jest wyraźnie załamany.

– Wraca do domu, na wieś – mówi Emmanuel. – Mówi, że woli zginąć od kuli niż z głodu. Był tu przez kilka tygodni, nikogo nie zna, nie ma pracy, nie chce tu zostać.

Obóz Bulengo mieści się na południowych obrzeżach miasta. Z małego wzgórza, gdzie umieszczono latryny, widać jezioro Kiwu. Jeśli ktoś umiałby wymazać z krajobrazu setki namiotów zbudowanych z metalowych żerdzi i liści bananowych i pokrytych plandekami z logo UNHCR, jeśli nie chciałby dostrzec skrajnej nędzy panującej w obozie i nieudolnych prób zachowania ludzkiej godności podejmowanych przez jego mieszkańców, to pewnie poczułby, że

znalazł się w jednym z najpiękniejszych zakątków ziemi. Jezioro Kiwu jest krystalicznie czyste, okoliczne góry porośnięte wspaniałym gęstym lasem, a ziemia podchodząca pod same stożki wulkanów należy do najbardziej żyznych w Afryce. Plony zbiera się tu trzy, a nawet cztery razy w roku. Gdyby nie wojna, nikt w prowincji Kiwu nie znalazłby głodu czy nawet niedostatku.

W Bulengo spotykam Hiszpana Nicolása Dorronsoro, dziennikarza i pracownika Jezuickiej Służby Uchodźcom ( JRS), który zajmuje się szkoleniem zawodowym młodych ludzi w obozie.

– Wyobraź sobie, że żyjesz w spokoju w swojej wsi, uprawiasz pole i wychowujesz dzieci, jak potrafisz – tłumaczy Nicolás. – Któregoś dnia przychodzą jacyś ludzie w mundurach, zabijają mieszkańców, gwałcą kobiety, zabierają wszystko, co masz. Tym, którzy przeżyją, nie pozostaje nic innego jak ucieczka do miasta. Nie wiedzą, jak długo tu będą przebywać, nie mają pojęcia, kiedy wrócą do swoich domów. To jest doświadczenie tych tysięcy ludzi mieszkających w obozach w okolicach Gomy i uchodźców w mieście.

To jest doświadczenie mieszkańców wschodniej części DRK od 15 lat, kiedy to kraj, który wówczas nazywał się Zair, stał się terenem najkrwawszego i najbardziej skomplikowanego konfliktu w historii współczesnej Afryki. W jego wyniku zginęły co najmniej 4 miliony ludzi. W batalię, którą wkrótce zaczęto określać mianem afrykańskiej wojny światowej, włączyło się kilka krajów ościennych. Konflikt ten oznaczał koniec ery Mobutu Sese Seko i Zairu w formie znanej od lat 60., a w szerszej perspektywie koniec ery zimnowojennej w polityce Zachodu wobec Afryki.

Wszystko zaczęło się w Rwandzie wraz z początkiem ludobójstwa w 1994 roku. Hutu kierowani przez bojówki Interahamwe wyrzynali swoich sąsiadów Tutsi, a od północy z Ugandy trwała ofensywa Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego – armii Tutsi, która szła na odsiecz rodakom. W lipcu wojska FPR zajęły Kigali, a miliony Hutu, w tym zarówno sprawcy niedawnego ludobójstwa, jak i niebiorący w nim udziału, uciekli do sąsiednich krajów w obawie przed odwetem ofiar. Ponad jedna czwarta ludności Rwandy – 2 miliony ludzi – przekroczyła granice Tanzanii, Burundi, Ugandy i Zairu. Połowa uchodźców wylądowała na wschodzie Zairu nad brzegami jeziora Kiwu.

Bulengo – obóz dla uchodźców na południowych obrzeżach Gomy





Skutki takiego exodusu łatwo było przewidzieć. Epidemie cholery i innych chorób dziesiątkowały uchodźców – na życzliwość i pomoc Zachodu nie musieli długo czekać. W ciągu kilku miesięcy 1994 roku w regionie Kiwu rozpoczęła się jedna z największych operacji humanitarnych w historii ludzkości. Brało w niej udział ponad 200 organizacji, tysiące ochotników z całego bogatego świata i tysiące lekarzy oraz pielęgniarek. Wszyscy ratowali życie ludzi, którzy z zewnątrz wyglądali na Boga ducha winne ofiary wojny.

Operacja odniosła sukces, epidemie opanowano, zorganizowano miejsca do zamieszkania. A gdy osiadł kurz w obozach wokół Gomy, Bukavu i Uviry, miejsca te ukazały swoje prawdziwe oblicze. W obozach rządili szefowie Interahamwe i oficerowie byłej armii rwandyjskiej. Niedawni zbrodniarze sprawowali władzę nad swoimi dawnymi społecznościami – tym razem przy wydatnej pomocy wspólnoty międzynarodowej. To oni decydowali, kto w obozie dostawał jedzenie, a kto nie, kto zarabiał, a kto nie miał na to szans, to oni kontrolowali cały system życia obozowego.

Obozy były jak rak, który rozprzestrzeniał się na terenie wschodniego Zairu. Operacja humanitarna zakończyła się sukcesem, tylko pacjenci wcale nie chcieli opuszczać szpitala, a lekarzom i opiekunom też nie było w nim najgorzej. Wysoki urzędnik ds. uchodźców ONZ regularnie ogłaszał, że Hutu mogą wracać do kraju. Podstawiano nawet autobusy do przewozu chętnych, ale chętnych nie było – niektórzy ciągle bali się odwetu Tutsi, inni byli zastraszeni przez rodaków sprawujących władzę w obozach. Dla członków Interahamwe, byłych burmistrzów, urzędników państwowych i wojskowych z czasów Habyarimany jedyny sensowny powrót do kraju mógł nastąpić na czele zwycięskiej armii przywracającej do władzy Hutu. Dochodziło do groteskowych sytuacji: dowódcy byłej armii rwandyjskiej szkolili w obozach nowych żołnierzy niemal na oczach pracowników organizacji humanitarnych, którzy woleli nie poruszać spraw politycznych, wiedząc, że Zachód, owszem, gotowy jest płacić miliardy dolarów na pomoc humanitarną, ale nie ma zielonego pojęcia, jak rozwiązywać problemy polityczne tej części kontynentu i nawet nie chce podejmować takiej próby.

Sytuacja w obozach uchodźców rwandyjskich na wschodzie Zairu była wręcz podręcznikowym przykładem tego, jak udzielana w dobrej wierze pomoc międzynarodowa prowadzi do skutków przeciwnych do zamierzonych. Obozy kierowane przez ludzi ściąganych międzynarodowymi listami gończymi przekształciły się w kilkuset tysięczne miasta ze sprawnie

funkcjonującą gospodarką. W obozowej rzeźni produkowano mięso z krów kradzionych okolicznym wieśniakom, dla urozmaicenia diety uchodźcy plądrowali tereny Parku Narodowego Wirunga, wybijając małpy i hipopotamy z Jeziora Edwarda. Karczowanie lasów i produkcja węgla drzewnego przybrały takie rozmiary, że siostrzane wobec organizacji humanitarnych zachodnie organizacje ekologiczne podniosły alarm, pokazując na dowód zdjęcia satelitarne, które ujawniały rozmiary bezprawnej wycinki. Według danych UNHCR z 1995 roku w obozach uchodźców rwandyjskich we wschodnim Zairze działały 82 tysiące przedsiębiorstw, w tym bary, restauracje, salony fryzjerskie, sklepy spożywcze, apteki, kina, zakłady fotograficzne. Jedzenia było tak dużo i było ono tak tanie, że Zairczycy z Gomy robili w obozach zakupy, co było skądinąd bardzo proste, bo transport zapewniały im sprawnie funkcjonujące firmy przewozowe posługujące się autobusami, które kilka lat wcześniej ówczesny rząd Rwandy otrzymał w darze od Japonii, a uchodźcy zabrali z sobą, uciekając z kraju. Mieszkańcy obozów mieli zapewnioną stałą pomoc medyczną, dzieci były szczepione, kobiety rodziły w znośnych warunkach. A płacili za to wszyscy podatnicy w bogatych krajach Północy przeświadczeni, że swoimi datkami przyczyniają się do uregulowania konfliktu politycznego i poprawy doli ludzi w jednym z najbardziej zapalnych miejsc na ziemi. Według danych UNHCR w ciągu zaledwie dziewięciu miesięcy 1994 roku organizacje pomocy przeznaczyły 336 milionów dolarów – więcej, niż wynosił wówczas cały budżet Zairu – na utrzymanie obozów kierowanych przez sprawców jednego z najokrutniejszych ludobójstw w historii ludzkości.

To dzięki tym pieniądzom we wschodnim Zairze wykształcił się system zależności, w którym dobrze się miały wszystkie strony: miejscowi kacykowie, dla których łaska Mobutu przestała być jedynym źródłem utrzymania, bo mogli robić interesy z władzami obozowymi; liderzy obozów, którzy zaczęli rozszerzać swoje wpływy na zewnątrz, zwłaszcza na zdemoralizowanych oficerów armii zairskiej; tysiące pracowników organizacji pomocowych, których budżety pęczniały wobec ciągle rosnących i niezaspokojonych potrzeb uchodźców.

Byli żołnierze armii rwandyjskiej i liderzy Interahamwe nie poprzestawali na obozowym biznesie. Uzbrojeni przez Mobutu i wspomagani przez jego żołnierzy, od 1995 roku dokonywali ataków na miejscowych Tutsi z okolic Masisi, a później z innych rejonów prowincji. Dochodziło też do wypadów na teren Rwandy. Nowe władze rwandyjskie zdominowane teraz przez Tutsi nie zamierzały przyglądać się bezczynnie szykowanej przez Hutu ofensywie i kolejnym rzeziom swoich rodaków – tym razem w Zairze – dlatego regularnie wspomagały siły rebeliantów w tym kraju.

W październiku 1996 roku cztery partyzanckie grupy Tutsi w Zairze połączyły się, tworząc organizację o nazwie Sojusz Sił Demokratycznych na rzecz Wyzwolenia Konga–Zairu (AFDLC). W niespełna dwa miesiące AFDLC pod wodzą przeciwnika Mobutu generała Laurenta Kabili dokonała tego, czego ONZ nie był w stanie zrobić przez dwa i pół roku. Obozy przestały istnieć, setki tysięcy Hutu wróciły do Rwandy, inni uciekli w głąb Zairu. Ich dowódcy i liderzy Interahamwe utworzyli oddziały, które miały wspomagać armię Zairu w walce z AFDLC. Jednak żołnierze Mobutu okazali się kompletnie niezdolni do prowadzenia jakiegokolwiek walki. Masowo uciekali przed wojskami AFDLC, a jedyny opór, na jaki napotykali ludzie Kabili, pochodził ze strony oddziałów rwandyjskich Hutu z Interahamwe.

W kilka miesięcy po rozpoczęciu ofensywy AFDLC Zair przestał istnieć jako niezależne państwo. Najbardziej cierpieli na tym niewinni ludzie. Życie traciły setki tysięcy osób – zarówno Zairczyków, jak i uchodźców Hutu uciekających przez AFDLC i żołnierzami nowego rządu Rwandy, który wprowadził swoje wojska na teren Zairu.

W tej dziwnej wojnie praktycznie nie było walk między wojskowymi, a sprawcami masakr cywilów byli wycofujący się żołnierze armii zairskiej, choć nie tylko. Również niedawne ofiary rzezi w Rwandzie dokonywały polowania na Hutu kryjących się w dżunglach Zairu – rozmiar tych rzezi poznajemy dopiero dziś, gdy pojawiają się niezależne raporty. W oficjalnej historii rozpowszechnianej przez władze w Kigali odwetowych pogromów na Hutu ani w Rwandzie, ani w Zairze nie było.

Dotarcie wojsk Kabili do Kinszasy, ostateczne obalenie Mobutu w 1997 roku i ustanowienie nowego państwa o nazwie Demokratyczna Republika Kongo niewiele dla tego kraju zmieniło. Nowe władze były równie skorumpowane jak poprzednie, ale nie to było najgorsze. Kabila odwrócił się od swoich dotychczasowych mocodawców w obawie przed wzrostem ich wpływów w DRK i zaczął wspierać swoich byłych wrogów z plemienia Hutu. Rwanda chciała się pozbyć do końca zagrożenia ze strony Interahamwe, rząd Ugandy walczył z ukrywającą się na południu swojego kraju i na północnym wschodzie DRK Armią Oporu Pana – kierowaną od ponad 20 lat przez lokalnego watażkę Josepha Kony'ego grupą zbrojną zapowiadającą obalenie rządu w Kampali i uczynienie z Ugandy państwa funkcjonującego według dziesięciorga przykazań. Kigali i Kampala nie zamierzały też ograniczać swoich apetytów na kontrolowanie bogactw naturalnych DRK, dlatego niemal natychmiast po ustanowieniu nowej władzy zaczęły zbroić własne bojówki, które miały za zadanie ją obalić. Wspierały również miejscowe oddziały Ruchu na rzecz Wyzwolenia Konga (MLC) kierowane przez Jean-Pierre'a Bembę, rywala Kabili.

Z czasem do konfliktu włączyły się kolejne państwa mające polityczny i gospodarczy interes w destabilizacji DRK i drenowaniu jej bogactw: Angola chciała kontrolować południe kraju w obawie o bezpieczeństwo własnych pokładów ropy naftowej w Kabindzie, lider Zimbabwe Robert Mugabe wspierał rzekomą niezależność Kabili, bo bał się obcej interwencji we własnym kraju, broń rządowi dostarczała Erytrea, w konflikt włączyły się jeszcze Namibia, Tanzania, Zambia, Czad, a nawet Gabon. Rwanda i Uganda właściwie kontrolowały teren na wschodzie DRK.

Druga odsłona wojny miała okazać się jeszcze bardziej tragiczna niż pierwsza. To właśnie na przełomie wieków w DRK zginęły miliony ludzi, głównie ludność cywilna. Masakry kobiet i dzieci były na porządku dziennym. Armie rebeliantów dzieliły się na zwalczające się nawzajem frakcje o skomplikowanych nazwach, wspierane przez kolejne obce rządy. W XXI wiek DRK wchodziła jako kraj kompletnie dysfunkcyjny, niedysponujący sprawnym systemem władzy, rozszarpywany przez sąsiednie państwa przy milczącym współudziale wspólnoty międzynarodowej. Organizacje pomocowe robiły to, co potrafią najlepiej – pomagały Afrykanom za pieniądze zachodnich podatników. Władze państw Europy i Stanów Zjednoczonych, niechętnie bezpośredniej interwencji, dogadywały się z państwami biorącymi udział w napaści na Zair, usiłując ugrać swoje. Z ogromnym sukcesem zresztą: według danych z początku wieku Rwanda była trzecim na świecie eksporterem diamentów – nie mając u siebie żadnych złóż tego surowca. To wówczas nowy prezydent Rwandy Paul Kagame stał się ulubionym dyktatorem Zachodu, a jego koncepcja uczynienia z Rwandy punktu przerzutowego surowców zagrabionych w DRK znalazła wsparcie u możnych tego świata. Diamenty, cynk, miedź, kobalt, złoto, potem koltan – całe bogactwo Zairu znalazło się pod kontrolą obcych państw. Zachodowi, zwłaszcza Amerykanom, pozostało tylko mitygować swoich nowych sojuszników w Rwandzie i Ugandzie oraz znajdować sposoby na bezpieczne korzystanie z bogactw.

W 2001 roku Laurent Kabila został zamordowany, najprawdopodobniej przy współudziale

swoich byłych mocodawców z Rwandy. Władzę objął jego syn Joseph, a gdy na wschodzie kraju konflikt rozgorzał ze wzmożoną siłą, armie Rwandy i Ugandy wstrzymały wycofywanie swoich wojsk z kraju.

W 2003 roku ogłoszono porozumienie pokojowe i koniec wojny, co przypieczętowały zorganizowane 3 lata później pod egidą ONZ wybory, które przebiegły zaskakująco spokojnie. Tym samym od 2006 roku, nie licząc kilku niepokojów społecznych, większa część kraju jest wolna od masowych aktów przemocy. Joseph Kabila rządzi krajem – podobnie jak ojciec i jego poprzednik Mobutu Sese Seko – nie licząc się z potrzebami ludzi i właściwie bez opozycji. Jej nominalny lider, były wojenny, a potem wyborczy konkurent Kabili Jean-Pierre Bemba, przebywa w areszcie Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze oskarżony o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości.

\*

Na wschodzie Demokratycznej Republiki Konga, zwłaszcza w prowincji Kiwu, wojna trwa dalej, a jej najbardziej widocznym skutkiem są właśnie obozy pod Gomą, które odwiedziłem w towarzystwie Nicolása Dorronsoro. Nie ma już w nich ludobójców z 1994 roku, są miejscowi chłopcy wypędzeni z własnych domów przez żołnierzy obcych armii i zdemoralizowanych wojskowych armii kongijskiej. Infrastruktura tych obozów w niczym nie przypomina tętniących życiem i handlem miast obozowych z połowy lat 90. Nędza wзира z każdego poszarpanego namiotu, a jednak twarze dzieci są jak wszędzie w Afryce uśmiechnięte. Twarze dorosłych – zatroskane, choć także niepozbawione światła. Nawet w tym tak bezgranicznie smutnym miejscu nie znajduję poczucia beznadziei.

– Czy organizacje pomocy są w stanie poprawić sytuację? – pytam.

– Organizacje humanitarne robią, co mogą, ale jakie są warunki, każdy widzi – mówi Nicolás.

– Jedynym sposobem polepszenia doli tych ludzi jest zakończenie wojny. Powinno być tu więcej żołnierzy ONZ, więcej sił rozjemczych, które wymuszą pokój, inaczej oni nie mają szans na przeżycie.

Jest tylko jeden problem.

MONUC, czyli działająca od 2001 roku misja ONZ w DRK, jest najbardziej liczną (17 tysięcy żołnierzy) i najdroższą (budżet w 2008 roku – ponad 1 miliard 100 milionów dolarów) misją ONZ na świecie. W górach w dalszym ciągu jednak kryją się grupy rebeliantów. Patrole żołnierzy ONZ – zwłaszcza hinduskich i urugwajskich – na ulicach Gomy właściwie nie wiadomo czemu służą. Oddziały armii kongijskiej, nieopłacane i zdemoralizowane, dopuszczają się podobnych aktów gwałtu i przemocy jak zwalczane przez Narody Zjednoczone grupy rebeliantów. Wizerunku ONZ nie poprawiają także okresowe doniesienia na temat korupcji żołnierzy, grabieży, a nawet przypadków gwałtów dokonywanych na ludności cywilnej.

Pytanie stawiane dziś przez wielu ludzi obserwujących sytuację w DRK brzmi: czy ONZ jest częścią rozwiązania, czy może stanowi taki sam problem jak armia kongijska, którą ONZ rzekomo wspiera?

– Te wojska powinny być rozmieszczone w miejscach, gdzie rebelianci terroryzują ludność – mówi Nicolás. – A tak oczywiście nie jest.

Inny mieszkaniec Gomy, rwandyjski ksiądz od lat mieszkający w mieście, jest bardziej dosadny.

– To byłoby śmieszne, gdyby nie było tak tragiczne. Gdy wybuchł wulkan w 2002 roku,

ludzie z ONZ uciekali pierwsi – mówi ksiądz Francis. – Oni są wszędzie tam, gdzie nic się nie dzieje. Ale gdy trzeba kontrolować rozpasanych, pijanych żołnierzy kongijskich albo rebeliantów, to nikt z nich nie zaryzykuje życia.

– Największym problemem tego kraju jest bezkarność – mówi Nicolás. – Bezkarność, która oznacza, że każdy człowiek w mundurze może tu robić, co chce i kiedy chce. Jeśli chce, może splądrować dom obcych ludzi, zabrać wszystko, co mają, zgwałcić kobiety i pozabijać mężczyzn. Bez żadnych konsekwencji. Dopóki takie przeświadczenie o kompletnej bezkarności będzie obecne, to życie tych ludzi się nie zmieni, a nasze starania, by im jakoś ulżyć, będą jak gaszenie pożaru, który natychmiast wybucha ponownie.

– To co robić? – pytam.

– Na początek przestać udawać, że współpraca z armią kongijską ma jakikolwiek sens. To nie jest armia, tylko zorganizowana grupa bandytów. To samo zresztą dotyczy policji tego kraju. To są ludzie, którzy zamiast zapewniać miejscowym bezpieczeństwo, sięją wśród nich popłoch. Zamiast z nimi współpracować, ONZ powinien doprowadzić do rozwiązania sił bezpieczeństwa i powołania nowych. Trzeba znowu zacząć od zera.

\*

– Nie zaczynamy od zera – mówi mi Amadou Ba, rzecznik MONUC. – W tej chwili trwają negocjacje pokojowe prawie ze wszystkimi stronami konfliktu. Rozmawiamy z przedstawicielami frakcji, które zdecydowały się na wejście do nowych sił armii kongijskiej. Jednak ciągle aktywne są Demokratyczne Siły Wyzwolenia Rwandy (FDLR), czyli resztki sił Hutu z 1994 roku. Od dawna powinni oni być u siebie, jednak sięją popłoch zwłaszcza w okolicach Rutshuru – i to oni są odpowiedzialni za nieszczęsny los tych tysięcy ludzi, których można znaleźć w obozach koło Gomy.

– Dlaczego MONUC nie kontroluje sytuacji?

– To nieprawda, wojska ONZ są tutaj po to, by wspierać armię DRK, i jako siły wspierające wypełniamy swoje zadania. Nie należy zakładać, że ONZ może wygrać tę wojnę w imieniu DRK. Wszystkie strony muszą rozmawiać.

Jednak historia uczy, że w tym kraju nikt nie będzie rozmawiał, dopóki nie zostanie do tego przymuszony.

Na początku 2009 roku Rwanda internowała generała Laurenta Nkundę, samozwańczego obrońcę Tutsi na wschodzie DRK. Podobnie jak złożone z wojowników Hutu oddziały FDLR, bojówki Nkundy (od dawna uznawanego za marionetkę rządu Rwandy), deklarujące się jako obrońcy Tutsi w Demokratycznej Republice Kongo, siały popłoch wśród wiejskiej ludności niezależnie od jej pochodzenia. Jednak na skutek nacisków USA i Wielkiej Brytanii rząd w Kigali zatrzymał Nkundę.

Pytam Amadou Ba, czy wpłynęło to na poziom przemocy w regionie.

– To jest oczywiste. Żołnierze armii Nkundy zostali wcieleni do armii DRK, ale nic nie dzieje się z dnia na dzień. Generał Nkunda został wycofany z układu, a przemoc dalej trwa. Wszyscy w DRK zgadzają się, że temu państwu potrzebna jest stabilna władza.

Pytam, dlaczego ONZ współpracuje z armią kongijską oskarżaną o akty przemocy wobec ludności cywilnej.

– Armia DRK musi zostać odbudowana, ale to nie jest zadaniem ONZ. DRK jest krajem suwerennym i to jego władze muszą odbudować armię. My możemy co najwyżej pomóc, więc



pomagamy.

– Ale przecież efekty tej pomocy są widoczne. ONZ ma fatalną opinię, a armia jak była w rozsypane, tak jest.

– Czy w takim razie mamy nic nie robić? Jaka wtedy byłaby opinia o ONZ? – pyta retorycznie Amadou Ba, a ja zastanawiam się, czy rzeczywiście bez ONZ sytuacja na wschodzie kraju mogłaby wyglądać gorzej. Kogo chronią te siły, skoro na pewno nie chronią miejscowej ludności?

– Tak może myśleć tylko ktoś, kto ma bardzo krótką pamięć – mówi rzecznik MONUC. – Wojska ONZ weszły na teren DRK w 2001 roku, kiedy ten kraj jako byt państwowy praktycznie nie istniał. W naszej obecności wynegocjowano porozumienie kończące wojnę, w naszej obecności zorganizowano demokratyczne wybory, mimo że wszyscy eksperci na świecie twierdzili, iż wyborów w DRK zorganizować się nie da. Mamy rząd, mamy prezydenta, mamy parlament. Niech pan się zastanowi, jak długo Europie w XX wieku trwało wychodzenie z logiki wojny. Jak długo trwało tworzenie Unii Europejskiej, ile pokoleń musiało zginąć, żeby dziś ludzie na waszym kontynencie mogli żyć w pokoju? Trzeba o tym pamiętać. Społeczeństwo buduje się etapami i trzeba dać czas temu państwu, które jeszcze kilka lat temu praktycznie nie istniało.

\*

Ludzie z prowincji Kiwu nie mają czasu. Goma, podobnie jak przez całe lata 90. XX wieku, tak i na początku wieku XXI, jest największym punktem wywozowym bogactw naturalnych z kraju. Nisko nad miastem co chwila przelatują samoloty transportowe – lotnisko w Gomie jest jednym z najbardziej obleganych w Afryce.

– Skąd samoloty przylatują, dokąd lecą? – pytam Nicolása Dorronsoro. Wcześniej, jadąc przez Gomę, oglądałem wybudowane przy zapyziałych drogach wspaniałe pałace. Nad jeziorem Kiwu aż roi się od rezydencji, których nie powstydzilyby się wybrzeża Jeziora Lemaniańskiego w Genewie. – Do kogo to wszystko należy?

– Bogactwo tego regionu jest jego przekleństwem – mówi Nicolás. – Mamy surowce, które wylewają się z ziemi, a obok państwo, które praktycznie nie funkcjonuje i nie jest w stanie zarządzać tym bogactwem. Więc jest ono rozkradane. Kradną wszyscy. Kradnie umierający z głodu chłop, który za dolara dziennie na kolanach ryje w ziemi w poszukiwaniu kobaltu, kradną średni macherzy, obywatele DRK i Rwandy, którzy zatrudniają takich chłopów, a potem sprzedają towar w sklepach w Gomie. Kradną rebelianci, którzy ukrywają się w górach i kontrolują kopalnie. A na szczycie tej piramidy są wielkie firmy zachodnie, które przez pośredników dogadują się ze skorumpowanymi władzami i wywożą stąd wszystko, co da się wywieźć. W pewnym sensie ten kraj wrócił do stanu z końca XIX wieku, kiedy król belgijski Leopold traktował go jak własny folwark. Dziś to jest przygraniczny folwark Rwandy i Ugandy. Chcą z niego czerpać również Amerykanie i Francuzi, Brytyjczycy i Chińczycy. I tylko nikt nie zastanawia się, jak poprawić życie tysięcy ludzi, którzy żyją i umierają w slumsach zbudowanych na tym bogactwie.

\*

Historia Wolnego Państwa Konga, do której nawiązał Nicolás Dorronsoro, jest jedną z najbardziej niezwykłych i ciągle niewystarczająco docenianych kart historii ludzkiego

barbarzyństwa. Powołane w 1885 roku, po berlińskiej konferencji zatwierdzającej rozdział Afryki między mocarstwa kolonialne, stało się jedyną prowincją na kontynencie należąca bezpośrednio do osoby prywatnej, a nie do państwa. Leopold II zdołał przekonać Brytyjczyków i Francuzów, że po pierwsze, w Kongu nie ma co liczyć na bogactwa naturalne, a po drugie, że intencją króla przy przejęciu prowincji jest szerzenie chrześcijańskich wartości, a zwłaszcza walka z arabskim niewolnictwem, które już wówczas w Europie wywoływało ogromne protesty.

Kongo Leopolda II miało być strefą otwartą dla wolnego handlu, a król patronem misji cywilizacyjnej niosącej tubylcom wolność i dobrobyt.

W imię tych wartości w latach 1885–1908 Kongo stało się areną jednego z największych ludobójstw w historii ludzkości. Sam Leopold II nigdy w życiu nie postawił stopy na kongijskiej ziemi, ale jego żołnierze, agenci, zarządcy podlegających mu firm i urzędnicy na usługach króla wymordowali w tym kraju 8–10 milionów ludzi.

Kluczowym dla Konga momentem w historii było wymyślenie przez Johna Dunlopa opony samochodowej. Od 1890 roku Dunlop zaczął produkować opony, a Kongo stało się rajem dla dostawców surowca niezbędnego do tej produkcji – połowę kraju pokrywały lasy z drzewami kauczukowymi.

Mechanizm eksploatacji był nadzwyczaj prosty. Przedstawiciele Leopolda II zawierali umowy z wodzami plemion, uzyskując od nich za bezcen prawo do plądrowania terenu i wykorzystywania ludzi do pracy. Według prawa europejskiego wszystko się zgadzało, choć przeczyło podstawowym zasadom przyzwoitości – wodzowie zwykle nie mieli pojęcia, na co się zgadzają i co zawarte jest w umowach, które podpisują. Po sfinalizowaniu umowy wioskom narzucano mordercze limity produkcyjne, jeśli nie dostarczały wyznaczonej ilości kauczuku, żołnierze Force Publique – dziewiętnastotysięcznej armii Leopolda – palili wsie i mordowali opornych. Gdy dziś ubolewamy nad barbarzyństwem, którego dopuszczali się czarni podczas wojen w Liberii czy Sierra Leone, Sudanie czy Somalii, warto przyjrzeć się metodom stosowanym przez Belgów w Kongu. To oni wymyślili odcinanie rąk, stóp i części intymnych ofiar (chodziło o rozliczenie się żołnierzy przed dowódcami z kul: odcięta ręka martwej ofiary miała dowodzić, że kula została właściwie zużyta, a żołnierze prawidłowo wykonali zadanie). To Belgowie w Kongu organizowali zbiorowe egzekucje, bili ofiary na śmierć (stosowano w tym celu *chicotte*, pejcz ze skóry hipopotama), głodzili ludzi, brali kobiety i dzieci jako zakładników w celu zmuszenia mężczyzn do pracy. Jak pisze Adam Hochschild w książce *King Leopold's Ghost (Duch króla Leopolda)*, po przeprowadzeniu dochodzenia w Belgii, już po przejęciu przez to państwo kolonii od Leopolda, okazało się, że w latach 1880–1920 populacja Konga zmniejszyła się o połowę. Obok Holokaustu, rzezi ludu Herero dokonanej przez Niemców na początku XX wieku, ludobójstwa Ormian z rąk Turków w czasie I wojny światowej, mordów dokonanych przez Czerwonych Khmerów w Kambodży i ludobójstwa Tutsi w Rwandzie w 1994 roku, zbrodnie dokonane przez Leopolda w Kongu na przełomie XIX i XX wieku stanowią jedną z najczarniejszych kart we współczesnej historii ludzkości. Z pewnością, jeśli brać pod uwagę tereny określone granicami państwowymi wytyczonymi na konferencji w Berlinie, Kongo okazało się największym „polem śmierci”, które pozostawiła po sobie Europa w Afryce.

Często wraca pytanie o skutki polityki prowadzonej w Kongu przez Leopolda II. Obwinianie kolonialnej Europy o doprowadzenie do nędzy w dzisiejszej Afryce jest zbyt proste – kolonializm miał różne oblicza w różnych krajach, a na obecny stan kontynentu wpływ mają dziesiątki innych czynników, zależnych głównie od Afrykanów. Jednak Kongo jest przypadkiem pod wieloma względami specjalnym.

Na początku XX wieku Bruksela nie mogła dłużej ignorować rozpowszechnianych przez ówczesnych obrońców praw człowieka i chrześcijańskich misjonarzy informacji na temat zbrodni króla i światowej kampanii przeciwko jego barbarzyństwu. Odkupiła od niego prawo do władania Kongiem, płacąc mu zresztą rekompensatę za osiągnięcia w kolonii w wysokości 50 milionów franków i regulując zaciągnięte przez niego długi. Jednak sytuacja miejscowej ludności uległa tylko częściowej zmianie. Belgowie przestali jawnie mordować miejscowych, wycofali się z praktyki brania kobiet i dzieci jako zakładników. Nie notowano więcej przypadków obcinania rąk i masowych egzekucji.

Jednak system pracy przymusowej pozostał w praktyce nienaruszony. Dochodziło również do torturowania i aresztowania opornych. Zwłaszcza w czasie I wojny światowej setki tysięcy Kongijczyków wykorzystywano jako tragarzy i zmuszano do pracy w kopalniach oraz na plantacjach kauczuku po tym, jak naturalne lasy kauczukowe zostały już wytrzebione. Belgowie narzucili również miejscowym morderczy system podatkowy. Aby sprostać przepisom, czarni Kongijczycy musieli niejednokrotnie pracować tak samo ciężko jak za czasów Leopolda. Wraz z odkryciem złóż nowych surowców, zwłaszcza miedzi, diamentów, cynku i złota, po raz kolejny zwiększyła się presja na miejscową ludność. Na początku II wojny światowej przeciętny mężczyzna w Kongu pracował pod przymusem do 120 dni w roku.

\*

Podobnie jak wielu innych dyktatorów i ich spadkobierców Leopold zrobił wszystko, by ślady jego bestialstwa nie dotarły do opinii publicznej. Większość archiwów z dokumentami na temat działalności króla została przez niego spalona w 1908 roku. Po przejęciu kraju rząd Belgii czynił wszystko, by utrwalić pierwotną wersję kolonizacji Konga jako misji cywilizacyjno-charytatywnej. Jak pisze Adam Hochschild: „Nierzadko w historii reżim totalitarny uciekał się do takich środków, by zniszczyć kompletnie dowody swojej działalności. [...] Hitler i Stalin zostawili po sobie znacznie więcej śladów na papierze”<sup>[6]</sup>.

\*

Przy okazji wizyty w Gomie wracam do *Jądra ciemności* Conrada. Słyszę słowa szeptane przez umierającego Kurtza: „groza, groza”, i zastanawiam się, o co chodziło Conradowi, gdy pisał historię o szaleńcu, który pojechał do dżungli nieść czarnym wartości europejskiego humanizmu, a skończył jako kanibal wzywający, by „wytepić całe to bydło”. Czy jądro ciemności, o którym pisał Conrad, to wewnątrz Afryki z jej potencjałem zła, przemocy, duchowej i materialnej nędzy, w której żyją jej mieszkańcy? A może pisarzowi chodziło o coś innego? Stereotyp jest prosty. Myślę „Afryka” – widzę Hutu zabijających swoje żony Tutsi, Bokasę zjadającego ciała swoich ofiar, znarkotyzowanych dziesięcioletnich chłopców z karabinami w rękach mordujących swoich rówieśników we wsiach Sierra Leone, ponad wszelką miarę rozdmuchane ego Mobutu Sese Seko i Idiogo Amina. Ale przecież Conrad nie mógł o nich pisać, bo jeszcze wtedy nie było ich na świecie. Czym zatem było Conradowskie jądro ciemności, czym był koszmar Kurtza?

Pobył Conrada w Wolnym Państwie Kongu Leopolda II był największą traumą w życiu pisarza, doświadczeniem, które fizycznie o mało go nie zabiło i na wiele lat pogrążyło w głębokiej depresji. Wizja ludzkości Conrada została skażona na zawsze tym, co tam zobaczył. Jednak Conrad nie był ofiarą propagandy Leopolda – doskonale zdawał sobie sprawę, czym był

ten kraj, a jego dziecięca wizja przyjaznego egzotycznego świata szybko legła w gruzach. To nie „dzicy” budzili tak ponure uczucia w duszy pisarza. Conrad nie mógł znieść widoku stworzonego w imię postępu i ideałów humanizmu systemu, w którym okrucieństwo i pogarda dla czarnego zostały podniesione przez białych do rangi wartości naczelnej.

Jądro ciemności to nie opis wnętrza Afryki, ale psychiki Kurtza, a końcowa „groza” to opis stanu duszy podany przez niego w chwili trzeźwości umysłu tuż przed śmiercią.

Conrad opublikował *Jądro ciemności* w 1902 roku, gdy zbrodnie popełniane przez ludzi Leopolda II w Kongu zaczęły wychodzić na światło dzienne. Ponad sto lat później obok tysięcy białych i czarnych ludzi dobrej woli bezskutecznie próbujących wydobyć ten kraj z nędzy żyją w nim tysiące Kurtzów, którzy niezależnie od koloru skóry skutecznie spychają go w przepaść. Jak rzadko które państwo w Afryce DRK ciągle pasuje nam do obrazu Conradowskiej „grozy” i „jądra ciemności”. To nie kraj jednak ani miliony zwykłych jego mieszkańców czynią z niego piekło. Oni są ofiarami, a sprawcy pozostają ci sami co za czasów Kurtza – to ludzie, dla których chciwość i pogarda dla drugiego są drogowskazami.

\*

Czym Mobutu różnił się od Leopolda? Co zmienia kolor skóry i 70 lat historii dzielącej obu władców? Czym żołnierze Mobutu okradający wieśniaków różnili się od zniechęconej wcześniej Force Publique Leopolda, a potem belgijskich urzędników zbierających podatki?

Czy płądrowanie kraju, rzezie i bogacenie się na krzywdzie ludzkiej Mobutu były historyczną reprodukcją metod Leopolda? Pod koniec XIX wieku cała Europa leżała u stóp króla Belgii, sławiąc jego humanizm i oddanie chrześcijaństwu. W czasach zimnej wojny najgorsze zbrodnie Mobutu bywały przez Zachód usprawiedliwiane, bo nawet jeśli był sukinsynem, to przecież „naszym sukinsynem”. Po upadku rządów i jednego, i drugiego świat nie zmienił swojego stosunku do Konga, zmieniły się co najwyżej metody płądrowania kraju i niszczenia ludzi. Belgowie płacili długi Leopolda, a dziś świat bogatej Północy gotów jest utrzymywać w DRK wielotysięczną nieskuteczną armię i płacić miliardy dolarów na pomoc humanitarną, obojętne tylko zachować prawo do czerpania korzyści z bogactw tego kraju.

Czy historia Leopolda i Mobutu niczego nas nie uczy? Owszem, uczy, i to aż nadto. Za czasów jednego i drugiego dyktatora Kongijczycy uczyli się oportunistyki, uległości wobec władzy, korupcji, rezygnacji z marzeń o godnym życiu. Świat zaś nauczył się bezradności i przekonania, że „widocznie w DRK tak musi być, bo inaczej być nie może”. Jedyne, co zostaje, to słać pomoc humanitarną.

Jeśli naśladownictwo jest najlepszą formą hołdu, to Leopold II nie mógł wymarzyć sobie lepszego ucznia niż Mobutu Sese Seko.

\*

W towarzystwie księdza Francisa przejeżdżam obok miejscowego więzienia. Dookoła kobiety rozłożyły swoje stragany.

– Tam dalej jest osiedle dla wojskowych – mówi ksiądz Francis – a te kobiety sprzedają tutaj rzeczy, które pokradli ludziom ich mężowie. – Opowiada mi też historię żołnierza armii kongijskiej, który niedawno go odwiedził. – Przychodzi do mnie do zakrystii i mówi, że nie ma za co żyć i czy w związku z tym nie mógłbym dać mu 30 dolarów. Dałem, bo wydaje mi się, że trzeba wspierać ten sposób myślenia. Inni przychodzą z karabinami, zabierają pieniądze i

człowiek Bogu dziękuje, jeśli nikogo nie zabiją. Ten był na tyle przyzwoity, że poprosił.

Pytam, co będzie, jak przyjdzie następnym razem. Bo przecież przyjdzie, prawda?

– Nie wiem, co będzie – odpowiada. – Wiem, że dopóki tacy ludzie jak ten pułkownik nie mają szans na normalne życie, nie będzie tu bezpieczeństwa i spokoju dla zwykłych ludzi.

---

[6] Adam Hochschild, *King Leopold's Ghost. A Story of Greed, Terror, and Heroism in Colonial Africa*, Basingstoke 2006, s. 295.

## Uganda: w cieniu Pogromcy Imperium

Dźwięki, zewsząd nacierający hałas. Kłująca uszy kakofonia ulicy: nawoływania naganiaczy pakujących ludzi do minibusów, handlarzy zachwalających towar na rynku, kaznodziejów sławiących Boga, reklam wrzeszczących z głośników ustawionych na platformach samochodów kręcących się wokół mojego hotelu...

Pokój w Speke Tourist Hotel w centrum Kampali jest przyzwoity. Nie ma w nim karaluchów, woda leci z prysznicą ciągłym strumieniem, a na śniadanie podają świeże owoce. Naprzeciwno na placu pulsujący życiem targ, dla mnie nieprzerwane źródło zaopatrzenia w warzywa, ser, chleb. I jest tylko jedno „ale”: okna hotelu wychodzą na Sax Pub, bar, w którym codziennie przez całą noc do 5 rano trwa młócka. Dobrze, jeśli z głośników ryczy Mariah Carey albo coś innego, co ma melodię. Zwykle jednak leci jakieś techno czy house, który koło 2 w nocy zaczyna rozsadzać mi głowę. Na dodatek okazuje się, że w moim hotelu salę na półpiętrze wynajmuje któryś z tutejszych kościołów ewangelickich. Zaczynają wychwalać Boga o 5 rano, a mają mocne gardła i dobre głośniki. Dzięki pobytowi w Kampali rozumiem, na czym polegają tortury hałasem.

Idę do recepcji i chcę zmienić pokój. Oczywiście nie ma wolnego, więc chcę zmienić hotel. Na mojej ulicy jest jeden, ale stoi jeszcze bliżej Sax Pubu. W kilku okolicznych też nie ma miejsc, a na hotele luksusowe mnie nie stać. Wracam więc jak pies z podwiniętym ogonem i czekam na cowieczorną egzekucję.

Na Zanzibarze o 4 nad ranem budził mnie muezin, w Dar es Salaam chór kościelny, w centrum Abidżanu od rana śpiewały na drzewach nietoperze, w Dżubie darły się koty, a w Akrze koncert dawały żaby. Kampala obija mi głowę jak młockarnia.

\*

Gdy w styczniu 2008 roku ląduję na lotnisku w Entebbe, cała Uganda żyje wydarzeniami w Kenii. Od grudniowych wyborów trwa tam wojna domowa między zwolennikami prezydenta Mwai Kibakiego i jego konkurenta Raili Odingi. Polityczny spór o władzę przeniósł się na ulice miast i do wiosek w całym kraju. Dochodzi do pogromów etnicznych, giną setki ludzi, tysiące tracą dach nad głową, porzucają domy, uciekają przed przemocą.

Wszyscy w Kampali mówią o Kenii. Nie ma się co dziwić – Uganda jest krajem śródlądowym i większość jej importu przechodzi przez port w Mombasie. Ceny benzyny wzrosły czterokrotnie. Według taksówkarzy nawet dziesięciokrotnie, ale to wersja dla turystów. Faktem jest, że większość stacji nie sprzedaje paliwa i wyprawa w głąb kraju jest raczej niemożliwa.

\*

W Ugandzie panuje dziś system wielopartyjny, jest tu prasa na przyzwoitym poziomie,

rzeczywiście niezależna od władz, działają 144 stacje radiowe. Toczy się, ograniczona co prawda do wąskiego grona osób, ale jednak żywa debata polityczna. W połowie lat 90. prezydent Yoweri Museveni uznawany był przez Zachód za wzór cnót wszelakich, prawdziwego afrykańskiego demokrate, który stwarza swojemu narodowi realne szanse na wyjście z nędzy dwóch poprzednich dyktatur – Idiego Amina i Miliona Obote, a światu daje nadzieję na prawdziwą demokrację w Afryce. Museveni osiągnął bezprecedensowy sukces w walce z AIDS w Ugandzie, ruszył gospodarkę po latach upadku. Jego armia, owszem, oskarżana była o brutalność i łamanie praw człowieka, zwłaszcza na północy kraju, wśród byłych zwolenników Amina i Obote, ale niewiele raportów organizacji humanitarnych zawierało oskarżenia o systematyczne torturowanie czy mordowanie przeciwników politycznych. Prezydent utrzymywał co prawda „system bezpartyjny”, co w praktyce oznaczało władzę jednej partii, jednak wobec rywali politycznych stosował znacznie łagodniejsze metody niż Amin czy Obote. W wyniku referendum konstytucyjnego w 2005 roku Museveni zniósł zakaz działalności partii politycznych, ale do tego czasu jego ludzie zdążyli przejąć wszystkie ważne funkcje w systemie władzy i gospodarki w Ugandzie.

Trafiam w towarzystwie znajomego Ugandyjczyka do klubu muzycznego, na tarasie którego w ciągu dnia zbiera się tłum ludzi, by rozmawiać o polityce. Fascynujący obrazek, który wiele mówi o rozpolitykowaniu Ugandyjczyków. Mój przewodnik Max wyjaśnia, że wśród publiczności na pewno jest co najmniej kilkunastu agentów tajnej policji, ale i tak większość uczestników debaty jest bardzo krytyczna wobec prezydenta Museveniego. Nic im się nie podoba, zwłaszcza to, że rząd nie potrafi przeciwdziałać kłopotom gospodarczym wywołanym falą przemocy w Kenii. Debata jest transmitowana przez jedną ze stacji radiowych. Pytam Maksa, czy prezydentowi to nie przeszkadza.

– W Ugandzie, póki jesteś nikim, możesz mówić, co chcesz.

\*

**W Kampali** na każdym kroku widać swastyki. Na sklepach, a zwłaszcza na świątyniach hinduskich. Mieszka tu kilka tysięcy Azjatów, chociaż to zaledwie garstka w porównaniu z potężną grupą żyjącą w Ugandzie do 1972 roku, kiedy to zostali wygnani na rozkaz ówczesnego dyktatora Idiego Amina. Swastyka w tradycji hinduskiej to oznaka szczęścia. Hitlerowcy przywłaszczyli ją sobie bez pytania Hindusów o zdanie. Niby da się to racjonalnie wytłumaczyć, ale jednak dziwnie się czuję w afrykańskim mieście pełnym hinduskich swastyk.



Świątynia hinduistyczna w centrum Kampali

W gazecie znajduję list zatroskanego czytelnika: „Jestem zszokowany rozmiarami kryzysu paliwowego. Co to za kraj, który po tygodniu rozruchów u sąsiada nie ma paliwa? Nie pamiętam osobiście czasów Idiogo Amina, ale mój ojciec twierdzi, że za jego rządów podobne braki byłyby niemożliwe. Amin był przywódcą, który potrafił zaspokoić potrzeby naszego kraju, a gdy przychodził kryzys, byliśmy przygotowani do rozwiązywania trudności”.

Max jest studentem ekonomii, pytam go więc, czy takie opinie o Idim Aminie są w Ugandzie rozpowszechnione.

– Rządy Amina nie były takie jednoznaczne – odpowiada.

– Jak to nie były jednoznaczne? Przecież to był psychopata, który zabił 300 tysięcy Ugandyjczyków i spustoszył kraj.

– To prawda, ale to był psychopata przewidywalny – ripostuje Max. – Wiadomo było, że jeśli chcesz żyć, nie możesz się mieszać do polityki. Poza tym on umiał przeciwstawić się Zachodowi.



Każdy, nawet największy morderca, który umie przeciwstawić się Zachodowi, jest w Afryce postacią co najmniej niejednoznaczną. Może być ostatnim bandytą, skorumpowanym łotrem albo nawet kanibalem. Jeśli przy okazji krytykuje zachodni imperializm, zasługuje na ciepłe słowa. Kiedyś Idi Amin w Ugandzie, Mobutu w Zairze, dziś Robert Mugabe w Zimbabwie. Doprowadzali swoje kraje do skrajnej nędzy, ale miliony Afrykanów będą ich bronić, bo walczyli z Zachodem.

John Kakande jest szefem działu informacji czołowej gazety ugandyjskiej „The New Vision”.

– Czy zauważyłeś, kto brał udział w tych rozruchach w Kenii? – pyta. – To była głównie młodzież ze slumsów. Afryka staje się kontynentem młodych wykorzenionych frustratów, których jedyny kontakt ze światem polega na oglądaniu zachodniej telewizji i filmów. Widzą tamtejsze bogactwo i zadają sobie pytanie: „dlaczego oni mają, a my nie?”. Oglądają wasze filmy pornograficzne i myślą, że tak zachowują się normalni bogaci ludzie na Zachodzie. Potem w naszych miastach grasują bandy nastolatków szukające ofiar.

– Jak to? – pytam z niedowierzaniem. – To Zachód ponosi winę za to, że u was mężczyźni gwałcą kobiety?

– Nie mówię, że Zachód ponosi winę za cokolwiek. Mówię, że nie ma słów zdolnych opisać gniew i rozgoryczenie ludzi żyjących w nędzy oraz ignorancji. I wystarczy mała iskra, by nastąpił wybuch. Taki człowiek nie zawaha się wsadzić ci noża w serce i nie będzie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Pytam, dlaczego w Kenii ludzie mordują się w tak okropny sposób.

– Wszędzie ludzie się mordują, gdy w grę wchodzi sprzeczne interesy, a na dodatek liderami politycznymi są manipulatorzy.

– Tylko że w Europie ludzie się nie mordują, gdy w grę wchodzi polityka. My organizujemy wybory i szanujemy ich wynik – odpowiadam.

– Czy aby na pewno? – kiwa z niedowierzaniem głową. – A w Irlandii Północnej kto się mordował nawzajem? Załamujesz ręce nad tym, że teraz w Kenii gwałci się kobiety, bestialsko morduje dzieci, pali się ludzi w kościele? A co robili biali w Jugosławii? Przecież to nie czarni wymordowali Żydów, tylko najbardziej kulturalny naród w Europie. Chcesz powiedzieć, że wy nie macie w swojej naturze skłonności do bestialstwa? A może pozbyliście się go przez ostatnie 15 lat od czasu rzezi w Jugosławii?

Nie wiem, co mu odpowiedzieć.

\*

W barze w Kampali zamawiam jedzenie, kelnerka przyjmuje zamówienie i znika. Potem przez 15 minut krąży wokół mnie i czasem spogląda z zaciekawieniem, gdy kręcę się zniecierpliwiony. Podziwiam jej pełne wdzięku ruchy, jak na filmie w zwolnionym tempie. Tu przystanie, pogada z koleżanką, tam uśmiechnie się do klienta. A jedzenia jak nie było, tak nie ma. Wreszcie po 20 minutach przynosi herbatę i z miejsca przyjmuje pieniądze za całe zamówienie. Tutaj ludzie wolą kasę z góry, bo gdy dasz na kredyt, możesz tylko stracić. Po kolejnych 15 minutach przynosi prawie zimny posiłek. Delektuję się nim, a ona nie przeszkadza mi w jedzeniu. Nie pyta co chwila, czy mi smakuje, albo czy mogłaby mi w czymś pomóc.

A ja się nie denerwuję, że wszystko trwa długo. W Afryce nigdy nie należy okazywać gniewu ani zniecierpliwienia, bo takie zachowanie to najpewniejsza droga do utraty szacunku. Cokolwiek robisz, bądź cierpliwy i nie unos się. Dobroduszni idealisci z Zachodu, którzy bardzo

chcą pomóc Afrykanom – już, teraz, natychmiast! – często trafiają na tajemniczy opór materii, ścianę nie do przebycia, brak zrozumienia. Ich entuzjazm, pomysłowość i energia wyglądają w oczach miejscowych jak impertynencja i brak kultury.

W barze w Kampali pośpiech też nie jest wskazany, bo jedzenie to jest czynność pracochłonna i zmysłowa, nawet jeśli gotowy posiłek jest zimny, nieświeży i nie nadaje się do przełknięcia.

\*

Średnia wieku Ugandyjczyków wynosi dwadzieścia kilka lat, co oznacza, że 70% narodu nie pamięta rządów Idiogo Amina. W Ugandzie nie ma znaczącego rynku księgarskiego, nie ma debat publicznych z udziałem przedstawicieli większości narodu. W tym wysoko, jak na Afrykę, rozwiniętym kraju większość ludzi zajmuje się dwoma rzeczami – przeżyciem kolejnego dnia i zabawą. Na Idiogo Amina nie mają czasu. A mimo to duch „Marszałka Polnego”, „Pogromcy Imperium Brytyjskiego”, „Następcy Tronu Szkocji” (to tylko niektóre tytuły przyznawane sobie przez Amina) ciągle wisi nad Ugandą.

– Idi Amin to był idealny produkt imperium, specyficzne połączenie brytyjskiej dyscypliny wojskowej i rodzimej afrykańskiej kultury – mówi mi Joachim Buwembo, wydawca gazety „The Daily Monitor”, jednej z dwóch największych w Ugandzie.

Idi Amin – analfabeta, niespecjalnie inteligentny, wyróżniał się ogromną posturą i posłuszeństwem wobec brytyjskich dowódców. Dla nich ważne było także to, że należał do „plemienia wojowników”, jak Brytyjczycy nazywali ludy żyjące na północy kraju. Pochodził z małej grupy etnicznej Kakwa i w 1946 roku jako dwudziestolatek rozpoczął karierę w King’s African Rifles, oddziałach kolonialnych, które zasłynęły z walk w Birmie w czasie II wojny światowej.

Zaczynał jako pomocnik kucharza, ale wkrótce zaczął się pięć w górę i otrzymał stopień kaprała. Przez dziewięć lat był mistrzem Ugandy w boksie w wadze ciężkiej. Wyróżniał się brutalnością wobec podwładnych i bezgranicznym posłuszeństwem wobec przełożonych. A ci potrafili się odwdziżyć. Przez Brytyjczyków traktowany był jak ich „ulubiona małpa”, często odwiedzał Kampala Rugby Club, gdzie śpiewał szkockie ballady i piosenki kibiców. Nawet pił z Brytyjczykami po meczach rugby, ale nigdy twarzą w twarz, bo czarni nie byli zapraszani do baru. Brytyjscy oficerowie lubili go, więc podawali mu piwo przez trzciniowe przegrody ustawione w klubie.

I potrafili go docenić. Zanim w 1962 roku wycofali się z Ugandy, awansowali Amina do rangi sierżanta majora i jako jednego z zaledwie dwóch Ugandyjczyków uczynili żołnierzem zawodowym. Nie przeszkodziły w tym zarzuty o morderstwo 3 Kenijczyków ze szczepu Turkana – Brytyjczycy, a potem nowy premier Ugandy Milton Obote, zatuszowali sprawę. Z politycznego punktu widzenia nie do pomyslenia było, by jeden z dwóch zawodowych oficerów ugandyjskich poszedł do więzienia za morderstwo tuż przed oficjalnym uzyskaniem przez kraj niepodległości.

Po 9 października 1962 roku, kiedy Uganda stała się niepodległą, sprawy potoczyły się błyskawicznie. Z kapitana Amin awansował na majora, z majora na pułkownika. Wkrótce stał się popularną postacią w Kampali, członkiem bezpośredniego otoczenia premiera, który go akceptował, mimo że pochodził z innej grupy etnicznej.

Przed uzyskaniem niepodległości Uganda – nazwa kraju pochodzi od królestwa Bugandy, na czele którego stał kabaka, władca dziedzicznej monarchii pochodzącej z XV wieku – była

jednym z najbardziej spokojnych terytoriów brytyjskich. Oficjalnie nie miała statusu kolonii, była protektoratem, w którym Brytyjczycy rządili za pomocą lokalnych struktur władzy. W praktyce nie było tu europejskich osadników, więc nie było też postkolonialnej wojny o ziemię – większość ziemi należała do czarnych. Jednak po przejściu Ugandy pod koniec XIX wieku Brytyjczycy rozszerzyli granice protektoratu, włączając do niego narody, które przedtem tradycyjnie toczyły wojny z królestwem Bugandy. Główny podział istniał między ludami Bantu z południa, wśród których najliczniejsze i najbardziej wpływowe było plemię Baganda, a Nilotami z północy, takimi jak ludy Aczoli czy Lango – z tego plemienia pochodził premier Obote. Do tego generalnego podziału północ-południe dochodziły nie mniej zażarte wewnętrzne konflikty między poszczególnymi szczepami. Celem Obote było zaprowadzenie społecznego pokoju w kraju i potwierdzenie konstytucyjnego podziału władzy między królem (kabaką), który w 1963 roku stał się głową państwa jako prezydent, a rządem narodowym.

Jednak nawet jeśli Obote na początku chciał dobrze, katastrofa była tylko kwestią czasu. Po odejściu Brytyjczyków podziały etniczne wybuchły jak bomba z opóźnionym zapłonem, a Obote uznał, że sposobem na rozwiązanie konfliktów będzie wprowadzenie systemu jednopartyjnego i radykalnego socjalizmu. W dziele tym pomagała mu armia, na której czele stał już Idi Amin. Gdy w 1966 roku parlament Bugandy w Kampali i kabaka radykalnie wystąpili przeciw premierowi Obote, nakazał on Aminowi akcję odwetową. Król sir Edward Mutesa cudem uniknął śmierci, uciekł z Ugandy i do końca życia przebywał na wygnaniu w Londynie (zapił się na śmierć w 1969 roku). Królewski pałac przejęli żołnierze Amina. W 1967 roku Milton Obote rozwiązał królestwo Bugandy i podzielił je na cztery regiony administracyjne, a sam ogłosił się prezydentem.

Idi Amin miał wówczas wystarczająco dużo rozumu, by nie wyrywać się do władzy, i czekał cierpliwie na swoją kolej. Gromadził wokół siebie oddanych oficerów – zwykle ludzi pochodzących z jego terenu i bliskich mu plemion. Szukał także wsparcia wśród Nilotów porzucanych po całej Ugandzie, wykorzystywanych uprzednio przez Brytyjczyków do pacyfikowania niespokojnych rejonów kraju. Niektórzy historycy twierdzą jednak, że dla jego przyszłości najważniejszym sojuszem, jaki zawarł, było porozumienie z Izraelem.

Izraelczycy szkolili armię ugandyjską od momentu odzyskania przez kraj niepodległości. Amin jeździł do Izraela na kursy wojskowe, był też łącznikiem między armią ugandyjską a rebeliantami w Sudanie, walczącymi od wielu lat o odłączenie południa kraju od Chartumu.

Sudan rządzony przez islamistów z północy należał już wtedy do nieprzejednanych wrogów Izraela, w związku z czym Tel Awiw miał interes, by wspierać destabilizację na południu tego kraju. Uganda była najlepszym pasem transmisyjnym do przerzutu broni dla rebeliantów, a Idi Amin – jego muzułmańska wiara ustępowała w tym wypadku sympatiom politycznym – doskonale wypełniał rolę agenta. W planach Izraelczyków Amin wydawał się idealną alternatywą dla Miliona Obote, sojusznika Chartumu i wroga państwa żydowskiego.

Do przewrotu doszło 25 stycznia 1971 roku, gdy Obote przebywał z wizytą w Singapurze. Tego dnia Amin przejechał ulicami Kampali swoim jeepem w towarzystwie izraelskiego pułkownika Bara Leva, który ponoć koordynował całą operację. Amin ogłosił się „tymczasowym” władcą kraju i tak zaczął się koszmar Ugandy.

\*

Jadę do wodospadów Bujagali, tuż koło miasta Jinja, 90 kilometrów od Kampali. To

miejsce jest rajem dla miłośników spływów tratwami. Nil Biały, który zaczyna tutaj swój bieg, wypływając z Jeziora Wiktorii, tworzy rwące kaskady. Z daleka nie wygląda to może imponująco, ale z bliska widać, jak niebezpieczne są te miejsca. Najeżone skałami, spienione wody wirują we wszystkich możliwych kierunkach.

Za 125 dolarów można się zapisać na *white water rafting*, czyli spływ tratwą po kaskadach. Na tratwie siedzi 10 osób przywiązanych linami, którym poza lekkim podtopieniem właściwie nic nie grozi. Za to euforia gwarantowana. A na deser grillowanie na świeżym powietrzu.

Na brzegu Nilu można sobie zafundować innego rodzaju rozrywkę. Turyści w Ugandzie uwielbiają oglądać, jak kilkunastoletni chłopcy rzucają się do wodospadu bez żadnego zabezpieczenia. Trzymają tylko małą deskę, a właściwie puszkę – coś w rodzaju koła ratunkowego własnej roboty – która pozwala im wypłynąć na powierzchnię. Wynajęcie takiego śmiałka, który na twoich oczach zaryzykuje życie, kosztuje jedynie 3 dolary.

Właścicielami firm oferujących spływy tratwami są oczywiście biali, czarnym pozostają skoki na główkę do wodospadu.

\*

Joachim Buwembo jest dobrze sytuowany i wykształcony i chociaż ma zaledwie jedno dziecko, utrzymuje około 20 osób.

– Gdybym mieszkał w Londynie czy w Warszawie, to pewnie lokowałbym swoje pieniądze w akcje albo inwestował w nieruchomości, a tutaj oddaję je na utrzymanie ludzi. Czasem takich, których prawie nie znam, jakichś wujków i pociotków.

– Dlaczego? – pytam.

– Dlatego, że tak tu jest. Dlatego, że każdy, kto ma, musi oddawać swoim krewnym, którzy nie mają. Gdybym posiadał ziemię, oddałbym im jakiś kawałek i powiedział: gospodaruj, produkuj jedzenie dla siebie i rodziny. Ale mam tylko pensję, więc muszę im oddawać część pensji. I to jest system, który w Afryce funkcjonuje od poziomu rodziny do poziomu państwa. Od prezydenta oczekuje się, że będzie wspierał swoich współplemieńców, że coś im rzuci z kasy publicznej, bo kasa publiczna jest właśnie po to, by czerpali z niej ludzie, którzy są przy władzy.

– Korupcja jest wam przypisana?

– Czy to jest korupcja? Nie wiem. Na pewno jest to styl życia, który niszczy ten kontynent.

\*

Na początku nikt nie podejrzewał, jak wielką tragedią dla Ugandy okażą się rządy Amina. Wielu rodaków cieszyło się i witało go jako wyzwoliciela. Brytyjczycy świętowali koniec ugandyjskiego socjalizmu: „Financial Times” ogłosił go Człowiekiem Tygodnia, „Daily Telegraph” określił mianem „wypróbowanego przyjaciela Wielkiej Brytanii” i wzywał rząd do udzielenia Aminowi pomocy wojskowej. Rząd w Londynie nie dał się długo prosić.

Nowy „tymczasowy” władca Ugandy wypuścił więźniów politycznych, sprowadził z Londynu ciało ostatniego kabaki, powołał rząd złożony z kompetentnych cywilów. Rozwiązał policję polityczną, zapowiedział wolne wybory, jeździł po całym kraju, spotykając się ze zwykłymi ludźmi i zaskarbiając sobie ich sympatię.

Jednak pod tą fasadą wrzało. Obawiając się spóźnionego kontrataku zwolenników Obote, Amin przystąpił do rzezi wśród oficerów i żołnierzy z plemion Aczoli i Langi, wspierających wcześniej premiera i stanowiących trzon armii. Już na wiosnę 1971 roku zaczęły się masowe

morderstwa ludności na północy kraju. Jak pisał w swoich notatkach Henry Kyemba, sekretarz gabinetu Amina: „Nie dało się nadażyć z chowaniem ludzi w grobach”<sup>[2]</sup>. Trupy zwożono nad Nil i wrzucano do wody w trzech starannie wybranych miejscach. „Chodziło o to, żeby ciała zjadły krokodyle – pisał Kyemba – ale okazało się to nieskuteczną metodą. Rzeka wyrzucała trupy na brzeg, gdzie ślady rzezi oglądali rybacy i przypadkowi przechodnie”.

Wielu afrykańskich morderców uważa, że woda zmyje ślady ich zbrodni. W Rwandzie w trakcie ludobójstwa w 1994 roku Hutu wrzucali tysiące ciał Tutsi do rzeki Kagera. Potem wypływały one na brzeg Jeziora Wiktorii w południowej Ugandzie, gnijące, nadjedzone przez okoliczne psy i dzikie zwierzęta. To samo robili potem żołnierze armii rwandyjskiej z uciekinierami Hutu w DRK. Wrzucali zabitych do rzeki Kongo, licząc na to, że nikt się nie dowie. Ale wcześniej czy później ludzie odnajdywali trupy. I chowali to, co z nich zostało, w ziemi, by uniknąć epidemii i okazać ofiarom choć odrobinę szacunku. A może chowając pomordowanych Tutsi w 1994 roku, Ugandyjczycy pamiętali o swoich rodakach z czasów Amina, których ślady również na wieki miała pochłonąć woda?

Zgodnie z plemienną logiką zamordowanych Aczoli i Langi zastępowali ziomkowie Amina. Ich zadaniem było niszczenie w zarodku jakichkolwiek przejawów nieposłuszeństwa i krytyki wobec dyktatora. Ginęli bez śladu dziennikarze, opozycyjni politycy, sędziowie. Po nieudanej inwazji zwolenników Obote z terenu Tanzanii w 1972 roku terror jeszcze przybrał na sile. Zmieniła się też polityka zagraniczna Amina. W 1972 roku po wizycie w Libii i spotkaniu z pułkownikiem Kaddafim już nie był przyjacielem Wielkiej Brytanii i Izraela, tylko gromko potępiał „brytyjski neokolonializm” oraz „syjonistyczny imperializm”.

Z czasem stał się prototypem afrykańskiego dyktatora-klauna, półanalfabety, który nie miał pojęcia, na czym polega sprawowanie władzy, a jedyną umiejętnością, którą skutecznie opanował, było stosowanie przemocy. Problemy budżetowe rozwiązywał, drukując pieniądze, ministrom wydawał niewykonalne polecenia, a tych, którzy próbowali przemówić mu do rozsądku, niszczył albo zabijał.

Odczuwał sadystyczną przyjemność w poniżaniu ludzi, zwłaszcza wykształconych. Brytyjskim rezydentom w Ugandzie kazał przed sobą klękać i składać przysięgę lojalności. Podczas jednego z przyjęć dyplomatycznych w Kampali pojawił się w sali wniesiony na specjalnym tronie przez brytyjskich tragarzy. Zabił co najmniej jedną ze swoich żon – jej szczątki zostały znalezione w lodówce, pojawiły się oskarżenia o kanibalizm i praktykowanie tajemnych rytuałów z wykorzystaniem ludzkiej krwi.

Zainicjował serię przedziwnych inicjatyw międzynarodowych. Dla poprawy stosunków brytyjsko-ugandyjskich oświadczył się księżniczce Annie, Mao Tse-tungowi zaproponował mediację w konflikcie radziecko-chińskim, w telegramie do sekretarza generalnego ONZ wychwalał palestyńskich terrorystów za zamach na izraelskich sportowców podczas olimpiady w Monachium w 1972 roku. W 1976 roku wpuścił na lotnisko w Entebbe porwany przez palestyńskich i niemieckich terrorystów samolot Air France z wieloma Izraelczykami i osobami narodowości żydowskiej na pokładzie. Wkrótce miało się okazać, że Amin wspiera terrorystów, a po udanej akcji odbicia zakładników przez izraelskich komandosów zapowiedział wysłanie ugandyjskiej „samobójczej dywizji pancерnej” do Izraela.

Gdy zagroził egzekucją brytyjskiego wykładowcy uniwersyteckiego, który nazwał Amina „wiejskim tyranem”, cały świat prosił dyktatora o łaskę. Interweniowała królowa Elżbieta, brytyjski premier, papież i głowy pięćdziesięciu państw.

Prowadził Ugandę do izolacji międzynarodowej, a Ugandyjczyków pogrążył w nędzy. 6 sierpnia 1972 roku usłyszał we śnie głos Boga – tak twierdził – i wyrzucił z Ugandy Azjatów. Ofiarą czystki padło ponad 50 tysięcy ludzi, którzy stanowili biznesową elitę kraju – zajmowali się handlem, inwestowali w ziemię, rozwijali przemysł. I pewnie dlatego inicjatywa Amina spotkała się z poparciem nie tylko Ugandyjczyków (wielu czarnych mieszkańców Ugandy do dziś twierdzi, że to przez pazerność Hindusów są biedni), ale wielu innych afrykańskich krajów. Nie szkodzi, że na czystkach etnicznych skorzystali wyłącznie poplecznicy Amina, którzy przejmowali bogactwo zostawione przez uciekających w pośpiechu Azjatów. Nie szkodzi, że w ciągu kilku miesięcy dochody rządu spadły o 40%, a z kraju wyjechało gros lekarzy, profesorów, inżynierów i przedsiębiorców. Dla wielu Afrykanów Idi Amin ciągle pozostawał trochę zapalczywym, ale jednak żarliwym obrońcą interesów Afryki, odważnym krytykiem Zachodu, politykiem z wizją i determinacją.

Przetrwał do 1979 roku. Jego ostatnim i, jak się okazało, samobójczym błędem była inwazja na północy Tanzanii. W odwecie Tanzańczycy obalili Amina, a sam dyktator uciekł z kraju do Arabii Saudyjskiej, gdzie pozostał do śmierci w 2003 roku. Podczas jego rządów siły bezpieczeństwa zamordowały około 250 tysięcy Ugandyjczyków, kraj pogrążył się w nędzy i bezprawiu. W 1980 roku do władzy wrócił Milton Obote. Wahadło wychyliło się w drugą stronę – Obote wymordował 300 tysięcy Ugandyjczyków należących do plemion wcześniej kojarzonych z Aminem. Gdy w 1985 roku władzę przejmował Yoweri Museveni, Uganda była jednym z najbiedniejszych i najbardziej zapóźnionych w rozwoju krajów na świecie.

\*

Na zachodzie Ugandy organizowane są obozy dla uchodźców z Kenii. Jest ich jak dotąd około 3 tysięcy. W obozach brakuje leków, ubrań, naczyń kuchennych. Miejscowe władze alarmują, że jak tak dalej pójdzie, to zabraknie również mężczyzn. Młode Kenijki masowo wychodzą za mąż, by uzyskać prawo pobytu w Ugandzie. Przez ostatnie tygodnie udzielono ślubu kilkuset takim mieszanym parom. Strategie przetrwania stosowane przez uchodźców wszędzie są podobne. Kobiety w zamian za obietnice lepszego życia oferują wszystko, co mają – siebie.

\*

W Afryce jest niewiele krajów, w których przekazanie władzy nie wiąże się z potencjalnym wybuchem społecznym. Dzisiejsza Uganda do nich należy – przynajmniej w to wszyscy chcieliby wierzyć. Kenia do nich należała, zanim okazało się to nieprawdą. To miał być sztandarowy przykład demokracji zachodniej przeniesionej na grunt afrykański. Dowód na to, że ludzie na całym świecie o niczym innym nie marzą, tylko o wolnościach, którymi my cieszymy się od rewolucji amerykańskiej i francuskiej.

– Wiesz, my nosimy takie same ubrania jak wy, udajemy jakieś zabawy w demokrację, ale w gruncie rzeczy mentalnie ciągle tkwimy w XIX wieku – mówi mi John Kakande.

A potem robi wykład na temat tego, co się dzieje w Kenii.

Zanim Afryka została skolonizowana, kontynent podzielony był na terytoria należące do poszczególnych plemion. Narody, takie jak Masajowie, Zulusi, Kikuju czy Bunjoro, posiadały własne ziemie, na których zarządzili dożywotnio królowie. Król albo wódz, który pokonał swojego rywala, rządził, dopóki ktoś inny go nie zabił i nie przejął jego ziemi. On opiekował się swoim

ludem, to na nim spoczywało zapewnienie mu przetrwania i rozwoju. Sam wybierał zarządców, sam kierował bitwami, a inne podbite plemiona traktował jak niewolników i czasem pozwalał im na asymilację. To był prosty świat z regułami akceptowanymi przez wszystkich.

Na konferencji w Berlinie w 1885 roku Europejczycy rozbili ten system. Rozgrabili Afrykę, stworzyli nowe państwa, ustalając granice na mocy autorytarnych decyzji. Kształt tych państw nie był w żadnej mierze owocem woli ludów o wspólnych interesach i wspólnym rozumieniu świata, ale wyrazem interesów kolonialnych. Narody Afryki stały się zbitkami różnych plemion pod wspólną flagą. Przykład Kenii – kraju, który ponoć przyjął kolonialną wersję rozwoju – pokazuje, jak bardzo ulotne może być przekonanie, że Afrykanie chcą demokracji w naszym rozumieniu.

Kolonizatorzy nie narzucili Afrykanom zachodniego modelu demokracji, podobnie zresztą jak nie nauczyli ich chrześcijaństwa. (Kościół mniej lub bardziej otwarcie akceptuje fakt, że w praktyce wiary afrykańskiej obecne są elementy religii tradycyjnych, obce tradycji judeochrześcijańskiej). Jednak nauczyli wielu z nich, jak udawać przywiązanie do demokracji. No i Afrykanie udają. Sprawny prezydent może pozostać na stanowisku przez całe życie, organizując pseudowybory i skupiając wokół siebie posłuszny parlament. Jeśli chcemy, wybory można potraktować jak wojnę plemienną, w której zwycięzca zabiera wszystkie łupy, a przegranych uważa za niewolników. Jeśli pobici zaakceptują narzuconą im władzę, zawsze mogą wejść w skład rządu jedności narodowej, który próbowali stworzyć prezydent Mwai Kibaki i lider opozycji Raila Odinga w Kenii. Jeśli nie... no cóż, w Afryce żyją bardzo rozemocjonowani ludzie, może dojść do tragedii.

Współplemieńcy prezydenta nie będą mu mieli tego za złe, bo w Afryce nikt nie ma za złe władcy, że za wszelką cenę chce pozostać przy władzy. Pod warunkiem oczywiście że – tak jak w Kenii Kibaki czy Odinga – występuje w roli obrońcy swojego plemienia.

– Prezydent Kenii, zamiast być obrońcą demokracji, okazał się nowoczesną wersją króla plemiennego i tylko wy w Europie zastanawiacie się, jak to jest możliwe w tak ugruntowanej demokracji jak kenijska – kończy ironicznie John. – My wiemy, że to, co wydarzyło się w Kenii, może się powtórzyć w większości krajów Afryki.

– Czyżby Kenijczykom nie zależało już na zachodnich pieniądzach za safari i kawę? – pytam.

– Nie, ta sytuacja będzie opanowana. Zbyt wielu jest w Kenii Europejczyków, zbyt wielu Amerykanów. Wkrótce ludzie przestaną się zabijać i dalej będziemy udawać, że wszystko jest w porządku. A potem gdzieś indziej w Afryce znów będą wybory i znów poleje się krew.

\*

**W okolicach** mojego hotelu wieczorami i w nocy nie da się przejść, tak gęsty jest tłum prostytutek. W listopadzie, miesiąc przed moim przyjazdem, w mieście odbyła się konferencja Commonwealthu. Dziewczyny lekko podniosły cenę za usługi, ale też zwiększyły ich jakość, na przykład wiele z nich zapisało się na kursy angielskiego. Władze postanowiły wyrzucić prostytutki z centrum na przedmieścia, przynajmniej na czas imprezy, ale broniły się jak lwice i wiele zostało wbrew nakazom władz.

– My mamy teraz bardzo purytańskie rządy – mówi mój przewodnik Max. – Władze najchętniej wyrzuciłyby prostytutki z miasta. O gejach lepiej nie wspominać. Wkrótce władze chcą wprowadzić prawo zakazujące homoseksualizmu i karzące gejów śmiercią. Ale i prostytutki, i geje zawsze tu będą. W demokratycznym kraju nie da się zakazać prostytucji ani

homoseksualizmu.

\*

Ostatniej nocy w Kampali znalazłem sposób na jazgot Sax Pubu. Włączyłem w pokoju wiatrak, który zagłuszył dudnienie, i dzięki temu mogłem spać całą noc. Oto niezawodny sposób na drobne niedogodności życiowe: znaleźć sobie większe.

---

[Z] Cyt za: Martin Meredith, *The State of Africa. A History of Fifty Years of Independence*, Londyn 2006, s. 234.



## Angola: Chińczycy i ropa

W samolocie z Addis Abeby do Luandy na około 200 pasażerów 180 to Chińczycy, wśród nich żadnej kobiety. Wszyscy ubrani podobnie, w czarne garnitury i białe koszule, tylko krawaty różne. W każdej klapie czerwona flaga z podobizną aktualnego wodza.

Angola jest dziś największym w Afryce odbiorcą chińskich inwestycji. Chińczycy budują mosty, drogi, rurociągi, ujęcia wody, szkoły, szpitale, stadiony piłkarskie, wszystko. W zamian biorą od Angolczyków ropę i interes się kręci. Nie prawią im, jak Europejczycy, kazań na temat przestrzegania praw człowieka, nie sprawdzają poziomu demokracji, tylko po prostu pakują pieniądze w ten wielki wór bez dna, jakim jest Afryka, a zwłaszcza kraje roponośne, i wyciągają w niego jeszcze więcej pieniędzy.

We wsi Kifangondo, około 40 kilometrów od Luandy, oglądam starą cegielnię, w której mieszkają chińscy robotnicy. Komórki bez okien, klepisko, drzwi z blachy falistej. Nikt nie wie, kim są ci ludzie, nikt się nie interesuje, w jakich warunkach żyją, jak i czy w ogóle odpoczywają po pracy. Angolczycy podnoszą tylko rwetes, gdy pęknie jakiś nowo budowany rurociąg albo asfaltowa droga rozplynie się po jednej porze deszczowej. Wtedy przychodzi chińska ekipa i bez słowa poprawia. Chińczycy mogą tak w kółko: mają tyle czasu, ile trzeba, mają tylu ludzi, ilu trzeba. A nawet jeszcze więcej.

A władze przemykają oko na niedoróbki, bo najważniejsze, by interes się kręcił. Kolejna budowa, kolejne inwestycje do statystyk i okazja do ich uroczystego otwierania. Z doniesień tutejszej telewizji wynika, że prezydent zajmuje się głównie otwieraniem nowych wodociągów, szpitali i szkół. Zwłaszcza w slumsach pod Luandą.

W jednej z gazet artykuł alarmujący, że jak tak dalej pójdzie, to tradycyjni inwestorzy w Angoli – Brazylijczycy i Portugalczycy – pójdą z torbami, bo nie sprostają chińskiej konkurencji. Mieszka tu już ponoć ponad 150 tysięcy Chińczyków, osiedlają się na stałe, choć słabo mieszają się z miejscowymi. Europejczycy grzęzną w jakichś programach pomocowych, rozdawnictwie jałmużny i edukacji. To wszystko pod czujnym okiem zachodnich mediów i organizacji pozarządowych, które tylko czyhają, by napiętnować przejawy „mentalności postkolonialnej”, korupcji albo choćby lekceważenia miejscowych. Chińczykami w Afryce w ogóle się nie zajmujemy. Czy dlatego, że są „odrębni kulturowo”? A może wiemy już, że z Chinami w XXI wieku, zwłaszcza w Afryce, nie da się wygrać?

Richard Dowden, dyrektor brytyjskiego Royal African Society, pisze, że wpływ Chin na Afrykę to „największe geopolityczne przesunięcie początków XXI wieku”<sup>[8]</sup>. Globalizacja, która miała wzmocnić i rozpowszechnić zachodni model gospodarczy na całym świecie, święci triumfy. Model, owszem, rozpowszechnia się, ale w konsekwencji słabnie rola USA i Europy, a rośnie znaczenie Chin i Indii. Zwłaszcza na Czarnym Lądzie.

\*

Skąd się wzięli Chińczycy w Afryce? Są tu od bardzo dawna, od XV wieku, ale – w przeciwieństwie do Europejczyków – nie po to, by podbijać i plądrować kontynent, tylko by zyskać szacunek Afrykanów. Chiny nigdy nie chciały panować nad nędzniejszymi rasami, białymi czy czarnymi, Chinom wystarczyło uznanie przez inne nacje potęgi cesarza. Najlepiej w jakiejś spektakularnej formie – dlatego największe trofea ówczesnych chińskich wypraw do Afryki stanowiły dzikie zwierzęta: żyrafy, lwy, zebry. Ich obecność na dworze cesarza miała pokazać, że rzeczywiście jest on władcą całego świata.

Współczesne Chiny przez długi czas nie brały udziału w grze o Afrykę toczoną przez państwa Europy, w którą od połowy XX wieku włączyły się USA i ZSRR. Owszem, w latach 60. XX stulecia starały się zaznaczyć swoją obecność w ideologicznej wojnie na kontynencie między Amerykanami i Sowiecami, zbudowały na przykład linię kolejową z Zambii do Dar es Salaam przez całą Tanzanię z pominięciem RPA, w której panował wówczas apartheid. Jednak w latach 60. i 70. Chiny, skoncentrowane na osłabieniu ZSRR, słabo dobierały sobie protegowanych na kontynencie. W Rodezji wspierały Roberta Mugabe w walce o władzę z Joshuą Nkomo. Mugabe wykończył co prawda popieranego przez Rosję Nkomo, ale zaraz potem odwrócił się od Chin i zaczął spoglądać ku Zachodowi. Dopiero na początku XXI wieku wrócił do swojego azjatyckiego protektora. I tym razem Chiny wyszły na tym kiepsko wizerunkowo, bo wsparły jednego z najbardziej brutalnych dyktatorów Afryki.

W Angoli Chińczycy wspierali lidera Narodowego Związku na rzecz Całkowitej Niepodległości Angoli (UNITA) Jonasa Savimbiego w walce przeciwko utrzymywanemu przez Rosjan i Kubańczyków Ludowemu Ruchowi Wyzwolenia Angoli (MPLA). Gdy jednak wybuchła wojna domowa między obydwoma grupami, Savimbi stał się pupilem Amerykanów i RPA. Nawiasem mówiąc, okazał się jednym z legendarnych afrykańskich rzeźników, bandytów rzadkich w swoim rodzaju, a konkurencję miał przecież sporą.

Po śmierci Mao Tse-tunga ta chybiona i nieskuteczna polityka ingerencji w afrykańskie konflikty odeszła do lamusa. Chiny odstąpiły również od globalnych rewolucyjnych ambicji i skoncentrowały się na reformach wewnętrznych. I wreszcie po 1989 roku polityka i gospodarka złożyły się w jedno. Po masakrze na placu Tienanmen i globalnej krytyce Pekinu za dławienie opozycji Chiny potrzebowały dyplomatycznego wsparcia na scenie międzynarodowej i Afryka była gotowa je dostarczyć. Sama pełna była dyktatorów i propozycja współpracy z silnym państwem, które nie gładziło non stop o demokracji i prawach człowieka, wydawała się kusząca.

Co ważniejsze, Chiny przełomu wieków zmieniły się w wielki warsztat produkcyjny, tworzący towary na potrzeby całego świata, osłabiając tym samym znaczenie tradycyjnych potęg przemysłowych, takich jak Stany Zjednoczone czy Europa. Do napędzania tego warsztatu potrzebne są surowce, których Chiny nie miały w wystarczającej ilości u siebie. Pekin mógł oczywiście zrobić to, co robi większość średnio rozwiniętych krajów uzależnionych od producentów surowców, czyli kupować je na kontrolowanych przez Zachód rynkach. Mógł, ale zamiast tego postanowił zaopatrywać się u źródeł. Afryka ze swoim bogactwem okazała się idealnym rynkiem, a Chiny idealnym dla niej partnerem.

– Zachód nie potrafi myśleć o Afryce inaczej niż jak o niedorozwiniętym dziecku, którym trzeba się w nieskończoność zajmować – mówi mi João Teta, rektor uniwersytetu w Luandzie. – Bono, Bob Geldof, George Clooney, oni wszyscy przyjeżdżają tu lizać nasze rany. Jest taki obrazek Afryki: twarz dwuletniej wychudzonej dziewczynki z wydętym brzuszkiem, zbyt

wyczerpanej, by odgonić od twarzy muchy, z oczami błagającymi o pomoc. To „pornografia rozwojowa”, obraz Afryki potrzebny różnym organizacjom pomocowym do epatowania nim swoich sponsorów. Wojny, głód, nędza. Wy uważacie, że tylko taka Afryka istnieje, ale Chińczycy tak nie myślą. Ja w ogóle nie wiem, co oni o nas myślą, ale dla nich Afryka to na pewno coś więcej niż obrazki ludzkiej nędzy rodem z *Jądra ciemności*. Oni przyjeżdżają tu robić biznes, a nie organizować akcje humanitarne, i obie strony wychodzą na tym doskonale.

Dla białego Afryka to brzemię, obciążenie, moralne zadanie. Dla Chińczyka – okazja do zarobienia pieniędzy i szansa na sukces życiowy. Władze chińskie mówią po cichu, że aby kontynuować marsz ku rozwojowi, niezbędne jest wyekspediowanie 300 milionów ludzi z chińskiej wsi. Miasta nie przyjmą ich wszystkich, niech więc jadą za granicę. Do Afryki przyjadą z ochotą, bo praca na tutejszych budowach to i tak dla nich niebywały awans materialny i cywilizacyjny. Więc przyjeżdżają z błogosławieństwem swoich władz.

Od początku lat 90. Chiny są jednym z głównych graczy na kontynencie, a ich obroty handlowe z Afryką w 2008 roku wyniosły 55 miliardów dolarów, 40% więcej niż w 2006 roku. Ocenia się, że w 2010 roku osiągną poziom 100 miliardów dolarów, wyprzedzając wymianę Afryki z USA. Europa z obrotami na poziomie 200 miliardów rocznie ciągle przoduje, ale na jak długo?

W Sudanie i Angoli Chiny inwestują w pokłady ropy (są największym odbiorcą tego surowca, a 25% chińskiej ropy pochodzi właśnie stamtąd). Z Zambii wywożą miedź, z Namibii uran, z Republiki Południowej Afryki złoto i rudy żelaza. Do Chin trafia także ponad połowa drewna ścinanego w Gabonie i Gwinei Równikowej.

Chińczycy wchodzą tam, gdzie Amerykanie i Europejczycy wejść się boją ze względu na zagrożenie dla pracowników czy trudności logistyczne. Niestraszny im klimat, terroryści czy dyktatury, które w Europie i USA budzą krytykę organizacji humanitarnych. Gdy w 1996 roku firmy amerykańskie i europejskie wycofywały się z Sudanu – według Amerykanów „sponsora światowego terroryzmu” – Chińczycy kupili 40% udziałów w Greater Nile Petroleum Operating Company, firmie zarządzającej polami naftowymi w tym kraju.

W 2007 roku 7 Chińczyków zostało zabitych przez rebeliantów w etiopskim Ogadenie. Po tym wydarzeniu władze w Pekinie nawet nie zająknęły się o wstrzymaniu inwestycji w tym niespokojnym regionie. Firmy zachodnie pewnie wycofałyby się pod naciskiem opinii publicznej i rodzin ofiar, firmy chińskie – nie.

W Sudanie czy Zambii mieszkańcy Państwa Środka budują kopalnie i linie kolejowe, w Nigerii platformy wiertnicze, w Ghanie drogi, szpitale, szkoły, osiedla mieszkaniowe, stadiony. W wielu krajach zawierają umowy gwarantujące, że pieniądze wydane na inwestycje pozostaną w rękach chińskich, na przykład w Angoli 70% inwestycji chińskich wykonywanych jest przez chińskie firmy. Do Afryki zjeżdżają więc tysiące robotników.

Agencja prasowa Xinhua oceniła niedawno, że na całym kontynencie mieszka dziś 750 tysięcy Chińczyków, i ich liczba rośnie.

Nie rzucają się w oczy, nie mieszkają – tak jak Europejczycy i Amerykanie z organizacji pomocowych – w najdroższych hotelach w mieście. Wręcz przeciwnie, tysiącami skoszarowani są w zamkniętych obozach, żyją w spartańskich warunkach. Zachodnie firmy wymagają wygórowanych pensji dla swoich pracowników, opieki medycznej, lotów pierwszą klasą dla szefów. Chińscy menedżerowie żyją na tym samym poziomie co robotnicy. Nie zwiedzają kraju, nie chodzą do miejscowych restauracji. Jedzą chiński ryż gotowany przez sprowadzonych z Chin kucharzy.

Chińczycy zmieniają reguły zaangażowania w Afryce, reguły, które w ostatnich latach coraz bardziej podporządkowane były zachodniej politycznej poprawności. Momentem przełomowym z punktu widzenia Europy i USA była egzekucja nigeryjskiego aktywisty Kena Saro Wiwy w 1995 roku. Władze nigeryjskie zabiły Saro Wiwę za udział w kampanii przeciwko wierceniom prowadzonym przez Shell w delcie Nigru. Początkowo firma twierdziła, że ze śmiercią aktywisty nie ma nic wspólnego, jednak wobec zmasowanej krytyki w całym wolnym świecie takiego stanowiska nie dało się utrzymać. Sprawa Saro Wiwy wywołała reperkusje we wszystkich zachodnich firmach wydobywających surowce nie tylko w Afryce. Stworzono kodeks działania przemysłu wydobywczego, zobowiązano firmy do ujawniania sposobów współpracy z krajami afrykańskimi. Firmy zachodnie oferują dziś swoim afrykańskim pracownikom znacznie bezpieczniejsze niż kiedyś warunki pracy i opiekę zdrowotną, współpracują z organizacjami humanitarnymi, inwestują w lokalne służby, budują szkoły i szpitale.

Chińczycy dla lokalnych społeczności nie robią nic poza tym, co wynika w kontrakcie. I nie chcą od Afrykanów nic więcej poza bogactwem Afryki. Nie oczekują kopiowania przez Afrykanów chińskiego modelu gospodarczego, potulnie płacą łapówki i ciągle dorzucają więcej pieniędzy. Stosują podstawową zasadę chińskiej polityki zagranicznej sformułowaną jeszcze w latach 70. przez Deng Xiaopinga: „My nie wtrącamy się w wewnętrzne sprawy krajów obcych. Kraje obce nie mają prawa wtrącać się w nasze sprawy”.

Chiny nie dbają o poprawność polityczną ani opinie organizacji praw człowieka. Dla skorumpowanych rządów, a takich w Afryce jest większość, propozycja współpracy z Chinami jest jak powiew świeżego powietrza. Nareszcie jest ktoś, z kim można robić normalne interesy i kto nie patrzy na ręce. Na zlecenie poszukiwanego dziś listem gończym Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze Umara Al-Baszira zbudowali rafinerię i ropociąg ciągnący się od pól wydobywczych na południu Sudanu do Port Sudan nad Morzem Czerwonym. Okazali się wybawieniem dla Roberta Mugabe, który z najbogatszego kraju Afryki, jakim było Zimbabwe w momencie osiągnięcia niepodległości, uczynił największego nędzarza na najbiedniejszym kontynencie.

Wycinają drzewa w basenie rzeki Kongo, nie zważając na międzynarodową krytykę. Kupują kość słoniową, przyczyniając się do wyginięcia słoni w Sudanie, Kongu, Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej.

Pytam João Tete, czy popiera sposób, w jaki Chiny handlują bronią w Afryce.

– Chiny są od dawna obecne na tym rynku. Oczekiwanie, że się z niego wycofają, jest naiwne – mówi rektor.

Chiny sprzedają broń Sudanowi i Zimbabwe. W Kongu, Czadzie i Liberii najbardziej okrutnych zbrodni dokonywano za pomocą broni kupionej w Chinach. Milicje Janjaweed dokonywały rzezi w sudańskim Darfurze bronią *made in China*. Według ONZ Rwanda sprowadziła z Chin kilkaset tysięcy maczet w latach 1992–1994, tuż przed ludobójstwem prawie miliona Tutsi dokonany właśnie za pomocą maczet. Niekiedy Chiny nie zawierają sobie nawet głowy sprzedają broń, tylko wymieniają ją z rządami afrykańskimi za ropę albo koncesje na wydobycie surowców, omijając tym samym krępujące statystyki. Od 2008 roku Chiny utrzymują pierwszą na kontynencie, w prowincji Katanga w Demokratycznej Republice Kongo, własną bazę wojskową.

– To wszystko prawda – mówi rektor Teta – tylko gdy Amerykanie, Francuzi albo Brytyjczycy krytykują Chiny za sprzedaż broni do Afryki, brzmi to groteskowo. Przecież największym eksporterem broni na świecie są USA, co roku rośnie liczba krajów uznawanych

przez Waszyngton za strategicznie ważne, dziś jest to niemal cała północna Afryka. Pentagon szkoli wojsko w Liberii, nazywając to pomocą humanitarną. To Francja, a nie Chiny, jest największym dostarczycielem broni do Afryki, chociaż podobno Rosjanie ją ostatnio wyprzedzili. Brytyjczycy sprzedają broń dyktatorom na całym świecie, a potem prawią nam kazania na temat uczciwej polityki międzynarodowej. Chińczycy przynajmniej nie udają świętych.

Pytam rektora João Tete, czy obecność Chin w Angoli i całej Afryce przyczynia się do wzrostu poziomu życia normalnych ludzi.

– Chiny dają Afryce szanse rozwoju, jakiej nie daje jej Zachód. Po pierwsze, traktują nas jak partnera, a po drugie, my możemy potraktować ich jak model rozwojowy. Afrykanie są zmęczeni ciągłymi warunkami stawianymi przez Zachód. Międzynarodowy Fundusz Walutowy stawia swoje, Bank Światowy swoje, a Chińczycy po prostu wchodzi do kraju i budują infrastrukturę. Dla wielu państw afrykańskich to jest bardzo zachęcające. Chiny wyciągnęły u siebie ze skrajnej biedy kilkaset milionów ludzi. I to bez jednego dolara pomocy rozwojowej z Zachodu. W Afryce Zachód wydał setki miliardów i nic to nie dało. Dziś dzięki Chińczykom Afryka to jeden wielki plac budowy. Oczywiście, że się z tego cieszymy.

Zmienia się również – powoli i nieznacznie, ale jednak – polityka pełnego niezaangażowania Chin w sprawy krajów Afryki. W 2007 roku Pekin wysłał swojego przedstawiciela do Darfuru. W prowincji obecne są chińskie oddziały, stacjonujące tam w ramach misji ONZ. Od jesieni 2007 roku Chiny znacznie ograniczyły również pomoc finansową dla reżimu Mugabe w Zimbabwe.

Niektóre kraje, jak Angola, Nigeria czy Zambia – czyli te, które poczuły siłę, jaką daje im wzrost cen surowców – nie są też już tak bardzo uległe wobec chińskich kontrahentów. Stawia się im coraz surowsze warunki, niekiedy kontrakty dostają konkurenci.

Sami Chińczycy również zmieniają strukturę swoich inwestycji. Od kilku lat nie jest to już wyłącznie kupowanie surowców. Coraz więcej chińskich firm zakłada w Afryce fabryki. W Ghanie na 340 chińskich inwestycji ponad 100 to firmy wytwórcze, produkujące głównie zabawki i obuwie, podobnie w Etiopii, gdzie dwie trzecie chińskich inwestycji dotyczy wytwórczości. Równocześnie chiński rząd oferuje krajom afrykańskim tanie kredyty i wpuszcza na swój rynek coraz więcej produktów z Afryki, co sprzyja rozwojowi lokalnych gospodarek.

Biznes „bez warunków wstępnych” proponowany Afrykanom przez Chińczyków jest obrazą i zagrożeniem dla Zachodu, ale w Afryce niewiele osób przejmuje się jego rozterkami. Przecież przez 50 lat Zachód nie potrafił wyzwolić w Afryce sił rynkowych i przemian społecznych, które stworzyłyby normalną gospodarkę. Chronimy swoje rynki przed żywnością i innymi produktami z Afryki. Nie wpuszczamy państw afrykańskich na rynki finansowe, uznając, że udzielanie im kredytów na rozwój jest zbyt ryzykowne. Zamiast tego mamy usta pełne frazesów na temat wolności i równości, a kieszenie pełne pieniędzy, które mają nam zapewnić spokojne sumienie. Przez lata wywoływaliśmy wojny, utrzymywaliśmy okrutnych dyktatorów po to, by potem w odruchu dobrego serca adoptować biedne afrykańskie dzieci i dumać w uniesieniu nad własną dobroczynnością.

Ale w tej humanitarnej hojności bogatej Północy chodzi nie tylko o nasze dobre samopoczucie. Jesteśmy dziś gotowi zapłacić każde pieniądze, byle ci ludzie do nas nie przyjeżdżali. Stworzyliśmy sobie w tropikalnej Afryce olbrzymi obóz uchodźców z miliardem biednych ludzi i gotowi jesteśmy płacić im w nieskończoność, byleby tylko łaskawie nie rozlewali swojej biedy na Europę, Stany Zjednoczone, Australię. Budujemy zasieki imigracyjne i

mury nie do przebycia (gdzieniegdzie, na przykład w Ceucie, te mury i zasieki są prawdziwe), by utrudnić Afrykanom przedostanie się do Europy. Wysyłamy patrole na morza i odsyłamy złapanych do domu, nie wnikając, co będzie się z nimi dalej działo.

Chiny nie grają w tę grę. Nie dziwny się zatem Afrykanom, że poszli na ryzyko współpracy z Chińczykami, gdy oni nie traktują ich jak postkolonialne sieroty, tylko jak partnerów w biznesie.

\*

Luanda jest ciągle jednym z najpiękniejszych miast Afryki. Wyasfaltowane ulice, zielone skwerki, pomniki, okazałe kościoły, kolorowe domy. Miasto właściwie nie ucierpiało w czasie wojny, bo wszyscy mieli interes, by je chronić: Rosjanie, Kubańczycy, Amerykanie, RPA. I właśnie dlatego że było tu w miarę bezpiecznie, z przytulnego prowincjonalnego miasteczka portugalskiego zbudowanego przed laty dla około 700 tysięcy ludzi Luanda rozrosła się do molocha liczącego prawie 5 milionów mieszkańców. Większość przyjezdnych ze wsi osiedla się na obrzeżach miasta, na ziemi niczyjej. Stawiają prowizoryczne blaszaki, a jeśli mają odrobinę pieniędzy, budują kwadratowe domy z tanich pustaków.

Przejeżdżam przez slums o nazwie Paraiso, co po portugalsku znaczy „raj”. Osiedle bez wody, bez prądu, bez kanalizacji. Pod domami kupki kamieni kradzionych z pobliskich kamieniołomów. Ludzie sprzedają je po 2,5 tysiąca kwanza, czyli 30 dolarów za kupkę. Nabywca zawsze się znajdzie, bo wszędzie ktoś stawia jakieś fundamenty.

Któregoś dnia biedacy z Paraiso zostaną stąd wyrzuceni, podobnie jak wyrzucano biedaków z innych slumsów. Wystarczy, że jakiś generał albo inny bohater wojny o niepodległość uzna, że to jego ziemia, albo urzędnik odda firmie deweloperskiej prawo budowy za łapówkę. Wtedy ci ludzie przeniosą się w inne miejsce. Nikt nie zmusi ich do powrotu na wieś, bo na wsi jest jeszcze gorzej. Tutaj przynajmniej mogą handlować kamieniami.

\*

– Oni przychodzą zwykle w nocy – mówi mi Angelina.

Pół roku wcześniej została wygnana z Ilha de Luanda, półwyspu, który przerabiany jest przez władze na turystyczną wizytówkę miasta. Policja wyważyła drzwi jej domu i przegnała ją na drugą stronę miasta. Angelina z pięciorgiem dzieci została wyrzucona do obozu Zango tuż za rogatkami Luandy. Mieszka w namiocie, nie ma bieżącej wody ani elektryczności.

To jest typowa historia ze stolicy Angoli. Prezydent Eduardo dos Santos obiecał wybudowanie miliona nowych domów do 2012 roku. I buduje – w najlepszych rejonach stolicy. Biedacy są z nich usuwani siłą, a w ich miejsce do nowych dzielnic wprowadza się świeżo wzbogacona naftowa nomenklatura. Bieda oddzielnie, bogactwo oddzielnie – taki jest pomysł władz Angoli na rozwój.



Mieszkańcy Paraiso w drodze na mszę



Kościół katolicki w Paraiso, slumsach Luandy

W Luandzie nie ma pocztówek i nie ma hoteli w cenie dostępnej dla normalnego turysty. Nie ma również taksówek. Chcę wiedzieć dlaczego. Pytam o to znajomego Angolczyka.

– Bo nikomu się to nie opłaca – odpowiada.

Nie rozumiem, jak może się nie opłacać jeżdżenie taksówkami w tak ogromnym mieście. Dowiaduję się, że istnieje jedna firma na telefon, która – tak się składa – należy do córki prezydenta, ale trzeba długo czekać, a tak w ogóle to nie zawsze przyjeżdżają.

– Po co taksówki w mieście, w którym wszyscy mają samochody albo jeżdżą minibusami? – pyta retorycznie mój angolski rozmówca.

Transport miejski, czyli właśnie minibusy, opanowany jest tutaj przez wojskowych. Mechanizm wygląda następująco: właściciel kupuje w Niemczech rozpadającą się toyotę, sprowadza ją do kraju, następnie wynajmuje kierowcę, który musi dostarczyć właścicielowi dziennie 200 dolarów. Jeśli nie zarobi tyle na przejazdach, to i tak płaci 200 dolarów za wynajem samochodu. Taki system powoduje, że jazda minibusami przypomina wyścig śmierci. Kierowcy ścigają się do upadłego, wyprzedzają na trzeciego, jeżdżą pod prąd i dodają gazu ile wlezie, byle

tylko zrobić jak najwięcej kursów. Wieczorami i nocami, zwłaszcza na przedmieściach, toyoty regularnie lądują w rowach, a setki ludzi giną w wypadkach.

W stolicy Angoli panuje obsesja czystości. Czystości samochodów. Na każdym kroku powstaje jakaś sklecona naprędcie myjnia. Kilku chłopaków z wiadrem, wężem i gąbką gorączkowo szoruje karoserie różnych land-roverów, nissanów, toyot i hummerów. Po wymyciu karoserii odkurzają wnętrze wozu i pastują opony. Żeby się świeciło i było widać z daleka. Potem migają takie plamy blichtru na tle biedy.

W tym ogromnym mieście banany są droższe niż w Polsce.

– Mamy pewne problemy z transportem – tłumaczy znajomy Angolczyk.

Są problemy z transportem, w związku z tym w sklepach w Luandzie łatwiej kupić kosmicznie drogie soki pomarańczowe, pomidory i ziemniaki eksportowane z RPA i Portugalii niż przywiezione z angolskiej wsi produkty.

Wystarczy jednak wyjść na ulicę, by od handlarki kupić miejscowe ananasy, mango i papaje. Wiejskie baby jakoś kłopotów z transportem nie mają, tym bardziej że codziennie do Luandy przyjeżdżają prywatne ciężarówki wyładowane owocami. Ale na imporcie z Europy i RPA ktoś zarabia. Ktoś wydaje pozwolenia, ktoś inny sprowadza towar, jeszcze ktoś inny rozwozi go po sklepach. Najczęściej jest to jedna i ta sama grupa osób skupiona wokół rządzącej MPLA. Na 162 sklasyfikowane kraje Angola zajmuje 142 miejsce w rankingu światowej korupcji.

\*

Od 2002 roku w Angoli panuje pokój. 20 lutego tego roku w ostatnim akcie trwającej przez 27 lat wojny domowej wojska rządowe MPLA zabiły lidera ugrupowania UNITA Jonasa Savimbiego. W poprzedzających to wydarzenie trzech dekadach obie strony konfliktu, wspierane przez sojuszników z ZSRR (MPLA) i USA (UNITA), dokonywały bestialskich morderstw, grabiły bogactwa kraju i doprowadziły jego mieszkańców do skrajnej nędzy. Około 500 tysięcy ludzi zginęło, kilka milionów straciło dach nad głową. W trakcie wojny obie strony rozlokowały w kraju około 15 milionów bomb przeciwpiechotnych – do dziś Angolczycy padają ich ofiarami.

Po uzyskaniu przez Angolę niepodległości w 1975 roku MPLA była początkowo scentralizowaną partią marksistowską, którą rządziła garstka aparatczyków skupiona wokół prezydenta Agostinha Neto. Po jego śmierci schedę po nim przejął José Eduardo dos Santos. Ludzie się zmienili, ale metody pozostały te same. Po 1989 roku marksści przekształcili się w biznesową nomenklaturę, wśród której rozchodziły się zyski płynące do Angoli ze sprzedaży ropy. Ropa pozwalała rządowi kontynuować wojnę z UNITA, płacić za importowaną żywność i finansować ekstrawagancki styl życia działaczy partyjnych.

Dos Santos ustanowił system uwłaszczenia nomenklatury, w którym rządowe kontrakty, koncesje na wydobycie diamentów, zezwolenia na import towarów i tanie kredyty wędrowały do zamkniętego grona rodziny i współpracowników prezydenta. W ramach rządowego programu prywatyzacji mienie publiczne trafiało za bezcen w ręce oficerów wojska i urzędników państwowych. Rodziny aparatczyków wysyłały swoje dzieci na naukę za granicę (w latach 1997–2001 wydatki na rządowe stypendia zagraniczne wyniosły 18% budżetu całego ministerstwa edukacji, więcej niż wydatki na publiczne szkolnictwo wyższe i zawodowe razem wzięte). Wydatki państwa na zabiegi medyczne poza granicami kraju wyniosły 13% budżetu ministerstwa zdrowia – prawie tyle samo, ile wydatki na całą podstawową opiekę medyczną, teoretycznie powszechnie dostępną.



W latach 1997–2002 sektor naftowy w Angoli wygenerował 17,8 miliarda dolarów zysku. Jednak nikt nie wie, co się stało z tymi pieniędzmi. Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW) opublikował raport, według którego 22% wydatków rządowych z tego okresu „nie da się wyjaśnić”, a organizacja Human Rights Watch uznała, że w ciągu pięciu ostatnich lat wojny rząd MPLA „zgubił” około 4,7 miliarda dolarów, czyli jakieś 10% PKB Angoli.

Prezydent dos Santos dwoił się w tym czasie i troił, by ukryć prawdę o rozkradaniu bogactwa Angoli przez armię i partię. Na monity MFW domagającego się otwarcia dokumentów odpowiadał, że stanowią one tajemnicę państwową. Gdy w 2001 roku firma naftowa British Petroleum zapowiedziała publikację swoich płatności dla Angoli, rząd w Luandzie zagroził odebraniem kontraktów nie tylko BP, ale każdemu innemu koncernowi, który miałby ochotę ujawnić swoje księgi finansowe.

Po drugiej stronie barykady stała UNITA kierowana przez Jonasa Savimbiego, w latach 80. pupila Stanów Zjednoczonych. Savimbi przedstawiał się jako obrońca uciśnionych czarnych mieszkańców Angoli, co nie przeszkadzało mu korzystać z pieniędzy i opieki RPA w czasach apartheidu. W rzeczywistości był brutalnym dyktatorem i mordercą, który za cenę władzy w Angoli gotów był zabijać i niszczyć swoich przeciwników. Podobnie jak MPLA dysponował aparatem wewnętrznej policji politycznej siejącej terror na kontrolowanych przez siebie terenach. Regularnie dokonywał czystek w szeregach organizacji, pozbywając się opozycji wewnętrznej. Po przegranych w 1992 roku wyborach zaprzestał flirtów z demokracją i kontynuował wojnę. Podobnie jak MPLA rekrutował do swojej armii dzieci i podobnie jak przeciwnik mordował ludność cywilną, minował drogi i plądrował wsie. MPLA żyło z kradzieży ropy, Savimbi finansował swoje działania nielegalnym handlem diamentami wydobywanymi na terenach kontrolowanych przez UNITA. Drogi wywozu towaru z Angoli zapewniał mu oddany sojusznik Mobutu Sese Seko z Zairu.

Od zakończenia wojny w 2002 roku do budżetu Angoli wpływa co roku 5–8 miliardów dolarów ze sprzedaży ropy. Jednak pewne rzeczy się nie zmieniają. MFW ocenia, że co najmniej miliard dolarów z tej kwoty wyparowuje, jeszcze zanim trafi do ksiąg ministerstwa finansów.

– Jakie jest największe piętno zostawione w Angolczykach przez wojnę? – pytam rektora João Tete.

– Młodzi ludzie, którzy nie wierzą w przyszłość. Tysiące osób pozbawionych nadziei.

– A skąd ma przyjść ta nadzieja? W Luandzie elity rozbijają się samochodami po 70 tysięcy dolarów, a większość ludzi zarabia 60 dolarów miesięcznie. Co trzy minuty w tym kraju umiera dziecko poniżej pięciu lat. Jak mają żyć normalni ludzie?

– To jest coś, co nazywam gorączką ropy naftowej. Jest w tym kraju grupa ludzi, która bogaci się niezmiernie szybko i niewspółmiernie do reszty rodaków. Jeśli to rozwarstwienie nie zostanie jakoś opanowane, to po prostu będziemy mieli kolejną wojnę. Nie może być tak, że 10% narodu ma wszystkiego pod dostatkiem, a reszta nie ma prawie nic.

– No to będziecie mieli wojnę – mówię. – Przecież nikt z tych nowych bogaczy nie podzieli się pieniędzmi.

– Owszem, podzielą się. Ten kraj przechodzi okres niezwykłego rozwoju. Angolczycy będą budować drogi, tory kolejowe, domy. Będziemy kształcić nowych inżynierów, będziemy wprowadzać nowe technologie. I to wszystko trzeba robić jednocześnie. Ale dokonamy tego.

Jadę samochodem w towarzystwie księdza katolickiego. Mijamy miejsce wypadku, najwyraźniej wydarzył się przed chwilą. Nieoświetlony motocyklista wjechał pod koła ciężarówki. Na jezdni leży zakrwawiony człowiek. Nie rusza się. Sugeruję księdzu, byśmy się zatrzymali, ale nie chce o tym słyszeć.

– Jeśli się zatrzymamy, oskarżą nas o spowodowanie wypadku. Przyjedzie policja i znajdzie się dwudziestu świadków, którzy potwierdzą, że to my rozjechaliśmy tego człowieka. Potem nas zamkną i będą trzymać w więzieniu, póki nie wpłacimy pieniędzy rodzinie. A gdy wpłacimy, to nas wypuszczą i o wszystkim zapomną.

Pogrzeb jest dla nich najważniejszym rytuałem w życiu, ważniejszym niż chrzest i ślub. Człowiek, który wpadł pod koła, już się nie liczy, jego nie ma, ale są żywi, których obowiązkiem jest wyprawić najbardziej okazały pogrzeb, na jaki ich stać. Zrobią wszystko, by zdobyć na to pieniądze.

\*

Pytam rektora João Tete, jak funkcjonuje społeczeństwo, które przez 30 lat toczyło bratobójczą wojnę.

– Nie wiem, sam się dziwię – odpowiada. – Na pewno znaczenie ma to, że w 2002 roku po zabiciu Jonasa Savimbiego MPLA odstąpił od zemsty. Ten rząd nie poszedł drogą tylu innych krajów afrykańskich i zamiast dokończyć rzeź przeciwników politycznych, zaproponował coś w rodzaju pojednania narodowego. Na razie to działa.

– Jak długo? – pytam. – Przecież ci ludzie noszą w sercach żądzę odwetu. Wielu z nich chciałoby dobrać się do bogactw tego kraju.

– To prawda, ale Angola to jest naprawdę specyficzny kraj. I ta specyfika obecna jest tu od czasów kolonialnych. Portugalska kolonizacja była całkowicie odmienna od francuskiej czy brytyjskiej w tym sensie, że kolonizatorzy mieszały się z ludnością tubylczą. Nie grali na wzajemnej wrogości plemion, nie stawiali na jednych przeciwko innym, jak na przykład Brytyjczycy w Kenii na Kikuju. Portugalczycy brali sobie czarne kobiety, zakładali tu rodziny, szybko uznali ten kraj za swój. W końcu pamiętajmy, że Portugalia przez prawie cały XX wiek to była bida z nędzą. Co to był za kolonizator? W Angoli Portugalczykom żyło się lepiej niż w Portugalii. To właśnie dlatego jest tutaj tak wielu Mulatów, ludzi o przeróżnym stopniu nasycenia skóry pigmentem. To dlatego mamy tylu białych Angolczyków, którzy dziś wracają do ojczyzny. Po kilku pokoleniach mieszania się w tym tyglu naprawdę trudno nam dokładnie określić, kto jest kim. Tu nie ma jasnych podziałów plemiennych, bo biali szli w poprzek podziałów. I dziś ja na przykład jestem w Komitecie Centralnym MPLA, a mój szwagier w Komitecie Centralnym UNITA. Nasze organizacje mordowały się nawzajem przez 30 lat, ale dziś spotykamy się na uroczystościach rodzinnych i żyjemy z sobą w pokoju. Poza tym łączy nas język portugalski. To tak naprawdę największy i najwspanialszy spadek po kolonizatorach. Bez niego nie byłoby jednego narodu.

\*

Manuel jest białym Angolczykiem urodzonym w prowincji Huambo. W 1979 roku, gdy miał 17 lat, wyjechał z kraju. Jemu i jego rodzinie groziła śmierć, więc uciekł. Półtora roku temu wrócił i chce tu żyć.

– To jest mój kraj, moja ojczyzna – stwierdza Manuel.

– Ale twoja rodzina została stąd przegoniona. Zostałeś uznany za kolonizatora, w końcu byłeś kolonizatorem.

– Nie jestem żadnym kolonizatorem, tylko Angolczykiem. Kocham ten kraj, kocham tych ludzi. Tutaj przeżyłem najlepsze chwile życia. Najgorsze również. Po prostu w którymś momencie czarni uznali Portugalczyków za źródło wszelkiego zła i uwierzyli, że jak ich wygnają z kraju, to reszta spraw sama się rozwiąże. Tymczasem wypędzili nas i kolejne 30 lat mordowali się nawzajem. Najpierw z błogosławieństwem Amerykanów i Rosjan, potem już wyłącznie na własny rachunek.

\*

Polacy nie mają w Afryce kolonii, my mamy misje katolickie. Odwiedzam misję w Kifangondo pod Luandą. Ksiądz Andrzej Fecko, werbista, kieruje doskonale wyposażonym, nowoczesnym ośrodkiem zdrowia, gdzie leczą się chorzy na malarię, gruźlicę i AIDS. Przyglądam się pracy księży i sióstr na odległych od kraju misjach, pracy, o której polscy katolicy nie mają pojęcia. Widzę Kościół bliski człowiekowi, silny świadectwem składanym przez zwykłych ludzi codziennym życiem. Nikt tu nie zajmuje się debatami światopoglądowymi, nikt nie ma czasu na heroiczną obronę czystości wiary, nikt się nie zastanawia, czy miejscowi są wystarczająco moralni i czy nie łamią dogmatów naleciałościami animistycznymi. Tutaj jest zwykłe życie. Trzeba załatwić lekarstwa, naprawić samochód, sprowadzić lekarzy z Polski, znaleźć najlepszą terapię dla chorego dziecka. A potem odprawić mszę i pogadać z miejscowymi, którzy czasem przychodzą do księdza z najbardziej prozaicznymi problemami.

Pytam księdza Andrzeja, czy nie żałuje oddalenia od kraju, czy nie ulega zwątpieniu.

– Pewnie, że człowiek czasem ma dosyć, że wątpi, ale czy mieszkając w Polsce, zbudowałbym szpital? Czy stworzyłbym szkołę dla dzieci, które nigdy nie chodziły do szkoły?

\*

W listopadzie 2009 roku prezydent Eduardo dos Santos wezwał rząd do zaostrzenia walki z korupcją. „Nieodpowiedzialni ludzie, ludzie złej woli wykorzystują nasze surowce do własnych interesów i dokonują oszustw na wielką skalę. Musimy przyjąć strategię »zero tolerancji dla korupcji«” – powiedział prezydent.

Eduardo dos Santos jest obecnie najbogatszym człowiekiem w Angoli. Sześciu z siedmiu kolejnych na liście angolskich bogaczy to jego ministrowie. Siódmy to były minister, który niedawno udał się na zasłużoną emeryturę.

---

[8] Richard Dowden, *Africa. Altered States, Ordinary Miracles*, Londyn 2008, s. 485.

## Kenia: czekając na przebudzenie

– Oni nie mają żadnej strategii. Trzymają się u władzy po to, by robić pieniądze, i robią pieniądze po to, by utrzymać władzę. O nic innego nie chodzi – mówi mi John Githongo, czterdziestotrzyletni Kenijczyk po przejściach.

Aby dostać się do jego biura, musiałem przejść przez dwie pary drzwi, między którymi czekał na mnie miły dwumetrowy ochroniarz.

– *Welcome, Karibu*, witaj, jesteś pewnie tym dziennikarzem z Polski. John za chwilę cię przyjmie – mówi uśmiechnięty.

Wchodzę do następnego pokoju i ściskam rękę ogromnego mężczyzny (kiedyś nosił przydomek „Zapaśnik”), ma szeroką szczękę i tubalny głos. Jak na człowieka, który o mało nie obalił rządu, ukrywał się przez kilka lat w Anglii, był oskarżony o zdradę i kilka lat żył w ciągłym strachu o własne życie, John wydaje się pozbawiony goryczy. Tryska energią, nie otacza go aura niedostępności i formalizmu, która charakteryzuje prawie każdego Afrykanina sprawującego jakąkolwiek oficjalną funkcję.

– Zaletą życia w kraju rządzonym przez złodziei jest fakt, że oni muszą nacieszyć się bogactwem, które nakradli – mówi John. – Czyli chyba nie bardzo zależy im na wojnie, i to jest pocieszające. Gdy ma się ferrari i mercedesa, to trzeba nimi jeździć, najlepiej po dobrych drogach. Gdy się ma dwie żony i kilka kochanek, to trzeba je odwiedzać i kupować im prezenty. Władca Zairu Mobutu Sese Seko, jeden z największych złodziei w historii, trzymał się u władzy tak długo, że na koniec to jego generałowie sprzedawali broń rebeliantom. Mobutu zmienił swoich generałów w biznesmenów, i to jest dobry znak dla Kenii. Błędem byłoby niedocenianie instynktu samozachowawczego złodziei również w moim kraju.

John jest dziś szefem organizacji Zinduko Trust i Twaweza, których celem jest pogłębienie przejrzystości w życiu publicznym krajów wschodniej Afryki. Chodzi o stworzenie poza istniejącym systemem politycznym ruchu obywatelskiego, który rozliczałby polityków z działalności publicznej, zwłaszcza z publicznych pieniędzy.

– Czy wystartuje pan w wyborach? – pytam.

Githongo unika odpowiedzi.

– Na razie jeżdżę po kraju, chcę odwiedzić wszystkie, co do jednej, wspólnoty lokalne w Kenii, nawet w najdalej położonych wioskach. Gdy skończę tę podróż, wtedy zdecyduję.

John Githongo zachowuje się swobodnie, mimo że wokół jego biura kręci się policja, jest podsłuchiwany i od powrotu do Kenii w 2006 roku żyje w ciągłej niepewności.

– Ale – mówi – gdyby mieli mi zrobić krzywdę, to chyba już by zrobili. Ten kraj jednak trochę się zmienia.

Kenia rzeczywiście się zmienia. Jest coraz bardziej sucha. Jest październik 2009 roku, o tej porze powinno obficie padać, ale nie pada. W Parku Narodowym Samburu na północy umierają słonie. Wszystko wyschło, nie mają co jeść. Telewizja pokazuje straszne obrazy młodych, ledwie kilkuletnich słoni, strażnik wyjaśnia, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy padły aż 24 sztuki. Młode, jak to dzieci, umierają pierwsze. Zaraz potem padają najstarsze słonie.

– Kiedy umierają stare słonie, to jest prawdziwa tragedia, bo stado traci bank pamięci – mówi Ian Douglas Hamilton z organizacji Save the Elephants. – Młode samice nie będą wiedziały, gdzie szukać wody. Jeśli przed śmiercią matek nie nauczą się od nich, jak znaleźć wodę, a potem przyjdzie susza, to całemu stadu grozi śmierć. Podczas suszy tylko drapieżniki mają się dobrze. Gdy jest dobra pora deszczowa, to każde martwe zwierzę otacza stado lwów albo hien. Teraz ściervo zwierząt gnije w piekącym słońcu, bo drapieżniki nie są w stanie wszystkiego zjeść. Za dużo tego.

\*

Jadę drogą do Eldoret, 250 kilometrów na północny zachód od Nairobi. Wspaniałe krajobrazy prowincji Rift Valley jeszcze do niedawna nakrapiane były białymi płachtami namiotów przesiedleńców. Na początku października 2009 roku usunięto ostatnie obozy ofiar przemocy etnicznej, do której doszło po wyborach w grudniu 2007 roku. Namioty z taniej plastikowej folii poznikały z pól, ludzie rozpierzchli się po wsiach i miejskich slumsach. Niektórzy dostali od rządu pieniądze na zakup ziemi, inni zostali bez środków do życia z nadzieją na jałmużnę od organizacji charytatywnych. Kilkadziesiąt komisji rządowych nieustannie prowadzi badania nad okolicznościami tragicznych wydarzeń, przyczynami przemocy, sposobami ukarania winnych. W Kenii zginęło 1300 osób, a 350 tysięcy musiało uciekać przed sąsiadami. Miejscem, gdzie dochodziło wówczas do najbardziej gwałtownych zamieszek, było właśnie miasto Eldoret i okolice. To tradycyjnie ziemia należąca do plemienia Kalendzin. W czasach pierwszego prezydenta Kenii Jomo Kenyatty osiedlali się tu Kikuju, co od początku budziło sprzeciw Kalendzinów. Z Kalendzinów wywodził się następca Kenyatty, najdłużej rządzący w Kenii prezydent, Daniel Arap Moi, uważany dziś przez samych Kenijczyków za jednego z najbogatszych ludzi Afryki.

Nie wiadomo, czy ukradł więcej niż Mobutu Sese Seko czy mniej, ale to podobna liga – jego majątek ocenia się na około 3 miliardy dolarów. Różnica jest taka, że w przeciwieństwie do władcy Zairu Moi oddał władzę pokojowo po wyborach w 2002 roku. Od tego czasu Kenią rządzą ludzie z plemienia Kikuju. Teoretycznie układ był taki, że podzielią się władzą z plemieniem Luo. Prezydentem miał być Kikuju Mwai Kibaki, a premierem Luo Raila Odinga. Kibaki układ jednak zerwał. W 2007 roku Kenijczycy mieli powtórkę z rozrywki. Po wyborach – sfalszowanych zarówno przez ludzi Kibakiego, jak i Odingi – przez dwa miesiące mordowali się, palili domy, przepędzali sąsiadów, a potem znów powołali wielką koalicję Kikuju i Luo.

W dzielnicy Langas w Eldoret mieszka 100 tysięcy osób z różnych grup etnicznych, ale Kalendzinowie uważają, że tylko oni mają prawo do tej ziemi. Dlatego przed dwoma laty dokonali w Langas pogromu Kikuju. W pobliskiej wsi Kiambaa Kalendzinowie spalili kościół z 35 osobami w środku. W atakach odwetowych Kikuju zabili 19 Luo w miejscowości Naivasha. To stamtąd pochodzą najlepsze goździki sprzedawane na giełdzie kwiatowej w Amsterdamie. Eldoret to nie Naivasha, dlaczego więc mścili się właśnie tam? I dlaczego Kikuju mścili się na Luo, a nie na Kalendzinach?

To są racjonalne pytania, ale wtedy, tuż po wyborach pod koniec grudnia 2007 roku, nikt nie myślał racjonalnie, a na najważniejsze pytania i dziś trudno znaleźć w Kenii odpowiedź.

\*

Mary Wangui Njama jest Kikuju, mieszka w Langas z piątką dzieci i mężem w skromnym, ale dobrze utrzymanym domu.

– Uciekliśmy z domu do kościoła i zostaliśmy w nim przez 3 miesiące. Ocaliliśmy życie tylko dlatego, że eskortowali nas żołnierze. Na szczęście nie spalili nas jak innych.

Pytam, dlaczego Kalendzinowie ich wygnali.

– Oni chcą odebrać nam ziemię, zresztą myśmy tę ziemię od nich kupili – pokazuje mi dokumenty nabycia. – Oni robią tak. Najpierw sprzedają ziemię Kikuju, a potem, jak widzą, że zaczynamy na niej coś uprawiać, to przychodzą i mówią, że ona należy do nich. Gdy niszczyli nasze domy, dbali o to, żeby spaliły się też dokumenty własności, aby później nikt nie mógł się domagać zwrotu. Oni chcą wyrzucić wszystkich Kikuju z Rift Valley.

Kobiety z plemienia Kikuju z dzielnicy Langas w Eldoret



Mary mówi, że dwa tygodnie temu starszyzna Kalendzinów z Langas zwołała spotkanie i dała Kikuju dwa tygodnie na opuszczenie tego terenu.

– Kto wam powiedział, że macie się wynieść?

– Sąsiedzi przynieśli jakieś ulotki, ale to było po spotkaniu z politykami lokalnymi. To oni podpuszczają ludzi.

– Czy teraz się boicie?

– Nie boimy się, bo nie mamy gdzie iść. Będzie, co będzie, przyjmujemy wszystko, co się wydarzy.

– Czy zawiadomiliście policję?

– Policja nam nie pomoże, dopóki nie zaczną palić domów. Wcześniej nic nie zrobią. Policja jest tu od tego, żeby brać od nas łapówki.

Phylis Wanjiru Mwangi ma 66 lat, mieszkała przez lata w regionie Burnt Forest. Uciekła stamtąd do Langas.

– Spalili mi dwa domy. Mojego męża zabili. Najpierw trafili go kulą w pierś, a potem posiekali na kawałki maczetami. On nie chciał uciekać z Burnt Forest, bo jak mówił, nie miał przed czym. „Nie mam wrogów”, mówił. No to przyszli i go zabili. A ja uciekłam z dziećmi.

– Co teraz pani czuje do Kalendzinów? – pytam.

– Nic do nich nie czuję. Bóg się za mnie pomści, a najlepszą zemstą będzie, jeśli zmieni ich w dobrych ludzi.

– Czy pani się ich boi?

– Nie boję się, jestem za stara, żeby się bać. A oni wiedzą, że nie mogą nas wykończyć. Nie mogą, bo jesteśmy stworzeniami boskimi.

Joseph Mbuthia Mwangi mieszka w domu obok.

– Nie rozumiem, czego od nas chcą. Przy każdych wyborach powtarza się to samo: chcą nas stąd wygnać.

– Czy wierzysz politykom?

– Nie. Nawet jeśli wielu z nich to Kikuju. Poseł to poseł. My sami musimy się o siebie martwić, polityków nie obchodzą zwykli ludzie.

– Chcesz zemsty?

– Chcę, żeby poszli do więzienia i żeby Bóg ich osądził.

– Czy gdy następnym razem przyjdą spalić wam dom, użyjesz wobec nich przemocy?

– Nie, raczej ucieknę, bo nie widzę sensu w biciu drugiego człowieka i zastraszaniu go.

\*

Nancy Gakahu jest nauczycielką akademicką w Eldoret. Należy do plemienia Kikuju. Pytam, czy ma przyjaciół wśród Kalendzinów.

– Mam wśród nich znajomych, w pojedynkę każdy z nich jest normalnym, sympatycznym człowiekiem. Gdyby ci, którzy palili domy i zabijali sąsiadów, nie mieli wsparcia swoich liderów, to nie dochodziłoby do przemocy. Gdy politycy przestaną podjudzać jednych przeciwko drugim, skończą się problemy. Zawsze w Kenii przemoc plemienna miała tło polityczne.

Pytam, czy w 2012 roku, gdy odbędą się następne wybory, Kenia znów będzie płonąć.

– Jestem pesymistką. Za każdym razem przy okazji wyborów dochodzi do przemocy. Tak było w latach 90., w 2012 roku będzie tak samo. Już dziś wiadomo, że Kalendzinowie się zbroją. Kupują broń. Przecież żaden z tych biedaków nie ma 30 tysięcy szylingów, żeby kupić

kałasznikowa, muszą dostawać pieniądze od polityków. Jednocześnie rząd powołuje jakieś komitety pojednania. To nie ma sensu. Te komisje są powoływane same dla siebie. Robią jakieś dochodzenia, badania, przedstawiają je w parlamencie, ale tu chodzi tylko o dobre samopoczucie rządzących, dostarczenie usprawiedliwienia dla dawców pomocy z zagranicy, uspokojenie międzynarodowej opinii publicznej. To jest zasłona dymna.

– Czy zostaniesz w Eldoret?

– Ja stąd wyjadę, to nie jest moje miejsce. Tu nie ma przyszłości. Nie chcę żyć w ciągłym strachu, że któregoś dnia ktoś mi zabierze mój dom czy ziemię. Dam sobie radę, najwyżej przeniosę się do Nairobi, znajdę coś do roboty. Ale ci ludzie tutaj zostaną. I wiesz, co jest najgorsze? Oni wszyscy za trzy lata będą głosowali na tych samych polityków co poprzednio. I Kikuju, i Kalendzinowie, i Luo, i Luhja. Wszyscy ucierpieli przez polityków, ale nikt nie potrafi wyjść poza plemienny sposób myślenia. Nigdy się nie nauczymy.

\*

– W tym kraju nawet trup może wygrać wybory, ważne, żeby był z właściwego plemienia. – Koigi Wamwere był kiedyś posłem. Ogółem 13 lat spędził w więzieniu, bez oficjalnego wyroku sądu, za sprzeciw wobec dyktatury: najpierw pierwszego prezydenta niepodległej Kenii Jomo Kenyatty, potem jego następcy Daniela Arapa Moiego. Wygnany z kraju, przez 10 lat przebywał w Norwegii, w 1990 roku został porwany podczas wizyty w Ugandzie przez kenijską tajną policję, przewieziony do Nairobi i osadzony w więzieniu na kolejne 4 lata.

– To nieprawda, że wszyscy w kenijskich więzieniach głodują. Ja jadłem bardzo dobrze. Nasi prezydenci byli doskonale wyszkoleni przez Brytyjczyków i wiedzieli, że nie wszystkich należy wsadzać do takiego samego mamra. Są u nas więzienia dla plebsu, tam ludzie gniją, i są elitarne. Ja byłem w elitarnym.

Wamwere mieszka w Nakuru, 60 kilometrów od Nairobi, w regionie zamieszkanym głównie przez Kikuju. Po zamieszkach wydał książkę pod jednoznacznym tytułem *Towards Genocide in Kenya. The Curse of Negative Ethnicity (Droga ku ludobójstwu w Kenii – przekleństwo szowinizmu plemiennego)*. Stoimy na balkonie domu, w którym mieści się stacja radiowa Głos Obywatelski. Wamwere wspiera to radio, choć nie pełni w nim oficjalnych funkcji. Przed nami niezwykły widok Rift Valley – kenijska porcja ciągnącego się przez pół Afryki cudu natury stworzonego przez uskok tektoniczny miliony lat temu. Pełno tu jezior, dzikich zwierząt i wspaniałych pól uprawnych.

– Tu mieszkają jakieś cztery miliony ludzi – mówi Koigi. – Większość z nich to biedacy, którzy nigdy w życiu niczego się nie dorobili, mimo że pracują na tej ziemi od pokoleń. Nie mają żadnych powodów, żeby wspierać władzę, wręcz przeciwnie, za to, jak traktuje ich rząd, powinni nienawidzić polityków. Ale gdy przyjdzie czas wyborów, oni wszyscy jak jeden mąż zagłosują na tych samych kandydatów co zwykle. Starszyzna plemienna powie im na kogo, a oni potulnie oddadzą głos. I to będzie zawsze głos na członka własnego plemienia. Oni, tak jak prawie wszyscy Kenijczycy, żyją w więzieniu szowinizmu, który każe im poddać się woli plemiennego lidera, nawet jeśli ten wiedzie ich na zatracenie. Plemiennosc zabija ten kraj, a ludzie tu mieszkający są przekonani, że bardziej niż Kenia potrzebne jest im ich plemię.

– To może ten kraj nie nadaje się do demokracji? – pytam.

– Szowinizm plemienny nie jest specjalnością Kenii ani Afryki. 70 lat temu w Europie Niemcy mordowali Żydów, 15 lat temu Serbowie bośniackich muzułmanów. To też był



szowinizm etniczny. Czy to znaczy, że Niemcy albo Serbia nie nadają się do demokracji? Jest dokładnie na odwrót. W tym kraju musi nastać prawdziwa demokracja, a nie odprawianie co pięć lat nic nieznaczących rytuałów na potrzeby Zachodu. Wszyscy udają, że system panujący w Kenii daje ludziom wpływ na władzę, a politycy w Nairobi biorą od nich pieniądze.

– Dlaczego zwykli ludzie się na to godzą?

– Niektórzy akceptują ten stan rzeczy, bo uważają, że szowinizm plemienny to jest gra o sumie zerowej, w której jeden wygrywa i zabiera wszystko, a drugi przegrywa i umiera. I wierzą, że kiedyś zwyciężą. Tylko że to są brednie, które wmawiają im politycy. Na przykład teraz rządzą Kikuju w koalicji z Luo. To oczywiście nie oznacza, że zwykli Kikuju i Luo cokolwiek na tych rządach zyskują. Zyskują wyłącznie elity plemienne: prezydent, rząd, posłowie, ludzie obsadzający najwyższe stanowiska we władzach i biznesie. Reszta żyje w nędzy niezależnie od pochodzenia. Największym i podobno najbardziej przedsiębiorczym plemieniem w Kenii są Kikuju. Ich jest najwięcej w obecnych elitach, ale również wśród nędzarzy. Ci nędzarze żyją w przekonaniu, że jakby rządzili Kalendzinowie albo Luhja, to byłoby im jeszcze gorzej. I wierzą, że nawet jeśli im nie jest najlepiej, to ich dzieci albo wnuki skorzystają, gdy przy władzy będzie ich plemię.

– Może mają rację?

– Nie mają, bo w kraju, w którym mieszkają 42 plemiona i jest wśród nich konkurencja etnicznego szowinizmu, zwycięzca może być tylko jeden, a reszta zawsze przegrywa. Ja jestem Kikuju, siedziałem w więzieniu za czasów prezydenta Kikuju i prezydenta Kalendzina, wystarczyło, że domagałem się od obu odpowiedzialności wobec wyborców. Nawet jeśli wprowadzimy dyktaturę z okresową zmianą plemienia u władzy, to poszczególne grupy etniczne będą musiały czekać 41 kolejek na swój czas. Największym nonsensem, jaki w tym kraju wymyślono, jest wysuwana co jakiś czas propozycja *majimbo*, federacji etnicznej, w której istniałyby prowincje zamieszkałe wyłącznie przez jedno plemię, a wszystkie inne byłyby wysiedlone. Wielu ludzi w Kenii uważa, że taki apartheid, bo to przecież byłby dokładnie taki sam system jak apartheid w RPA, mógłby sprawnie działać.

– Czy te tragedie, do których doszło w Kenii w 2007 i 2008 roku, niczego Kenijczyków nie nauczyły?

– My już kilkakrotnie popełnialiśmy narodowe samobójstwo i dalej jest tak, jak było. Liderzy etniczni traktowani są jak bogowie, ich żony i dzieci jak arystokracja. Lokalni przywódcy stają się watażkami, tuż przed wyborami po prostu organizują ludzi, którzy palą i zabijają innych. Wskazują, kto będzie plemiennym „wrogiem” na zewnątrz wspólnoty i kim są „zdrajcy” wewnątrz. Wyznaczają osoby do objęcia stanowisk, sprawowania władzy i utrzymywania porządku. Tutaj każdy szczep ma własną milicję, mafię czy jak to zwać. A to przecież politycy je organizują. Niedawno premier Raila Odinga powiedział, że winni zamieszek powyborczych z jego partii i plemienia Luo nie powinni być sądzeni, bo te akty przemocy były „dokonywane w obronie demokracji”. Odinga uważa, że skoro prezydent Kibaki sfałszował wybory, to wolno było palić ludzi z jego plemienia żywcem albo kroić ich maczetami. To jest niebywałe. Premier chce uniewinnienia zbrodniarzy, dlatego że te zbrodnie były „celowym, szlachetnym i planowanym działaniem w obronie demokracji”.

Pytam, jak wyjść z tego zapętlenia.

– To jest bardzo trudne, ponieważ nikomu nie zależy na zmianie mentalności Kenijczyków. Tutejsi politycy żerują na podziałach, ponieważ podzielonymi łatwiej rządzić. Organizacje pomocowe i pozarządowe też doskonale się czują w takiej sytuacji. Mogą się rozwijać, bo

najlepsze możliwości daje im utrzymywanie nas dzięki pieniądзом z Zachodu. To jest takie pasożytnicze uzależnienie. Jeśli Kenia zaczęłaby być normalnym państwem, pomoc byłaby niepotrzebna, to jest kraj niezwykle bogaty i prężny, i co by z sobą zrobiły te tysiące dobrych ludzi z różnych organizacji i agend ONZ, które zarabiają tutaj na emeryturę?

Zachód, zwłaszcza Brytyjczycy, jest w układzie z Kibakim i Odingą. 67% inwestycji w tym kraju pochodzi z Wielkiej Brytanii. Obalenie tego systemu musiałoby się wiązać z naruszeniem interesów brytyjskich. To zresztą sami Brytyjczycy wprowadzili w tym kraju politykę opartą na plemiennym szowinizmie, napuszczaniu jednych plemion na drugie.

– Znów winni Brytyjczycy? – pytam. – Czy nie ułatwia pan sobie argumentacji? Przecież przed ich przyjściem w Kenii plemiona też biły się o ziemię pod uprawę czy na pastwiska.

– Owszem, ale prawie nigdzie nie wiązało się to z pogardą dla innego plemienia. Kikuju, Masajowie czy Kamba mieli świadomość dzielących ich różnic, prowadzili wojny, kradli sobie nawzajem kobiety i krowy. Ale również regularnie handlowali z sobą, zawierali mieszane małżeństwa. Hodowcy Masajowie często otrzymywali pomoc od rolników Kikuju, na przykład gdy wskutek suszy padały im krowy i nie mieli co jeść. Anglicy wszystko to wyrócili do góry nogami. Podzielili Kenię na 24 rezerwy dla poszczególnych plemion, najbardziej żyzne ziemie przekazali białym osadnikom, którzy zresztą w wielu miejscach do dziś są największymi posiadaczami ziemskimi. Wprowadzili dowody tożsamości z uwzględnieniem pochodzenia etnicznego, by kontrolować przepływ czarnych w kraju. W czasach kolonialnych żaden dorosły mężczyzna nie miał prawa pracować i posiadać ziemi poza granicami rejonu wyznaczonego dla jego plemienia. Tak, to Brytyjczycy wprowadzili w Kenii podział ziemi na zasadach plemiennych. Bez nich nie narodziłaby się tutaj chora idea majimbo. Przed kolonizacją mieliśmy grupy etniczne, które negocjowały swoje wpływy i miejsce w hierarchii wśród innych grup. Po przyjściu Brytyjczyków zaczął się czas szowinizmu plemiennego, życia w przekonaniu, że jeśli ja nie zniszczę innych, to oni mnie zniszczą. I ten stan utrzymuje się w Kenii do dziś.

\*

Wracając z Nakury, zatrzymuję się w Limuru. I znowu słucham kobiet Kikuju, które uciekły ze swoich domów w innych częściach kraju. Opowieści są podobne, dwudziesta dramatyczna historia życia biednych ludzi staje się banalna: zabity mąż, spalony dom, dzieci z matką najpierw w obozie, teraz w małej izbie bez wygod zdane na łaskę organizacji charytatywnych. Pytam, kto mieszka w mieście.

– Sami Kikuju – odpowiada siostra Teresa Ndinika z Caritas Nairobi. Opiekuje się przesiedleńcami, dostarcza im kukurydzę, którą kobiety sprzedają potem na targu.

– A co z innymi plemionami?

– Kikuju wygnali z Limuru wszystkich Luo i Luhja i przejęli ich domy. Nikt spoza plemienia Kikuju nie zamieszka w tym mieście.

Siostra wyjaśnia, że setki tysięcy akrów ziemi w tej okolicy należy do obecnego ministra finansów Uhuru Kenyatty, syna pierwszego prezydenta kraju.

– Czy on pomaga tym ludziom?

– On nigdy w życiu nie spotkałby się z kimś takim jak oni. Buty by sobie pobrudził w tym błocie.

\*

W Nairobi mieszkam u przyjaciół w dzielnicy Runda tuż przy kompleksie ONZ. Gospodyni zwierza mi się, że wcześniej wynajmowała dom w tej samej dzielnicy od byłego posła, wiceburmistrza Nairobi. W trakcie kilkunastu lat urzędowania stał się właścicielem 180 działek w tej luksusowej dzielnicy. Nic dziwnego: prezydent, członkowie rządu, ich asystenci, sekretarze, posłowie należą do najlepiej zarabiających na świecie urzędników państwowych. Prezydent Kibaki pobiera miesięcznie 615 tysięcy dolarów, znacznie więcej niż prezydent USA czy brytyjski premier. Prezes Banku Centralnego Kenii zarabia 400 tysięcy dolarów – dwa razy tyle co szef amerykańskiej Rezerwy Federalnej. Posłowie potrafią zarobić kilkaset tysięcy dolarów rocznie, nie wliczając w to dodatków, bezzwrotnych pożyczek i hojnych ulg podatkowych. A pracują zwykle nie więcej niż 60–80 dni w roku. To wszystko w kraju, w którym dochód na głowę mieszkańca nie przekracza 1600 dolarów rocznie, a dzieci ze slumsów muszą płacić za naukę.

W gazetach burzliwa debata na temat rządowych samochodów. Minister finansów wydał wszystkim ministrom, wiceministrom i sekretarzom stanu nakaz zwrotu samochodów o pojemności silnika powyżej 1800 centymetrów sześciennych. Chodzi głównie o mercedesy. Aby zaoszczędzić, rząd postanowił zakupić dla wszystkich oficjeli volkswageny passaty o ponad milion szylingów tańsze od mercedesów. Plan powiódł się jednak połowicznie. Passaty co prawda kupiono, ale na 40 ministrów swoje mercedesy oddało tylko 8. 32 ministrów ma zatem i mercedesy, i passaty. I ani myślą oddać.

– W tym kraju ludzie będą bronić swojego statusu materialnego jak niepodległości, a wyznacznikiem tego statusu jest przede wszystkim samochód. Musi być duży i najlepiej niech to będzie mercedes – mówi mi znajomy dyplomata z Nairobi.

Najbardziej stratny jest chyba prezydent Kibaki, który w goście dobrej woli postanowił oddać 7 mercedesów kupionych dla jego rodziny bez jego wiedzy. Ciekawe, ile aut im zostawił.

\*

– Co to jest korupcja? – pytam Johna Githongo.

– Korupcja to jest nadużycie zaufania publicznego w celu osiągnięcia prywatnego zysku. Ale to nie jest tylko kwestia zwykłego okradania podatników. Najgorsza jest korupcja, która zżera duszę człowieka. To jest przekonanie, że nic nie osiągniesz w swoim zawodzie, nie otworzysz biznesu, nie załatwisz sprawy w urzędzie, jeśli nie wręczysz komuś łapówki. Wierzysz w to, przekazujesz tę wiarę dzieciom i godzisz się na funkcjonowanie w takim systemie, bo sądzisz, że innego być nie może. Taka jest ideologia korupcji, którą Kenijczycy przyjęli za własną.

Nie wszyscy, jak się okazuje. W 2002 roku, po pierwszym zwycięstwie wyborczym Mwai Kibakiego, John Githongo – wówczas znany dziennikarz i działacz kenijskiego oddziału Transparency International – został powołany przez nowego prezydenta na stanowisko antykorupcyjnego „cara” Kenii. Kibaki zapowiedział, że z jego wyborem skończył się czas złodziei u żłobu i nastaje prawdziwa demokracja, w której państwo służy obywatelom. „Korupcja przestanie być sposobem na życie w Kenii”, mówił prezydent w dniu objęcia władzy. Jaka miała być w tym procesie rola Johna Githongo, nie było do końca sprecyzowane.

„Ja miałem mówić, a on słuchał i podejmował decyzje”, mówi Githongo w książce brytyjskiej autorki Micheli Wrong *It's Our Turn to Eat (Teraz my jemy)*.

Na początku wszyscy uwierzyli. Gazety pisały o pasażerach autobusów *matatu*, którzy gremialnie buntowali się przeciwko wymuszaniu przez policję drogową łapówek od kierowców.

Jedną z komend na północy odwiedził tłum, żądając zwrotu płaconych przez lata łapówek. W urzędach, na lotniskach, w firmach pojawiały się ogłoszenia z napisami: „Strefa wolna od korupcji”. Kenia zmieniała się z dnia na dzień ze skorumpowanego bagna w nową afrykańską demokrację budzącą nadzieje całego świata. Nie było lepszego kandydata do tej roli. Kilkuprocentowy wzrost gospodarczy, z roku na rok więcej dzieci w szkołach, wspaniałe plaże nad Oceanem Indyjskim i safari dla turystów z Zachodu. Nairobi nie mogło, co prawda, poszczycić się budową nowych dróg ani tanich mieszkań dla biednych ze slumsów Kibery, ale stało się jedną z niewielu stolic na świecie, w których obowiązywał zakaz palenia w miejscach publicznych (kara – 6 miesięcy więzienia). Organizacje ekologiczne na całym świecie z uznaniem przyjęły również zakaz używania torebek plastikowych, a turystów przestały wreszcie razić stada krów i kóz na ulicach stolicy – rząd zakazał Masajom wypasu zwierząt w mieście. Z krajobrazu Nairobi zniknęły tysiące drewnianych i tekturowych kiosków rozstawionych wokół ulic, zastąpione zostały ładnymi trawnikami i stoiskami kwiaciarzy. Przemierzając niektóre dzielnice miasta, można było odnieść wrażenie, że najbardziej poszukiwanym towarem w stolicy są sadzonki kwiatów i innych roślin (przydrożne kwiaciarnie to powszechny widok w Nairobi), a slumsy, gdzie w błocie i własnych odchodach wegetowały miliony zwykłych Kenijczyków, stanowią wspomnienie dawnej epoki.

W tym czasie John Githongo badał państwowe dokumenty, śledził poczynania ministrów i urzędników publicznych, szukając dowodów na korupcję. Przez dwa lata po objęciu władzy przez Kibakiego miał nieograniczony dostęp do prezydenta, co oczywiście czyniło z niego wroga numer jeden całej klasy politycznej Kenii. Niechęć ministrów to jednak nic w porównaniu ze skutkami skandalu, który Githongo wywołał.

Badając dokumenty rządowych zamówień, Githongo wpadł na trop niezwykłego przestępstwa, w które zaangażowanych było wielu najwyższych urzędników państwowych. Przy ich udziale spółka o nazwie Anglo Leasing i inne powiązane z nią firmy otrzymywały kolejne kontrakty o wartości milionów dolarów każdy. Githongo odkrył system wyprowadzania z kraju miliardów dolarów za pomocą firmy, która – jak się wkrótce okazało – nigdy nie istniała. Co więcej, system ten funkcjonował bez żadnych zakłóceń zarówno w trakcie poprzedniej prezydentury Moiego, jak i następnej Kibakiego. Zmiana rządu w żaden sposób nie naruszyła interesu skorumpowanych elit tak z plemienia Kikuju, jak i Kalendzin.

Mechanizm przestępstwa był prosty i wymagał wyłącznie porozumienia dwóch stron: skorumpowanego urzędnika i firmy zgłaszającej udział w zamówieniu publicznym. Istotnym elementem był charakter zamówień – dotyczyły one wyłącznie resortów wojska, policji oraz służby bezpieczeństwa i objęte były tajemnicą państwową. Zamówienia w innych resortach podlegały, choćby częściowo, kontroli publicznej. Zabiegające o nie firmy wystawiały się na badania wścibskich dziennikarzy, którym mogło przyjść przecież do głowy sprawdzenie ich kompetencji i dorobku. Zamówienia związane z wojskiem czy wywiadem były natomiast zamknięte w ścisłej formule „bezpieczeństwa narodowego” i nikomu nie wolno było tego kwestionować. Co za tym idzie, ani sensowność zawieranych umów, ani nawet tożsamość firm nie podlegały publicznej weryfikacji – ostatecznie okazało się, że prawie połowa z nich nigdy nie istniała, a rząd wypisywał czeki dla podstawionych firm. Do dziś zresztą nie udało się stwierdzić, gdzie konkretnie lądowały pieniądze zagrabione kenijskim podatnikom. Wiadomo tyle, że Githongo zajął się grupą 18 zamówień na łączną sumę 751 milionów dolarów. To stanowiło 5% kenijskiego PKB z 2004 roku, ekwiwalent środków potrzebnych na zakup leków dla wszystkich Kenijczyków zarażonych wirusem HIV przez dziesięć lat.

Początkowo prezydent Kibaki wspierał swojego „antykorupcyjnego cara” w jego dochodzeniach, ale po kilku miesiącach John został sam. Wszystkie tropy prowadziły do wniosku, że Kibaki od samego początku co najmniej wiedział o całym przekręcie, a być może był nawet jego głównym udziałowcem.

W 2004 roku Githongo, osaczony ze wszystkich stron, w obawie o życie uciekł do Anglii, gdzie ukrywał się przez kilka miesięcy. Był śledzony przez kenijskich agentów, wreszcie opublikował kompromitujące dokumenty, wywołując reakcje dwojakiemu rodzaju. Na Zachodzie został uznany mężem opatrznociowym Kenii, we własnym kraju zdrajcą, przede wszystkim plemienia Kikuju (pochodzi z tej grupy etnicznej). Po trzech latach spędzonych za granicą i negocjacjach z przedstawicielami władzy zdecydował się jednak na powrót i próbę ponownej walki z korupcją w Kenii.

– A może nie ma z czym walczyć? – pytam Johna w jego biurze w Nairobi. – Może, jak uważa wielu ludzi na Zachodzie, korupcja jest po prostu naturalną cechą Afrykanów? Od wieków w afrykańskich społecznościach przyjęte jest, że gdy zdobywasz władzę, to dzielisz się nią z rodziną i bliskimi, a obcych do żłobu nie dopuszczasz. Bliscy oczekują od ciebie prezentów, nominacji, używania wpływów. A obce plemię tylko czeka na swoją kolej, i wtedy sytuacja odwraca się o 180 stopni. Skoro wszystkim taka sytuacja pasuje, to po co ją zmieniać?

– To jest argument rasistów, leni intelektualnych – mówi John. – Wykorzystywani zresztą zwykle przez ludzi z Zachodu, którzy bardzo chcą dzielić się z Afrykanami swoją pomocą. Mówię tutaj nie o Bogu ducha winnych wolontariuszach czy o ludziach dostarczających pomoc ofiarom kataklizmów albo suszy, tylko o rekinach przemysłu pomocowego, który od lat funkcjonuje w Afryce. Jak na przykład wytłumaczyć polskiemu podatnikowi, że część pieniędzy przeznaczonych dla biedaków z Afryki zostanie ukradziona? Wystarczy przywołać argument, że Afrykanie muszą kraść, bo inaczej nie potrafią żyć. Tylko że to jest nonsens. W tradycyjnych afrykańskich społecznościach przestępstwa wobec własności były czasem traktowane surowiej niż przestępstwa wobec ludzi. Kradzież krowy to była straszna zbrodnia. Nie, Afrykanie nie są z natury skorumpowani. Chcą tak samo jak inni ludzie sprawiedliwości, uczciwości i równych szans w życiu publicznym. Nikt z Kenijczyków nie popiera korupcji, poza politykami, którzy sami się jej dopuszczają.

John opowiada mi o chorej zależności od bankowych i pomocowych instytucji Zachodu, w jakiej Kenia żyje właściwie od uzyskania niepodległości. W latach 1970–2006 kraj ten otrzymał 17,6 miliarda dolarów pomocy rozwojowej, czyli mniej więcej 1,25 razy więcej niż powojenna Europa w ramach planu Marshalla od USA. Na początku lat 90. 45% budżetu Kenii finansował Zachód, natomiast za prezydentury Kibakiego poziom pomocy znacznie spadł dzięki lepszej ściągalności podatków i dziś wynosi około 5%.

Pomoc zmniejszyła się również, ponieważ po 1989 roku Zachód przestał bezkrytycznie utrzymywać afrykańskich dyktatorów wyłącznie dlatego, że nie byli radzieckimi marionetkami. Domagano się przejrzystości finansów, walki z korupcją, reform demokratycznych. Jednak ówczesny prezydent Kenii Daniel Arap Moi okazał się specjalistą od prowadzenia gier z instytucjami Zachodu. Przyciskany, luzował system polityczny, legalizując ostatecznie opozycję. Zapowiadał walkę z korupcją i inwestycje w służby publiczne, edukację, służbę zdrowia, przeciągał negocjacje, zmieniał decyzje. W książce *The Bottom Billion (Miliard na dnie)* brytyjski ekonomista Paul Collier wspomina o reformie systemu skupu kukurydzy. W ciągu 15 lat rząd kenijski pięciokrotnie obiecał jej przeprowadzenie w zamian za pomoc. I pięciokrotnie dostawał środki, a następnie pod kolejnym pretekstem wycofywał się z projektów.

Jak pisze Collier, najbardziej zadziwiające w tej historii jest to, że pieniądze non stop do Kenii płynęły. Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, organizacje pomocowe przekonywały świat – do dziś przekonują – że bez pomocy Kenia znalazłaby się w jeszcze gorszym położeniu. To spuścizna początkowego założenia tych instytucji, które brzmiało: „naszym celem jest walka z biedą, a nie z korupcją”.

– Co chwila słyszę, że zbyt rygorystyczna walka z korupcją niszczy walkę z biedą w Afryce. Że trzeba być powściągliwym wobec złodziei, bo „to przecież Afryka, Afrykanie tak mają” – mówi mi John Githongo. – Przede wszystkim Brytyjczycy, ale nie tylko oni, mają takie przekonanie, że każdy obecny rząd to jest wszystko, na co nas, Kenijczyków, stać. Nie wolno naruszać delikatnej równowagi politycznej, bo wszystko się posypie, będzie jeszcze gorzej, a sprzątać będzie musiał jak zwykle Zachód. Taka postawa to protekcjonizm w czystej formie, podszyty rasizmem. Systemowa korupcja jest najważniejszym powodem biedy na tym kontynencie.

Githongo mówi z przekąsem o hipokryzji Zachodu i własnej irytacji taką postawą.

– Każdy, nawet najbardziej skorumpowany rząd jest do przyjęcia, każde, nawet jawnie sfalszowane wybory „krokiem we właściwym kierunku”, bo takie właśnie są wymogi *realpolitikw* Afryce.

Jak to wygląda w praktyce, Kenijczycy mogli się przekonać również przy okazji afery Anglo Leasing. Jedynym krajem, który wstrzymał pomoc dla Kenii do czasu wyjaśnienia zarzutów, była Holandia. Brytyjski Departament Współpracy Rozwojowej pomoc zwiększył – zgodnie z zaleceniami Tony’ego Blaira. Trzy dni po ujawnieniu sprawy przez Johna Githongo Bank Światowy zaaprobował pożyczki dla Kenii w wysokości 145 milionów dolarów. Dwa lata później ten sam Bank Światowy otrzymał raport na temat projektów pomocowych w Kenii realizowanych w latach 2000–2005 na sumę 375 milionów dolarów. W raporcie wymienione są wszystkie możliwe formy nadużyć i przestępstw finansowych: od jawnego przekupstwa przez nadymanie kosztów aż do ostatecznego braku realizacji opłaconych projektów. Najbardziej wstrząsający przykład pokazywał, jak pieniądze przeznaczone na walkę z AIDS trafiały do urzędników państwowych. W tym czasie wiele dzieci ze szkół objętych projektem rezygnowało z nauki i aby utrzymać się przy życiu, uprawiało prostytucję. Końcowym rezultatem akcji pomocowej było zwiększenie liczby osób zarażonych wirusem HIV i wzrost zachorowań na AIDS.

Argumentem zwolenników kontynuacji pomocy rozwojowej jest przekonanie, że bez niej byłoby jeszcze gorzej. Nie powstawałyby nowe szkoły, szpitale i przychodnie. Nawet jeśli część pieniędzy jest rozkradana czy marnotrawiona, to przecież dzięki naszym datkom tysiące dzieci z biednych afrykańskich rodzin może się uczyć. Gdyby nie ofiarność charytatywnych organizacji kościelnych i świeckich, miliony biedaków zdanych byłoby wyłącznie na łaskę dyktatorów i skorumpowanych dygnitarzy, którzy rządzą ich krajami. Co roku Bank Światowy i ONZ publikują dane mające świadczyć o tym, że pomoc ratuje życie zwykłych ludzi – ile dzieci trafia do szkół, ilu chorych do szpitali. ONZ przekonuje nas, że gdyby zaledwie 0,7% budżetów krajów bogatych przeznaczyć na likwidację biedy na świecie, wszyscy żylibyśmy w dostatku.

To są argumenty, z którymi trudno dyskutować racjonalnie, bo pod płaszczykiem naukowych statystyk i symulacji komputerowych odnoszą się do naszych emocji. Każdy kontakt z biedą wystawia nasze emocje na próbę.

W Nairobi w dzielnicy Mathare odwiedzam szkołę podstawową św. Filipa wspomaganą przez polskie MSZ przy współpracy z fundacją Partners Polska. Mathare to jeden z najgorszych slumsów Afryki. Budy z blachy falistej osadzone w śmierdzącym błocie. Bez prądu, wody, wodociągów. Główna ulica jest ściekiem płynącym wśród wałów z błota, śmieci, ludzkich i zwierzęcych odchodów. Szkoła to segment slumsu złożony z kilku malutkich salek wypełnionych ławkami i pomocami szkolnymi z Polski. Uczy się tu prawie 180 dzieci. Niemal wszystkie pochodzą z rozbitych rodzin, wiele wychowywanych jest przez babcie, ciotki, dalekich krewnych. Ojcowie zwykle szybko odchodzą i robią następnym kobietom kolejne dzieci.

Dyrektor szkoły Wilson Otemo Andenyi jest dumny, bo w tym roku 17 dzieci z ostatniej klasy ma szansę zdać egzamin uprawniający do nauki w szkole średniej. Żadnego z tych dzieci nie stać oczywiście na chesne i internat, ale wiele dostanie stypendia z Polski. Pytam, dlaczego nie zapłaci za nie państwo kenijskie.

– W tym roku po raz pierwszy przyznali nam dotacje na podręczniki. Na więcej nie możemy liczyć – mówi Wilson.

Dzieci spędzają w szkole całe dni, bo tylko tu mogą dostać coś do jedzenia i tylko tu ktokolwiek o nie dba. W domach są bite, molestowane, poniżane. Tutaj czterolatki uczą się, jak zachować resztki ludzkiej godności.

Pozostawienie dzieci z Mathare na pastwę urzędników kenijskich wydaje się propozycją nieludzką. Edukacja jest jedną z tych dziedzin, w których zaniedbań nie da się nadrobić – do szkoły podstawowej można chodzić raz w życiu, gdy mija przeznaczony na to czas, dziecko zostaje pozbawione szansy na normalny rozwój. Zresztą nawet najwięksi przeciwnicy pomocy rozwojowej nie krytykują projektów edukacyjnych.

A jednak warto się zastanowić, jaki system w istocie wspieramy. Krytycy pomocy rozwojowej wskazują często, że miliony dolarów przeznaczone teoretycznie na potrzeby biedoty lądują na kontach w szwajcarskich bankach. Inni ubolewają, że pomoc zabija indywidualną inicjatywę i przedsiębiorczość, deformuje rynek, tworzy pokolenia ludzi uzależnionych od darowizn innych.

To wszystko prawda, ale jest jeszcze jeden skutek uboczny naszego altruizmu. Międzynarodowa pomoc rozwojowa pozwala skorumpowanym rządów zrzucić odpowiedzialność za zapewnienie społeczeństwu dostępu do podstawowych, gwarantowanych prawem usług, takich jak edukacja czy służba zdrowia, na podatników z krajów bogatych wspierających organizacje pomocowe. Pomoc rozwojowa zapewnia dyktatorskim reżimom bezkarność wobec elektoratu i właśnie to jest jej największą słabością. Zwykle to amerykański, brytyjski, włoski czy polski podatnik w istocie utrzymuje system służb publicznych w danym kraju, podczas gdy rząd ma wolne ręce i wolne środki, które znikają z budżetu bez żadnych konsekwencji ze strony wyborcy.

To na takie negatywne skutki pomocy zwracają coraz częściej uwagę sami Afrykanie, tacy jak John Githongo czy ekonomiści Kenijczyk James Shikwati, Ghańczyk George Ayittey bądź Zambijka Dambisa Moyo. Wskazują oni, że w świecie, w którym pomoc traktowana jest przez afrykańskie rządy jako stały element budżetu, odpowiedzialność za zapewnienie ludziom opieki społecznej i zdrowotnej lub edukacji spada na ludzi żyjących w innych krajach i na innych kontynentach. Realizowana w dobrej wierze pomoc rozwojowa staje się środkiem utrzymywania reżimów, które bez niej musiałyby się zmierzyć z krytyką wyborców. Zapewne już wkrótce władze lokalne w Mathare albo i sam rząd Kenii uznają wyniki szkoły św. Filipa za własny

sukces, przykład postępu kenijskich władz w rozwijaniu dostępu do edukacji dla najbardziej potrzebujących. Kolejne nadużycie i rozwiewają się nasze altruistyczne iluzje na temat Afryki.

Szkoła podstawowa w Mathare, jednym z najgorszych slumsów Afryki, to segment złożony z kilku małych salek wypełnionych ławkami i pomocami szkolnymi. Uczy się tu prawie 180 dzieci



W drodze do szkoły



Lekcja angielskiego

\*

– Jak rozwikłać ten spinający Kenię węzeł korupcji? – pytam Johna Githongo. – Pan sam próbował i nie udało się. Jak zmienić sytuację w kraju, w którym politycy idą do władzy, by kraść?

– Każdy może próbować na miarę własnych sił. Wojna jest długa i składa się z wielu bitew. Ja swoją dużą bitwę przegrałem, ale wojna się nie skończyła. Nadzieją napawa mnie fakt, że korupcja jest jak kanibalizm. Zżera własne dzieci. Kraje dysponujące dziś największymi zasobami naturalnymi na świecie należą do najbiedniejszych. To oznacza, że system oparty na



korupcji na dłuższą metę jest nie do utrzymania, zapadnie się pod własnym ciężarem. Niedawno spotkałem starego człowieka w obozie przesiedleńców w Rift Valley. Miał 85 lat, sąsiedzi spalili mu dom, typowa historia z ostatnich lat. Spytałem go: Co się stało z Kenią? I on powiedział w moim języku, kikuju: „Staliśmy się skorumpowani, oszukujemy się nawzajem, okradamy się. I dlatego cierpimy”. Myślę, że politycy w Kenii podpisali coś w rodzaju paktu z diabłem, podobnie jak Faust. Ta umowa zakładała, że będziemy kradli, a w zamian diabeł da nam szczęście, „piękna chwila” będzie trwać wiecznie. Tylko że w grudniu 2007 roku Mefistofeles przyszedł odebrać swoją należność. Zapukał w okno i powiedział: „Jestem, przecież się umówiliśmy. Mieliście być szczęśliwi i jesteście. Macie dużo pieniędzy, jedzenia, dałem wam dużo słoni”. Niektórzy ludzie w tym kraju naprawdę myśleli, że „piękna chwila” będzie trwała wiecznie, ale tak nie jest i nigdy nie będzie. Dziś słonie umierają przy wyschniętych potokach, a ludzie, którzy od lat byli sąsiadami, palą sobie domy i podrzynają gardła. I ten starzec z Rift Valley mówi mi: „Nad nami wisi klątwa”. Może rzeczywiście nad Kenią wisi jakieś przekleństwo. W Fauście w ostatniej chwili Bóg interweniuje i zabiera Fausta do nieba. Nas nikt do nieba nie zabierze. Sami musimy się przebudzić.

## Południowy Sudan: wczepieni w Biblię

Drzwi samolotu się otwierają i wchodzę do pieca. 40 stopni ciepła, ponad 80% wilgotności. Pot spływa po plecach, jeszcze zanim docieramy do terminalu, słońce parzy w palce u nóg i w oczy. Po godzinie w takim upale mózg się topi, łysym zaczynają rosnać włosy, gadatliwym język staje kołkiem w gardle, szorstki i suchy jak papier ścierny.

Juba International Airport to barak wielkości starego Okęcia podzielony na halę odlotów i przylotów. Śmierdzi w nim jak kiedyś na dworcu PKS Warszawa-Marymont, tyle że ludzie milsi. Na lotnisku panuje taki chaos, że swobodnie można z niego wyjść, unikając kontroli paszportowej, ale raczej nie należy tego robić, bo bez wbitych przy wjeździe pieczętek nie da się wylecieć z kraju. Podbijam paszport, oddaję bagaż do kontroli osobistej – jakiś facet w mundurze otwiera moją torbę, udaje, że ją przegląda, stawia na niej krzyżyk kredą i oddaje ze znudzoną miną. Rejestruję swój przyjazd, co w praktyce oznacza, że wypłacam urzędnikowi na lotnisku kolejne 40 dolarów, oprócz 50, które zapłaciłem wcześniej za wizę. Potem jeszcze przejście przez niedziałające bramki z wykrywaczami metalu i jestem na ulicach Dżuby.

Jeszcze kilka lat temu to była duża wieś – cofnięta w czasie, zaplątana w historię Sudanu, nieszczęśliwa jak los milionów ludzi żyjących na południu kraju. Dziś Dżuba jest stolicą nieistniejącego państwa, politycznym centrum regionu, magnesem ściągającym złodziei i biznesmenów, pracowników ONZ i organizacji pozarządowych, chrześcijańskich misjonarzy i politycznych negocjatorów.

Od 2005 roku, gdy skończyła się wojna domowa między Północą a Południem Sudanu, toczona – z dziesięcioletnią przerwą – praktycznie od uzyskania przez Sudan niepodległości w 1956 roku, Dżuba kwitnie. Jeśli można tak powiedzieć o mieście, w którym większość dróg nie ma asfaltu, a większość ludzi stałej pracy.

W centrum miasta sklepy wystawiają swoje tandetne chińskie neony, a odtwarzacze CD i telewizory – relikty przemysłu elektronicznego z lat 80. – ryczą głośno. Wszędzie ktoś coś kupuje albo sprzedaje, gdzieś idzie albo jedzie, targuje się albo liczy zarobione pieniądze. Smród pali oczy, słońce wdziera się pod skórę, gardło dławi czerwony pył unoszący się spod kół *matatu*, czyli zdezelowanych busów przewożących miejscowych. Ubrana w biały mundur policjantka na rondzie gwizdże nie wiadomo na kogo i nie wiadomo po co. Żołnierze w za dużych mundurach snują się po ulicach jak maruderzy pokonanej armii, niektórzy z AK-47 na plecach. Mam do nich nie podchodzić, nie pytać o drogę, nie żartować – nie znają się na żartach, niektórzy bywają nerwowi.

Próbuję zebrać myśli, ale się nie dają. Żyły prężą się na skroniach, ręce swędzą, zastanawiam się, czy już jestem chory na malarię, a może to *kala-azar*, dużo się o tym naczytałem. Czarna febra, gorączka dum-dum, fachowo zwana leiszmaniozą, występuje właśnie w Sudanie: objawy podobne do AIDS, pasożyty wprowadzane są do krwi przez pewien rodzaj muszek, rozwijają się

energicznie i przy okazji wyzerają ciało. Po jakimś czasie umiera śledziona, na twarzy i szyi robią się wrzody, potem nieschodzące blizny, w niektórych wypadkach twarz się deformuje. Nie ma na to szczepionki. Stosowanym sposobem leczenia jest wstrzyknięcie choremu arseniku. Niektórzy przeżywają.

Mieszkam u włoskich misjonarzy kombonianów, gdzie spotykam ojca Valentino. Przeżył *kala-azar* kilkanaście lat temu. Z trudem, bo z trudem, ale przetrwał. Ojciec Valentino to w ogóle ciekawa postać. 88 lat, w Sudanie od 1949 roku.

– To znaczy, że był tu ojciec jeszcze za czasów kolonialnych? – pytam.

– O tak! – ożywia się. – Wtedy był tutaj porządek jak nigdy potem. *Order!* – mówi ze śmiesznym włoskim akcentem, rolując „r”, żywo gestykułuje. – Ludzie mieli dla siebie szacunek, dbali jeden o drugiego! – dodaje z emfazą.

Ojciec Valentino opowiada mi o swoim życiu w Sudanie: wojny, ucieczki spod kul do Czadu i Republiki Środkowoafrykańskiej, przyjaźnie z miejscowymi. Mówi po angielsku jak Roberto Benigni w *Poza prawem* Jarmuscha. I podobnie się zachowuje – jakby spadł na tę ziemię z jakiejś innej, lepszej planety.

Dziś ojciec Valentino słabo się czuje.

– Może to malaria? – pytam z zaciekawieniem.

– Ja tylko raz w życiu chorowałem na malarię, 35 lat temu – mówi.

To wyjątkowy okaz zdrowia. W jego wieku ludzie zwykle mają za sobą kilkadziesiąt zachorowań na malarię. W Afryce w ogóle rzadko kto dożywa jego wieku.

– Widocznie komary mojej krwi nie lubią – wyjaśnia z uśmiechem.

Codziennie przy posiłkach słucham ożywionych dyskusji kombonianów na temat meandrów polityki Sudanu Południowego, korupcji i włoskiej ligi piłkarskiej. Ojciec Valentino jest kibicem Interu, ojciec Alberto, mimo że pochodzi z Bresci, kibicuje Fiorentinie. Portugalczyk ojciec Joe zamyka się w pokoju telewizyjnym, gdy gra Porto. Meksykanin brat Jorge trenuje miejscową drużynę. Codziennie po obiedzie siada pod drzewem mango i studiuje podręcznik *Coaching in Football*.

Pytam o poziom miejscowej ligi i jego sukcesy.

– Na razie udało mi się ich przekonać, by nie wybijali piłki na ośle, tylko próbowali grać podaniami. Ale słabo to idzie. – Potem brat Jorge daje mi wykład na temat upadku futbolu w Europie. – W ćwierćfinałach mistrzostw świata do lat 17 są tylko trzy drużyny z Europy, to jest znak czasów – mówi.

Pytam ojca Alberto, dlaczego żyje w południowym Sudanie.

– Bo tu mnie potrzebują, bo ja potrzebuję tych ludzi. A co takiego tracę w Europie? Za każdym razem gdy tam jadę, marzę o powrocie do Dżuby. Ty mi powiedz, co takiego jest w Europie, dla czego miałbym do niej wrócić?

Zastanawiam się przez kolejne kilka dni, ale nie wracam do tej rozmowy.

\*

Szansa dla południowego Sudanu pojawiała się w styczniu 2005 roku. Od tego czasu zaczęło obowiązywać porozumienie pokojowe (CPA), które rząd w Chartumie prezydenta Umara Al-Baszira negocjował przez dwa lata z Ludową Armią na rzecz Wyzwolenia Sudanu (SPLA). W ten sposób skończyła się trwająca od 1983 roku ostatnia odsłona wojny między Północą a Południem kraju. U źródeł konfliktu stała tradycyjna wrogość między dwoma społecznościami,

sięgająca czasów, gdy muzułmanie najeżdżali czarne plemiona na południu w poszukiwaniu niewolników. Do tego dochodziła rywalizacja w poszczególnych grupach na Północy i Południu. Gdy w 1958 roku władzę w Chartumie objął generał Ibrahim Abboud, islam stał się religią narodową, a arabski językiem narodowym. Abboud uważał chrześcijaństwo za religię obcą, a tradycyjne wyznania południowców za przejaw ich barbarzyństwa. Południe wypełniły szkoły islamskie, cały system władzy został przejęty przez ludzi z Północy. Chrześcijańscy misjonarze stali się obiektem prześladowań. Celem Abbouda, a po jego ustąpieniu w 1964 roku kolejnych przywódców z Północy, było wchłonięcie Południa i uczynienie z całego Sudanu republiki islamskiej.

Przewrót wojskowy w 1969 roku miał położyć kres polityce opartej na dominacji jednej religii i przez moment wydawało się, że tak się stanie. Nowy prezydent Jaafar Nimeiri szukał porozumienia z Południem i w 1973 roku je osiągnął – Sudan stał się państwem laickim, w którym nie tylko chrześcijanie i żydzi, ale również wyznawcy tradycyjnych religii afrykańskich mieli zapewnioną wolność wyznania.

Teoretycznie porozumienie sudańskie było przykładem wyjątkowej jak na Afrykę umowy społecznej, wynegocjowanej bez rozlewu krwi. Gospodarcza i polityczna dyskryminacja Południa trwała jednak nadal. Pod koniec lat 80. Nimeiri wrócił do idei państwa islamskiego i toczył otwartą wojnę z powołanym na Południu Ludowym Ruchem na rzecz Wyzwolenia Sudanu (SPLM) Johna Garanga (SPLM i SPLA to w istocie jedna organizacja). Do tego głównego konfliktu dochodziły spory wewnętrzne między mieszkańcami Południa, zwłaszcza między zwolennikami Garanga z plemienia Dinka (lider SPLM wzywał do zachowania spójności terytorialnej Sudanu) a radykalnymi Nuerami pod wodzą Rieka Machara, żądającymi oderwania Południa od Chartumu.

W 1989 roku pojawiła się szansa na porozumienie pokojowe – kraj dotknięty był klęską głodu, a armia rządowa nie potrafiła sobie poradzić z SPLM. Jednak perspektywy pokoju zniszczył kolejny zamach przeprowadzony przez generała Umara Al-Baszira. Po objęciu władzy zadeklarował on jednoznacznie: „Chartum nigdy nie będzie stolicą laickiego państwa”.

Lata 90. to czas islamskiego terroru, rządów państwa policyjnego, dyskryminacji chrześcijan, czarnych i nie-Arabów. Chartum stał się mekką islamskich terrorystów, przebywał tu między innymi Osama bin Laden. Pod osłoną policji i wojska Al-Baszira szkolono islamistów z Algierii, Libii, Tunezji, Egiptu, swoje obozy miał tu palestyński Hamas.

Na Południu trwała regularna eksterminacja czarnej ludności. Samoloty rządowe bombardowały wsie, żołnierze dokonywali masakr, bezkarnie kradli, zabijali, gwałcili. Tragedię miejscowej ludności pogłębiały spory między Dinka i Nuerami oraz zaangażowanie państw ościennych i Zachodu: Uganda wspierała partyzantów z SPLM, Al-Baszir zbroił w odwecie rebeliancką Armię Oporu Pana Josepha Kony’ego grasującą na północy Ugandy. W reakcji na to Amerykanie wspomagali rząd Yoweriego Museveniego w Kampali.

Ostatecznie na Południu, gdzie toczyły się walki, zginęły ponad 2 miliony ludzi, 4 miliony straciły dach nad głową. To była najdłuższa wojna Afryki, obok wojny kongijskiej – najkrwawsza na świecie po II wojnie światowej. Porozumienie pokojowe sfinalizowane w 2004 roku zawierało mnóstwo wad, ale miało jedną zaletę: dawało chwilę wytchnienia ludziom żyjącym w obliczu śmierci przez dwa pokolenia.

Mieszkańcom Zachodu zbrodnie Umara Al-Baszira kojarzą się wyłącznie z Darfurem, ale to na Południu dokonał on największego spustoszenia i to jeszcze zanim wybuchła wojna w Darfurze nagłośniona później przez zachodnie media i gwiazdy Hollywood. Darfur był w istocie

konsekwencją ustępstw Chartumu wobec Południa. Skoro południowcom udało się wyrwać choć część władzy Al-Baszirowi i jego ludziom, to i Darfurczycy liczyli, że zdołają skłonić go do ustępstw.

– Darfur to była i ciągle jest ulubiona wojna Zachodu – tłumaczy ojciec Joe pracujący w Dżubie jako dziennikarz radiowy. – DRK była zbyt skomplikowana, Somalia również, nikt do dziś nie rozumie, kto, z kim i o co tam walczy. Darfur to było co innego. Nikt tam specjalnie nie wnikał, o co chodziło, do dziś część ludzi myśli, że to była wojna religijna, a nie walka o władzę między różnymi odłamami muzułmanów, spór o dostęp do wody, pastwisk, pól uprawnych.

Dla nas był zły rząd z Chartumu nasyłający na ludzi helikoptery i milicję Janjaweed z jednej strony, z drugiej – biedne ofiary. Tymczasem to, co działo się w Darfurze, było skomplikowaną walką o władzę, w której bardzo szybko okazało się, że nie tylko siły rządowe, ale wszystkie strony dopuszczają się aktów barbarzyństwa. Do tego zamieszania włączyły się jeszcze gwiazdy Hollywood. Krytycy Al-Baszira słusznie obwiniali go o zbrodnie wojenne, jednak w szumie medialnym ginął kontekst polityczny i istota gry interesów towarzyszących wojnie. Żeby było jeszcze mniej logicznie, w 2006 roku, gdy rozpoczęła się główna kampania propagandowa na Zachodzie, wojna w Darfurze już się wypalała. Spowodowała śmierć 300 tysięcy ludzi, wypędzenie z domów miliona. I niektórym do dziś wojna w Darfurze myli się z wojną Północy i Południa.

W ramach porozumienia z 2005 roku południowcy otrzymali prawo do rozpisania referendum, w którym wypowiedzą się na temat ewentualnej secesji. Referendum ma zostać zorganizowane do końca 2011 roku. Do tego czasu Południe powinno zbudować instytucje demokratycznego państwa, a wspólnota międzynarodowa wesprzeć ten proces i wpłynąć na Chartum, by umożliwił powstanie nowego państwa – jeśli ludzie na Południu tego sobie zażyczą. Wcześniej, w kwietniu 2010 roku, miały się odbyć wybory w celu wyłonienia władz w całym Sudanie.

Jednak późną jesienią 2009 roku, gdy odwiedzam Sudan, pokój wyglądał na teorię zapisaną na papierze, a terminy zawarte w porozumieniu wydawały się coraz bardziej iluzoryczne. Chartum nigdy nie wprowadził w życie zasad zapisanych w CPA, takich jak na przykład proporcjonalny rozdział władzy w ramach obecnie działającego rządu jedności. Nie zamierzał również sprawiedliwie dzielić się z Południem bogactwami naturalnymi, zwłaszcza ropą. Spis ludności – zdaniem polityków z Dżuby – został jawnie sfalszowany, zaniżono w nim liczbę mieszkańców Południa. Chartum – twierdzą południowcy – podsycą również napięcia etniczne na Południu, gdzie ciągle dochodzi do starć między dwoma głównymi plemionami Sudanu, Dinka i Nuerami, oraz wspiera Armię Oporu Pana, militarno-religijną sektę szaleńców kierowaną przez Ugandyjczyka Josepha Kony'ego, działającą na pograniczu Ugandy, Sudanu, DRK i Republiki Środkowoafrykańskiej. Im mniej stabilności na południu Sudanu, tym większa szansa na wykolejenie całego procesu pokojowego. Porozumienie CPA jest ważne tylko do końca 2011 roku – jeśli do tego czasu Dżuba nie zorganizuje referendum i nie opanuje sytuacji w nowym państwie, to wrócimy do punktu wyjścia. A punktem wyjścia była wojna.

\*

**W Dżubie** prawie każdy murowany budynek, jeśli nie jest bankiem, kościołem albo hotelem, należy do jakiejś organizacji: rządowej, pozarządowej albo ONZ. Tuż obok dworca autobusowego mieści się siedziba władz lokalnych, gdzie spotykam szefa krajowej komisji wyborczej Cesara Arcangelo.

Ostatnie wybory w Sudanie odbyły się w 1986 roku. Wyrosło całe pokolenie, które nigdy nie widziało kartki do głosowania. Co więcej, w Sudanie Południowym tylko 15% mężczyzn i 8% kobiet umie pisać i czytać. I ci ludzie mieli głosować na kilka list jednocześnie: władz ogólnokrajowych, lokalnych południowych, gubernatorów prowincji, parlamentów stanowych...

– Przecież ludzie nie mają pojęcia, na co i na kogo głosują. Po co wam wybory, które z definicji nie mogą się udać? – pytam.

– Wręcz przeciwnie – mówi Cesar Arcangelo. – One muszą się udać, bo od nich zależy przyszłość tego kraju. CPA działa, a najlepszym tego obrazem jest Dżuba. Przed 2005 rokiem to było arabskie miasto garnizonowe. Teraz otwierane są nowe sklepy, firmy, hotele. Coś nam się udało.

– Ale przecież to wasze nowe państwo może upaść, jeszcze zanim powstanie. Czy wybory nie odbywają się zbyt szybko?

– Niech pan spojrzy, jak wyglądała Europa 50–60 lat temu. W niektórych krajach był jeszcze większy chaos niż u nas. Jednak ludzie zdecydowali się uczynić krok naprzód. Odeszliście od szowinizmu narodowego. Odeszliście od rozumienia świata w sposób plemienny. I nam też to się uda.

Nie przekonuje mnie to porównanie. Pytam Cesara Arcangelo, dlaczego właściwie Południe chce oderwania od Chartumu.

– To pytanie powinien pan postawić w Chartumie, a nie w Dżubie. To nie ode mnie ani mojego rządu zależy, czy unia Północy z Południem będzie atrakcyjna dla mieszkańców całego Sudanu. To zależy od ludzi w Chartumie. Oni rządzą tym krajem od tak wielu lat i nam te rządy przyniosły wyłącznie nędzę, upokorzenie, cierpienie. Wie pan, że czarnemu obywatelowi Sudanu nie wolno studiować na wielu wydziałach uniwersytetu w Chartumie? Chrześcijanie nie mają prawa wybudować w stolicy kościoła! Jesteśmy traktowani jak podludzie, wykorzystywani i dyskryminowani na każdym polu.

Pytam, jak ocenia wprowadzanie w życie porozumienia pokojowego.

– Podczas rozmów pokojowych uzgodniono, że w rządzie Sudanu Północ i Południe będą miały proporcjonalne reprezentacje – mówi Arcangelo. – Jest nas prawie 10 milionów, mniej więcej jedna trzecia mieszkańców całego Sudanu. Umówiliśmy się tak: jeśli Narodowa Partia Kongresowa (NCP) z Północy bierze jedno ministerstwo, to SPLA następne. Jedno dla nas, drugie dla nich, tak miało być. Gdy przyszło do utworzenia rządu jedności narodowej, pierwszym resortem do wzięcia było ministerstwo finansów. Wzięła je Północ. Następnym – ministerstwo ds. ropy naftowej. Według umowy powinno je obsadzić Południe. Jednak Chartum odmówił honorowania umowy. Prawie cała ropa w Sudanie pochodzi z Południa, a do tej pory nie zbudowano u nas rafinerii. Mamy tego surowca tyle, ile Arabia Saudyjska, a sprowadzamy paliwo z Nairobi, bo nie możemy przetwarzać własnej ropy, a Chartum nas oszukuje i ogranicza dostawy. Tymczasem nasza ropa jest sprzedawana Chinom w Port Sudan. Czy ktokolwiek w rozwiniętym świecie zaakceptowałby takie rozwiązanie? Czy gdyby był pan mieszkańcem południa Sudanu, to zaakceptowałby pan taką unię?

W radiu słucham informacji o wstrzymaniu rejestracji wyborców w jednej z prowincji Południa. Miejscowe partie kłócą się o to, kto ma kontrolować proces rejestrowania wyborców. Dochodzą informacje o próbach wyłudzenia pieniędzy od ludzi przez komisje rejestracyjne.

– Jeśli dalej będziemy się upierać, by przeprowadzić te wybory, to przyniosą nam one więcej szkody niż pożytku – mówi mi biskup diecezji Rumbek Włoch Caesar Mazzolari. – Po prostu wybuchnie wojna, której skutków nikt dziś nie jest w stanie przewidzieć. To będzie katastrofa

taka jak w Zairze, kryzys humanitarny o skutkach dla całej wschodniej Afryki. Nawet jeśli dojdzie do wyborów i referendum, bez względu na to, jakie zabezpieczenia wprowadzi społeczność międzynarodowa, Chartum przeprowadzi je tak, by na tym nie stracić. Chartum nie godzi się na jakąkolwiek ingerencję z zewnątrz, a najlepszym tego przykładem jest postawa prezydenta Al-Baszira po wydaniu na niego nakazu aresztowania przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze za zbrodnie popełnione w Darfurze.

Prezydent Sudanu ani myśli poddać się władzy Trybunału i uznaje nakaz aresztowania za nielegalny. Na wszelki wypadek jednak za granicę wyjeżdża rzadziej, niżby chciał. Głównie do zaprzyjaźnionych państw muzułmańskich. Pytam biskupa Mazzolariego, w jakim stopniu konflikt między Chartumem a Południem jest wojną religijną.

– Bardzo trudno to określić. Moim zdaniem od uzyskania niepodległości w 1956 do 1964 roku Chartum chciał zislamizować cały Sudan i znacjonalizować Kościół katolicki na Południu. Chcieli, byśmy wyrzekli się zwierzchnictwa Rzymu, w zamian za co obiecywali nam domy, żony, bogactwa i nowy sposób sprawowania posługi wśród ludzi. Oczywiście my się na to nie godziliśmy i dlatego katolicy w tym kraju byli prześladowani. Niektórzy lokalni księża ginęli za wiarę, zwłaszcza ci, którzy potrafili przeciwstawić się islamowi i skutecznie ewangelizowali miejscową ludność. W trakcie wojny domowej trwającej od 1983 roku, owszem, dochodziło do przejawów nienawiści i przemocy na tle religijnym wobec chrześcijan, ale nie można powiedzieć, że to była wojna religijna. Główną przyczyną wojny w Sudanie jest chciwość, żądza posiadania surowców tego kraju, czyli głównie ropy naftowej, ale także uranu, złota, bogactwa lasów i ziemi uprawnej na Południu. Celem Chartumu zawsze było przywłaszczenie sobie tego wszystkiego. Aby to uzyskać, politycy z Północy nigdy się nie wahali i w przyszłości też się nie zawahają przed eksterminacją ludności Południa. Chartum nigdy nie zgodzi się na pełną niezależność Południa, bo to oznaczałoby stratę prawie całego bogactwa surowcowego Sudanu – mówi biskup Mazzolari.

Presja Chartumu to jedno, ale nie tylko ona powoduje nieszczęścia na Południu. Od 2005 roku rząd Sudanu Południowego otrzymał ponad 7 miliardów dolarów wpływów z ropy naftowej. Przeciętny Sudańczyk nie ma pojęcia, gdzie te pieniądze się podziały.

– W samej Dżubie nie ma dobrych dróg, a gdy wyjedziesz poza miasto, nie ma żadnych – mówi mi Kuol, kierowca *matatu*. – Tutaj wszyscy kradną i nikt nie zajmuje się zwykłymi ludźmi.

– Pieniądze, które dostajemy, to stanowczo za mało – broni swojej partii Cesar Arcangelo. – Nie starcza na nic. Mimo to setki tysięcy dzieci w całym kraju chodzą do nowych szkół, powstają nowe szpitale, zbudowaliśmy 5 tysięcy kilometrów nowych dróg. I wydaliśmy wojnę korupcji wśród urzędników państwowych.

Na zewnątrz trwa wojna z korupcją, ale wewnątrz SPLA spierają się bez przerwy różne frakcje, i to również stanowi ogromne zagrożenie dla przyszłości kraju. Teoretycznie rząd Sudanu Południowego miał reprezentować wszystkie duże grupy etniczne kraju, w praktyce Dinka zdobyli w nim przewagę, co prowadzi do ciągłych konfliktów – nie tylko politycznych. W kraju regularnie dochodzi do aktów przemocy na tle etnicznym podsycanych przez liderów politycznych. Niektórzy z nich dysponują własnymi milicjami i małymi armiami.

– Kto poza rządem w Chartumie zyskuje na niepokojach w Sudanie? – pytam biskupa Mazzolariego.

– Myślę, że korzystają dwie grupy ludzi – mówi biskup. – Pierwsza to politycy z Chartumu. Druga grupa składa się zarówno z ludzi z Północy, jak i z Południa. To są elity finansowe i

biznesowe. Południe dostaje pieniądze z ropy, a dodatkowo cały proces pokojowy został wsparty przez wspólnotę międzynarodową sumą 5 miliardów dolarów. Zwykli ludzie nie widzieli tych pieniędzy na oczy, zostały one przejęte przez bogaczy z Północy i Południa, którzy z dnia na dzień stają się jeszcze bogatsi. Im nie zależy na tym, żeby ten czas bezhołowania się skończył.

– Czy zatem nie ma dla Sudanu dobrego rozwiązania?

– Niestety, na świecie jest bardzo niewiele krajów, które wspierają secesję Sudanu Południowego, głównie dotyczy to USA i Wielkiej Brytanii. Chiny i Rosja są jej całkowicie przeciwne. To przecież Chiny umożliwiły Chartumowi wykorzystanie złóż ropy znajdujących się na Południu. To Chińczycy wybudowali ropociąg z Południa do rafinerii w Chartumie i do Port Sudan. Jeśli doszłoby do oderwania Południa, straciliby to wszystko, bo przecież rząd w Dżubie nie wejdzie z nimi w podobne układy. Rosja natomiast od lat dostarcza broń Al-Baszirowi. Moskwa ponosi taką samą odpowiedzialność za to, co dzieje się w Darfurze i na Południu, jak Chiny.

– A co z drugą stroną? Stany Zjednoczone? Wielka Brytania?

– USA nie kontrolują surowców w Afryce. Są bezsilne, co jakiś czas ogłaszają ładnie brzmiące deklaracje, nauczają tych biednych ludzi, jak powinni wprowadzać u siebie demokrację, ale to wszystko próżne gadanie. A Wielka Brytania, niegdyś mocarstwo kolonialne, które przyczyniało się do rozwoju materialnego Sudanu, zostawiła ten kraj i dziś nie jest nim zainteresowana. Ostatecznie cała Afryka znajdzie się w rękach Chin i Rosji. To tylko kwestia czasu.

\*

Po tonących w kurzu ulicach Dżuby jeździ kilka rodzajów pojazdów. Pierwszy to *matatu*. Nieco bardziej zamożni decydują się na podwózkę na tylnym siedzeniu motocykla. Ale najwięcej jest ogromnych japońskich samochodów z napędem na cztery koła. Lśnią w słońcu myte non stop, a podróż w ich klimatyzowanych wnętrzach nawet po tych drogach nie musi być męczarnią.

Niektóre wozy, opatrzone rejestracją GOSS (*Government of Southern Sudan*), należą do pracowników rządu, swoje wypasione bryki mają też pracownicy ONZ i wielkich organizacji pozarządowych. Misjonarze i pracownicy mniejszych organizacji pozarządowych jeżdżą zwykle rozklekotanymi wrakami, wciąż reperowanymi.

W Dżubie czasem trudno znaleźć dom mieszkalny, bo prawie wszystkie budynki należą do jakichś instytucji – rządowych albo pomocowych. Zwykli ludzie wynieśli się na przedmieścia, gdzie żyją w krytych słomą chatkach, przed którymi wypasają krowy i kozy.

Joe Vieira, portugalski kombonianin mieszkający w Dżubie od trzech lat, zajmuje się wydawaniem dzienników dla radia katolickiego obejmującego osiem lokalnych rozgłośni w kraju. Pytam go, jak ocenia działalność ONZ i organizacji pomocowych w Sudanie Południowym.

– Tutaj przyjeżdżają dwa rodzaje ludzi – mówi Joe. – Pierwszy to młodzi, otwarci, pełni zapału, gotowi pomagać innym. Osoby zaraz po studiach, bez doświadczenia, ale pełne chęci do pracy. Druga grupa to wyjadacze przemysłu pomocowego, najczęściej w wieku 50–60 lat, którzy mają mnóstwo doświadczenia, bo całe zawodowe życie spędzają na misjach, od kryzysu do kryzysu. Z Afganistanu jadą do Sudanu, z DRK na Sri Lankę, z Ukrainy do Nigerii. Są tu wyłącznie dla pieniędzy. Zarabiają na emerytury. Przesiadują całymi dniami w biurach, piszą



opasłe raporty, gromadzą statystyki. Nie kontaktują się z miejscowymi, nie znają ich języka, nie jedzą ich jedzenia, nie interesują się ich tradycjami. Mają własne grono, w którym pracują, bawią się, odpoczywają. Gdy usłyszą strzały w okolicy, to jako pierwsi uciekają gdzie pieprz rośnie.

– Ale może dzięki nim Sudańczykom żyje się trochę lepiej? – pytam.

– Owszem, skutkiem ubocznym ich obecności jest pewna pomoc dla potrzebujących, zwłaszcza w sytuacjach kryzysu humanitarnego. Oni zarządzają rozdawaniem żywności, lekarstw, moskitier... Jednak nie ma mowy o żadnym wsparciu zrównoważonego rozwoju kraju, czego należałoby oczekiwać ze strony ONZ. Co roku podnosi się krzyk w związku z tym, że w Sudanie na 100 tysięcy kobiet 2 tysiące umiera przy porodzie. To jeden z najwyższych wskaźników na świecie. Tylko że od końca wojny w 2005 roku ONZ ani organizacje pozarządowe nie sprowadziły do Sudanu ani jednej położnej. Nie ma nauczycieli, mimo że liczba dzieci w kraju w ostatnich 4 latach wzrosła z 250 tysięcy do 2 milionów. Poza Kościołem i niektórymi organizacjami pozarządowymi nikt nie szkoli ani nie sprowadza nauczycieli dla tych dzieci. Nie ma żadnych znaczących inwestycji w rozwój rolnictwa w Sudanie. To są wszystkie małe projekty organizacji pozarządowych, jakieś rowy irygacyjne, studnie. Przy tych środkach, którymi dysponuje ONZ, należałoby jednak pomyśleć, jak systemowo wzmocnić rolnictwo w tym kraju. A nikt tego nie robi.

Pytam, co by się stało, gdyby któregoś dnia wszystkie organizacje pomocowe wycofały się z Sudanu Południowego.

– ONZ nie może się wycofać, bo musi pomóc w organizacji wyborów, a potem referendum. Fiasko całego procesu byłoby katastrofą dla tej organizacji, zaraz na świecie podniósłby się wrzask, co zrobiła i gdzie była ONZ. Brak innych organizacji ludzie pewnie też by odczuli. Zwłaszcza uczestnicy takich dziwacznych przedsięwzięć jak „Jedzenie za pracę”. To polega na tym, że wybrane osoby uczestniczą w jakimś szkoleniu i dostają za to diety. W Sudanie niektórzy ludzie żyją z takich warsztatów, jeżdżą z jednego na drugi i zdobywają w ten sposób środki na utrzymanie. Oprócz tego mają również świadectwa ukończenia tych kursów. Sudańczycy, jak każdy inny naród, dostosowują się do sytuacji. Jeśli widzą, że uzależniając się od pomocy, można przeżyć, to się uzależniają. I gdyby ktoś zabrał im te warsztaty i diety, to na pewno by protestowali, bo od nich zależy ich życie i życie ich rodzin.

Joe oprowadza mnie po mieście. Co chwila natykamy się na jeden z najbardziej charakterystycznych widoków Dżuby – niedokończoną budowę. Betonowe kikuty wyrastają z ziemi, szybko pochłania je bujna równikowa zieleń. Joe wyjaśnia, że mijamy właśnie niedokończoną siedzibę SPLA.

– Nawet ich okradli. Ktoś wziął pieniądze za kontrakt, pobudował trochę, a potem po prostu uciekł z kraju. To jest tutaj nagminne. Nowy terminal przy lotnisku w Dżubie finansowany jest już trzeci raz i prace znowu wstrzymano. Dwa razy pieniądze zostały ukradzione, a Zachód dał je po raz trzeci.

– Czy to się często zdarza?

– Teraz rzadziej niż dawniej. Do końca 2006 roku Dżuba to był Dziki Zachód Afryki. Nie było żadnej kontroli, ludzie kradli bezkarnie miliony dolarów, a ONZ finansowała kolejne projekty. Teraz coś się zmieniło. Powołano trust zarządzany przez Bank Światowy, w którym składane są pieniądze od sponsorów. Czyli pieniądze nie trafiają do miejscowych polityków, tylko bezpośrednio z trustu do wykonawcy. Ten system jest lepszy, ale nie jest całkowicie odporny na złodziei. Niedawno wstrzymano budowę jednej z dróg w Dżubie, bo konsorcjum włosko-nigeryjskie, które wygrało przetarg, po prostu gdzieś zniknęło. Ostatecznie znaleziono

jego szefa, Włocha, i wsadzono go do więzienia. Rząd przejął maszyny drogowe, teraz prace prowadzą miejscowi. Zobaczmy, jak im będzie szło. Jedno jest pewne – mówi Joe – jeśli widzisz w Dżubie budynek, którego budowa została szybko i sprawnie ukończona, to z pewnością była to budowa prywatna.

\*

Nad Nilem cysterny pobierają brudną wodę prosto z rzeki. W Dżubie nie ma oczyszczalni, kierowcy rozwożą wodę po mieście i sprzedają ją. W domach, w których są krany, leci z nich taka sama woda – nieoczyszczona, prosto z Nilu. Ludzie piją ją i używają w gospodarstwach domowych. Czarni ludzie, ma się rozumieć. Biali mają własne studnie, własne sklepy i własne restauracje, w których za posiłek trzeba płacić 50–60 tutejszych funtów. Restauracje zawsze są pełne.

Za wejście do szpitala Juba Teaching Hospital bramkarz pobiera od każdego funta, czyli niecałe pół dolara. Ode mnie nie pobiera, bo jestem biały. W Afryce bogaty – bo przecież w porównaniu z tymi ludźmi jestem bogaczem – zwykle nie musi płacić, opłaty są dla biednych.

– Te opłaty wprowadzono, bo ludzie przychodzili do toalet szpitalnych i brudzili w nich – wyjaśnia mi mieszkaniec Dżuby, który właśnie zapłacił. – Teraz, jak ktoś ma dać funta, to się dwa razy zastanowi, czy przyjść do lekarza.

– Jeden funt to minimalna kwota, cała opieka medyczna jest tu za darmo – tłumaczy mi doktor Isaac Maker, dyrektor medyczny szpitala. – Za wszystko płaci rząd.

Doktor Maker mówi, że szpital funkcjonuje bez zastrzeżeń. Owszem, są czasem problemy z zaopatrzeniem w leki, dotkliwy jest brak personelu medycznego, ale codziennie trafia tu tysiąc osób i nikt nie wychodzi bez otrzymania pomocy. Pytam, na jakie choroby cierpią mieszkańcy Dżuby.

– Na te, co zwykle ludzie w tropikach. Na malarię, AIDS, biegunkę. Ciągłe trafiają do nas ludzie z urazami odniesionymi w czasie wojny. Często przychodzą dzieci po upadku z drzewa albo trafione spadającym owocem mango. W Dżubie i okolicach jedna trzecia drzew to właśnie mango, owocują dwa razy w roku. Tego roku mieliśmy już ponad sto takich przypadków. Głównie rany głowy, kończyn, czasem kręgosłupa, kilka poważnych urazów narządów wewnętrznych. – Nie jestem do końca pewny, czy doktor Maker robi sobie ze mnie żarty, chyba nie.

– Czasem zdarzy się epidemia cholery. Ludzie piją brudną wodę, więc niekiedy chorują na drakunkulozę.

– ???

– To taka choroba pasożytnicza. Larwy nitkowca przebijają ściany żołądka, łączą się w pary i dojrzewają przez rok, najczęściej lokując się w kończynach dolnych. Rosną, osiągając długość metra, aż w końcu na ciele powstaje piekący pęcherz. Nitkowiec przebija się przez ten pęcherz i wtedy należy robaka wyciągnąć, na przykład nawijając na patyk. Takie wyciąganie w warunkach domowych może trwać nawet miesiąc. U nas usuwamy go chirurgicznie.

Wracam do domu, do moich misjonarzy kombonianów. Siadam z dala od drzew mango i dziękuję Bogu, że zakonnicy mają własną studnię.

\*

W Dżubie codziennie o 5 rano budzi mnie kogut. Po chwili włączają się ptaki, a potem

zaczyna się darcie kotów, które trwa przez jakieś pół godziny. Codziennie wyją, wrzeszczą, jakby ktoś obdzierał je ze skóry.

Kotami zajmuje się brat Jorge. Pytam go, dlaczego tak wrzeszczą.

– Nie wiem – mówi. – Pewnie biją się o myszy. Jest tu u nas taki jeden kot, co żre jak świnia. Wszystkie resztki z kuchni wyjada i jeszcze myszy żre.

Biały kot w czarne łaty wygrzewa się na słońcu. Nie wygląda na specjalnie wypasionego, ale w Afryce w ogóle nie ma grubych zwierząt; może to słońce odsysa tłuszcz, może jedzą tylko tyle, ile muszą.

– Ustawi się czasem koło lodówki – kontynuuje brat Jorge – myszy mają tam swoją norę, i czeka, aż któraś wyjdzie. Mówię mu: Nie żryj tyle, bo zdechniesz. Nie jesteś świnia, tylko kotem. Ale on mnie nie rozumie. Może ty z nim porozmawiasz?

\*

Do Yambio, 350 kilometrów na południowy zachód od Dżuby, można jechać cały dzień autobusem albo lecieć półtorej godziny oenzetowską cesseną za 200 dolarów w obie strony. Jeżdżą zwykli ludzie, siostry zakonne i nieliczni zachodni turyści spragnieni przepraw przez rozmyte deszczem drogi, niebezpiecznych wywrotek pojazdów, czekania w buszu na pomoc, która nigdy nie nadchodzi, i innych mocnych wrażeń, o których potem będzie można opowiedzieć znajomym przy dobrej kolacji. Samolotami latają pracownicy ONZ i organizacji pomocowych, politycy, dziennikarze tacy jak ja i gwiazdy Hollywood, które na własne oczy chcą zobaczyć nędzę Afryki. Z tym że do Yambio jeszcze żadna gwiazda nie dotarła. Politycy, nawet południowosudańscy, też rzadko tu bywają. Z pozarządowych organizacji pomocowych znalazłem jedną – Médecins Sans Frontières. Amerykanin z rozbieganymi oczami, z którym przez chwilę rozmawiałem, sprawiał wrażenie, jakby cierpiał na połączenie depresji z ADHD.

– *It's tough here, man* – powtarzał, przestępując z nogi na nogę. – Ciężko tu, bardzo ciężko... – Uspokoił się na moment, gdy spytałem, ile jeszcze mu zostało. – Dwa tygodnie, dwa tygodnie, man, i wracam! – mówił z promienną twarzą. – Bardzo interesujące doświadczenie, ale chyba go nie powtórzę.

Jest też UNICEF i baza ONZ, która przypomina porzuconą zajezdnię MPO na Polu Mokotowskim – jakieś zardzewiałe kontenery, opony walające się po zarośniętym wysoką trawą podwórku i bramka ze śpiącym strażnikiem. Tylko białe land-rovery z logo ONZ i kilku pracowników z identyfikatorami zdradzają, że do Yambio również dociera międzynarodowa troska.

Stolica Zachodniej Prowincji Równikowej to trzykilometrowa bita droga z domami po obu jej stronach, jeden hotel turystyczny, kilka kościołów, siedziba biskupa diecezji Tambura-Yambio, akademie policyjna,

dwa ronda, na których czasami jeden z adeptów akademii kieruje ruchem. Jest nawet lokalne radio i targ, gdzie można kupić wspaniałe owoce – ta prowincja to jeden z najżyźniejszych rejonów Afryki równikowej.

– W Yambio zjesz najlepsze pomarańcze, najlepsze mango, cebula jest słodka, cytryny soczyste, a awokado osiąga wielkość małego arbuza – opowiadała mi w Dżubie Ann, Kenijka, która spędziła w Zachodniej Prowincji kilka miesięcy. – Ale to nie jest miejsce do normalnego życia.

Nie jest, bo w Yambio wszyscy się boją. Niby czas płynie normalnie – ludzie stoją przy

drodze jak w innych afrykańskich miasteczkach, czekając nie wiadomo na co, handlują czym popadnie, reperują rowery, pracują przy maszynach do szycia. Motocykliści cały dzień czekają na klienta, którego można by podwieźć do sąsiedniej wioski. Dzieci w mundurkach kręcą się wokół szkoły, co chwila drogą przejeżdża *matatu* albo land-rover. Codziennie rano drogą przebiega truchtem kompania półnagich policjantów z pieśnią na ustach – nikt z miejscowych nie zwraca uwagi na ich gimnastyczny rytuał.

Niby wszystko jak należy, ale Yambio jest inne.

– Do miasta nie przychodzili już ze dwa lata – mówi mi ojciec Ignatius Mborihenga, sekretarz biskupa. – Ale kiedy kładę się spać, to nie wiem, co się wydarzy w nocy. Kiedyś byli również u nas w siedzibie biskupa. Weszli do refektarza i zabrali wszystkie sztućce. Potem podeszli do pokoju biskupa i zaczęli walić do drzwi, ale nie otworzył im i poszli gdzie indziej. Potem przez kilka tygodni nie mogłem spać.

– Wystarczy, że ludzie usłyszą strzały w okolicy, od razu wpadają w panikę. Tłumy uciekają z jednej strony miasta na drugą, to jest straszny widok – mówi mi Joseph, dozorca w hotelu. – Niedawno armia urządziła ćwiczenia w strzelaniu tuż pod miastem i zapomnieli o tym ludziom powiedzieć. Co tu się działo! Mało się ludzie nie potratowali...

\*

6 sierpnia 1986 roku Lakwena powiedział Alice, że zwykle uzdrawianie i przepowiadanie przyszłości to za mało. Żyjący na północy Ugandy lud Aczoli cierpiał pod rządami prezydenta Yoweriego Museveniego. Tysiące niewinnych ludzi ginęły w okrutnych męczarniach. „Aby położyć temu kres – mówił Lakwena do Alice – musisz powołać armię, która zniszczy zło i zaprowadzi pokój na ziemi”.

Alice Auma była zwykłą, nieszczęśliwą kobietą, jakich w tej części Afryki wiele. Mimo dwóch małżeństw nie urodziła dziecka, a do tego w 1985 roku zwariowała. Straciła słuch i mowę, ojciec zabrał ją do 11 czarowników, ale nie pomogli. Alice poszła więc do lasu na 40 dni, a gdy wróciła, oznajmiła światu, że przemawia przez nią Lakwena. Zaczęła uzdrawiać ludzi i informować ich o woli Ducha.

Dla Aczoli zamieszkujących północ Ugandy słowa Lakweny są święte. Jest on bowiem wysłannikiem Boga. Alice napisała list do lokalnych księży katolickich, wyjaśniając, że z uzdrowicielki musi zmienić się w dowódcę wojskowego: „Dobry Bóg, który przemawia przez Lakwenę, zdecydował, że nie ma sensu uzdrawiać człowieka jednego dnia, skoro następnego ma zostać zabity. Dlatego obowiązkiem Lakweny jest dziś powstrzymanie rozlewu krwi, a dopiero potem powrót do roli uzdrowiciela”.

W ten sposób powstał Ruch Ducha Świętego, wielka religijna armia, na której czele stała Alice. Od czasu gdy skontaktował się z nią Duch, znana była jako Alice Lakwena, dowódca wielkiej bożej armii, medium, przez które przemawia Duch Święty i dzięki któremu Aczoli zostaną wyzwoleni nie tylko od cierpienia, ale również od zemsty duchów ofiar, które niechybnie padną z ich rąk na drodze do wolności i dobrobytu.

Początkowo boża armia odnosiła sukcesy, miażdżąc żołnierzy Museveniego i dochodząc niemal do Kampali. Alice przekazywała żołnierzom polecenia od Ducha Świętego. Wysmarowani olejem, mieli być niewidoczni dla wrogów, nigdy nie wolno im było uciekać ani wycofywać się z pola bitwy, nie mieli prawa zabijać węży ani pszczoł. Ta taktyka przynosiła znakomite rezultaty w wojnie z wojskami rządowymi. Co prawda niektórzy członkowie bożej

armii ginęli, ale tylko ci, którzy nie wysmarowali się olejami albo w inny sposób obrazili Lakwenę. Wojsko Alice posuwało się na południe w kierunku Kampali – przy poparciu wielu innych plemion, które miały własne powody, by nienawidzić władzy Museveniego.

Jednak w 1997 roku karta wojny się odwróciła. W lesie niedaleko miasteczka Jinja pod Kampalą artyleria rządowa dokonała jatki wśród żołnierzy Ruchu Ducha Świętego, a sama Lakwena uciekła do Kenii. Wrogowie twierdzili, że oszukała ludzi, nie była żadnym medium, a co najwyżej wykorzystywała swoje moce do niszczenia innych. Kto wie, może była tylko zwykłą wiedźmą. Co prawda tuż przed śmiercią w 2007 roku w obozie uchodźców w Kenii twierdziła jeszcze, że wynalazła lekarstwo na AIDS, ale nikt jej już nie uwierzył. Umarła w samotności na jakąś dziwną chorobę.

\*

Tymczasem w Ugandzie w bożej armii rolę dowódcy i wysłannika Ducha Świętego przejął Joseph Kony, dawny konkurent Alice. Działając od 1986 roku równoległe z Ruchem Ducha Świętego Alice, stosował taktykę, której ona nie popierała. „Lakwena nie chce, byśmy porywali dzieci, zabijali jeńców i cywilów”, mówiła Alice. Ale Kony jej nie słuchał. Zabijał, gwałcił, plądrował wsie. Trzon armii Kony’ego stanowiły dzieci. Napadał na szkoły, uprowadzał dzieci. Młodych chłopców uczył mordować, czasem ich pierwszymi ofiarami byli ich rodzice albo krewni. Kobiety i dziewczynki rozdawał swoim żołnierzom jako niewolnice seksualne.

Od Alice przejął niektóre metody walki. Lubił na przykład atakować formacjami na kształt krzyża i pokropionymi wodą święconą. Podobno czasami opuszczał swoich żołnierzy i całymi dniami leżał nago na słońcu, wystawiając namaszczone olejem ciało na termity. Potem tygodniami siedział samotnie w grocie. Dzieciom-żołnierzom tłumaczył, że gdy na swoim ciele zrobią olejem znak krzyża, nie dotkną ich kule. Wierzyli mu, gdy mówił, że kule wroga zamieniają się w wodę, jeśli ciało zwilży się płynnym lekarstwem. Nie oni pierwsi zresztą: w cudowne moce wody w zmaganiach z niechcianymi reżimami wierzyło wielu Afrykanów, zwłaszcza Swahili i inne ludy Afryki Wschodniej. Niektórych żołnierzy Kony’ego oleje i płynne lekarstwa chroniły. Ci, którzy ginęli, pewnie nie mieli wystarczającej wiary.

On sam uznawał się za medium Ducha Świętego. Ludzie, którzy go spotkali, mówili, że jest Mesjaszem albo opętany przez Złego. Okrucieństwo przechodzące wszelkie granice stało się jego narzędziem walki, duchowa ekstaza i religijne szaleństwo metodą manipulowania ludźmi. Na początku lat 90. jego wojsko przyjęło nazwę Armia Oporu Pana (LRA), a deklarowanym celem Kony’ego stało się zaprowadzenie w Ugandzie systemu opartego na Dekalogu.

\*

Nikt nie wie do końca, ilu żołnierzy liczy LRA, niektórzy mówią, że tysiąc, inni, że nawet 3 tysiące. Wiadomo, że jest wśród nich wiele dzieci. To kilkunastoletni chłopcy są najbardziej okrutnymi mordercami, to oni również najczęściej giną w starciach z ugandyjskim wojskiem. Dla Kony’ego nie stanowi to jednak problemu – zawsze można napaść na następną szkołę czy wioskę.

Dotychczasowe próby negocjacji z Konym nie powiodły się, podobnie jak mediacje w celu zakończenia porywania dzieci prowadzone między innymi przez Watykan.

„W naszej armii nie ma dzieci, są tylko żołnierze”, mówił Kony Janowi Egelandowi, negocjatorowi z ONZ w 2006 roku.

Próba zabicia go w 2006 roku przez wyszkolonych w USA gwatemalskich komandosów nie powiodła się – wszyscy napastnicy zostali zabici przez Kony'ego. Próby rozdarcia ruchu od wewnątrz również kończą się tragicznie. Pod koniec 2007 roku podobno osobiście dokonał egzekucji na swoim zastępcy Vincencie Ottim i kilku innych dowódcach, którym przestał ufać. Nikt nie zna szczegółów, wiadomo, że Otti nie żyje.

List gończy wystawiony przez Międzynarodowy Trybunał Karny w 2005 roku nie zrobił na nim wrażenia. Ofensywa armii ugandyjskiej przeciwko LRA na początku 2009 roku nie przyniosła oczekiwanych efektów. Kony został co prawda wyparty z Ugandy, ale przeniósł się do buszu na południu Sudanu, na pogranicze Demokratycznej Republiki Konga oraz Republiki Środkowoafrykańskiej.

To właśnie ze względu na Josepha Kony'ego i jego Armię Oporu Pana mieszkańcy Yambio żyją codziennie w strachu o własne życie.

W ośrodku pomocy dla kobiet w Yambio umieszczono sierociniec dla dzieci – uciekinierów z armii Kony'ego.

India, drobna dziewczynka, która mówi tak cicho, że prawie jej nie słyhać, ma na głowie dziwne plamy łysiny.

– Kazali mi nosić na głowie ciężkie rzeczy – mówi.

– Czyli co? – pytam.

– Kiedyś jeden żołnierz okręcił mi głowę drutem i postawił na to garnek z wrzącą wodą. Gdy szłam, ta woda parzyła mi plecy i ramiona. Oni się śmiali. Potem na ten garnek postawili następny. Upadłam, bili mnie.

– Ile masz lat? – pytam.

– Nie wiem.

– Kiedy cię porwali?

– Nie wiem. Nie pamiętam. W buszu ciągle byliśmy w ruchu, ciągle szliśmy albo uciekaliśmy. Spokój był tylko wtedy, gdy napadli na jakąś wieś i dzielili się łupem. Wtedy chwilę byliśmy w miejscu. Oni się bawili. A zaraz potem znowu uciekaliśmy.

Siamo została porwana w miejscowości Nabanga.

– Torturowali mnie i przez cały czas wykorzystywali. Musiałam im służyć.

Do ośrodka w Yambio trafiła zaledwie dzień wcześniej. Uciekła z dzieckiem, które urodziła w niewoli.

– Kiedy urodziłaś dziecko? – pytam.

– Nie wiem, chyba jakieś trzy lata temu.

– Ile masz lat?

– Nie wiem. – Wygląda na nie więcej niż 16.

– Jak uciekłaś?

– Tak jak wszyscy. Jedyne szansa jest wtedy, gdy ugandyjskie wojsko atakuje oddział LRA. Wtedy można uciec.

Przez tydzień Siamo ukrywała się z dzieckiem w buszu, uciekała, dzień i noc uciekała. Jadła jakieś liście, korzenie, umierała ze strachu przed ludźmi i drapieżnymi zwierzętami, których w tych lasach pełno. Potem wyszła z dżungli, trafiła na jakichś ludzi, którzy zawieźli ją do miejscowości Tambura. A stamtąd wczoraj trafiła do ośrodka.

Pytam Siamo, czy czuje się tu bezpieczna.

– Nie jestem bezpieczna, tamto ciągle jest ze mną. Boję się, że znowu przyjdą, rozpoznają mnie i moją córkę.

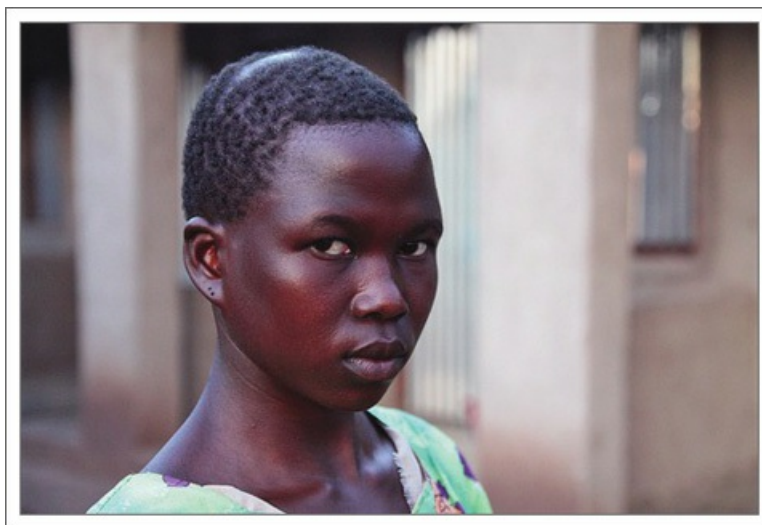
\*

**Anthony Modia** jest ministrem rozwoju społecznego Zachodniej Prowincji Równikowej. Do jego obowiązków należy zapewnienie opieki dzieciom w ośrodku.

– LRA terroryzuje całą prowincję – mówi. – Jej członkowie atakują wioski, zabijają ludzi i porywają dzieci, nawet pięcioletnie. Chłopców uczą zabijać, a jeśli któryś się opiera, to męczą go tak długo, aż ulegnie. Biją takie dziecko, torturują do czasu, aż wreszcie zacznie zabijać. Uczą zabijać w najbardziej okrutny sposób, maczetami albo pałkami. Potem takie dziecko, które raz to zrobi, może zabijać zawsze, kiedy mu każą.



Sierociniec dla dzieci, które uciekły z Armii Oporu Pana. Ci chłopcy mieli zostać żołnierzami, dziewczynki – niewolnicami seksualnymi dowódców LRA



India trafiła do obozu kilka dni przed moją wizytą w Yambio

\*

Dwa miesiące przed moją wizytą prowincję wstrząsnęła masakra dokonana przez LRA w miejscowości Ezo, 180 kilometrów od Yambio. Żołnierze Kony'ego weszli do kościoła Matki

Boskiej Królowej Pokoju, zbezczęścili świątynię, porwali 17 osób. Po kilku dniach znaleziono jednego trupa, potem niedaleko miejscowości Nzara jeszcze sześć osób zabitych w okrutny sposób.

– Zostali przybici gwoździami do kawałków drewna i zostawieni na ziemi – opowiadał Edoardo Hiiboro Kussala, biskup Tambura-Yambio, podczas wizyty w Warszawie, kilka tygodni przed moim wyjazdem do Sudanu. – To był okropny widok, jakaś forma ukrzyżowania. Zresztą zdarza się to nie pierwszy raz, już wcześniej żołnierze Kony’ego krzyżowali chrześcijan w naszej okolicy.

Zaraz po masakrze biskup Edoardo zorganizował trzydniowe modlitwy i marsz z udziałem 20 tysięcy ludzi różnych wyznań w proteście przeciwko bezczynności armii południowosudańskiej i sił bezpieczeństwa.

– Nikt nam nie pomaga. Rząd wielokrotnie twierdził, że kontroluje sytuację, ale to nieprawda. Każdy wie, jak wygląda rzeczywistość – mówi biskup.

– Jak duża część populacji Zachodniej Prowincji Równikowej narażona jest na ataki Armii Oporu Pana? – pytam.

– W mojej diecezji mieszka około 1,3 miliona ludzi. Oficjalnie, według danych ONZ, około 100 tysięcy ludzi straciło dach nad głową, ale ofiar jest więcej. Tysiące przybywają do miasta Yambio. Według moich ocen w prowincji jest 240 tysięcy uchodźców.

– Czy w Sudanie Południowym można w ogóle mówić o wypełnianiu przez władze podstawowych funkcji administracyjnych? Czy funkcjonują szkoły, szpitale?

– Brakuje wszystkiego, a państwo nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa ani podstawowych środków medycznych. W ubiegłym miesiącu dostaliśmy 5 tysięcy euro od organizacji katolickiej Aid to the Church in Need. Przeznaczaliśmy te pieniądze na zakup lekarstw i żywności, ale to oczywiście za mało. Szkoły w zasadzie nie funkcjonują. Apelowaliśmy o pomoc do organizacji charytatywnych, do ONZ, jednak większość z nich opuściła teren po atakach Armii Oporu Pana.

– Czyli cała pomoc w prowincji opiera się na działalności Kościoła?

– Tak. Po zintensyfikowaniu działań rebeliantów pracownicy UNHCR i World Food Programme opuścili Zachodnią Prowincję Równikową. Żołnierzy ONZ też tu nie ma.

\*

Przyglądam się pracy chrześcijan w Sudanie oraz innych państwach Afryki i przypominają mi się słynne słowa południowoafrykańskiego arcybiskupa Desmond Tutu: „Gdy misjonarze przybyli do Afryki – oni mieli Biblię, a my mieliśmy ziemię. Mówili nam: »Módlcie się«. Zamknęliśmy oczy, a gdy je otworzyliśmy, my mieliśmy Biblię, a oni mieli ziemię”.

Gorzkie słowa chrześcijańskiego duchownego z kontynentu, na którym zbyt często w historii krzyż towarzyszył kolonialnym grabieżom i zbrodniom. Jednak dziś słowa arcybiskupa Tutu, zwłaszcza w Sudanie, brzmią niesprawiedliwie. Gdyby nie Kościół, misjonarze, lokalni księża i siostry zakonne, tysiące wspólnot w tym kraju pozbawionych byłoby nie tylko podstawowych środków do życia – akurat tych Kościół nie zapewnia w nadmiarze – ale przede wszystkim poczucia własnej wartości, sensu istnienia, nadziei na lepszy świat, możliwości wyrwania ze skansenu tradycji i niedorozwoju, w którym tak często i tak bezmyślnie zamykamy Afrykę my, syci ludzie Zachodu, po to, by karmić fałszywymi wyobrażeniami własny sentymentalizm i wypełniać duchową pustkę.



W Yambio spotykam ludzi zbędnych, nikomu niepotrzebnych, chwytających się Biblii jak ostatniej deski ratunku...

\*

Pytam ministra Anthony'ego Modię, dlaczego nie da się pokonać armii Kony'ego.

– Oni działają małymi grupkami, są ciągle w ruchu, tu jest bardzo gęsty las. Atakują tylko nieuzbrojonych cywilów. Przed armią uciekają.

– Czy południowosudańska armia SPLA wystarczająco chroni tych ludzi? Przecież wszyscy tu krytykują władze i wojsko.

– Wojsko się stara, ale niewiele może zrobić.

– To bzdura, minister tak mówi, bo jest jednym z nich – mówi ojciec Steven, miejscowy ksiądz. – Jedyne armie, które tutaj cokolwiek robi, to Ugandyjczycy. To oni wyparli LRA z Ugandy, to oni atakują oddziały Kony'ego w Sudanie i DRK. Nikt ze SPLA nie będzie ryzykował życiem. Sudańczykom od dawna nikt nie płaci, nie będą nadstawiali karku. Ta prowincja jeszcze żyje tylko dzięki Ugandyjczykom i *arrow boys*.

– Dzięki komu?

– *Arrow boys*. Łucznikom.

Na rogatkach Yambio, tuż przy drodze prowadzącej do buszu, znajduje się protestancki kościół episkopalny. Na podwórku przed świątynią spotykam miejscowego pastora Bernarda Fuoro.

– Kiedyś domy ciągnęły się jeszcze ze dwa kilometry w las, ale teraz ludzie wycofali się do miasta. Opuszczają swoje pola, zostawiają tak żyzną ziemię, bo się boją. Ale ja nie wyprowadzam się ze swojego domu – mówi pastor Fuoro.

Dom Bernarda znajduje się w buszu, ze dwa kilometry od kościoła. Według tutejszych standardów to już linia frontu.

– Teraz wszędzie w tych lasach są *arrow boys*, nasi łucznicy. Ale 3 lata temu nikogo nie było i mało mnie nie zabili. Strzelali do mnie 3 razy, lecz nie trafili – mówi pastor.

Po chwili dołącza do nas Richard Thomas Nzame, energiczny trzydziestolatek z szeroką przerwą między przednimi zębami.

– *Arrow boys*, czyli łucznicy, to chłopcy, którzy bronią swoich społeczności przed atakami LRA – wyjaśnia. – Jesteśmy wyposażeni w łuki i strzały, organizujemy nocne patrole, chodzimy po buszu. Gdy spotykamy jakichś ludzi w lesie, to ich zatrzymujemy i przesłuchujemy. Jeśli to są zwykli mieszkańcy, puszczamy ich wolno, jeśli wydają się nam podejrzani, zatrzymujemy ich do rana, przekazujemy armii albo policji.

Richard jest dowódcą *arrow boys* w Yambio. Pytam, co myśli o LRA.

– LRA zabija naszych ludzi. Plądruje nasze domy, porywa dzieci. Oni mają karabiny, my mamy łuki. Gdy wiemy, w jakiej okolicy się znajdują, to organizujemy na nich zasadzki. Napadamy na nich i ostrzeliwujemy z łuków. Oni się nas boją, bo jeśli kogoś ranimy, to umiera w mękach. Nasze strzały to nie kule, ale jak już wejdą w ciało, trudno je wyjąć. Oni nie mają tam lekarzy, nie mogą iść do szpitala. Nie mogą też sobie pozwolić na to, by ciągnąć rannych z sobą, więc zostawiają ich na pewną śmierć. Oni nas się boją, bo nikt nie chce być trafiony naszą strzałą.

Siłą *arrow boys* jest również bliska współpraca z Ugandyjczykami – jedyną armią zainteresowaną wykończeniem Kony'ego. Dla LRA obecność łuczników oznacza, że tuż za nimi

czają się żołnierze armii ugandyjskiej, już nie z łukami, tylko karabinami maszynowymi, samolotami i oddziałami specjalnymi.

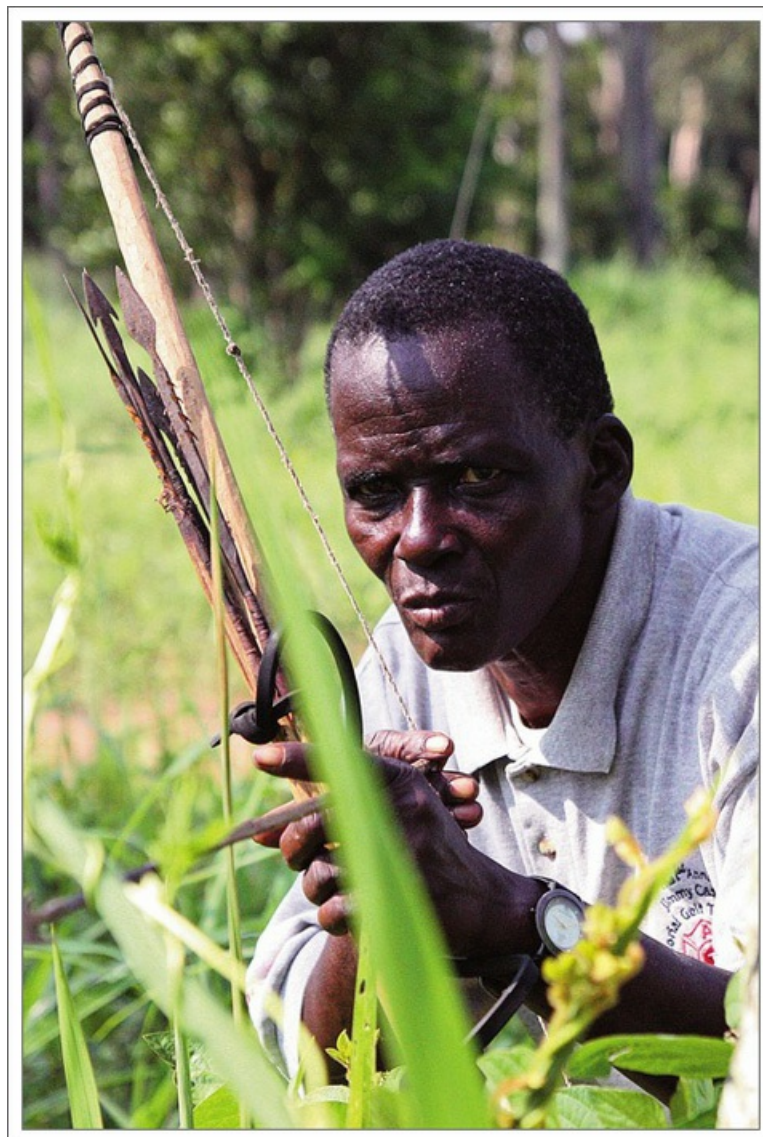
Pytam o rozmieszczenie grup *arrow boys*.

– Z Yambio do granicy z DRK jest nieco ponad 30 kilometrów. Mamy nasze oddziały na całym tym terenie. Działamy w całej Zachodniej Prowincji Równikowej, jest nas prawie 3 tysiące. Kontrolujemy teren w Ezo, Nzara, Tambura, wszędzie. Jesteśmy zwykłymi ludźmi z tej okolicy, nie mamy wykształcenia wojskowego, nie mamy broni palnej, ale wielu z nas to myśliwi. Wiemy, jak poruszać się w buszu, i na tym polega nasza przewaga nad nimi.

– Czy często udaje się wam ich zabić?

– Zabijamy ich. Czasem zostawiamy ciała w buszu, czasem zabieramy je do wsi i pokazujemy ludziom, żeby wiedzieli, kim są ci z LRA. I żeby mogli rozpoznać wśród trupów tych, którzy na nich wcześniej napadali.

– Czy wierzysz, że możecie wygrać wojnę z LRA? Przecież z nimi nie wygrała armia ugandyjska, Kony’ego nie umieją zabić nawet Amerykanie. Dlaczego wam ma się udać?



### Arrow boy z oddziału w Yambio

– Wygramy wojnę z LRA, bo to jest nasz busz, znamy tu każde przejście, każdy strumyk. Ta wojna zabierze dużo czasu, bo oni mają broń palną, a my tylko łuki, maczety, dziidy. Nie mamy pieniędzy, nikt nam nie płaci, sami musimy wszystko zorganizować. Ale w końcu wygramy, bo mamy poparcie ludzi. Wspierają nas, nawet policja z nami współpracuje.

Richard ma rację. Władze sudańskie zostawiły Zachodnią Prowincję Równikową na pastwę armii Kony'ego, ale nie mają przynajmniej nic przeciwko temu, by *arrow boys* zaprowadzali na tym terenie własną sprawiedliwość.

– Ja nie wiem, czy to dobrze – mówi ojciec Steven. – Wiadomo, że ludzie będą wspierać tych łuczników, bo to są miejscowe chłopaki i zapewniają nam jako taki spokój. Tylko że na naszych oczach tworzy się właśnie nowa milicja. Richard i jego koledzy za kilka miesięcy czy lat będą chcieli się liczyć w tutejszej polityce. Powiedzą: „broniliśmy was, teraz czas, żebyście się nam odplacili”. I wtedy mogą się pojawić kłopoty.

\*

Jedziemy drogą z Yambio na wschód. Mijamy miejscowość Rimenze, około 35 kilometrów od Yambio, i trafiamy do obozu uchodźców Makpandu. Mieszka tu kilka tysięcy Kongijczyków z plemienia Zande. Wszyscy pochodzą z okolic miasta Doruma w Demokratycznej Republice Konga, jakieś 80 kilometrów stąd. Trafiali do obozu grupami, pierwsza uciekła przed LRA z parafii Duru 7 września 2008 roku.

To właśnie wtedy żołnierze Kony'ego przyszli do Duru, spalili misję katolicką, spalili domy, porwali też wiele dzieci ze wsi. Weszli do szkoły i po prostu porwali je. Niektórym dzieciom udało się uciec, wiele ciągle znajduje się w niewoli LRA.

Pierwsi uciekinierzy z Dorumy to byli szczęściarze. Ci, którzy zostali, mieli paść ofiarą jednej z największych zbrodni Armii Oporu Pana. 25 grudnia 2008 roku, w Boże Narodzenie, oddział LRA wszedł do kościoła w miejscowości Faradze i pociął maczetami na kawałki 150 osób. W tym samym czasie inne oddziały Kony'ego zamordowały 75 osób w kościele niedaleko Dungu, spaliły kościół i zabiły 48 osób w Bagandi oraz 213 w Gurba. Takie są dane Caritasu. ONZ podaje nieco niższe liczby, twierdząc, że w trakcie „masakr bożonarodzeniowych” w Demokratycznej Republice Konga przy granicy z Sudanem LRA zabiła w sumie 189 osób. Uchodźcy w Makpandu to między innymi ludzie, którym udało się wtedy ująć z życiem.

\*

Spotykam ojca Mario, włoskiego misjonarza ze zgromadzenia kombonianów, któremu ludzie Kony'ego spalili kościół w Duru.

– To są moi parafianie i moim obowiązkiem jest być z nimi w tej chwili. Zresztą ja też, tak jak oni, jestem uchodźcą. Mnie LRA również spaliła dom, nie mam się gdzie podziać. Nie wiemy, co się wydarzy, ale żyjemy nadzieją, że życie zwycięży. Na razie budujemy tu kościół katolicki, protestanci budują swoją świątynię. Wszyscy tutaj się modlą, by Bóg pozwolił im wrócić do ich wsi i domów. Ale na to trzeba czasu.

Przechadzam się po obozie, całkiem dobrze zorganizowanym. Na targu wrze życie, ludzie dobudowują jakieś dodatkowe pokoje do swoich lepiarek, kobiety pracują w warsztacie krawieckim, mężczyźni kopią latrynę, inni wypalają cegły z gliny. Działają pompy wodne, na głównym placu trwa dystrybucja jedzenia. Każdy jest rejestrowany, zostawia odcisk palca i

dostaje kartkę żywnościową.

W obozie działa szkoła. Uczy się w niej 171 dzieci podzielonych na pięć klas. Wchodzę na zajęcia w pierwszej, gdzie nauczyciel właśnie przymierza się do wychłostania kilkuletniej dziewczynki. Gdy zauważy gościa, szybko odkłada kij i zaprasza do środka. Dzieci rozumieją, co się stało, wybuchają śmiechem. Zapłakana dziewczynka szybko ucieka z klasy.

– Niektóre z tych dzieci to sieroty, inne mają rodziców tutaj, jeszcze inne zostawiły rodziców w DRK – tłumaczy mi mój przewodnik po obozie, Mbiko Jezu Nungaletę. W języku Zande jego imię znaczy „Bogu dzięki”. – Zostaną tu tak długo, jak w DRK będzie trwała wojna z LRA.

Mbiko Jezu prowadzi mnie na spotkanie z kilkoma chłopcami, którzy uciekli LRA. I znów słyszę te same historie:

- Nie pamiętam, kiedy mnie porwali – mówi Aniru. – To było w Duru.
- Nie wiem, ile mam lat.
- Nie wiem, jak długo byłem z nimi. Chyba jakieś trzy lata.
- Cały czas nosiłem dla nich rzeczy i pracowałem. Owoce, ziarno, kas awa. Gdy nie mogłem nosić, bili mnie.
- Uciekłem, gdy nasz obóz zaatakowali żołnierze ugandyjscy. Wszyscy się rozpierzchli i skorzystałem z okazji.
- Moja mama jest w Duru. Mój tata zmarł, został przez nich zabity.
- Dopóki wojna trwa, nie wrócę do mamy, potem wrócę.
- Nie myślę o tamtym czasie, nie chcę o tym myśleć. Boję się, że wrócą.

#### Makpandu



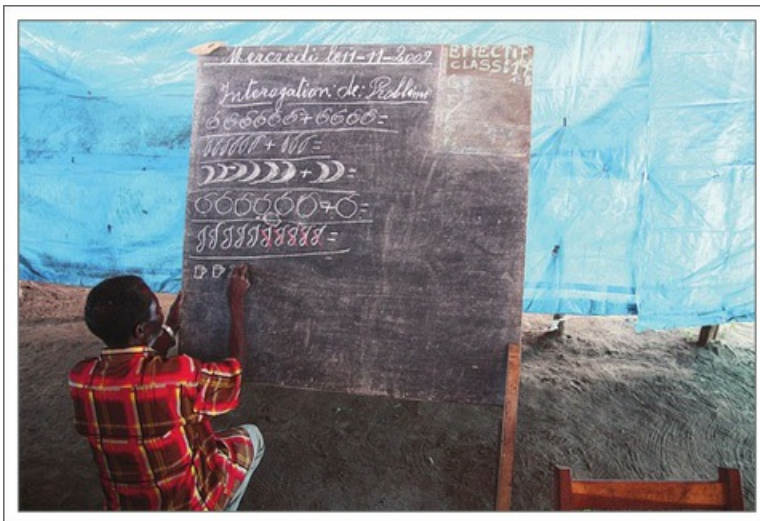
Rozdział żywności



Warsztat krawiecki



Zbieranie drewna na opał



## Lekcja matematyki

\*

– Niczego tutaj nie można być pewnym – mówi ojciec Mario, gdy pytam go o obecność LRA w okolicy. – Jak dotąd w tym obozie jeszcze nie byli. Ale nie ma żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Jest niby baza policji i wojska, ale LRA działa z zaskoczenia, zwykle w nocy. Żołnierze na pewno wiedzą, że tu jesteśmy, i wiedzą, kim jesteśmy. Uciekliśmy raz spod ich karabinów i maczet, może będą chcieli spróbować znów nas dopaść.

Pytam ojca Mario, co właściwie robi w tym miejscu. Jest Włochem, w każdej chwili może opuścić ten obóz, ten kraj, zostawić za sobą tę nędzę i beznadzieję, ratować życie i resztki zdrowia.

– Nie mogę opuścić tych ludzi – mówi. – Jestem ich księdzem. Jak mógłbym ich opuścić?

Wyjeżdżam z Makpandu, ale wcześniej zatrzymuję się przy ogromnym krzyżu, który mieszkańcy postawili tuż obok wejścia do obozu. Stoi na usypisku, wygląda jak zwieńczenie mogiły. Pytam Mbiko Jezu Nungaleta, kto jest pochowany pod krzyżem.

– Nikt tu nie leży – mówi ze śmiechem. – To nie jest grób, tylko znak naszej wiary. Po prostu krzyż się przewracał i żeby stał prosto, podsypaliśmy trochę ziemi. Teraz nic go nie ruszy.

\*

W kwietniu 2010 roku prezydent Umar Al-Baszir wygrał wybory prezydenckie w całym Sudanie. Prezydentem Sudanu Południowego pozostał Salva Kiir. Większość partii opozycyjnych zbojkotowała wybory, obserwatorzy informowali o fałszerstwach na dużą skalę oraz zastraszaniu i pobiciach wyborców zarówno na północy, jak i południu kraju. Mimo to Unia Europejska uznała wyniki, a fundacja byłego prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, której obserwatorzy śledzili przebieg wyborów, określiła je jako „krok w kierunku demokracji”.

## Tanzania: czarny kamień, hidżab, socjalizm

Prom z Dar es Salaam na Zanzibar płynie 1,5 godziny. Albo 2 godziny. Mój płynął prawie 3.

– Spóźnił się – powiedział Bachtin, gdy odbierał mnie z portu. – Widocznie miał zły wiatr.

Na pokładzie puszczały film w kiswahili (tytuł: *Billionaires Club 2*), w którym jakiś milioner zapada na straszną chorobę. Cała rodzina odchodzi od zmysłów, zwłaszcza jego piękna narzeczona. Po jakimś czasie facet zaczyna dosłownie obłazić ze skóry. Robią mu się bąble na całym ciele, potem te bąble pękają i tworzą się otwarte rany. Reżyser z lubością pokazuje to rozpadające się ciało. Film kończy się śmiercią bohatera i napisem: „Chwała niech będzie Bogu”. Potem był już jakiś normalny film, chyba chiński, w którym mistrz karate wybija pół miasta własnymi rękami i karabinem maszynowym.

\*

Bachtin ma 30 lat i jest menedżerem hotelu, w którym się zatrzymałem. Wyjaśnia, że wszyscy na Zanzibarze będą chcieli mnie orznąć, oprócz niego oczywiście. Ku mojemu zaskoczeniu wszystko się zgadza. Nagabywanie turystów jest tu nagminne, a Bachtin mówi mi od razu, ile zapłacę za hotel, i nie domaga się niczego więcej. Bachtin chce otworzyć na Zanzibarze własny hotel i prosi, bym pomógł mu rozreklamować wyspę w Polsce. Najbardziej denerwuje go to, że wszędzie na Zanzibarze są inne ceny dla miejscowych, inne dla turystów.

– U mnie tak nie będzie – obiecuje. – Jedna cena dla wszystkich. I nie będzie targowania.

Złoty człowiek ten Bachtin.

Biały na wyspie jest nieustannie w kręgu zainteresowania. Albo chcą mu coś sprzedać, albo zaprowadzić na plantację przypraw, albo zabrać na safari: do delfinów, żółwi, małp. „Targuj się ze wszystkimi o wszystko. Nigdy nie zgadzaj się na pierwszą podaną cenę”, tak mi mówili koledzy podróżnicy przed tym wyjazdem. No to się targuję o wszystko, trochę bez przekonania, bo wszystko oprócz hoteli wydaje się raczej tanie. Jem porcję ośmiornicy, barakudy, rekina i homara, popijam sokiem z trzciny cukrowej i płacę za to 12 dolarów. Jak za barszcz. O co więc ten cały raban z wyciąganiem pieniędzy?

Zanzibar jest w 97% muzułmański.

– I właśnie dlatego nie ma tu biedy – tłumaczy mi Idris Saleh, kustosz Muzeum Dziedzictwa na Zanzibarze. – My mamy obowiązek wspierania biednych.

Idris mieszka w swoim muzeum składającym się z kilku pokoi zarzuconych pamiątkami związanymi z historią wyspy. Opowiada z dumą o sultanach omańskich, którzy pod koniec XVII wieku przepędzili stąd Portugalczyków, a potem rządili Zanzibarem przez 130 lat. Tutaj mieli swoją bazę, stąd kontrolowali całe wschodnie wybrzeże Afryki – od dzisiejszej Somalii do Mozambiku, czyli rejon zamieszany przez lud wybrzeża, zwany Swahili.

– Zawsze ze wszystkimi żyliśmy w zgodzie – wyjaśnia Idris.

– A niewolnictwo? – pytam. Zanzibar był przecież jednym z centrów handlu niewolnikami. W drugiej połowie XIX wieku przez wyspę przechodziło 50 tysięcy niewolników rocznie, transportowanych z kontynentu afrykańskiego. Dziś w miejscu słynnego targu niewolników w Stone Town stoi anglikańska katedra, ale lochy, w których maltretowano tych nieszczęśliwych ludzi, ciągle można zobaczyć.

– Na Zanzibarze nie ma potomków niewolników – protestuje Idris i na dowód pokazuje mi książkę, w której napisane jest, że Swahili nie byli niewolnikami.

Rozumiem, o co mu chodzi.

– Czyli wy nie jesteście potomkami niewolników, tylko handlarzy niewolnikami?

– Dokładnie tak – wyjaśnia i śmieje się serdecznie.

Dziwna sprawa z tym niewolnictwem uprawianym przez muzułmanów. Trwało 14 wieków, historycy oceniają, że ofiarą tego systemu mogło paść 9–13 milionów ludzi wywiezionych przez arabskich kupców do północnej Afryki, Persji, na Bliski Wschód, do Indii. A jednak jest to zjawisko mało znane i słabo opisane z przyczyn politycznych. Bernard Lewis, znany amerykański historyk islamu i autor książki *Race and Slavery in the Middle East. An Historical Enquiry (Rasa i niewolnictwo na Bliskim Wschodzie)* z 1990 roku, mówił otwarcie, że podjęcie takiego tematu, zwłaszcza na uniwersytetach amerykańskich, wiązałoby się dla uczonych z „zawodowym ryzykiem”.

Oczywiście pisanie dzieł historycznych poświęconych niewolnictwu uprawianemu przez białych w USA nie wiąże się z ryzykiem – literatura krytyczna na ten temat jest ogromna. Mogłoby to sugerować, że nigdzie na świecie system niewolnictwa nie był tak bardzo zakorzeniony jak w kraju białych hipokrytów, którzy twierdzili, że „wszyscy ludzie są równi”.

Nic bardziej błędnego. Jeszcze 200 lat temu niewolnictwo było powszechnie akceptowanym systemem społecznym prawie na całym świecie. Gdy pod koniec XVIII wieku kilku zapaleńców w Londynie rozpoczęło kampanię na rzecz zniesienia handlu niewolnikami (handlu, a nie samego niewolnictwa), traktowano ich jak oszołomów, którzy dążą do pozbawienia Wielkiej Brytanii wpływów gospodarczych na świecie i podważenia naturalnego porządku rzeczy. Niewolnictwa bronił Arystoteles, występuje ono jako norma w cywilizacjach opisywanych w Biblii i Koranie. Niewolnictwo dawało zyski i stanowiło jeden z filarów porządku społecznego. Komu miałyby przeszkadzać?

Niektórzy historycy wskazują, że niewolnictwo muzułmańskie było mniej okrutne niż zachodnie. Jest w tym ziarno prawdy. Prawo zakazywało bowiem muzułmanom wykorzystywania niewolnic w roli prostytutek i odłączania dzieci od matek. Teoretycznie nie wolno było brać niewolników na ziemi muzułmańskiej, choć przepis ten był często łamany. Wielu niewolników pracowało jednak po prostu jako służący w rodzinach swoich panów. Zwłaszcza kobietom, których wśród niewolników wywożonych z Afryki przez Arabów było więcej niż mężczyznom, dawało to realną szansę na przeżycie.

V.S. Naipaul pisze w książce *Zakręt rzeki*, dlaczego handel niewolnikami na wschodnim wybrzeżu Afryki utrzymywał się jeszcze długo po wprowadzeniu jego zakazu przez mocarstwa europejskie: „Niewolnicy albo ci, których można było uznać za niewolników, nie życzyli sobie wcale zmian. W domu mojej rodziny mieszkały dwie rodziny niewolników i były one z nami od co najmniej trzech pokoleń. Nie moglibyśmy im wyrządzić większej krzywdy, niż każąc im odejść. Oficjalnie byli to nasi służący. Ale chcieli, by wszyscy pamiętali – Afrykanie, biedni Arabowie i Hindusi – że naprawdę są niewolnikami. Nie dlatego, że ten fakt napawał ich dumą;



po prostu szczylic się specjalnymi związkami, jakie ich łączyły z tak poważaną rodziną. Z pogardą odnosili się do ludzi należących do rodzin mniej poważanych niż rodzina ich pana”<sup>[9]</sup>.

*Zakręt rzeki* pokazuje skomplikowany związek pana i jego emancypującego się niewolnika. Naipaul nie koloryzuje tej relacji, nie ucieka w sentymentalizm ani usprawiedliwianie Hindusów oraz Arabów utrzymujących niewolników i handlujących nimi. Takie zabiegi zostawia Europejczykom: „Nie kłamaliśmy, bo nigdy nie ocenialiśmy siebie i nie mieliśmy powodów, by kłamać; byliśmy ludźmi, którzy robili to, co do nich należało. Europejczycy jednak robili jedno, a mówili drugie; postępowali w taki sposób, bo kierowało nimi poczucie powinności wobec własnej cywilizacji. Na tym polegała ich wielka przewaga. Europejczycy szukali złota i niewolników jak wszyscy inni; lecz równocześnie chcieli wystawić sobie pomniki jako tym, którzy tyle dobrego zrobili dla niewolników”<sup>[10]</sup>.

Historycy niewolnictwa, tacy jak Bernard Lewis czy Adam Hochschild, są zgodni: służba domowa, nawet u okrutnego pana – Araba albo Hindusa na Zanzibarze, wschodnim wybrzeżu Afryki czy potem na Bliskim Wschodzie – była sielanką w porównaniu z horrorem, który stawał się udziałem niewolników pracujących na brytyjskich czy francuskich plantacjach trzciny cukrowej na Karaibach.

Jednak w wielu aspektach niewolnictwo arabskie było podobne do zachodniego. Arabowie, tak jak biali, palili wsie, mordowali opornych i gnali porwanych niewolników z wnętrza Afryki na wybrzeże. Wbrew mitom to nie na plantacjach i nawet nie na statkach podczas przepraw przez ocean, ale właśnie w trakcie tych morderczych marszów ginęła większość ofiar handlarzy niewolników. Jak intratny był to biznes, niech świadczy fakt, że nawet doprowadzenie na wybrzeże połowy porwanych opłacało się pośrednikom (głównie czarnym i Arabom) na tyle, by ciągle wracali po następnych.

Pytam Idrisa, co sądzi o spuściźnie niewolnictwa na Zanzibarze.

– Trzeba pamiętać, że Zanzibar nie był żadnym wyjątkiem na świecie – mówi. – Jeszcze na początku XIX wieku trzy czwarte wszystkich żyjących ludzi było w jakiś sposób pozbawionych swobody decydowania o własnym losie. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej? Ważne, że teraz na tej wyspie panuje pokój i wolność. My, muzułmanie, akceptujemy każdego: chrześcijanina, hinduistę, nie ma znaczenia, w jakiego Boga wierzysz.

Pytam, co sądzi na temat terroryzmu islamskiego.

– Ludzie mają prawo bronić swoich państw przed obcą okupacją – mówi. – Ale nie mogę zaakceptować sytuacji, w której muzułmanin opasuje się materiałem wybuchowym i wysadza samolot z niewinnymi ludźmi. My na Zanzibarze nie rozumiemy, o co chodzi takim muzułmanom.

\*

Wszystko się wala w nieładzie na ulicach, domy stoją bez okien, budynki – poza luksusowymi hotelami – są częściowo albo całkowicie zdewastowane. Gdzieś tam słynne zanzibarskie drzwi, precyzyjnie zdobione, niektóre odnowione – jak kwiat przyklejony do kożucha...

I w ten chaos wchodzi wibrujące życie: wszędzie handel, wszędzie ruch, ludzkie twarze, śmiech, okrzyki. Handel albo turystyka – to są jedyne źródła utrzymania na wyspie, zwłaszcza dla Swahili. Hindusi prowadzą małe sklepiki, jest trochę potomków Persów, ale rytm wyspie nadają czarni. Jest to rytm transowy, podobnie jak ich muzyka taarab. Luz, dystans do życia,

wielka akceptacja. Jest w tym coś ujmującego, zwłaszcza dla Europejczyka. Ale ta bierność to również ich przekleństwo, więzy, które pętają i nie pozwalają pokonać własnych ograniczeń.

– Ja nie znoszę tego miejsca – mówi mi Bachtin. – Najchętniej bym stąd wyjechał, bo tu nic nie da się zrobić. Wszędzie przeszkody, bałagan, narzekanie...

Jest tylko jedno wyjątkowe miejsce, gdzie panuje porządek – boisko piłkarskie. Oglądam mecz, w którym drużyna w biało-czerwonych koszulkach Arsenalu gra z drużyną w żółtych koszulkach Arsenalu. Pewnie to podróbki, ale wyglądają jak oryginalne. Tylko piłka lekko zdezelowana i boisko pełne dziur. Pytam dzieciaki o ulubionych graczy. Wymieniają znanych Anglików, Francuzów, pada nazwisko Kameruńczyka i Ghańczyka. Nic dziwnego – jeśli te dzieciaki oglądają jakiegokolwiek mecze, to jedynie angielskiej Premiership. Globalizacja futbolowa działa tu tylko w jedną stronę.

Pytam Idrisa, co sądzi o unii Zanzibaru z Tanzanią, jedynym działającym bez specjalnych zgrzytów związku narodów w Afryce.

– To nie przetrwa – mówi. – My jesteśmy odrębni, oni nie rozumieją naszych potrzeb.

Nie wiem do końca, czy mówi o odrębnościach między mieszkańcami Zanzibaru i Tanzanii, czy może między Arabami i czarnymi. Historia dwóch wspólnot pełna była okrucieństwa i konfliktów, a niewolnictwo stanowiło tylko pierwszą jej odsłonę.

W 1964 roku czarni wywołali powstanie przeciwko Arabom, zmuszając sułtana do opuszczenia wyspy. Rada Rewolucyjna pod kierunkiem lokalnego lidera Abeida Karume rozpoczęła prześladowania Arabów, zabierała im ziemię, skazywała na śmierć. Tysiące zmuszono do exodusu. Ofiarą dyskryminacji nowych władz zdominowanych przez czarnych padali też Persowie i Hindusi. Karume sprowadził na wyspę setki komunistycznych doradców z NRD, Chin i Związku Radzieckiego. Zachód bał się tych wpływów jak ognia, w Waszyngtonie realnie oceniano możliwość uczynienia z Zanzibaru drugiej Kuby – kolejnego satelity Moskwy. Na szczęście wybawieniem okazała się osoba nowego prezydenta niepodległej Tanganiki Juliusa Nyerere, który zaproponował połączenie Tanganiki z Zanzibarem i stworzenie unii o nazwie Tanzania. Karume przystał na to, choć nie zmienił polityki na wyspie i nie godził się na zbytne uzależnienie od metropolii. Nyerere próbował mitygować dyktatorskie zapędy Karume, ale pole manewru miał ograniczone – Zanzibar zawsze mógł przecież ogłosić secesję z unii albo przyłączyć się do Kenii, a tego w Dar es Salaam nikt nie chciał.

Karume rządził więc, jak chciał, terroryzował ludność przy pomocy policji politycznej, likwidował wewnętrzną opozycję, forsował dziwaczne pomysły gospodarcze. Wreszcie w 1972 roku został zastrzelony w zamachu.

Pytam Idrisa, dlaczego Zanzibar, bogata i atrakcyjna dla turystów wyspa, cierpi biedę.

– Przez socjalizm. I Karume, i Nyerere chcieli tu zbudować republikę socjalistyczną. Zamiast tego zasiali biedę.

Socjalizm to był pomysł ojca narodu – Mwalimu, „Nauczyciela”, jak się o nim mówi – Juliusa Nyerere. Nyerere do dziś uznawany jest za jednego z najwybitniejszych afrykańskich liderów. Wykształcony, uczciwy, nieskorumpowany, jasno wyrażający myśli. Na kontynencie rządzonym z reguły przez złodziei lub bandytów on bardziej przypominał moralistę albo księdza niż polityka.

Miał też pomysł na rozwój kraju, a pomysłem tym był właśnie socjalizm. Powszechna nacjonalizacja, przejęcie przez państwo nieruchomości, w zwłaszcza rodzima wersja kolektywizacji rolnictwa – to wszystko miało nadać nowej Tanzanii impuls rozwojowy. Realne skutki okazały się takie same jak wszędzie, gdzie wprowadzano w życie podobne pomysły.

Idea socjalistycznych kooperatyw wiejskich, *ujamaa*, zakładała zniesienie prywatnej własności ziemi na rzecz własności kolektywnej, czego skutkiem miał być wzrost zamożności i zanik nierówności między ludźmi. Wbrew oczekiwaniom władz i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem Tanzańczycy woleli jednak pracować na swoim, a nie kolektywnym. Naród nie garnął się do *ujamaa*, a ci, którzy wchodzili do nowego systemu, rujnowali produkcję rolną. Jak zwykle w takich wypadkach władze uznały, że socjalizm nie działa, bo jest go za mało, i postanowiły zmusić naród, by zrozumiał, co jest dla niego dobre.

W latach 1973–1977 11 milionów Tanzańczyków zostało przesiedlonych do potiomkinowskich wiosek działających według zasad *ujamaa*. Teoretycznie przesiedlenia odbywały się dobrowolnie, w wielu wypadkach udokumentowano jednak akty brutalności ze strony władz.

Skutki kolektywizacji były łatwe do przewidzenia: mimo że do 1979 roku 90% chłopów zamieszkało w wioskach *ujamaa*, wytwarzali oni zaledwie 5% całej produkcji rolnej Tanzanii.

Degradacja rolnictwa na Zanzibarze miała szczególnie groteskowy charakter. Każda rodzina dostała po 5 hektarów plantacji drzew goździkowych. Zbiory z trzech hektarów należało oddawać państwowemu monopolistom po ustalonej przez niego cenie, a resztą handlować do woli. Gdyby nie odejście od tych słusznych zasad na początku lat 90. – wkrótce po dobrowolnym, co trzeba podkreślić, oddaniu władzy przez Nyerere – Zanzibar mógłby zostać bez drzew goździkowych, tak jak Ukraina w latach 30. została bez ziemniaków. Niemniej Nyerere, ojciec niepodległości Tanzanii i Zanzibaru oraz twórca nowego państwa, ciągle cieszy się wielkim szacunkiem, zresztą nie tylko narodu. Episkopat Tanzanii walczy o wyniesienie byłego prezydenta na ołtarze. Równie dobrze można by walczyć o kanonizowanie Che Guevary albo Fidela Castro.

W końcu podobnie jak Fidel, również Nyerere dokonał znaczących zmian społecznych w swoim kraju. Za jego czasów prawie wszystkie dzieci poszły do szkół, wzrosła liczba osób umiejących czytać i pisać z 10% do 75%, a długość życia z 41 lat do 51 lat.

\*

Orkiestra Culture Musical Club daje koncert. To jedna z najlepszych orkiestr grających taarab. W tej muzyce zamyka się mozaika wpływów, którym podlegał Zanzibar od wielu wieków – arabskich, hinduskich, indonezyjskich i oczywiście naleciałości z kontynentu afrykańskiego. Efektem jest mieszanka wybuchowa, jakaś afrykańska wersja muzyki arabskiej.

Naprzeciwko mnie siedzi kilkunastu odświętnie ubranych mężczyzn: skrzypkowie, akordeoniści, fleciści, muzycy grający na tutejszych tradycyjnych instrumentach, na przykład na arabskiej lutni i bębenkach zwanych *ki-dumbak*. Z tyłu około 20 kobiet w różnym wieku.

Koncert się zaczyna. Gdy na scenę wchodzi wokalista, kobiety z sali wstają i zaczynają się kołysać w rytmie pieśni. Wygląda to niezwykle zmysłowo – muzułmanki w różnym wieku w hidżabach i przeraźliwie kolorowych bujnych (tak nazywają swoje szaty), z dłońmi i stopami pomalowanymi henną, tańczą w rytm taarab. A potem obsypują wokalistę pieniędzmi. Niektóre przyczepiają mu banknoty do czoła, inne po prostu wciskają mu je do rąk. A on śpiewa swoją miłosną poezję pełną metafor, ukrytych znaczeń i tajemnic.

\*

Habiba Marshed, dwudziestopięcioletnia Arabka, jest studentką i właścicielką sklepu z

papeterią. Pytam, co jest najważniejsze dla kobiety na Zanzibarze.

– Szacunek – odpowiada.

– A kiedy kobieta zyskuje szacunek?

– Kiedy jest odpowiednio ubrana: w hidżab i bujbuj. Wtedy obcy ludzie ją szanują.

– Co jest dla ciebie najważniejsze w życiu?

– Moja rodzina. Córka Nasreen, mój tata, moja mama, moja siostra i mój brat, mój mąż; to są najbliżsi mi ludzie. A druga najważniejsza rzecz to wykształcenie. Chcę skończyć studia i pracować w banku albo innej dużej prywatnej firmie. Nie lubię siedzieć beczynnie, zajmować się tylko domem, muszę pracować.

– A mąż nie ma nic przeciwko temu?

– On się bardzo cieszy, bo wie, że praca zawodowa daje mi radość. On mnie kocha i chce, żebym była szczęśliwa. Praca nie jest niczym niewłaściwym dla kobiety.

\*

Wracam z Zanzibaru promem do Dar. Na ekranie jakiś niesłychanie brutalny film, w którym jedni Afrykanie mordują innych. Strzelają do kobiet i dzieci, odcinają maczetami ręce i głowy. Może to DRK, może Sierra Leone. Myślę sobie, że bierność i apatyczny luz mieszkańców Zanzibaru ma swoje dobre strony. I zastanawiam się, czy Nyerere nie miał przypadkiem racji, gdy mówił, że wielopartyjna polityka nie pasuje do Afryki.

Julius Nyerere odziedziczył kraj złożony ze 120 grup etnicznych – każda ma swoją odrębną kulturę, niezrozumiałą, czasem nie do zaakceptowania dla innych. A jednak, oprócz okresowych tarć politycznych na Zanzibarze, przez całą swoją współczesną historię Tanzania wolna jest od sporów, zwłaszcza na tle etnicznym. Podczas gdy inni afrykańscy liderzy, choćby w sąsiedniej Kenii, regularnie podsycali napięcia plemienne, próbując ugrać na tym coś dla siebie i swoich wyborców, Nyerere schładzał temperaturę. Wprowadził jeden oficjalny język kiswahili, by różni mieszkańcy Tanzanii mogli się łatwo porozumiewać, zakazał jętrzenia politycznego na tle plemiennym. Ostatecznie zakazał jakiegokolwiek jętrzenia, wprowadzając system jednopartyjny.

Nyerere uważał, że polityka wielopartyjna jest dobra dla społeczeństw podzielonych klasowo, a w Afryce, gdzie nie ma klas, wprowadzenie tego typu systemu byłoby bezsensownym małpowaniem Zachodu. To ostatecznie kierowało „Nauczyciela” ku jedynie słusznemu wnioskowi, że prawdziwą demokrację i pokój w Afryce zapewnić może system jednopartyjny, co najwyżej z wyborami wewnętrznymi w łonie partii władzy.

Nyerere znacznie różnił się od okrutnych dyktatorów afrykańskich. Nawet w okresie kolektywizacji unikał prześladowań na dużą skalę, nie kradł pieniędzy publicznych i – co najważniejsze – oddał władzę dobrowolnie. Jednak tworząc podstawy teoretyczne dla systemu jednopartyjnego, dawał legitymację systemom, które przez lata niszczyły Afrykę i niszczą ją do dziś.

Z reguły bowiem wprowadzanie systemu jednopartyjnego kończy się w Afryce tworzeniem dyktatury, dyskryminacją inaczej myślących i budowaniem systemu państwowej kontroli nad każdą sferą życia, zwłaszcza nad korzystaniem z surowców naturalnych i bogactw rolnych. W niemal wszystkich krajach afrykańskich wyzwolonych z kolonializmu w pewnym momencie państwo przejmowało rolę głównego pracodawcy i rozdawcy stanowisk gwarantujących swoim podopiecznym pomyślne życie. Istotą działalności politycznej w systemie jednopartyjnym stało się zajęcie jak najwyższego miejsca w hierarchii państwowego patronatu i dysponowanie

przywilejami wśród funkcjonariuszy systemu – zwykle spowinowaconych z prezydentem i jego ministrami. Stanowisko ministerialne czy nawet urzędnicze gwarantowało zyski, o jakich w rozwiniętych systemach wielopartyjnych, gdzie władza poddana jest okresowej ocenie wyborców, nikt nie mógł myśleć.

Zasługą Nyerere jest to, że udało mu się ocalić tak skomplikowany etnicznie kraj jak Tanzania przed wojnami domowymi. Jego niefortunnym dziedzictwem zaś to, że dziesiątkom afrykańskich dyktatorów dostarczył ideowego usprawiedliwienia – zamordyzm wprowadzali „w interesie Afryki” i z poszanowaniem jej „odrębności kulturowej”.

\*

**Czarny kamień.** Nikt nie wie dokładnie, o co z nim chodzi. To jakaś mieszanka żywic, która wygląda jak kawałek kory. Gdy ukąsi cię skorpion albo wąż, musisz obwiązać ranę, tak by zatamować krwawienie, a potem przyłożyć na nią ten kamień. Wyciąga jad. Nie trzeba go trzymać, bo sam się przyssie, potem też sam odpada. To jest kamień wielokrotnego użytku, po jednym razie wystarczy włożyć go do szklanki z mlekiem na kilka godzin i jest jak nowy. Nikt nie wie, jak to działa, podobno recepturę na tę mieszankę żywic wynaleźli czarownicy z Konga, ale w Tanzanii też można go kupić, rozprawdzają go misjonarze benedyktyni.

Dowiaduję się tego wszystkiego od polskich i tanzańskich salwatorów w Morogoro, 200 kilometrów na zachód od Dar es Salaam. Jest tu prowadzony przez zakon Instytut Filozoficzno-Teologicznego, w którym kształcą się kilkuset studentów z wielu krajów afrykańskich.

Jemy pizzę w restauracji prowadzonej przez Brazylijczyka, inżyniera z pobliskiej plantacji tytoniu. Miesiąc temu do jego knajpy wpadło kilku bandytów, zabili strażnika, zranili maczetami kilku gości i okradli wszystkich ze wszystkiego. Policja przyjechała następnego dnia z Dar es Salaam i szybko znaleziono sprawców. Dziś przy bramce stoi żołnierz, białe dzieci grają w piłkę na małym boisku obok restauracji, a pod drzewem plotkują dziewczynki. Atmosfera jak w kolonialnym klubie z *Pożegnania z Afryką*.

Dowiaduję się, że większość misjonarzy nosi czarne kamienie przy sobie, zwłaszcza jeśli pracują w buszu. Jadąc do buszu, trzeba wziąć z sobą dwie rzeczy: nóż i czarny kamień. Poza tym nic nie potrzeba, bo w buszu i tak nic nie ma. Nie ma prądu, nie ma bieżącej wody, nie ma telefonów ani sklepów.

Ksiądz Gabriel, ekonom zgromadzenia, uważa, że najlepsze trucizny są z woreczka żółciowego tutejszych gawronów i krokodyli. Ściera się taki wysuszony woreczek na proszek, potem miesza z odrobiną wody. Wystarczy zamoczyć palec w truciźnie, potem w piwie i podać to piwo wrogowi.

– Kiedyś spotkałem dziewczynkę w buszu. Pytam: „gdzie twój ojciec?”. A ona mówi: „otruli go, proszę księdza, jak pił piwo”. Właśnie taką trucizną go otruli – wyjaśnia ksiądz. – Dlatego gdy ludzie upolują krokodyla, pierwsza rzecz, jaką robią, to patroszą go z wnętrzości i palą je. Żeby nikogo nie korciło.

Pytam, czy do wsi często podchodzą dzikie zwierzęta.

– Tylko stare lwy niemające siły polować – mówi ksiądz Marek. – Czasem lwice, gdy urodzą niedaleko i zależy im na szybkim zdobyciu pożywienia. – Opowiada historię o dziewczynce, którą porwała lwica, rozszarpała i połowę dziecka zjadła. – Ludzie we wsi postanowili zastawić na lwicę pułapkę. Położyli to, co z dziewczynki zostało pod drzewem, przymocowali do zwłok sznurek i zaczęli o cyngiel strzelby. Lwica wróciła, bo one zawsze wracają tam, gdzie coś

zjadły i zostawiły resztki – wyjaśnia. – Wróciła i sama palnęła sobie w łeb z tej strzelby.

\*

Mrok buszu, potem ciemność – barbarzyństwo, światy obce, których znać nie chcemy, bo budzą grozę. Dudniący bęben, pomalowane twarze, szaleńczy taniec, lew czający się w buszu – intensywność życia i śmierci ponad naszą miarę. Boimy się takiej Afryki, więc oswajamy ją: w wioskach fotografujemy scenki rodzajowe, gotowanie i zabawy dzieci, tańce i rytuały opisujemy w języku etnografów, a lwy oglądamy na safari. Bezpieczna, mdła Afryka, nasze wakacyjne marzenie.

\*

W Dar es Salaam poznaję inną Tanzanię. Rehema jest urzędniczką ministerstwa. W kraju, w którym ludzie żyją średnio za 3 dolary na dzień, ona zarabia wystarczająco dużo, by wysłać dwójkę swoich dzieci do prywatnych szkół, w których chesne wynosi 3 tysiące dolarów rocznie. Dla Tanzańczyka jedyną pewną szansą zarobienia pieniędzy jest praca dla rządu. Teoretycznie od połowy lat 90. Tanzania odeszła od systemu jednopartyjnego, ale jakoś wszystkie wybory wygrywa ciągle ta sama Partia Rewolucji. Kontestowanie jej nie ma więc specjalnego sensu, jeśli ktoś chce wykształcić dzieci i żyć na takim poziomie. Wręcz przeciwnie, Rehema podkreśla co chwila, jak wybitnym prezydentem jest Jakaya Kikwete i jak wielkie ma zasługi dla rozwoju kraju. Faktem jest, że gospodarka rozwija się w tempie 7% rocznie, wszędzie widać nowe budowy, zwłaszcza na drogach, które – jak na afrykańskie standardy – i tak nie są tu najgorsze. Nie widać natomiast policji politycznej wykształconej jeszcze w latach rządów „Nauczyciela” przez Stasi. Trzyma się ona w kształcie niezmiennym od lat 70.

\*

Po przegranym przez Tanzanię meczu piłkarskim z Mozambikiem artykuł redakcyjny w jednej z gazet: „Mecz co prawda przegraliśmy i nie pojedziemy na finały mistrzostw Afryki, ale dla kibiców największym prezentem ze strony władz było zbudowanie nowego supernowoczesnego stadionu w Dar es Salaam. Pokazuje to, jak bardzo naszym władzom zależy na rozwoju sportu w Tanzanii”.

\*

Jadę *dala dala*, czyli zdezelowanym miniwanem – tego typu samochody służą tu do transportu publicznego – z Dar es Salaam do Bagamoyo, miasteczka nad Oceanem Indyjskim. Prawie wszystkie wozy to stare toyoty. Jako mzungu, czyli biały, zostaję posadzony na honorowym miejscu obok kierowcy. Po kilku minutach żałuję, że się zgodziłem. Mam co prawda więcej miejsca na nogi, ale muszę patrzeć z najbliższej odległości na wyczyny naszego mistrza kierownicy. W samochodzie nie działa żaden wskaźnik, licznik paliwa pokazuje, że w miarę upływu jazdy benzyny przybywa, zamiast ubywać. Nasza *dala dala* pruje jednopasmówką około 120 kilometrów na godzinę, trzęsąc się niemiłosiernie. Kierowca co chwila wykonuje jakieś gesty do nadjeżdżających z przeciwka kolegów, krzyczy do nich, z niektórymi prowadzi nawet rozwrzeszczany dialog, mimo że po minięciu są już kilkaset metrów za nami. Wyprzedza pod górę i na trzeciego – aby skuteczniej wymusić pierwszeństwo. Trąbi cały czas. Trąbi na pasażerów stojących na przystanku, by szybciej wsiadali. Trąbi na rowerzystów, którzy jeżdżą tu

dwójkami albo trójkami obok siebie. I trąbi na swoich kolegów. Oni odtrąbiają. W ogóle wygląda na to, że nikt nie ma nic przeciwko temu trąbieniu.

Jakiś pasażer nie wytrzymuje i robi awanturę kierowcy, że ten za szybko jedzie. Kierowca najpierw kłóci się z pasażerem, a potem obraża się i jedzie 40 kilometrów na godzinę. Ustawia się za traktorem i ślimaczy 20 na godzinę, bo mamy pod górę. Zastanawiam się, kiedy pęknie. Nie wytrzymuje po jakichś 5 minutach. Coś mruczy pod nosem i przyspiesza. Pasażer nie protestuje, a ja marzę, byśmy już wreszcie dojechali.

Z Bagamoyo do Dar również wracam *dala dala*, ale tym razem prowadzi muzułmanin – samochód jest pomalowany w półksiężycy i slogany o Allahu. Bardzo przyjemnie się jedzie, podobno muzułmanie nie szaleją na drogach tak jak chrześcijanie.

\*

Droga do Mikumi biegnie tuż obok parku narodowego. Zwierzęta nie wiedzą, że nie powinny wystawiać się na widok turystów za darmo, więc chodzą sobie wzdłuż tej drogi, a czasem po niej. Wałęsają się – tak jak u nas psy – żyrafy, małpy i zebry. Czasem, przy wyjątkowym szczęściu, można się natknąć na siedzącą pośrodku asfaltowej drogi lwicę. Najbardziej niebezpieczne są jednak słonie. Znajomy opowiada, jak kiedyś wpadł słoniowi samochodem między nogi. Słoń upadł, wstał, zaryczał i uciekł do lasu. A wóz – do poważnego remontu. I tak dobrze, że zwierzęciu nic się nie stało, bo za zabicie słonia kara wynosi kilka tysięcy dolarów.

\*

Dolina rzeki Kilombero to najbardziej malaryczne miejsce na świecie. Co roku przeciętny mieszkaniec doznaje tu średnio 1000 zakaźnych ukąszeń komara. Żyzna, zielona, dobrze nawodniona ziemia doskonale nadająca się pod uprawy, zwłaszcza ryżu. Od zachodu przyczepiony do gór Udzungwa las dający mnóstwo owoców. Idealna wylęgarnia komarów, również tych dwóch szczególnego typu, które przenoszą malarię i żyją w Tanzanii. Jedziemy bitą drogą na południe od Mikumi i mijamy jedną wielką wieś: gliniane i drewniane chatynki ciągną się wzdłuż drogi przez jakieś 100 kilometrów. Prawdziwe święto dla ich mieszkańców zdarza się, gdy jakiś samochód zakopie się albo – jeszcze lepiej – autobus pełen ludzi zepsuje się i zatarasuje drogę. Wszyscy muszą stać i czekać, czasem parę godzin, czasem parę dni, a ludzie tylko donoszą jedzenie. Pasażer wyboru nie ma – co najwyżej można nie jeść i nie pić.

Do szpitala w Ifakarze, mieście w centrum doliny, przyjmuje się rocznie 100 tysięcy ludzi, z czego około 70 tysięcy to chorzy na malarię. Umiera 50 tysięcy z nich. Na całym świecie rocznie na malarię umiera ponad milion ludzi, w tym 90% w Afryce tropikalnej. Najbardziej narażone są dzieci do lat 5 i kobiety w ciąży.

Biolog Joseph Pascal Mugasa pracuje w Instytucie Zdrowia w Ifakarze. Pytam go, kiedy zostanie wynaleziona szczepionka na malarię.

– Myślę, że w ciągu 20 lat to się uda.

– Czyli za jakieś 20–25 milionów istnień ludzkich?

– No, nie – Pascal protestuje – statystyki pokazują, że z roku na rok umiera mniej ludzi. Ale to jest choroba biednych, więc wielkie firmy farmaceutyczne nie są zainteresowane pracami nad szczepionką na malarię. Kto miałby za to zapłacić?

Pascal sam chorował jakieś 20 razy, inni moi znajomi z Tanzanii mówią, że chorują czasem po

kilka razy w roku. Ważne, żeby chorobę wcześniej wykryć, poza tym podobno można się przyzwyczaić. Tak jak do łysiny. Z tym że sposób na zapobieżenie łysieniu chyba zostanie wynaleziony wcześniej.

Pytam Pascala Mugasę, co sądzi na temat pomocy medycznej udzielanej Afryce przez Zachód.

– Nawet na Zachodzie ludzie zorientowali się, że przeznaczanie wszystkich środków na walkę z AIDS jest złym wyborem. Dziś większość krajów afrykańskich ma stabilny poziom zachorowań na AIDS wynoszący poniżej 3%. Najwięcej ludzi w Afryce umiera na malarię, biegunkę, zapalenie płuc. To są łatwo uleczalne choroby, pod warunkiem że lekarz ma środki. A u nas środki przeznaczane są głównie dla ofiar AIDS. Szpitale nie mają pieniędzy nawet na ratowanie ofiar wypadków drogowych, nie mówiąc o leczeniu nadciśnienia czy udarów, których jest tu coraz więcej. Ostatnio spotkałem we wsi kobietę chorą na cukrzycę, która powiedziała mi, że chciałaby mieć HIV, bo lekarstwa na AIDS są za darmo, a za insulinę musi płacić i jej na nią nie stać. Mamy wspaniałe kliniki dla zarażonych wirusem HIV i dla chorych na AIDS i nędzę w innych dziedzinach ochrony zdrowia. To nie jest dobre.

\*

Stary ksiądz Hieronim, który spędził w buszu 40 lat, musi wracać do Polski. Jego zgromadzenie odmawia płacenia kosztów leczenia w przypadku choroby i sugeruje powrót do kraju, do domu starców dla zakonników. Właściwie ma wybór – może zostać w buszu, ale gdy zachoruje, będzie mógł polegać wyłącznie na sobie. Nikt nie będzie go ratował, bo w buszu nie ma pieniędzy na lekarza ani na benzynę, by zawieźć chorego do szpitala. Gdy ktoś ma umrzeć, to umiera, i koniec sprawy. Tak też będzie, jeśli zostanie: do końca będzie żył tak jak miejscowi, czyli dokładnie tak samo jak przez ostatnie czterdzieści lat.

– Przez ten cały czas żyłem tak jak oni – mówi ksiądz Hieronim. – Codziennie budziłem się tak jak oni, o szóstej rano. Jeśli miałem coś do zjedzenia, to jadłem, jeśli nie, to szedłem od razu na godzinę w pole i tam pracowałem. Różne rzeczy tam uprawiamy: ryż, kukurydzę, proso, zależnie od pory roku. To taka nasza baza utrzymania. Nadwyżki sprzedajemy, a pieniądze idą na najpilniejsze potrzeby w buszu: sól, naftę, no i mydło. A poza tym, Bogu dzięki, żyjemy i cieszymy się z tego, co mamy.

Pytam, czy ludzie z plemienia, którym się opiekuje, są zadowoleni z życia.

– Jeśli mają sól, naftę i mydło, jeśli kobiety rodzą i nie ma wojny, to są zadowoleni. Oni nie wiedzą, że może być inaczej. U mnie w wiosce są setki ludzi, którzy nigdy nie mieli na nogach obuwia, nigdy nie przespali nawet jednej nocy w łóżku, zawsze na ziemi albo na bambusach. Nigdy nie wyjechali ze swojej wioski.

– Czy ksiądz ich żałuje?

– Nikogo ani niczego nie żałuję, bo oni nie potrzebują naszego żalu. Tylko chorych dzieci żałuję, które czasem mi przynoszą, a ja nie umiem im pomóc, bo nie mam pieniędzy na benzynę, żeby zawieźć takie dziecko do szpitala. Więc trzeba zaakceptować to cierpienie, potem śmierć. Przynoszą mi kobietę, która nie może urodzić przez trzy dni. W szpitalu by ją uratowali, ale na dojazd potrzeba 50 dolarów. Ja nie mam, oni też nie. Patrzę na to i płaczę, tak jak oni. W kiswahili jest takie powiedzenie: „wszystko wie Bóg i Bóg jest”. I my w to wierzymy.

Siedzimy przy piwie w barze w Dar es Salaam, dwaj ludzie z obcych światów – tylko język nas łączy i wspólne symbole kraju na drugim końcu globu.

– Martwię się, czy ja w ogóle się odnajdę w tej nowej Polsce – mówi smutnym głosem ksiądz



Hieronim. – Jak pan myśli?

---

[9] V.S. Naipaul, *Zakręt rzeki*, tłum. Maria Zborowska, Warszawa 2002, s. 27.

[10] Tamże, s. 32

## Republika Południowej Afryki: świat posegregowany

To dziwne, w samolocie z Amsterdamu do Kapsztadu nie ma ani jednej czarnej osoby, przynajmniej tak mi się wydaje. Niby lecimy do Afryki, a nie ma czarnych. Sami biali.

Jakże się myślę... Jeszcze nie wiem, że każdy z tych kilkuset pasażerów należy do jednej z czterech grup rasowych, z których każda ma swoje miejsce w hierarchii społecznej. Gdy przylecą do Kapsztadu, z normalnych ludzi zmieniają się w białych, koloredów, Azjatów lub czarnych (w końcu znalazłem jedną czarnoskórą kobietę – siedziała na końcu samolotu). Biali – wiadomo, są biali. Zaczynam rozmowę z jednym białym, który twierdzi, że jest koloredem.

– Mój ojciec pochodził z Liverpoolu, przodkowie mojej matki byli pewnie niewolnikami przywiezionymi w XVIII wieku przez Holendrów do Prowincji Przylądkowej Zachodniej gdzieś z Azji, więc ja jestem koloredem.

– Ale przecież ty masz bielszą skórę niż ja – protestuję.

– Nie szkodzi, i tak jestem koloredem.

Hindusi są Azjatami, lecz Japończycy, Koreańczycy i Chińczycy są biali. A konkretnie za czasów apartheidu mieli status „białych honorowych”, co im zostało do dziś. Z tym że jeśli chodzi o Chińczyków, to nie wszyscy są biali. Białymi są tylko Chińczycy z Tajwanu (w nagrodę za to, że Tajwan utrzymywał stosunki z rasistowską RPA), a Chińczycy z Chin są koloredami. Co powoduje zresztą spore kontrowersje.

W połowie 2008 roku Chińczycy z Chin zaczęli gwałtownie domagać się uznania za koloredów po to, by móc skorzystać z dobrodziejstw programów pozytywnej dyskryminacji, które wprowadzono w RPA po pierwszych wyborach demokratycznych w 1994 roku. Skoro wcześniej byli traktowani jak koloredzi, to teraz, w czasach kiedy rasa się nie liczy, też tak chcą, bo się opląca.

Na to gwałtownie zareagowali czarni, którzy uważają, poniekąd słusznie, że to oni byli głównymi dyskryminowanymi w czasach apartheidu, a żółci byli traktowani jak biali, choć jak wspomniałem wcześniej, nie wszyscy. To zatem czarnym, według czarnych, a nie żółtym, którzy byli białymi, należą się zasiłki, ułatwienia w przyjmowaniu na studia i do pracy, w obsadzaniu stanowisk publicznych i inne dobrodziejstwa programu planowej i słusznej transformacji społeczeństwa. Ostatecznie sprawa trafiła do sądu, który przyznał Chińczykom status koloredów – ale nie wszystkim, tylko tym, którzy mieszkali w kraju przed 1994 rokiem, czyli 12 tysiącom na jakieś 200 tysięcy mieszkających dziś w RPA (po obaleniu apartheidu Chińczycy masowo emigrowali do RPA). Oczywiście status honorowy, czyli Chińczycy z „honorowych białych” zmienili się w „honorowych koloredów”, a zatem jednak trochę na zniesieniu apartheidu skorzystali.

Status jest honorowy, a całe moje dotychczasowe dywagacje są czysto teoretyczne, bo dziś w Republice Południowej Afryki nie ma apartheidu, podziału na rasy ani żadnej dyskryminacji.

Chyba że białych, którzy czują się obecnie upośledzeni, bo wszystkie środki pomocy publicznej idą na Black Economic Empowerment, co można przetłumaczyć jako „uwłaszczenie” albo „upodmiotowienie” czarnych. Tak uważają tylko niektórzy z białych, bo to myślenie politycznie niepoprawne, jednak ciągle popularne, zwłaszcza wśród potomków Burów, którzy w połowie XVII wieku zaczęli się osiedlać w okolicach dzisiejszego Kapsztadu i stąd zaczęli ekspansję na południu Afryki.



Kolonia pingwinów w Simon's Town

\*

– Apartheid był okropnym, niesprawiedliwym systemem – mówi mi Lisa Fagen, studentka technologii żywienia na Uniwersytecie Stellenbosch pod Kapsztadem. Biała. – Tylko że skończył się 15 lat temu i nie rozumiem, dlaczego ciągle mamy za niego płacić. Poza tym RPA nigdy nie byłaby tym krajem, którym jest obecnie, gdyby nie apartheid. To przecież wtedy powstała cała infrastruktura, przemysł, biznes, cała nasza potęga. Oczywiście większość mieszkańców była pozbawiona możliwości normalnego rozwoju, ale to się zmieniło. Dziś wszyscy mamy równe prawa.

Jej koleżanka Anke Sterman (biała), szefowa Zrzeszenia Studentów w Stellenbosch, opowiada mi o dziewczynie, którą ojciec wyrzucił z domu za to, że znalazła sobie czarnego chłopaka. Nie 15 lat temu, tylko przed 3 miesiącami.

– No to może – pytam – jednak nie wszystko się zmieniło? Dlaczego ciągle o sobie myślicie jak o oddzielnych typach ludzkich? Czy Portugalczyk, który tutaj przyjedzie, będzie białym czy może koloredem? A Cygan z Andaluzji? Będzie Hindusem czy może honorowym białym? I kim, u licha, jest dla was Barack Obama?

– Och, on oczywiście jest czarny, przecież jego ojciec pochodzi z Afryki – mówi mi Patrick (czarny), Zulus z KwaZulu-Natal, który w Stellenbosch studiuje na jedynym w Afryce wydziale biotechnologii wina.

– To wspaniale – mówię – na pewno będziesz chciał założyć własną winnicę w okolicach Stellenbosch.

To tutaj, w okolicach Stellenbosch, produkowane jest najlepsze wino w Afryce. Niektóre winnice należą do czarnych.

– Nie, w ogóle o tym nie myślę – mówi Patrick. – Chcę zostać jak najdłużej na uniwersytecie i

przewodzą badania nad właściwościami drożdży.

\*

Południowa Afryka, *The Rainbow Nation* – wszystkie odcienie ludzkiej skóry połączone w jedną wspaniałą tęczę. Tak przynajmniej chcieliby o sobie myśleć mieszkańcy tej ziemi. Potomkowie Burów i Zulusów, Hindusów i niewolników z Malezji, żydzi, chrześcijanie, animiści, muzułmanie. Najlepiej rozwinięte państwo afrykańskie, ze sprawnie działającymi instytucjami demokratycznymi, ze wspaniałym systemem dróg i autostrad, porządnie funkcjonującymi służbami publicznymi, edukacją, służbą zdrowia, mediami. I mieszkańcami, którzy ciągle dzielą samych siebie według kategorii z czasów, do których nikt nie tęskni. A może tylko nikt się do tej tęsknoty nie przyznaje.

To w Stellenbosch powstała ideologia apartheidu, to tu „genetycy myś li” – odgradzeni górami i morzem od świata normalnych ludzi – wypracowali jedne z najbardziej dziwacznych pomysłów dzielenia osób ze względu na kolor ich skóry, na przykład zamykanie czarnych i koloredów w *townships*, czyli rezerwach, gdzie byłoby samowystarczalni, albo podział na cztery kategorie rasowe, o których pisałem wcześniej. Być może ten podział znikł z prawodawstwa, ale w mentalności Południowych Afrykanów utrzymuje się do dziś.

– Afrykanerzy uznali, że skoro oni posiadają odrębność etniczną, to każdy powinien ją posiadać, bo ta odrębność jest czymś z natury dobrym – mówi mi profesor Albert Grundlingh (Afrykaner), dziekan wydziału historii w Stellenbosch. – Z tego podziału wynikało przyznanie poszczególnym grupom odpowiedniego miejsca w hierarchii, na górze której stali oczywiście biali Afrykanerzy.

W 1990 roku uniwersytet zaczął się zmieniać, przyjmować czarnych, nawet promować ich obecność poprzez akcję afirmatywną. To przynosi skutki. Dziś czarni to ponad 20% studentów, choć – jak mówi mi dziekan ds. studenckich Llewellyn MacMaster (czarny) – „jeszcze kilkanaście lat temu te dzieciaki zostałyby uznane za kolaborantów systemu”.

– Do dziś niektórzy czarni nie chcą słyszeć o studiowaniu w Stellenbosch – zaznacza dziekan. – Faktem jest też, że wielu nie czuje się na siłach od strony czysto akademickiej, uważa bowiem, że nie podoła. Dlatego, moim zdaniem, nie ma nic złego w ułatwianiu im przyjęcia do szkoły, otaczaniu większą opieką.

Khatler Rhomatide (czarny, a może kolored, nie rozpoznaję – w każdym razie koloredów jest w Stellenbosch jeszcze mniej niż czarnych), studiuje zarządzanie.

– Uwierz mi, przyjechałem tu, uciekając z Pretorii, z której pochodzę, a historia Stellenbosch była dla mnie magnesem, a nie przeszkodą. Koledzy mówili mi: to jest rasistowski uniwersytet, będziesz się źle tam czuł, nie znajdziesz przyjaciół. Ale my przecież żyjemy z demokratycznym krajem, mamy prawo studiować, gdzie chcemy, więc dlaczego mam z niego nie skorzystać? I czuję się tu dobrze. Każdy się tu dobrze czuje, chyba że obsesyjnie szuka rasizmu. Bo im więcej o tym myślisz, tym łatwiej ci się to przydarzy. Lepiej się wyluzować, po prostu być...

Zerene Haddad, studentka z Zimbabwe (koloredka), sprowadziła się do Kapsztadu z rodzicami w 2004 roku, gdy życie w kraju rządzone przez Mugabe było już nie do zniesienia. Pytam Zerene, jakie jest jej najważniejsze doświadczenie związane z RPA.

– Najważniejsze jest to, że w tym kraju ludzie najpierw widzą rasę, a potem osobę.

– Jak się z tym czujesz?

– To budzi we mnie gniew, ogromny gniew. Bo to oznacza, że im się nawet nie chce ciebie

poznać, że traktują cię jak kogoś, kto nie ma innych cech poza kolorem skóry. Ja na przykład jestem tutaj uznawana za koloredkę, ale równocześnie wszyscy widzą, że w zasadzie jestem biała, więc na początek zakładają, że jestem Afrykanerką. A ja nie znam afrikaans, oni nawet nie wiedzą, że biali w Zimbabwe nie mówią afrikaans. Nie znam, nie chcę znać. Niektórzy nie uważają mnie za białą, tylko za Hinduskę, bo mam jednak trochę ciemną cerę. Ci od razu zakładają, że jestem z Durbanu, bo stamtąd pochodzi większość tutejszych Hindusów. A ja nie pochodzę z Durbanu, nie jestem hinduską, nie jestem też muzułmanką. Jestem z Zimbabwe. I żeby było jasne, wszystkie te ich rasy: czarni, Hindusi, koloredzi, mają dokładnie tak samo rasistowskie podejście do innych jak biali, oni też ciągle żyją w świecie dokładnie posegregowanym, w którym kolor skóry definiuje człowieka. Ja w tym kraju wciąż muszę dowodzić, że nie jestem tym, za kogo mnie biorą. I myślę, że może wreszcie nadszedł czas, by ludzie w Południowej Afryce zaczęli po prostu traktować się jak ludzie. Normalnie. Wszyscy dobrze by na tym wyszli.

\*

Domy w Kapsztadzie dzielą się na takie, które przypominają fortece, i takie, które wyglądają raczej jak więzienia. Te pierwsze otoczone są wysokim, czasem nawet ładnie otynkowanym murem, niekiedy zdobionym kamieniami, których jest tutaj pod dostatkiem. Zwolennicy więziennego minimalizmu zadowolają się szarym murem i drutem kolczastym na górze. Albo przewodami pod napięciem. Albo i jednym, i drugim. Na większości domów ostrzeżenia skierowane do złodziei: „*Armed Response*”. Zwykle w kilka minut po włączeniu alarmu albo *panic button*, czyli wezwania o pomoc, przyjeżdża uzbrojony oddział ochroniarzy i czyści teren.

Złodzieje są wszędzie. Każdy albo sam przeżył, albo zna kogoś, kto przeżył napad z bronią w ręku. W domu, w którym mieszkam, do napadu doszło w maju ubiegłego roku. Gospodyni opowiada mi, jak oddawała złodziejom po kolei wszystkie kosztowności, cały sprzęt elektroniczny – wszystko, co mogło zaspokoić ich chciwość. Na szczęście odeszli, nikomu nie robiąc krzywdy.

Lisa Fagen, studentka ze Stellenbosch, opowiada mi o farmie pod miastem, gdzie mieszka ze swoimi rodzicami, która była okradana regularnie co miesiąc przez kilka lat.

– Parę miesięcy temu kupiliśmy dziewięć rottweilerów i trochę się uspokoiło – wyjaśnia.

Kapsztad jest znacznie bezpieczniejszy od Johannesburga. Tam regularnie dochodzi do napadów w biały dzień. Wśród johannesburskich gangów popularnością cieszy się rytuał o nazwie *Kill a Tourist Day*. Młody adept dostaje spluwę i ma pokazać, że nadaje się do grupy. Kilku chłopaków wsiada do wozu, jeździ ulicami, upatruje ofiarę, a „nowy” ma ją odstrzelić. Więc strzela. Na kogo popadnie, na tego bęc.

To jednak są morderstwa egzotyczne. Zwykle zabija się dla pieniędzy. Wówczas nie ma specjalnego znaczenia, jaką masz skórę. Liczy się twój samochód i portfel – jeśli oddasz je na czas, jest szansa, że uratujesz życie.

Podczas mojego pobytu w RPA trwa proces zabójców jednego z najpopularniejszych muzyków afrykańskich. W październiku 2007 roku Lucky Dube zatrzymał się na stacji benzynowej w Johannesburgu. Do jego chryslera 300C podeszło kilku napastników. Nie chciał oddać kluczyków, więc go zastrzelili. Takie morderstwa robią wrażenie – czarny artysta znany na całym świecie, uwielbiany w kraju. Dlaczego zginął?

Dlatego że w RPA każdy może zginąć, jeśli trafi w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednie miejsce.

– Skąd ta przemoc? – Pytam o to doktora Carla Niehaus (biały), posła i rzecznika Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), partii rządzącej krajem od 1994 roku, reprezentującej głównie czarnych.

– To zawsze było społeczeństwo pełne przemocy. Najpierw bili się tu między sobą miejscowe plemiona, potem przyszli Burowie i bili się z czarnymi o ziemię, potem przyszli Anglicy i bili się z Burami. Później nastął apartheid, a to był system, w którym przemoc została zinstytucjonalizowana. Bicie, upokarzanie czarnych, pogromy, lincze czarnych dla rozrywki przy niedzielnym grillu, takie zachowania białych były na porządku dziennym i większości białych nie przeszkadzały. Czarni w odwecie mordowali białych i gwałcili białe kobiety. Zresztą równie krwawą formę potrafiły przybierać spory między poszczególnymi plemionami, a potem partiami politycznymi reprezentującymi czarnych czy koloredów. Na przełomie lat 80. i 90. przemoc w takich prowincja jak KwaZulu-Natal była po prostu sposobem życia. Przed wyborami w 1994 roku za odmienne poglądy polityczne można było zostać spalonym żywcem. I z tej mentalności nie jest tak łatwo się wyzwolić. Do tego dochodzi przemoc wynikająca z biedy, tu jest 40% bezrobotnych, i poczucia wykluczenia. Nie zapominajmy, że w kraju jest dziś około 10 milionów uchodźców z innych krajów afrykańskich. Nie twierdzę, że to Zimbabweńczycy czy Somalijczycy są winni przemocy, ale ich obecność na pewno podwyższa napięcie społeczne.

– Niektórzy biali opowiadają, że ten kraj znajduje się w stanie wojny domowej, do której nikt nie chce się przyznać – mówię. – Czarni zabijają białych, a wasza partia patrzy na to przez palce.

– Jedyne problem z tym argumentem jest taki, że to głównie czarni padają ofiarą ataków.

– Bo jest ich więcej w kraju.

– No dobrze, ale w takim razie na czym miałyby polegać ta wojna? Tak się składa, że czarnych jest tu 39 milionów, białych jakieś 5 milionów, reszta, pozostałe 5 milionów, to koloredzi i Azjaci, lecz to biali i częściowo Azjaci mają w ręku większość ziemi, domów i bogactwa.

– I boją się, że je tracą. Czy zamierzacie siłą zabierać ziemię białym, jak to zrobił Mugabe w Zimbabwe?

– Afrykański Kongres Narodowy jest partią demokratyczną szanującą konstytucję. Tutaj nie będzie takich grabieży gospodarstw jak w Zimbabwe...

Już myślałem, że skończyliśmy ten temat, ale doktor Niehaus kontynuuje.

– ... natomiast nie wykluczamy sytuacji, że jeśli jakaś czarna wspólnota dowiedzie, iż przed wielu laty zabrano jej ziemię siłą, to nowi właściciele będą musieli ją oddać.

– To znaczy, że będziecie zabierać białym to, co ich przodkowie zabrali czarnym 400 lat temu?

– Niekoniecznie. Był pan w District Six?

Byłem. Szósta Dzielnica Kapsztadu to osiedla robotnicze zamieszkane kiedyś przez czarnych oraz potomków niewolników z Malezji przywiezionych do Kapsztadu w czasach, gdy kolonią kierowała holenderska Kompania Wschodnioindyjska. Za czasów apartheidu władze uznały dzielnicę za slums i postanowiły wysiedlić mieszkańców, by zrobić w niej miejsce dla białych. Od 1966 roku prawowici właściciele ziemi w Dzielnicy Szóstej byli eksmitowani, ich domy wyburzane, cała okolica modernizowana i zasiedlana białymi. Po 1994 roku rozpoczęto procesy restytucji własności i płatności odszkodowań, pierwsze zwroty mienia nastąpiły w 2004 roku, ale sprawy w sądzie się ślimaczą i ludzie się niecierpliwiają. Wśród czarnych zaczyna dominować

poczucie zawodu – dla wielu z nich demokracja, która miała przynieść godziwe życie i naprawienie krzywd, niewiele się różni od poprzedniego systemu. Biedni tak jak kiedyś wegetują w *townships*, podmiejskich osiedlach, które wciąż się rozbudowują, zasiedlane przez kolejne tysiące ludzi migrujących ze wsi do miast.

\*

Kilka dni po naszym spotkaniu, w lutym 2009 roku, Carl Niehaus został oskarżony o fałszowanie podpisów na dokumentach państwowych i niespłacenie pożyczki w wysokości 4,5 miliona randów zaciągniętej u czołowych biznesmenów i działaczy ANC. Niehaus przyznał się do zarzutów i ustąpił ze stanowiska rzecznika ANC.

\*

Odwiedzam RPA na trzy miesiące przed wyborami zaplanowanymi na koniec kwietnia. W połowie grudnia 2008 roku w ANC doszło do rozłamu, część wysokich rangą działaczy odeszła i założyła Kongres Ludu (CoPe). Oskarżyli swoich byłych kolegów o porzucenie zasad rewolucji i demokracji. To nieco oddaliło perspektywę miażdżącego zwycięstwa ANC.

– To są zwykli przestępcy – mówi mi Philip Dexter (kolored), rzecznik CoPe. – Jacob Zuma, lider ANC, ma na koncie ponad 700 zarzutów o korupcję i składanie fałszywych zeznań. Ludzie mają tego dosyć. Nie można ciągle odwoływać się do rewolucyjnej przeszłości, budować swojego autorytetu na tym, że spędziło się kilka lat w więzieniu Robben Island. My wszyscy w czasach apartheidu też siedzieliśmy w więzieniach. Zuma jest prymitywnym stalinistą. Nie rozumie komplikacji współczesnej polityki i nie zależy mu na demokracji.

Biali nie znoszą Zuma, bo ma skończone tylko dwie klasy szkoły podstawowej, za to kilka żon i 19 dzieci. Oskarżono go o gwałt na córce partyjnego kolegi, o której wiedział, że jest zarażona HIV. Twierdził, że po stosunku wziął prysznic, więc na pewno nie zaraził się wirusem (Zuma był w tym czasie szefem Krajowej Rady Przeciwdziałania AIDS; sąd oczyścił go ostatecznie z zarzutu gwałtu).

ANC nienawidzi CoPe. IFP, partia Zulusów z prowincji KwaZulu-Natal, nienawidzi ANC. Czarni i koloredzi mają ciągle pretensje, że przemiany nie przebiegają wystarczająco szybko, czyli że jeszcze nie są tacy bogaci jak biali.

– 15 lat to dużo i mało – mówi profesor Grundlingh ze Stellenbosch. – Ludzie zapominają, jak wyglądały wybory w 1994 roku, gdy w kraju było 80 regionów, w których żadna partia poza lokalną nie mogła prowadzić kampanii, bo groziło to masakrami wśród ludności. Nie pamiętają, jak na początku lat 90. biali kupowali na zapas cukier, bo bali się rzezi, która miała się zacząć lada dzień. Prawie milion ludzi wyemigrowało z tego kraju. A jednak Południowa Afryka przetrwała, może nie w takim stanie, jak wszyscy byśmy chcieli, ale jednak. Kraj przestał się dynamicznie rozwijać, na szczęście przed 1994 rokiem powstała cała jego infrastruktura, ale przez ostatnie 15 lat udało się utrzymać wzrost gospodarczy, a ANC odrzucił komunistyczną ideologię, przynajmniej w dziedzinie gospodarki. Oczywiście po dojściu do władzy Zuma w RPA może być różnie. ANC mówi o nacjonalizacji banków i firm ubezpieczeniowych. Nie można wykluczyć powtórki z Zimbabwe, ale ja w to nie wierzę. To będzie po prostu kolejna stracona szansa, kolejne zmarnowane lata, ale nic poza zastojem, do którego zresztą przywykliśmy, nam nie grozi.

\*

Przenoszę się do Johannesburga, wjeżdżam do jego najsłynniejszej dzielnicy, Soweto, światowej stolicy bestialskich mordów, zbiorowych gwałtów, napadów z bronią w rękę i innych paskudnych aktów przemocy. Trzymam kurczowo kierownicę, kilkakrotnie sprawdzam, czy drzwi aby na pewno są zamknięte, i pogodzony z losem czekam na atak.

Nie nadchodzi. Mało tego, jeżdżę czystymi ulicami Soweto między całkiem przyzwoitymi domami jednorodzinnymi i zaczynam się nudzić. To wygląda jak przedmieście Warszawy w gorszy dzień, powiedzmy Janki albo Łomianki. Tu domek, tam domek, nikogo nie ma na ulicach, bo wszyscy w pracy w mieście. Miejscowy kolega – czarny oczywiście – który mi towarzyszy, zachęca, żebyśmy się kawalek przeszli. No to się przechadzamy. I dalej – jak w polskim filmie – nic się nie dzieje.

Bo niby co ma się wydarzyć? W Soweto mieszka dziś 26 zarejestrowanych milionerów, są cztery ogromne centra handlowe, ponad 300 szkół, prawie wszystkie drogi są wyasfaltowane i bez dziur, działa 14 stacji kolejowych, na jednej ulicy mieszka dwóch laureatów Nagrody Nobla (Nelson Mandela i Desmond Tutu), jedną z trzech lokalnych pierwszoligowych drużyn piłkarskich Orlando Pirates kieruje legenda holenderskiej piłki nożnej Ruud Krol, a jej nowoczesny stadion mieści 50 tysięcy kibiców. No tak, chyba jednak przesadziłem z tymi Łomiankami.

W ogóle wyświechtane porównania w RPA się nie sprawdzają. Soweto jest najbardziej znanym w RPA *township*, czyli osiedlem podmiejskim, jakie władze budowały od lat 30. XX wieku dla czarnych pracujących w mieście. W czasach apartheidu biali uczynili z *townships* rezerwy, w których czarni mieli zapewnione wystarczająco dużo, żeby nie umrzeć, i o wiele za mało, żeby prowadzić normalne życie. To również tu niepodzielnie panował Afrykański Kongres Narodowy, tutaj w czasach apartheidu, zwłaszcza w latach 80. i na początku 90., wybuchały krwawo tłumione zamieszki. Żaden biały przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w te rejony o żadnej porze dnia i nocy. W tym czasie Soweto rzeczywiście było światową stolicą przemocy. Według statystyk co czwarta kobieta żyjąca w tym miejscu była gwałcona, a w szkołach, miejscowych barach i na ulicach niepodzielnie panowali bandyci, którzy niekiedy nazywali siebie „bojownikami o wyzwolenie czarnych”.

Spora odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada na ANC. Po rozruchach w 1976 roku, gdy czarni uczniowie jednej ze szkół w Soweto zbuntowali się przeciwko narzucaniu siłą nauki języka afrykanerskiego (policja zabiła wówczas około 800 uczestników buntów w Soweto i w innych częściach kraju), Kongres postanowił potraktować szkoły jako poligon polityczny, a nie miejsce kształcenia. Od lat 80. bojkot szkół stał się jednym z ważnych elementów strategii walki z apartheidem, co bezpośrednio przyczyniło się do stworzenia całego pokolenia czarnych analfabetów albo półanalfabetów pozbawionych szans na jakikolwiek sukces w życiu. „*No education before liberation*” („Najpierw wyzwolenie, potem edukacja”) – to hasło wyrządziło szkody w środowisku czarnych, których do dziś nie udało się nadrobić.

Dziś poziom edukacji powoli, ale jednak się podnosi, przemoc na tle politycznym ustała (choć ciągle części Soweto i niektóre inne *townships* są bardzo niebezpiecznymi miejscami, zwłaszcza dla stałych mieszkańców), trudno też mówić o nędzy tych osiedli. Ani Soweto, ani żaden inny *township* w RPA nie znał nędzy, jaką można dziś bez trudu zobaczyć w innych miastach Afryki, choćby w Bamako, Akrze czy Luandzie. Są to zwykle skromne, lecz niezłe utrzymane przedmieścia dla czarnych, którym nie udało się jeszcze wyrwać z nizin społecznych do szeregów nowej klasy średniej.



Problemem dla mieszkańców i władz są na pewno miliony nowych imigrantów miejskich, którzy co chwila doczepiają do *townships* swoje blaszane rudery. Mechanizm jest prosty. Gdy liczba blaszaków osiągnie punkt krytyczny i nie opłaca się doprowadzać do nich wody i elektryczności, władze wprowadzają buldożery i równają teren z ziemią, a w miejsce ruder stawiają murowane domki, w których umieszczają przybyszy. I tak *townships* rozrastają się, a kolejne tysiące biednych mieszkańców RPA zdobywają miejsce do mieszkania. Tylko co zrobić z całą resztą?

\*

Biskupa Paula Verryna spotykam w Centralnym Kościele Metodystycznym przy Small Street w centrum Johannesburga. Trzypiętrowy odrapany budynek zmieniono w przytułek dla 3 tysięcy nielegalnych imigrantów, głównie z Zimbabwe. W każdym pomieszczeniu dziesiątki ludzi porozkładanych na podłodze z całym dobytkiem, dzieci i niemowlęta bawią się po kątach, smród spalonego mleka i ludzkiego potu dławi gardło, w każdym wolnym miejscu ubrania porozwieszane na sznurkach. Schodzę do piwnicy. Jest jeszcze gorzej: w jednej salce dla par małżeńskich wydzielone tekturą boksy wielkości łóżka, pokój dla samotnych kobiet, pokój dla sierot – jest ich tu 120, niektóre dzieci przeszły same od granicy z Zimbabwe do Johannesburga. Gubię się w słabo oświetlonym labiryncie korytarzy i pokoiów, ale na szczęście towarzyszy mi Ambrose, szef ochrony w kościele, w lepszych czasach nauczyciel. Spotykam menedżerów bankowych z Harare, inżynierów, lekarzy. Wszyscy mówią świetnie po angielsku, są wykształceni lepiej niż Południowi Afrykanie i zdesperowani. W jakim stanie musi znajdować się ich kraj, skoro zostawiają rodziny, uciekają z folwarku Roberta Mugabe i wybierają życie w tej norze? A i tak przecież należą do szczęśliwców, bo przed budynkiem, zwłaszcza wieczorem, kłębi się tłum – kolejne kilka tysięcy gotowych oddać wszystko, by znaleźć swój metr kwadratowy na podłodze kościoła.

Niektórzy mieszkańcy Johannesburga, a nawet jego bracia w wierze, twierdzą, że biskup Verryn w swojej chrześcijańskiej miłości bliźniego posunął się zbyt daleko. Na terenie kościoła doszło do dwóch morderstw, ludzie handlują narkotykami, zdarza się prostytutka, ciężarne kobiety rodzą dzieci, bo nie udaje się dowieźć ich na czas do szpitala. Księża narzekają, że Verryn zmienił kościół w obóz uchodźców, slums.

Wyliczam zarzuty. Biskup Paul Verryn na nie odpowiada:

– Jak pan chce, to mogę dać odpowiedź biblijną: „byłem obcy, a przyjęliście mnie”. W Ewangelii jest mnóstwo takich cytatów i jeśli Kościół ma być żywym miejscem spotkania z Jezusem, a nie mównicą do wygłaszania gadek umoralniających, to ja jako chrześcijanin nie mam wyboru. Po drugie, uważam, że jeśli nie potraktujemy naprawdę poważnie kwestii biedy i wykluczenia w tym kraju, to czeka nas rozgrywka na gigantyczną skalę. Biednych mieszkańców RPA, których ciągle jest większość, nie zadowolili to, że co jakiś czas ktoś im da mydło i obietnicę, iż kiedyś będzie lepiej. I jeszcze jedno. Wielu z tych ludzi, którzy mnie krytykują, nie ma bladego pojęcia, co tu się dzieje. Z jednej strony jest nędza i zachowania budzące grozę, ale powstają także zespoły muzyczne, kluby szachowe, kółka samokształceniowe, uczymy ludzi zawodu. Podstawową zasadą tego miejsca jest włączenie wszystkich bez wyjątku w edukację. Wszyscy muszą się uczyć albo chodzić na kursy zawodowe, które organizujemy, bo bardzo nie chcemy, by ci ludzie z ulicy trafiali do więzienia umysłowego, jakim jest przekonanie, że sposobem na życie jest korzystanie z pomocy innych.

Pytam, czy rzeczywiście dochodzi do gorszących scen.

– Jeśli komuś się wydaje, że ludzie bez domu i środków do życia będą się zachowywać z finezją i szlachetnością osób z wyższych sfer, to chyba ma nie po kolei w głowie. Ci ludzie nie mają wody, mydła, na początku nie mają nawet co jeść. Potem im to dajemy, ale zawsze wszystkiego jest za mało. Śpią na ziemi jeden obok drugiego jak sardynki w puszcze. Tutaj nie ma nawet odrobiny prywatności, wszystko dzieje się na widoku. Oni nie mają dostępu do rzeczy, które dla nas są całkowicie oczywiste.

– Czy wyrzuca ksiądz niektórych z kościoła?

– W tym budynku obowiązują reguły. Nie wolno pić ani palić. Alkohol jest jednak poważnym problemem. Nie wolno się bić, nie wolno uprawiać seksu poza małżeństwem, nie wolno kraść. A biorąc pod uwagę stres i warunki, w jakich ci ludzie żyją, nie mamy tutaj wielkich problemów. Zresztą naprawdę nie trzeba być uchodźcą z Zimbabwe, żeby pomieszkawszy tutaj chwilę, zwariować albo być gotowym na wszystko, byle tylko jakoś się stąd wydostać.

W maju 2008 roku w Johannesburgu doszło do ataków na uchodźców. Mit narodu RPA, który sam umęczony nienawiścią wyciąga pomocną dłoń do każdego potrzebującego, w kilka dni runął na bruk tego miasta. Chcę wiedzieć, czy stosunek mieszkańców RPA do imigrantów z Zimbabwe zmienił się w ostatnich miesiącach.

– Ksenofobia jest potężnym zjawiskiem w tym kraju – mówi biskup Verryn. – Jesteśmy narodem nauczonego wrogości wobec innego. Niestety nie udało nam się pozbyć do końca spuścizny apartheidu w tej sferze. I to dotyczy wszystkich nas, bez względu na kolor skóry. Ale zwykle gdy ludzie zobaczą, w jakich warunkach się tutaj żyje, to pojawia się zrozumienie i gotowość niesienia pomocy. Nie jestem w stanie zliczyć propozycji pomocy od pielęgniarek, lekarzy, nauczycieli, mamy tu przecież szkołę dla dzieci. Zgłaszają się ludzie, którzy chcą imigrantom pomagać.

\*

Paul Verryn nie pierwszy raz staje się bohaterem południowoafrykańskich mediów. Jako młody człowiek pod koniec lat 70. był pierwszym białym księdzem oddelegowanym przez Kościół metodystyczny do pracy w Soweto. Służył w Orlando West Methodist Church zaledwie kilkaset metrów od domu Winnie Mandeli, zresztą do dziś mieszka w tym kościele. Przez lata wygłaszał kazania, krytykując brutalność apartheidu, odprawiał pogrzeby białych i czarnych, ofiar tortur policji, i zyskał ogromną popularność wśród mieszkańców Soweto.

Zbyt dużą, jak się okazało, a atak nadszedł z najmniej spodziewanej strony. Pod koniec lat 80. Verryn przechowywał w swoim domu około 40 członków ANC, którzy zamierzali przedostać się za granicę do obozów szkoleniowych Kongresu. Dzięki swojej aktywności zdobywał też fundusze od organizacji wspierających walkę z apartheidem. To wywołało jego konflikt o wpływy z żoną Nelsona Mandeli. Winnie Mandela najpierw oskarżyła Verryna o wykorzystywanie seksualne swoich podopiecznych, a następnie – gdy zarzuty nie utrzymały się w sądzie – nasłała na jego dom bojówki swojej organizacji Mandela United Football Club. Ludzie Winnie porwali kilku aktywistów ANC przebywających u Verryna i pobili ich do nieprzytomności. Czternastoletni Stompie Moeketsi zmarł w wyniku odniesionych ran. Bezpośredni zabójca chłopca przyznał w sądzie, że morderstwo zleciła Winnie Mandela, za co w 1991 roku została skazana na 6 lat więzienia, ale w wyniku politycznych nacisków wyrok zamieniono na karę grzywny.

Gdy pytam o wydarzenia sprzed 20 lat, biskup Verryn nie chce mówić.

– Próbowałem pojednać się z Winnie Mandelą, ale to nie było możliwe, ona nie chce. Może kiedyś...

W styczniu 2010 roku biskup Paul Verryn został zawieszony przez władze Kościoła metodystycznego w RPA. Nie podano powodów zawieszenia.

\*

Polokwane, dawniej Pietersburg, 350 kilometrów na północ od Johannesburga, w prowincji Limpopo, najbiedniejszej w RPA. Na ulicach znów Zimbabweńczycy czekający na jakąkolwiek ofertę pracy. Rozmawiam z Solomonem Gobemim ze wsi oddalonej o jakieś 30 kilometrów od miasta. Pytam o apartheid. Opowiada o czasach, gdy na widok białego musiał klęknąć, gdy nie wolno mu było dotknąć żadnej rzeczy należącej do białego, gdy był bity bez powodu, gdy nie miał prawa wchodzić do sklepu, żeby zrobić zakupy, zresztą i tak nie miał za co ich robić, bo biały właściciel farmy zmuszał go do pracy za darmo. Pytam, jak się wtedy czuł.

– Czuję się niepotrzebny – odpowiada.

– Czy nienawidzi pan białych za to, co robili w czasie apartheidu?

– Nie, nie nienawidzę ich. Wtedy myślałem, że biali są źli, ale gdy teraz widzę sytuację w kraju, to myślę, że przynajmniej niektórzy byli dobrzy, ci, którzy dawali nam pracę. Nie wszyscy byli źli. Dziś największymi przeciwnikami białych są ludzie związani z władzą. Znam takich. Tylko że oni rządzą tym krajem już 15 lat i nie umieją zapewnić ludziom pracy oraz godnego życia. Tylko zagarniają dla siebie. I powtarzają ludziom: „Wyzwoliliśmy was z apartheidu. Wyzwoliliśmy was z apartheidu”. Ale nic nie robią, nic.

Solomon pracuje jako kierowca i człowiek do wszystkiego w Siloe School for the Blind na Vrederus Farm, szkole dla ociemniałych dzieci prowadzonej przez polskie siostry franciszkanki ze Zgromadzenia Służebnic Krzyża z Lasek. 180 dzieci, a one 3. Miejsce dobrze utrzymane, dzieci zadbane, choć siostry narzekają na beznadziejny poziom nauczycieli.

– Nie mamy na nich wpływu, bo oni nie odpowiadają przed nami, tylko przed władzami edukacyjnymi. Nikogo nie da się zwolnić, ponieważ każdego nauczyciela wybroni związek zawodowy. Więc udają, że pracują.

Prozaiczna orka na ugorze, nic fascynującego, codzienne powtarzanie tych samych zajęć w nadziei, że przynajmniej niektóre z tych dzieci zdobędą wykształcenie, pójdą na uniwersytet, zapewnią sobie godziwe życie.

– To są wyjątki – mówi mi siostra Angelika pracująca w Siloe od 3 lat. – Większość wraca do swoich wsi i po prostu siedzi w domu.

Obok wieś licząca 2 tysiące ludzi, w większości bezrobotnych. W ostatnich latach prawie 200 dzieci z tej wsi zmarło na AIDS. W niektórych domach mieszkają sieroty, którymi nikt się nie zajmuje. Gdy pytam mieszkańców, o czym marzą, mówią, że o pracy i godnym życiu.

W sobotę na lokalnym boisku trwa mecz piłkarski – jedyna rozrywka mieszkańców oprócz alkoholu i narkotyków, które łatwo można kupić w każdym miejscu. Pytam Solomona, czy ludzie zarażeni HIV leczą się.

– Niektórzy się leczą, a niektórzy chodzą do znachorów. Są tacy, którzy nadal nie wierzą, że AIDS istnieje, a jeśli istnieje, to da się wyleczyć odpowiednią dietą.

Nic dziwnego. Do 2008 roku minister zdrowia RPA Manto Tshabalala-Msimang utrzymywała, że AIDS właściwie nie ma, a zaraza, która wykańcza Afrykanów, jest spuścizną

kolonializmu i wynikiem spisku Zachodu w celu zniszczenia Afryki. Pani minister proponowała leczyć tę chorobę czosnkiem i burakami.

Wielu ludzi na całym świecie zastanawiało się nad przyczynami tego szaleństwa, za które odpowiedzialność polityczną ponosił także ówczesny prezydent Thabo Mbeki. Dlaczego światły człowiek, ekonomista wykształcony w Wielkiej Brytanii i tam mieszkający przez większą część życia odwrócił się od ustaleń nauki i uznał, że powodem AIDS jest bieda i złe odżywianie? Mark Gevisser, biograf Mbekiego, uważa, że stanowisko byłego prezydenta wobec AIDS było reakcją na tworzenie na Zachodzie wizerunku Afrykanów jako rozpasanych seksualnie dzikusów, którzy swoim sposobem życia zgotowali światu epidemię. To miała być próba udowodnienia przez prezydenta, że Afryka nie jest kontynentem chorób i nędzy, a winę za jej nieszczęścia ponosi Zachód. W umyśle Mbekiego, opanowanym przez obsesyjne poglądy na temat rasizmu i spuścizny kolonializmu, debata na temat AIDS oraz naukowe argumenty jawiły się jako kolejne narzędzia zniewolenia i upokorzenia Afryki.

Taka psychologiczna interpretacja autorstwa Gevissera może być słuszna albo nie, faktem jest, że polityka zdrowotna Mbekiego przyniosła katastrofalne skutki. Naukowcy z Harvardu twierdzą, że w latach 2000–2005 polityka Mbekiego przyczyniła się bezpośrednio do śmierci 330 tysięcy ludzi. Za jego prezydentury najlepiej rozwinięty kraj afrykański, dysponujący nowoczesnymi ośrodkami badań medycznych, praktycznie zaprzestał walki z jedną z najstraszniejszych chorób współczesności. Według danych ONZ w 2009 roku ponad 5,7 miliona mieszkańców RPA było nosicielami wirusa HIV.

\*

W szkole Siloe spotykam kilkunastoletniego chłopca, który oślepił w październiku ubiegłego roku podczas rytuałów inicjacyjnych przeprowadzanych w jego wsi.

Na kilka tygodni dorośli wyprowadzają nastolatków do buszu. Jak mówi siostra Angelika: „Bóg jeden raczy wiedzieć, co tam się z nimi dzieje”. Chłopcy wracają obrzezani. Obrzezanie dziewcząt jest zakazane, ale nikt nie ma pojęcia, czy do niego dochodzi, czy nie. Ten chłopiec wrócił nie tylko obrzezany, ale i oślepiiony. Nie chce mi opowiedzieć, co się stało, zresztą chyba sam nie wie. Pytam go, kim chce zostać w przyszłości.

- Pracownikiem pomocy społecznej – mówi.
- Nauczycielką – mówi jego koleżanka. – Będę uczyła ociemniałe dzieci.
- Prawnikiem – mówi inna.
- Artystką – mówi kolejna.
- Chcesz malować? – pytam. – Nie, chcę śpiewać. – I śpiewa: *Glory to God, Glory to God...*

Patrzę na kilku- i kilkunastoletnich chłopców z rozbieganymi oczami handlujących narkotykami podczas meczu piłkarskiego w zarażonej AIDS wsi bez przyszłości i mam przed oczami obraz południowoafrykańskiej nędzy – połączenie największych plag pierwszego świata z deformacjami myślenia trzeciego świata. Dla tych ludzi piłkarskie mistrzostwa będą odbitym z oddali błyskiem nadziei, chwilowym, nierealnym zaproszeniem do świata, który znają tylko z telewizji.

– Tu jeszcze będzie normalnie – mówił mi w Kapsztadzie Mark Gleeson, znany dziennikarz sportowy. Normalnie, czyli jak? Bez przemocy, bez morderstw, bez narkotyków, bez rozpaczy?

\*

22 kwietnia 2009 roku ANC wygrał wybory, zdobywając niecałe 66% głosów – za mało, by samodzielnie zmienić konstytucję. 6 maja Jacob Zuma został wybrany na prezydenta RPA. Miesiąc wcześniej prokuratura wycofała zarzuty korupcji wobec Zumy ze względu na błędy popełnione w trakcie dochodzenia.

Wkrótce po objęciu urzędu Jacob Zuma zmienił politykę rządu w sprawie zwalczania AIDS i rozpoczął powszechny program testów na obecność wirusa HIV. Zwiększyła się dostępność leków antyretrowirusowych dla chorych i zarażonych wirusem HIV. W lipcu 2009 roku naukowcy z uniwersytetu w Kapsztadzie rozpoczęli badania kliniczne nad szczepionką na AIDS. Badania potrwać co najmniej kilka lat.

W lutym 2010 roku prezydent Jacob Zuma przyznał się do pozamałżeńskiego związku z córką Irvina Khozy, przewodniczącego komitetu organizacyjnego piłkarskich mistrzostw świata w 2010 roku i swojego długoletniego przyjaciela. Ze związku Zumy i Sonono Khozy urodziło się 19 (lub 20 – nikt nie wie na pewno) dziecko prezydenta, córka. Wcześniej, w listopadzie 2009 roku, prezydent Zuma ożenił się po raz kolejny. Prawdopodobnie ma obecnie cztery żony i jedną byłą. W kwietniu 2010 roku Zuma poddał się testowi na obecność wirusa HIV. Publicznie podano wynik testu, który okazał się negatywny.

\*

W kwietniu 2010 roku wracam do RPA.

– Doszliśmy do ściany i już dosyć. Biali sami muszą się bronić, bo policja przecież nam nie pomoże. Atakują nas, okradają, gwałcą nasze kobiety. Gdy jakiś biały zostaje napadnięty, ciągle nam się mówi: „Czekaj na policję! Czekaj na policję!”. Ale już dość tego. Nie będziemy stali bezczynnie i czekali, aż nas pozabijają. I nie oddamy im naszych gospodarstw!

Shawn Molood jest farmerem z Ventersdorp, małego miasta w Prowincji Północno-Zachodniej. Miasto jak miasto, wiele takich w RPA. Schludne domy, przystrzyżone trawniki, kilkanaście protestanckich kościołów, a wokół kilkusethektarowe farmy należące do Afrykanerów.

– Chce pan utworzenia oddzielnego państwa dla białych? – pytam.

– Nie chcę oddzielnego państwa, jestem za demokracją. Ale prawdziwą demokracją, a nie tym, co mamy teraz. Chcę demokracji bez korupcji i dyskryminacji białych. Musi być sprawiedliwość.

– To morderstwo to punkt przełomowy – mówi Ben, który przyjechał do Ventersdorp z okolic Johannesburga. Organizacja finałów mistrzostw świata załamała się. Ludzie zastanowią się dwa razy, zanim tu przyjadą. Każdy biały może stać się ofiarą przemocy. A jeśli zagraniczni kibice nie dopiszą, to ten kraj przeżyje szok finansowy. Rząd nastawił się na finały, zainwestował miliardy randów. Jeśli się nie uda, będzie katastrofa.

Rozmawiamy na trawniku przed Afrykanerskim Kościołem Protestanckim w Ventersdorp przed południem 9 kwietnia 2010 roku. Za chwilę rozpocznie się pogrzeb Eugène’a Terre’Blanche’a, lidera Afrykanerów, zamordowanego przez dwóch czarnych pracowników rolnych tydzień wcześniej. Zjeżdżają tu całe rodziny z okolic, są również goście z innych prowincji RPA. Wszystko przypomina piknik połączony z wiecem politycznym: harleyowcy na motorach, starszki na leżakach, dzieci na trawie. Nad nimi policyjne helikoptery patrolujące teren z powietrza, a nieco niżej dziesiątki funkcjonariuszy Afrykańskiego Ruchu Oporu (AWB), partii założonej przez Terre’Blanche’a, ubranych w mundury polowe (niektórzy z pistoletami w

kaburach) i morze flag z symbolami AWB: trzy siódemki złożone w jedną w białym kole na czerwonym tle. 777 ma symbolizować ostateczne zwycięstwo Jezusa Chrystusa nad Antychrystem, którego liczbą jest, jak wiadomo, 666. Czerwone tło symbolizuje krew Chrystusa, chrześcijan i Burów walczących o wolność Południowej Afryki. Biały kolor to symbol ideału białej rasy, czarny – bohaterstwa. To wszystko pięknie tłumaczy mi jeden z uczestników pogrzebu. Dlaczego zatem ten symbol kojarzy mi się z faszystowską swastyką? Dlaczego niektórzy żałobnicy noszą swastyki na ramionach? Dlaczego śpiewając Die Stem, hymn RPA z czasów apartheidu, podnoszą ręce w faszystowskim pozdrowieniu? Dlaczego cała ta impreza przypomina jako żywo zlot neonazistów?

Pytam Shawna, dlaczego kilkanaście lat po obaleniu apartheidu biali w RPA ciągle nie chcą się podzielić bogactwem z czarnymi.

Pogrzeb Eugène'a Terre'Blanche'a, lidera Afrykanerskiego Ruchu Oporu



– To nieprawda, że w tym kraju biali nie oddali bogactwa. Przejdź się po mieście i zobacz, kto jeździ tymi mercedesami, hummerami i bentleyami. Nie biali. Czarny idzie do banku i dostaje

kredyt, bo takie są przepisy. Biały nie dostaje. Czarny będzie zatrudniany, mimo że nie ma kwalifikacji. Czarny ma w tym kraju wszystko, my nic nie mamy. I jeszcze napadają na nas i zabijają naszych ludzi. W Ventersdorp 20% mieszkańców, czyli biali, utrzymuje całe miasto. Czarnych jest 80%. Czarni nie pracują, nie chce im się. Nie płacą podatków, dostają jakieś zapomogi rządowe i z tego żyją.

– Zatrudnia pan czarnych na swojej farmie?

– Zatrudniam pięciu. Lenie patentowe, nie chce im się pracować.

– To niech ich pan zwolni.

– To nic nie da, bo nie zatrudnię innych. Nie ma nikogo do wynajęcia, ponieważ oni siedzą w swoich osiedlach i żyją z zapomóg. Czarni nie pracują i nam nie dają pracować.

– Jak to zmienić?

– To proste. Biali powinni przestać płacić podatki i zobaczymy, skąd rząd weźmie pieniądze na te wszystkie zapomogi.

Shawn i inni przyjechali tu uczcić pamięć człowieka, który ich reprezentował. Eugène Terre'Blanche, założyciel AWB, był obrońcą apartheidu, stanowił skrajny margines polityczny, prawie nikt nie traktował go poważnie. AWB liczy zaledwie około 2 tysięcy członków, kolejne kilkanaście tysięcy osób wspiera partię. Ale na początku kwietnia nagle oni stanęli w centrum życia politycznego kraju. Stanęli, bo ich wódz został zamordowany przez czarnych. Nie wiadomo do końca, jak do tego doszło. Najpierw wydawało się, że motywem zbrodni były pieniądze. Terre'Blanche ponoć nie zapłacił dwóm swoim ludziom za pracę i ci w odwecie zabili go. Potem pewna gazeta zasugerowała, że jedna z ofiar mogła zostać wykorzystana seksualnie przez Terre'Blanche'a, co wywołało prawdziwy popłoch w AWB. Wódz miałby być pedałem, a jego kochankiem „pawian” (*baboon* to określenie używane przez niektórych białych wobec czarnych)? *Never!*

Na szczęście adwokat oskarżonych wycofał się z tej linii obrony i twierdzi, że jego klient działał w samoobronie. Terre'Blanche miał wcześniej grozić mu śmiercią, a nawet stosować wobec niego przemoc. To już lepiej. Ale przecież coraz więcej białych pada ofiarą przemocy ze strony czarnych. Może to Terre'Blanche działał w samoobronie?

– Od 1994 roku na farmach w RPA zginęło nieco ponad tysiąc białych – mówi mi Kerwin Lebone, socjolog z Południowoafrykańskiego Instytutu Relacji Rasowych w Johannesburgu. – W całym kraju zostało zamordowanych około 250 tysięcy ludzi. Zdecydowana większość ofiar to czarni. Zresztą zarówno w przypadku białych, jak i czarnych głównym motywem zbrodni nie są pretensje polityczne czy nienawiść rasowa, tylko zwykły rabunek. Biali wciąż posiadają około 40 tysięcy farm w tym kraju. Stosunki panujące na wsi wyglądają w zasadzie tak samo jak za czasów apartheidu. Czarni pracują za grosze na farmach białych. Regularnie dochodzi do łamania praw człowieka. Dwa tygodnie przed zabójstwem Terre'Blanche'a dwóch czarnych pracowników rolnych zostało zastrzelonych przez białych. Biali mówią: „gdy jakiś farmer ginie, to jest »ludobójstwo«, gdy ginie czarny, to normalne”. Sprawcy potem tłumaczą się w sądzie, że zabili, bo pomylili czarnego człowieka z „pawianem”, strzelali do małpy, która weszła w szkodę. Z reguły wychodzą za kaucją, ponieważ system prawny w tym kraju jest niewydolny.

Na pogrzebie Terre'Blanche'a nie spotykam czarnych. Oprócz policjantów, kilku pastorów, minister rolnictwa obecnej w kościele nie ma tu czarnych. Spotykam ich w mieście. Kilku z trudem udaje się namówić na rozmowę, nie chcą się przedstawiać:

– Terre'Blanche uczynił tak wiele złego czarnym, że wielu z nas jest szczęśliwych, że on już nie żyje. Możemy się z tego cieszyć. To, co się stało, to nie jest zemsta, tylko po prostu zapłata,

którą dostał za uczynione zło. Zasłużył na to.

– Współczuję jego bliskim. Bo to jest taki sam człowiek jak my. Bez względu na to, co robił w życiu, był ludzką istotą. Teraz jego rodzina cierpi i współczuję jej. Być może jego bliscy mieli jakieś plany, chcieli coś razem w życiu zrobić, a teraz zostali sami bez niego.

– Ten człowiek terroryzował tak wielu ludzi. A jeśli zabijasz, to będziesz zabity. Jeśli walczysz mieczem, od miecza giniesz.

\*

Jak żyć w kraju, w którym ludzie tak się nienawidzą?

– Być może pamięta pan, że w 1993 roku zamordowany został Chris Hani, jeden z liderów Afrykańskiego Kongresu Narodowego – mówi Kerwin Lebone. – Tamto zabójstwo zaprowadziło kraj na skraj przepaści. To mogło się skończyć kompletną katastrofą: czarni zaczęli wówczas zajmować domy białych, groziła nam przemoc na ogromną skalę. Na szczęście mieliśmy wówczas wspaniałego przywódcę Nelsona Mandelę, który potrafił rozbroić tę tykającą bombę i pokierować społeczeństwem. W tej chwili nie mamy takich liderów. Kierownictwo ANC dzieli naród, zamiast łączyć, wywołuje konflikty.

Postać, która dzieli najbardziej, to lider Ligi Młodzieży ANC Julius Malema. Niektórzy uważają go za politycznego klauna, inni za koncesjonowanego przez partię ekstremistę, który kanalizuje rozgoryczenie milionów mieszkańców kraju bezskutecznie czekających na korzyści z obalenia apartheidu, wegetujących w nędzy, bez pracy i nadziei na przyszłość.

– W całym kraju trwają protesty antyrządowe – mówi mi Kerwin Lebone. – Chodzi o brak mieszkań, biedę, bezrobocie, fatalny stan służby zdrowia. Mamy najbardziej rozbudowany system zapomóg dla ubogich w Afryce i pewnie jeden z najhojniejszych na świecie. Ale te programy pomocy zżerają tak dużo pieniędzy, że nie da się ich utrzymywać w nieskończoność. Poza tym dochodzi do jawnych przejawów korupcji. Miliardy randów wyciekają z budżetu, a jednocześnie zwiększa się grono korzystających z systemu patronatu państwa nie ze względu na talent czy zasługi, ale odpowiednie koneksje polityczne z ANC. I po trzecie wreszcie, wielu ludzi czuje, że mimo działań Komisji Prawdy i Pojednania w tym kraju nie odbył się prawdziwy osąd nad winnymi zbrodni z czasów apartheidu i nie doszło do właściwego zadośćuczynienia. A teraz jeszcze mamy żalną sytuację, w której grupa czarnych uważa morderców Terre'Blanche'a za swoich bohaterów, a część białych jawnie i publicznie obraża czarnych. I jeszcze ten Malema!

*Tchórze się boją  
Strzelaj, strzelaj  
Tchórze się boją  
Strzelaj do Bura  
Matko, zostaw mnie w spokoju  
Strzelaj, strzelaj  
Te psy gwałcą  
Strzelaj do Bura  
Tchórze się boją  
Strzelaj, strzelaj*

Lider młodzieży ANC uznaje słowa pieśni *Ayesaba Amagwala (Tchórze się boją)* za „dziedzictwo walki o wyzwolenie” i czasem ją publicznie podśpiewuje. Żeby nie zapomnieć, kto



wróg, a kto przyjaciel. Sąd w Johannesburgu orzekł, że *Ayesaba Amagwala* to tak zwana mowa nienawiści, i zakazał wykonywania pieśni publicznie. Po śmierci Terre'Blanche'a ANC poleciła swoim członkom „wyciszyć się”, ale na Juliusa Malemę nie ma mocnych. Ignoruje zarzuty o korupcję i przejmowanie zamówień rządowych, białych dziennikarzy pytających o źródła jego majątku oskarża o rasizm, czarnych o wysługiwanie się białym. Tuż przed pogrzebem Terre'Blanche'a wyrzucił z konferencji prasowej reportera BBC, nazywając go „sukinsynem” i „cholernym agentem”. Po wizycie w Zimbabwie i spotkaniu z tamtejszym dyktatorem Robertem Mugabe, którego polityka doprowadziła kraj do ruiny, chwalił „reformy rolne” Mugabe, czyli bezprawne zabieranie farm białym właścicielom.

– Dlaczego kierownictwo ANC toleruje Malemę? – pytam profesor Amandę Gouws, dziekan wydziału nauk politycznych uniwersytetu w Stellenbosch pod Kapsztadem.

– Malema jest głosem wszystkich tych, których życie nie zmieniło się od 1994 roku, wszystkich biednych i wydziedziczonych. To jest polityk okrutny, chamski i agresywny. Nie słucha nikogo, mówi, co mu ślina na język przyniesie. Nienawidzi mądrzejszych od siebie. On jest uosobieniem wrogości wobec intelektualistów i demokracji. Jest coś jeszcze. W ostatnich tygodniach Malema przekroczył granicę, której do tej pory nikt w ANC nie przekraczał. On wystąpił otwarcie przeciwko wartościom tradycyjnie reprezentowanym przez ANC, takim jak poszanowanie godności innych ludzi bez względu na rasę, wolność mediów, akceptacja zasad demokratycznych.

– Czy Malema będzie kiedyś prezydentem RPA?

– Moim zdaniem nie da się go traktować jak poważnego polityka, bo on w ogóle nie rozumie, na czym polega rządzenie państwem i społeczeństwem, zwłaszcza tak skomplikowanym, trudnym i różnorodnym rasowo jak w Południowej Afryce.

– Ale to samo mówiono przecież o Jacobie Zumie, który jest dziś prezydentem.

– Różnica polega na tym, że Zuma walczył z apartheidem, siedział w więzieniu, przez wiele lat był szefem bezpieczeństwa ANC na wygnaniu. Zuma to polityk z wieloma ograniczeniami, ale jednak polityk poważny. Malema nie walczył z apartheidem, nie ma poważnej bazy politycznej, jest krytykowany nawet w samej Lidze Młodzieży. To oportunistą, który żeruje na nędzy części społeczeństwa i nieudolności rządu w radzeniu sobie z jego problemami.

\*

Adwokat młodszego z oskarżonych o zabójstwo Eugène'a Terre'Blanche'a odstąpił od próśby o zwolnienie swojego klienta za kaucją. Piętnastoletni oskarżony twierdzi, że nigdy w życiu nie było mu tak dobrze jak w więzieniu i nie chce z niego wychodzić. Pierwszy raz w życiu ma własny pokój z telewizorem, je trzy posiłki dziennie i śpi na prawdziwym łóżku. Wznowił również naukę w szkole podstawowej, którą wcześniej rzucił, by opiekować się krowami. Pracując na farmie Terre'Blanche'a, od 14 roku życia spał w stodole z krowami, a za wypasanie stada liczącego 97 sztuk zarabiał 500 randów miesięcznie (około 80 dolarów).

\*

Wracam do Kapsztadu, najpiękniejszego miasta RPA, jednego z ładniej położonych na świecie. Nowoczesny stadion tuż przy nabrzeżu wspaniale wpisuje się w krajobraz miasta. Z Signal Hill widać jego piękne proporcje. Otoczony sześćdziesięciohektarowym parkiem miejskim, wygląda jak pocztówkowa wizytówka RPA, nowoczesny statek kosmiczny, który

wylądował w idealnym miejscu na ziemi. Ze stadionu w kilka minut piechotą można dojść do Waterfront – kompleksu sklepów i restauracji, modelowego przykładu nowoczesnej rekonstrukcji miasta. Z zaniedbanego, porzuconego terenu stworzono tu alternatywne centrum Kapsztadu. Wieczorami restauracje są pełne ludzi, na deptakach występują muzycy, artyści prezentują swoje dzieła, tradycyjne chóry Zulusów zabawiają turystów. Luz, spokój, wygoda i dostatek emanują z tego miejsca. Po drugiej stronie Kapsztadu, w dzielnicy Delft, tuż przy międzynarodowym lotnisku leży Blikkiesdorp, blaszane miasto.

– W Blikkiesdorp warunki życia ludzi są gorsze niż w *townships* w czasach apartheidu – mówi mi Pamela Beukes, koordynator Kampanii Przeciwko Wysiedleniom. – Za apartheidu mieliśmy przynajmniej murowane domy.

Kolega Pameli, Willie, zwraca się do mnie „towarzyszu”, co sprawia, że czuję się trochę dziwnie. Pytam, czy należą do ANC.

– My nie wierzymy politykom – mówi Pamela. – To banda kłamców. Gdy nadchodził czas wyborów, tutaj roilo się od polityków. Trzech różnych ministrów od mieszkalnictwa obiecywało nam gruszki na wierzbie i nic się nie zmieniało. Ze wszystkich partii przychodzili. Oferowali nawet za darmo adwokatów, którzy mieliby nas reprezentować w sądzie. Ale my mamy taką zasadę: bez domu nie ma głosowania. Nie chodzimy na wybory.

Wjeżdżam na teren wielkości około 300 na 300 metrów ogrodzony metalowym płotem. W środku 1600 jednakowych, ponumerowanych, blaszanych kontenerów o powierzchni 18 metrów kwadratowych każdy. Nikt nie wie dokładnie, ilu ludzi tu mieszka, podobno nawet 10 tysięcy. W niektórych blaszakach żyje po 7–8 osób, w innych po 12 i więcej. Na cztery kontenery przypada jeden kran i jedna toaleta. Nie ma tu trawy, nie ma drzew, starsze kontenery mają okna wielkości pół metra, nowsze trochę większe. Między blaszakami biegają dzieci i włóczą się psy, kilku chłopców odbija piłkę na centralnym placu. Nad nami kable wysokiego napięcia, którymi do blaszaków płynie prąd, pod nogami piasek. Nie ma tu chodników ani asfaltu. Woda ściekająca z kranów i toalet podmywa kontenery, dachy niektórych toalet przeciekają, w środku ciasnych betonowych konstrukcji brud i smród.

Blikkiesdorp – blaszane miasto. Oficjalnie: Rejon Tymczasowej Lokalizacji. Nieoficjalnie: ludzkie wysypisko





Sandy Roussouw została wyeksmitowana z hostelu Spes Bona w dzielnicy Athlone tuż obok stadionu, który ma być boiskiem treningowym dla ekip grających w Kapsztadzie. Przebywa w obozie prawie cztery miesiące.

– Kilka dni przed świętami poinformowali nas, że mamy się przenosić. I tuż po nowym roku trafiliśmy tutaj. Nie mieliśmy wyboru. To nie jest miejsce dla mnie ani dla moich dzieci. Głodujemy tutaj, ludzie sprzedają wszystko, co mają, lodówki, pralki, byle kupić coś do jedzenia. To miejsce jest jak obóz koncentracyjny.

Pytam Sandy, co myśli o mistrzostwach świata.

– Na początku byliśmy bardzo podekscytowani, ale teraz mam dosyć. Władze nie chcą, żeby zagraniczni turyści widzieli, jak traktowani są mieszkańcy RPA. Chcą, żeby wszystko lśniło. Usuwają nawet przydrożnych handlarzy, którzy zawsze tu byli, utrzymywali całe rodziny.

Mark przyjmuje mnie ze swoją rodziną na progu blaszaka numer M102, nowszej konstrukcji.

– Nie mieliśmy w ogóle gdzie mieszkać, więc lepsze to niż mieszkanie pod gołym niebem – mówi. – Ale to nie jest miejsce do życia. Staram się zapewnić rodzinie byt, mam pracę w mieście, ale długo tak nie pociągniemy. Ostatnio moja córka została trafiona w nogę kamieniem, bo tutaj dzieciaki ciągle rzucają kamieniami. Musiałem ją nieść kilka kilometrów do szpitala.

W Blikkiesdorp nie ma szkoły, kościoły organizowane są w blaszakach przez prywatne osoby. Nie ma poczty, wielu ludzi nie ma oficjalnego adresu, co utrudnia im znalezienie pracy. Bezrobocie jest tym większe, że Blikkiesdorp jest oddalone o kilka kilometrów od najbliższych zabudowań miejskich. Nawet system GPS w samochodzie nie odnajduje tego miejsca. Dla cywilizowanego świata Blikkiesdorp nie istnieje.

– To jest śmietnik, wysypisko niechcianych ludzi – mówi mi Karima Linnerveldt z blaszaka numer L49. Karima z rodziną trafiła do Blikkiesdorp z ulicy. – Uważamy się za ofiary mistrzostw świata. Władze twierdzą, że oferują nam lepsze warunki do życia, ale uwierz mi, życie w drewnianej rozpadającej się chałupie było sto razy lepsze niż tutaj.

Wchodzę do kontenera. Na szczęście tego dnia nie ma upału. W spiekocie ściany blaszaków nagrzewają się i w środku temperatura osiąga 50 stopni. Gdy na zewnątrz panują chłody, w blaszakach jest niemiłosiernie zimno. Dzieci ciągle chorują, nawet na gruźlicę. W obozie nie ma szkół, nie ma sklepów, poza małymi punktami sprzedaży. W obozie nie ma też na stałe policji. Jest co prawda komisariat, ale nieczynny.

– Policjanci nie chcą tu pracować, bo jest zbyt niebezpiecznie – mówi Karima. – Rozumiesz? Policja nie obsadziła swoimi ludźmi komisariatu, bo okolica jest zbyt niebezpieczna!

– Najważniejszy powód, dla którego nie chcieliśmy się przenieść do blaszanego miasta, to były gwałty – opowiada Karima. – W tym obozie stoi wiele pustych kontenerów i tam są meliny narkotykowe, w nich dochodzi do zbiorowych gwałtów. Boimy się o dzieci. Tutaj większość rodzin straciła kontrolę nad dziećmi. Włóczą się całymi dniami, potem zaciągane są do melin w pustych blaszakach i tam dostają narkotyki. Policja, jeśli się zjawi, niby patroluje teren, ale to się kończy tym, że policjanci napadają na ludzi, zwłaszcza po zmroku. Zobaczą, że grupa młodzieży stoi na dworze, to od razu zaczynają ich bić. To jest straszne miejsce. Nie chcemy tu mieszkać, ja nie chcę tu mieszkać.

– Kto ponosi winę za tę całą sytuację?

– Rząd. To jest jedyna siła, która może cokolwiek zrobić. Wydają mnóstwo pieniędzy na drogi, na stadiony, żeby to ładnie wyglądało dla turystów. I ile to wszystko potrwa? Kilka tygodni? A co potem? Co zrobią z tymi stadionami? Przecież mogliby dla nas zbudować domy. Te władze pozbawiają nasze dzieci podstawowych praw. Bo przecież każde dziecko ma prawo mieszkać w domu, a nie dorastać w takim blaszaku jak tutaj.

\*

Na uniwersytecie w Stellenbosch pytam profesor Amandę Gouws, czy po mistrzostwach świata konflikty społeczne, które zżerają RPA, wybuchną ze zdwojoną siłą.

– Nie sądzę, że dojdzie do konfliktu rasowego, moim zdaniem grozi nam kryzys gospodarczy i strajkowy – mówi profesor Gous. – Zasadnicze pytanie brzmi: jak rząd poradzi sobie z przepaścią między bogatymi i biednymi w tym kraju. RPA niedawno prześcignęła Brazylię jako kraj o największych nierównościach społecznych na świecie. A Zuma nie przedstawił żadnego programu poprawy losu zwykłych ludzi. Jest również skonfliktowany ze związkami zawodowymi, które domagają się wprowadzenia systemu bardziej przypominającego socjalizm. Tymczasem prezydent kontynuuje politykę prywatyzacji i ograniczania wydatków. To może być początkiem nowego konfliktu między lewicą a ANC.

Przez tydzień wysyłam e-maile i kontaktuję się telefonicznie z lokalnymi władzami Kapsztadu. Rozmawiam wstępnie z rzeczniczką mera Rulleską Singh i Trevorem Dennisem Mitchellem, którego mieszkańcy Blikkiesdorp oskarżają o niespełnione obietnice w sprawie polepszenia stanu toalet i bezpieczeństwa w obozie. Nie chcieli odpowiedzieć na moje pytania. W publikacjach prasowych władze zaprzeczają, jakoby eksmisje miały jakikolwiek związek z finałami mistrzostw świata organizowanymi w Kapsztadzie. Na oficjalnych stronach internetowych władz miasta można przeczytać, że obóz spełnia wymogi „wyznaczone w wytycznych rządowych”, a władze są „zasypanywane prośbami od rodzin pragnących zamieszkać w Blikkiesdorp”. Prośby rozpatrywane są co tydzień.

\*

W moim hotelu w Johannesburgu, który należy do znanej południowoafrykańskiej dziennikarki, zbiera się śmietanka ludzi mediów, pracowników organizacji pomocowych, lekarzy z całego świata. Śniadanie spędzam w towarzystwie Anglika, autora przewodnika *Rough Guide*, który opowiada mi o swojej niedawnej próbie samobójczej i pokręconym życiu. Lekarze zdiagnozowali jego stan jako pograniczne zaburzenie osobowości. Ogólnie chodzi o to, że facet

cały czas się boi, iż ludzie go nie zaakceptują, i z tego strachu co jakiś czas rodzi się w jego głowie myśl, by skończyć ze sobą. Słucham Anglika, jedząc jajka na bekonie, i nie wiem, jak mam się zachować, żeby nie mieć człowieka na sumieniu, więc na wszelki wypadek opowiadam, że moje życie też bywa trudne i niespełnione.

Wieczorem spotykam Szkota w koszulce z podobizną Stalina i podpisem: „W demokracji nie liczy się, kto na kogo głośuje, ale kto liczy głosy”. Jest początek kwietnia 2010 roku, rozmawiamy na trzy dni przed katastrofą w Smoleńsku. Pytam go, czy wie, co to jest Katyń. Mówi, że wie, więc drążę, dlaczego nosi koszulkę z podobizną mordercy. Jestem przyzwyczajony, że salonowi lewicowcy na Zachodzie noszą podobizny znanych bandytów: Che Guevary czy Fidela, ale Stalina na sercu spotykam po raz pierwszy. Szkot, skądinąd sympatyczny człowiek, tłumaczy, że chodziło mu o cytat, a nie o Stalina. Widzę, że jest mu głupio. Wychodzi z salonu i po chwili wraca ubrany w inną koszulkę. Na niej podobizna Einsteina i cytat: „Ludzka głupota nie ma granic”.

Potem debatuję z małżeństwem gejów z Kanady, pracownikami jednej z organizacji pozarządowych (właśnie wrócili z Kijowa, gdzie, jak mówią, pomagali politykom w budowaniu demokracji – raczej niezbyt skutecznie), lekarką z Londynu, specjalistką od AIDS i gruźlicy, oraz z facetem z Namibii, który wpadł tam samochodem do rowu, jadąc z misją pomocową, i coś mu pękło w kręgosłupie, więc przyjechał do Johannesburga na specjalistyczne badania. Jest też z nami Estończyk z BBC, amator języka khosa. Prezentuje nam różne młaśnięcia i kliknięcia, które znaczą co innego zależnie od ułożenia języka na podniebieniu.

Rozmawiamy o książce zambijskiej ekonomistki Dambisy Moyo *Dead Aid (Martwa pomoc, w podtytule: Zniszczenie największego globalnego mitu naszych czasów)*. Rozmowa jest o tyle łatwa, że nikt z nas jeszcze nie czytał tej książki, ale i tak wiemy, o co chodzi, bo wszystkie gazety o niej piszą. Zresztą sam tytuł wystarczy, żeby się śmiertelnie oburzyć. Autorka proponuje ni mniej, ni więcej, tylko rozmontowanie całego systemu pomocy dla Afryki, który według niej nie działa, i to nie działa tym bardziej, im bardziej się rozwija. Sprawa jest skomplikowana, bo jeśli Afrykanie skorzystaliby z oferty autorki, to większość uczestników rozmowy, może poza moim kolegą samobójcą i mną, straciłaby dobrze płatne i dające satysfakcję moralną zajęcie. Niewykluczone, że splajtowałby również hotel, w którym mieszkamy, bo od lat zatrzymują się w nim głównie ludzie z obcych krajów, którzy przyjeżdżają do Afryki, by nieść pomoc.

Ale zambijska ekonomistka jest nieubłagana zwłaszcza wobec najbardziej szlachetnych przejawów zachodniej dobroczynności. „Większość Brytyjczyków byłaby poirytowana, gdyby Michael Jackson zaczął udzielać im rad, jak rozwiązać kryzys finansowy – powiedziała Dambisa Moyo w jednym z wywiadów – a Amerykanie byliby na pewno oburzeni, gdyby Amy Winehouse mówiła im, jak położyć kres kryzysowi na rynku nieruchomości. Dlaczego Afrykanie mieliby słuchać w pokorze uwag Bono i Boba Geldofa na temat rozwiązania problemów tego kontynentu?”.

Rozmawiamy o ryzykownych tezach autorki, popijając wytrawne południowoafrykańskie wino, oddzieleni murem z drutem kolczastym od normalnego życia zwykłych ludzi.

Przez 5 tygodni na początku 2008 roku podróżowałem po Afryce w ramach akcji Programu III Polskiego Radia „Trójka przekracza granice 2”. Moim oficjalnym zadaniem było podglądanie Afrykanów i robienie o nich audycji radiowych. Piszę „oficjalnym”, bo poza tym miałem cel prywatny, znany tylko mnie. Wybrałem się do Afryki po to mianowicie, by odnaleźć bagaż, który zostawiłem na tym kontynencie podczas poprzedniej akcji „Trójka przekracza granice” w październiku 2007 roku.

18 października 2007 roku podczas podróży z Dakaru do Abidżanu liniami Ethiopian zaginął mój plecak. Nawet wiem kiedy – wylądowano go podczas śródlądowania w Bamako. Siedziałem w samolocie przy oknie i patrzyłem, jak pracownicy lotniska wyciągają bagaże na taśmę. Dostrzegłem plecak bardzo podobny do mojego i zastanawiałem się, czy to nie mój przypadek. Nieee..., niemożliwe, przecież ja tu nie wysiadam, odrzuciłem złą myśl. Okazało się, że to jednak był mój bagaż.

Po przybyciu do Abidżanu i odczekaniu pół godziny przed taśmą, zrozumiałem, że splecak zaginął. Na lotnisku zaopiekował się mną bardzo miły pracownik tajnej policji Wybrzeża Kości Słoniowej – wziął ode mnie paszport i poprowadził mnie do właściwego biura, gdzie wypełniono odpowiednie kwity, a mój zaginiony bagaż dostał numer referencyjny ABJET12582/18OCT07. W tym czasie tajniak wypytywał mnie o cel podróży i moje opinie na temat Afryki. Podziękowałem mu za towarzystwo i udałem się do baru, gdzie zamierzałem czekać na następny lot, ale tajniak nie dawał za wygraną. Nalegał, bym szybko przeszedł odprawę i jeszcze chwilę z nim pogawędził. Wreszcie, gdy dałem mu jasno do zrozumienia, że nie chcę już z nim rozmawiać, poprosił mnie o łapówkę. To było wyjątkowe w moim życiu spotkanie z ubekiem, który domagał się łapówki za nagabywanie ludzi. Gdy odmówiłem, był autentycznie rozczarowany i smutny. Tłumaczył, że przecież opiekował się mną, a bez niego być może nie dałbym sobie rady. Aż żal mi się go zrobiło, bo rzeczywiście spędził biedak ze mną półtorej godziny, i to kompletnie na darmo.

Po przylocie do Warszawy wypełniłem odpowiednie papiery i czekałem na bagaż. Nic się nie działo. Po tygodniu zacząłem dzwonić do Abidżanu, gdzie bagaż teoretycznie powinien być. Ale tam go nie było. To znaczy, był przez chwilę, ale natychmiast po wylądowaniu został odesłany lotem linii Ethiopian przez Akrę i Lagos do Addis Abeby. Dlaczego do Addis Abeby, a nie do Warszawy, nie wiem. Nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić, mimo że przez następne dwa tygodnie dzwoniłem do biur Ethiopian w Abidżanie, Bamako, Dakarze, Akrze, Lagos i Addis Abebie. Rozumiejąc, że może chodzić o pewne odrębności kulturowe w kwestii traktowania zaginionego bagażu, zadzwoniłem do biura Ethiopian w Berlinie. Nikt nie podnosił słuchawki przez trzy dni. Potem pojechałem do Paryża.

Biura Ethiopian znajdują się we wspólnym biurowcu na Polach Elizejskich. To znaczy, biurowiec wygląda wspaniale z zewnątrz. Od drugiego piętra wzwyż mieszczą się w nim małe klitki wynajmowane przez firmy, między innymi linie lotnicze Ethiopian. Pracownik linii kazał mi wypełnić papiery, skserował wszystkie dokumenty, jakie zebrałem w sprawie, i wyjaśnił, że

on się w ogóle takimi sprawami nie zajmuje, ale prześle papiery do Addis Abeby. Czyli po dwóch miesiącach poszukiwań byłem w punkcie wyjścia. Nie wiedziałem, gdzie jest mój bagaż, a ludzie, którzy go zgubili, nie mieli ochoty go szukać.

Akcja „Trójka przekracza granice 2” była dla mnie ostatnią szansą znalezienia mojego ukochanego bagażu. Jechałem przez Ugandę, Angolę i Ghanę, podpatrując, czy któryś z tubylców nie chodzi w mojej bluzie albo sandałach, czy nie robi zdjęć moim aparatem. Na lotniskach w Johannesburgu i Harare przyglądałem się torbom i plecacom, zastanawiając się, czy nie ma w nich moich przyborów toaletowych. Tak, odnalezienie tego bagażu stało się moją obsesją.

Wreszcie wylądowałem na lotnisku w Addis Abebie. Natychmiast poszedłem do biura zagubionych bagaży, gdzie miła obsługa przyjęła moją reklamację i poinformowała, że w zasadzie bagaż traktowany będzie jako zgubiony i najprawdopodobniej zostanie mi wypłacony ekwiwalent zgodny z ustaleniami Konwencji Warszawskiej, czyli nie więcej niż 20 dolarów za kilogram. Nie wiedziałem, że w Warszawie podpisano tak fatalną w skutkach konwencję. Przecież ja tam miałem aparat fotograficzny, książki, notatki z podróży. To wszystko jest bezcenne, ale jeśli już, to niech dadzą chociaż z tysiąc dolców, a nie marne trzysta. I do tego dolar tak słabo stoi...

Na osłode pracownik Ethiopian poinformował mnie, że jeśli chcę, to mogę jeszcze poszukać zguby wśród innych nieodebranych bagaży. Wszedłem więc między kilkaset toreb, plecaków i walizek zrzuconych na kupę, ustawionych w wielopiętrowych stosach, zastygłych pod warstwą kurzu. Przypomniała mi się ostatnia scena z *Poszukiwaczy Zaginionej Arki*, gdy odnaleziona przez bohatera Harrisona Forda Arka Przymierza decyzją głupiego urzędnika trafia do ogromnego składu skrzyń. „Perły przed wieprze”, „ideał sięgnął bruku” i takie tam myśli chodziły mi po głowie. Posnułem się kilka chwil w tym labiryncie i wyszedłem załamany.

Już miałem zamiar się poddać, ale to byłby błąd. Kilka dni później, po wielu nieudanych próbach, udało mi uruchomić pocztę roaming firmy Orange, co – jak wie każdy podróżnik – w zasadzie wymaga doktoratu z telefonii komórkowej, ale ja jakimś cudem trafiłem w odpowiednie klawisze. Odsłuchałem wiadomość i mój świat stał się na powrót dobry, ludzie życzliwi, przyszłość różowa. Dzwonili z Okęcia z informacją, że bagaż się znalazł i czeka na mnie w Warszawie.

Nikt nie wie, skąd przyleciał. Papiery wypełnione są odręcznym pismem, niewykłuczone, że bagaż sam je wypełnił. Może tak jak Bagaż z powieści Terry’ego Pratchetta mój plecak też ma nogi, buzię i zęby. I dodatkowo umie pisać. Może przez te trzy miesiące tak naprawdę to on mnie śledził albo po prostu miał mnie dosyć i chciał się przewietrzyć. Może jest odporny na afrykańską magię, lenistwo urzędników i głupie przepisy. Może, jak każdy dobry bagaż, zawsze znajdzie właściciela i dopilnuje, żeby nic złego mu się nie przytrafiło. Na pewno tak właśnie jest.

Za kilka dni wyląduję na Okęciu, pójdę do biura bagaży znalezionych i odbiorę go. Nie, nie, to mój bagaż mnie odbierze. Przytulimy się do siebie, a potem on mnie otworzy i znajdzie we mnie mnóstwo rzeczy, których tam nigdy nie wkładał.

## Bibliografia

- C. Achebe, *Things Fall Apart*, Londyn 2006.
- C.N. Adichie, *Half of a Yellow Sun*, Londyn 2009.
- W. Albiński, *Antylopa szuka myśliwego*, Warszawa 2006.
- L. Bärfuss, *Sto dni*, tłum. M. Skalska, Kraków 2010.
- I. Beah, *Było minęło. Wspomnienia dziecka żołnierza*, tłum. K. Rojek, Kraków 2008.
- K. Blixen, *Pożegnanie z Afryką*, tłum. J. Giebułtowicz, Poznań 1987.
- K. Brinkbäumer, *Afrykańska odyseja*, tłum. J. Czudec, Wołowiec 2009.
- T. Butcher, *Blood River. A Journey to Africa's Broken Heart*, Londyn 2008.
- R. Calderisi, *The Trouble with Africa. Why Foreign Aid Isn't Working*, New Haven 2006.
- B. Chatwin, *Co ja tu robię?*, tłum. P. Lipszyc, Warszawa 2006.
- B. Chatwin, *Wicekról Ouidah*, tłum. P. Lipszyc, Warszawa 2007.
- B. Chikwava, *Harare North*, Londyn 2009.
- J.M. Coetzee, *Hańba*, tłum. M. Kłobukowski, Kraków 2001.
- P. Collier, *The Bottom Million. Why the Poorest Countries Are Failing and What Can Be Done About It*, Nowy Jork 2008.
- P. Collier, *Wars, Guns, and Votes. Democracy in Dangerous Places*, Londyn 2009.
- J. Conrad, *Heart of Darkness*, Londyn 1995.
- R. Dallaire, *Shake Hands with the Devil. The Failure of Humanity in Rwanda*, Londyn 2005.
- R. Dowden, *Africa. Altered States, Ordinary Miracles*, Londyn 2008.
- W. Easterly, *The White Man's Burden. Why the West's Efforts to Aid the Rest Have Done So Much Ill and So Little Good*, Oksford 2007.
- D. Eggers, *What Is the What*, Nowy Jork 2006.
- P. Eichstaedt, *First Kill Your Family. Child Soldiers of Uganda and the Lord's Resistance Army*, Chicago 2009.
- B. Eyre, *In Griot Time*, Filadelfia 2000.
- A. Feinstein, *After the Party. Corruption, the ANC and South Africa's Uncertain Future*, Londyn 2009.



- N. Ferguson, *Empire. How Britain Made the Modern World*, Londyn 2004.
- J. Flint, A. de Waal, *Darfur. A New History of a Long War*, Nowy Jork 2008.
- P. Gappah, *An Elegy for Easterly*, Londyn 2009.
- M. Gevisser, *A Legacy of Liberation. Thabo Mbeki and the Future of the South African Dream*, Basingstoke 2009.
- P. Goodwin, *When a Crocodile Eats the Sun*, Basingstoke 2007.
- P. Gourevitch, *The Life After*, [w:] „The New Yorker”, 4 maja 2009.
- P. Gourevitch, *We Wish to Inform You that Tomorrow We Will Be Killed with Our Families*, Basingstoke 2000.
- R. Guest, *The Shackled Continent. Africa's Past, Present and Future*, Basingstoke 2005.
- G. Hancock, *Lords of Poverty. The Power, Prestige, and Corruption of International Aid Business*, Waszyngton 2000.
- J. Hatzfeld, *Strategia antylop*, tłum. J. Giszczak, Wołowiec 2009.
- A. Hochschild, *Bury the Chains. The British Struggle to Abolish Slavery*, Basing stoke 2006.
- A. Hochschild, *King Leopold's Ghost. A Story of Greed, Terror, and Heroism in Colonial Africa*, Basingstoke 2006.
- H. Holland, *Born in Soweto. Inside the Heart of South Africa*, Londyn 1998.
- H. Holland, *Dinner with Mugabe*, Londyn 2008.
- W. Jagielski, *Nocni wędrowcy*, Warszawa 2009.
- R. Kapuściński, *Cesarz*, Warszawa 1987.
- R. Kapuściński, *Heban*, Warszawa 1999.
- R. Kapuściński, *Jeszcze jeden dzień życia*, Warszawa 2007.
- R. Kapuściński, *Ten Inny*, Kraków 2006.
- F. Keane, *Season of Blood. A Rwandan Journey*, Londyn 1996.
- S. Kinzer, *A Thousand Hills. Rwanda's Rebirth and the Man Who Dreamed It*, Hoboken 2008.
- F.T. Kryza, *The Race for Timbuktu. In Search of Africa's City of Gold*, Nowy Jork 2006.
- D. Lessing, *Trawa śpiewa*, tłum. J. Puchalska, Warszawa 2008.
- B. Lewis, *Race and Slavery in the Middle East. An Historical Enquiry*, Oksford 1992.
- S. Lindqvist, *Wytepić całe to bydło*, tłum. M. Haykowska, Warszawa 2009.
- K. Maier, *Angola. Promises and Lies*, Londyn 2007.
- R. Malan, *My Traitor's Heart*, Londyn 1991.
- M. Mamdani, *When Victims Become Killers. Colonialism, Nativism and Genocide in Rwanda*, Dar es Salaam 2002.

- M. Meredith, *The State of Africa. A History of Fifty Years of Independence*, Londyn 2006.
- M. Meredith, *Diamonds, Gold and War. The Making of South Africa*, Londyn 2008.
- S. Michel, M. Beuret, *China Safari. On the Trail of Beijing's Expansion in Africa*, Nowy Jork 2009.
- D. Moyo, *Dead Aid. Why Aid Is Not Working and How There Is Another Way for Africa*, Londyn 2009.
- V.S. Naipaul, *Zakręt rzeki*, tłum. M. Zborowska, Warszawa 2002.
- K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd. Listy z podróży afrykańskiej z lat 1931–1936*, Poznań 2007.
- B. Okri, *The Famished Road*, Londyn 1991.
- M. Park, *Podróże we wnętrzu Afryki*, tłum. M. Kozłowski, Warszawa 2008.
- S. Piłaszewicz, *Religie Afryki*, Warszawa 2000.
- G. Prunier, *From Genocide to Continental War. The „Congolese” Conflict and the Crisis of Contemporary Africa*, Londyn 2009.
- A. Russell, *After Mandela. The Battle for the Soul of South Africa*, Londyn 2009.
- J. Sachs, *Koniec z nędzą. Zadanie dla naszego pokolenia*, tłum. Z. Wiankowska-Ładyka, Warszawa 2006.
- K. Salak, *Najtrudniejsza podróż. 1000 kilometrów rzeką Niger do Timbaktu*, tłum. J. Szmolda, Wrocław 2006.
- D. Scroggins, *Wojna Emmy*, tłum. B. Gutowska-Nowak, Warszawa 2004.
- S. Smith, *Négrologie. Pourquoi l’Afrique meurt*, Paryż 2003.
- P. Theroux, *The Lower River*, [w:] „The New Yorker”, 14 września 2009.
- K. wa Wamwere, *Towards Genocide in Kenya. The Curse on Negative Ethnicity*, Nairobi 2008.
- B. Weber, A. Vedder, *In the Kingdom of Gorillas. The Quest to Save Rwanda's Mountain Gorillas*, Nowy Jork 2007.
- M. Wrong, *In the Footsteps of Mr. Kurtz. Living on the Brink of Disaster in Mobutu's Congo*, Nowy Jork 2002.
- M. Wrong, *It's Our Turn to Eat. The Story of a Kenyan Whistleblower*, Londyn 2009.

# **ŽAR**

**Spis treści**

[Okładka](#)

## Karta tytułowa

\*\*\*

\*

-

[Senegal: bez innych jestem nikim](#)

[Zimbabwe: zraniony tyran](#)

[Mali: muzyka dla hipopotama](#)



[Ghana: marzenie o potędze](#)

[Etiopia: my nie jesteśmy Afrykanami](#)

[Rwanda: życie po śmierci](#)

[Demokratyczna Republika Konga: skąd ta groza?](#)

[Uganda: w cieniu Pogromcy Imperium](#)

[Angola: Chińczycy i ropa](#)

[Kenia: czekając na przebudzenie](#)

[Południowy Sudan: wczepieni w Biblię](#)



[Tanzania: czarny kamień, hidżab, socjalizm](#)

[Republika Południowej Afryki: świat posegregowany](#)

## Bibliografia

[Karta redakcyjna](#)

Projekt okładki: **Tomasz Larek i Małgorzata Wójcicka** /  
[www.tamtaram.pl](http://www.tamtaram.pl)

Fotografia w rozdziale "Senegal" bez innych jestem nikim: © Owen  
Franken / CORBIS

Pozostałe fotografie wewnątrz książki i na okładce: z **archiwum autora**

Opieka redakcyjna: **Mateusz Tobiczek**

Wybór i układ fotografii: **Arletta Kacprzak**

Copyright © by **Dariusz Rosiak**

ISBN 978-83-7515-949-3

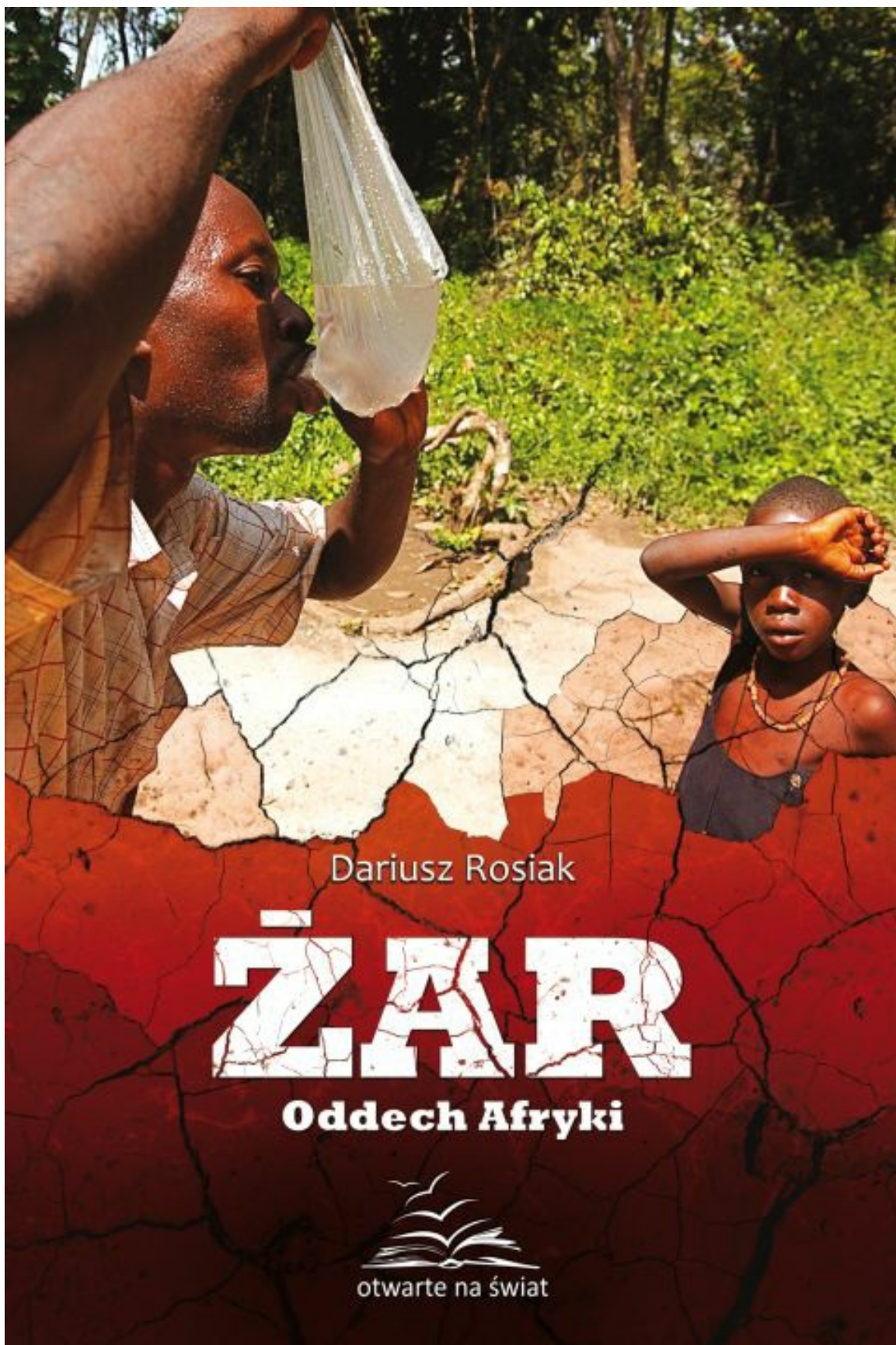
Plik wyprodukowany na podstawie: Dariusz Rosiak, *Żar. Oddech Afryki*,  
wyd. I, Kraków 2010

Wydawnictwo Otwarte

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl

  
[www.woblink.com](http://www.woblink.com)



Dariusz Rosiak

# ŻAR

**Oddech Afryki**



otwarte na świat